PISMA - MOWY - ROZKAZY

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona“, Warszawa, Nowolipie 2.

JÓZEF PIŁSUDSKI

PISMA - MOWY - ROZKAZY

WYDANIE ZBIOROWE PRAC
DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

TOM III

INSTYTUT BADANIA
NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI
WARSZAWA MCMXXX
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „POLSKA ZJEDNOCZONA"

Komitet Redakcyjny:

MICHAŁ SOKOLNICKI I JULJAN STACHIEWICZ

Sekretarz Redakcji:

WŁADYSŁAW MALINOWSKI

WSTĘP

Od 1903 aż po rok 1914 Józef Piłsudski mieszkał stale w Krakowie, dojeżdżając często do Lwowa; od czasu do czasu część zimy spędzał w Zakopanem lub w innej miejscowości górskiej; kilkakrotnie, dla kierowania akcją bojową przeciw Rosji, przebywał w Królestwie i na Litwie, pod przybranem nazwiskiem i w warunkach najściślejszej tajemnicy.

Zewnętrznemi okolicznościami tego okresu życia Piłsudskiego był rozwijający się po wojnie rosyjsko-japońskiej kryzys europejski, od 1908 roku wyrażający się zaostrzeniem austro-rosyjskiem. Tłem działań Piłsudskiego była likwidacja Organizacji Bojowej P. P. S., rozłam w Polskiej Partji Socjalistycznej i inne doniosłe zmiany w rozwoju życia i organizacji stronnictw polskich. Bazą działań — zarówno terenem odwrotu po wykonanych akcjach bojowych, jak terenem nowych przygotowań do walki — pozostawała w całym tym okresie czasu Galicja, szerzej mówiąc — zabór austrjacki.

W tych warunkach powstała inicjatywa wojskowa Józefa Piłsudskiego. Sięga ona roku 1904, przełomu wojny japońskiej i rewolucji rosyjskiej. Pierwszym jej etapem była Organizacja Bojowa (1905—1908); działanie zeŚrodkowane było wówczas w ramach Polskiej Partji Socjalistycznej,

a praca przygotowawcza i teoretyczna obracała się głównie w obrębie zagadnień rewolucji w miastach, strategji i taktyki masowego ruchu ludowego. Drugim etapem prac nad organizacją wojska stał się założony w 1908 Związek Walki Czynnej: skierował on pracę wojskową na nowe tory, wyłamał ją z ram partji, nadał jej cechy regularnej szkoły wojskowej. Rozszerzenie tej organizacji w postaci Związków Strzeleckich, w formie od roku 1910 pół-jawnej na terenie Galicji, było już tylko konsekwentnem rozwinięciem, pod względem liczebności. zarówno jak techniki, tej pracy szkolnej i organizacyjnej.

Józef Piłsudski, twórca tego ruchu i przez cały czas, aż do wyruszenia na wojnę, jego kierownik, jest w nim siłą, prowadzącą i rozstrzygającą, na każdym z poszczególnych etapów. Sam, między 1905 a 1914, przeprowadza rozległe studja wojskowe, najpierw i przez cały ten czas nad wojnami napoleońskiemi i powstaniem 1863 roku, potem i równorzędnie—nad wojnami współczesnemi, burską (1898—1900) i japońską (1904—1905). Bada drobiazgowo i przepracowuje epizody taktyczne, w których się uwydatnia nowy charakter wojny. Wszędzie, na tle historji, zarówno jak współczesności, zajmuje go nadewszystko problemat dowództwa. Przez studja nad strategją rewolucji, ruchu masowego, połączone z badaniami taktyki najnowszej, wyrabia swoiste, zupełnie oryginalne ujęcie zagadnień wojny.

Jednocześnie zaś pracuje Piłsudski jako profesor; stale wykłada i prowadzi ćwiczenia na kursach wyższych Związku Walki Czynnej we Lwowie i Krakowie z dziedziny zagadnień strategiczno-

rewolucyjnych i historyczno-wojskowych. Praca ta, prowadzona tajnie, słaby znajdowała odgłos w publikacjach ówczesnych; niemniej jednak ślady tych przemyśleń znać na każdym kroku w szeregu rozpraw, które są przeważnie streszczeniem wykładów Piłsudskiego.

Ponadto jednak Józef Piłsudski pracuje jako wychowawca młodzieży w duchu wojskowym; całe nastawienie pracy wojskowej na terenie Związków Strzeleckich pod względem moralnym, organizacyjnym i wyszkoleniowym jest dokonywane pod wpływem i pod kierownictwem Piłsudskiego. Rola ta uzewnętrznia się w mnóstwie rozkazów, dyrektyw, regulaminów, które w okresie zwłaszcza od lata 1912, kiedy Piłsudski zostaje oficjalnym Komendantem Głównym Związku, mnożą się, regulując coraz szersze i coraz bardziej skomplikowane polskie życie wojskowe.

Wreszcie wiosną 1914 powstaje oficjalny organ naukowy Związku Strzeleckiego, czasopismo *Strzelec*, które odrazu zostaje przez Piłsudskiego postawione jako teren do wyjaśniania założeń naukowych i moralnych systemu wychowania i wyszkolenia, wprowadzanego w Związku.

Charakter pracy Piłsudskiego w tym okresie czasu wpływa znamiennie na treść jego publikacyj. Najwięcej jest z tego czasu prac teoretycznych, niezwiązanych ze sprawami bieżącego życia publicznego; nieomal znikają publikacje natury politycznej. Cały wysiłek pisarski Piłsudskiegoześrodkowany jest na zagadnienia wojskowe. W pracy politycznej nie występuje już jako teoretyk, to też nie w artykułach i wykładach, a w praktycznej działalności Piłsudskiego histo-

ryk szukać będzie wyrazu jego pracy politycznej tej doby.

Pomimo głównie teoretycznego charakteru ówczesnej pracy pisarskiej Piłsudskiego, rzeczy publikowane stanowią tylko nieznaczną jej część. Wcale nie były publikowane jego wykłady, omówienia, krytyki i tym podobne, prowadzone przez kilka lat na Wyższych Kursach Oficerskich we Lwowie i Krakowie; również wiele wykładów, przeznaczonych dla szerszego grona słuchaczy, nie było publikowanych, co gorsza — nie było nawet często notowanych, dzięki czemu przepadły bezpowrotnie.

Nie znalazły również swego wyrazu w publikacjach samego Piłsudskiego inicjowane przez niego inspiracje, dyskusje, artykuły, broszury i książki wojskowe, stanowiące propagandę walki zbrojnej o Polskę.

W tym okresie wreszcie po raz pierwszy zjawiają się oficjalne pisma, podpisywane przez Piłsudskiego; są to mianowicie rozkazy, podpisywane przez niego, jako Komendanta Głównego Związku. Część tych rozkazów od jesieni 1913, wobec wzrostu liczebnego organizacji i polepszenia techniki rozkazodawczej, była wprawdzie drukowana (*rozkazy okólne*), nie posiadają one jednak charakteru publikacyj, były bowiem drukowane, jako rozkazy wewnętrzne, wyłącznie dla członków organizacji; to też nie znalazły się one w niniejszym zbiorze.

Wydawcy nie ogłosili również jednego z rozkazów okólnych, ogłoszonego publicznie w *Strzelcu* w roku 1914, ani też innego rozkazu okólnego, ogłoszonego już w roku 1927 w *Strzelcu*, organie dzi-

siejszego Związku Strzeleckiego. Ogłoszenie bowiem tych dwu publikowanych rozkazów bez związku z całością pracy rozkazodawczej Piłsudskiego mogłoby łatwo spaczyć obraz jego działalności. jako Komendanta Głównego Związku.

*

* *

Tak więc w roku 1908 powstał Związek Walki Czynnej, w dwa lata potem jawny Związek Strzelecki rozszerzył możliwości prowadzenia wojskowej pracy przygotowawczej. W roku 1912 powstał Polski Skarb Wojskowy, potem wśród rozwijającego się europejskiego kryzysu założoną została Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. We wszystkich tych etapach przygotowawczych Józef Piłsudski odegrał rolę inicjującą i kierowniczą. Przez nie zostały przeprowadzone prace przygotowawcze, które w dniu 6 sierpnia 1914 dały możność przyobleczenia w czyn długo przedtem uplanowanych zamierzeń.

I.

HISTORJA ORGANIZACJI BOJOWEJ P. P. S.

Wykłady w Szkole Centralnej
Polskiej Partji Socjalistycznej

(1910)

I

Bojówka jest pierwszą próbą socjalistów polskich wprowadzania do działalności i taktyki czynnika siły fizycznej. Historja bojówki układała się na tle ogólnego stanu tak społeczeństwa, jak i samej organizacji P. P. S., to też dla dokładnego zrozumienia jej cech charakterystycznych należy na wstępie przyjrzeć się owemu tłu.

Społeczeństwo polskie w ostatnich kilkudziesięciu latach było wychowywane w atmosferze pokojowej. Od roku 1870 — to jest od wojny francusko - pruskiej — Europa znajdowała się w stanie równowagi, w stanie spokoju, którego nie zamącały wojny takie, jak rosyjsko - turecka, albo wojny kolonjalne, ponieważ odbywały się zbyt daleko od centrów życia europejskiego. W Europie panował militaryzm pokojowy, polegający na ustawicznem zbrojeniu się. Ale poza kołami ściśle wojskowemi, reprezentującemi funkcje siły, myśl o zmianach i przewrotach, spowodowanych wystąpieniami militarnemi, zanikła.

W Polsce, która nie posiadała własnej armji, tendencje pokojowe ogarnęły społeczeństwo

jeszcze wszechstronniej, niż na Zachodzie. O wojnie nie myślano wcale, wyobrażano ją sobie powszechnie w postaci reminiscencji. U części socjalistów występowała ona w postaci niejasnych pragnień, mglistego poczucia, że dla socjalistów polskich niema innego wyjścia poza walką zbrojną.

Nastrój antywojenny wzmacniały u nas jeszcze tradycje klęski powstania 1863 roku, które pokryły olbrzymim cieniem całą ziemię polską i wszystkie umysły. Z temi tradycjami, rodzącemi sceptycyzm w stosunku do walki z armją, z siłą wojskową, — mamy do czynienia do dziś nawet. I w P. P. S. powszechny ten nastrój panował. Pierwszemi próbami w kierunku wskrzeszenia idei walki fizycznej były artykuły w *Przedświcie* (1900—1901) o walce zbrojnej, między innemi artykuły Mazura, który w sposób być może nieudolny udowadniał konieczność walki powstańczej i dawał pewne rady praktyczne. Z artykułów tych zrobiono materjał do ośmieszania „starej" P. P. S. i kierowników *Przedświtu*. Tak śmiesznem wydawało się ogółowi socjalistycznemu mówienie o armatach, karabinach, że ludzi, myślących o walce czynnej, wydrwiwano jako „romantyków", „niedobitków tradycyj powstańczych" i tak dalej. Broniono wobec ich „herezyj" czystości zasad partyjnych.

Zupełnie wyjątkowemi wypadkami stosowania siły fizycznej były fakty zabicia szpiegów w Warszawie, Częstochowie i Zagłębiu (1900). Wypadki te wypłynęły jednak nie ze świadomej dążności partji. Były one wynikiem chwilowego

wzrostu sił organizacji, napływu do partji większej liczby robotników, posiadających znaczniejsze napięcie temperamentu. Świadomość konieczności używania siły fizycznej nie grała tu żadnej roli. Nie było też żadnej broni specjalnej, — posługiwano się nożem, jako narzędziem, powszechnie używanem.

Terror wydawał się ogółowi jedynym dającym się pomyśleć systemem walki fizycznej z wrogiem, — widoczny był tu wpływ Rosji. Rozumiano wprawdzie, że nie da on zwycięstwa, ale nie umiano sobie wyobrazić żadnej innej formy walki.

Co do samej organizacji, to najbardziej charakterystyczną jej cechą była luźność. System organizacji był przystosowany do agitowania — stąd sama nazwa znamienna „organizacja agitacyjna" — nie „propagandystyczna", nie „organizująca". Piętno agitacji leżało na całej partji. Agitacja wymaga jak najszerszego zetknięcia się z masami, bo tylko wówczas daje pożądane wyniki. Zetknięcie się to było luźne, na peryferjach organizacji zatracało się w szerokich masach. Ułatwiało to ogromnie szerzenie w masach pism i myśli, rzucanych przez partję. Nie dawało natomiast żadnej rozporządzalności sił, która wymaga ścisłości organizacyjnej. Luźność ułatwia agitację, ale utrudnia wywoływanie bezpośredniego czynu. Drugą cechą organizacji był brak sił wyrobionych, zdolnych do kierowania sobą. Wobec tego organizacja stanowiła budowę na piasku.

Dopiero po wojnie mieliśmy dość ludzi do kierowania organizacją. Przed rewolucją siły te były bardzo nieliczne i pochłaniała je agitacja. Próby stworzenia organizacyj ściślejszych rozpoczęto przed samą prawie wojną. Partja posiadała olbrzymią siłę moralną obok zupełnego braku siły materjalnej, co odbiło się na tej roli, jaką P. P. S. miała odegrać w nadchodzących wypadkach.

Całe społeczeństwo, wychowane w tradycjach pokojowych i padające plackiem wobec siły techniczno - wojskowej wroga, spotkało wojnę rosyjsko-japońską jako zupełną niespodziankę. W społeczeństwie panowały teoryjki o niemożliwości wojny ze względów finansowych i wprost technicznych. Zdawało się, że państwa, toczące wojnę, nie wytrzymają jej finansowo. Z drugiej znowuż strony wydawało się, że skutkiem wynalazków i udoskonaleń technicznych dwie armje zniszczą się wzajemnie — na wzór owych przysłowiowych kotów, po których tylko ogony pozostały — zanim dojdzie do spotkania. Wbrew tym przypuszczeniom wojna wybuchła i państwa, ją toczące, choć z wielkim trudem, wytrzymały ją finansowo.

Wobec wojny społeczeństwo stawia wielkie wymagania P. P. S., która, niestety, nie rozporządza żadną siłą fizyczną, choć liczba jej stronników gwałtownie wzrasta. Ci ostatni domagają się od P. P. S. wskazówek co do sposobów przeprowadzenia koniecznych zmian politycznych. Stąd zjawiają się pierwsze próby nakazywania członkom partji wystąpień ulicznych. Warszaw-

ski Komitet Robotniczy wydaje rozkaz oczyszczenia ulic od szpiegów, ajentów policji, wystających na rogach. Wydano odpowiednie odezwy. W rezultacie — fiasko, bo przedewszystkiem ludzie nie byli przyzwyczajeni nawet do stawiania się o wyznaczonej porze w danem miejscu, więc niepodobna było nimi rozporządzać. Następnie sama robota budziła niepewności i wywoływała szereg znaków zapytania.

W takich warunkach zjawia się pierwsza „bojówka", zupełnie niepodobna do następnych. Byli to ludzie, wybrani z dzielnic i organizacyj fabrycznych, pozostający w rozporządzeniu partji. Zasada rozporządzalności została tu podniesiona na wyższy stopień. Za uzbrojenie służyły — laski. Na „bojowców" włożono obowiązek stawiania się w pewnym punkcie na żądanie organizacji. Odbywały się drobne manifestacje. Po fajerancie kupka ludzi wyskakiwała na ulicę, rozwijała czerwony sztandarek i, zanim zjawiła się policja, po 4—5 minutach rozpraszała się. Drobne te manifestacje (1904) dopomogły partji do opanowania nastroju tłumu ulicznego Warszawy.

Pierwszą fazę rozwoju bojówki cechuje spotęgowanie zasady rozporządzalności i ścisły związek z resztą organizacji. Ale o stosowaniu siły fizycznej jeszcze niema mowy.

Tymczasem wypadki się rozwijały. Otoczenie partji domagało się wzmocnienia temperamentu i spotęgowania wystąpień nazewnątrz. To parcie z boków i z dołu wywołało u kierowników partji dążność — z musu — do bardziej ostrych środków walki.

Padły pierwsze strzały podczas mobilizacji, dokonanej w Królestwie wbrew powszechnym nadziejom. Ogół sądził, że rząd nie odważy się przeprowadzić u nas mobilizacji. Tymczasem stało się inaczej. Mobilizacja została dokonana na południu Królestwa oraz poczęści w Płockiem. Wysłano wojsko z Królestwa na plac boju. Był to policzek moralny dla rewolucyjnie usposobionej części społeczeństwa. Odpowiedzią na mobilizację były manifestacje zbrojne w Warszawie, Radomiu i Częstochowie. Były one nieudolne, reprezentowały mało elementu siły, ale dużo naiwności, bardziej liczyły na zapał i poświęcenie, niż na siłę. Grzybów (13 listopada 1904) był punktem zwrotnym.

Po nim następuje szybkie wprowadzanie środków rewolucyjnych do taktyki P. P. S. Organizuje się druga bojówka o celach terrorystycznych (z jej łona wyszedł Okrzeja). Sposób organizowania był oryginalny i nieodpowiedni. Składała się bowiem z luźnych grupek ludzi. Zasada rozporządzalności została utrzymana. Jednocześnie zaszło rozluźnienie stosunku do reszty partji. Bojówka ta używana była do wykonywania zadań praktycznych.

Tymczasem wybucha strejk powszechny (styczeń, 1905), który wynosi P. P. S. na szczyty, niedostępne nawet marzeniu. P. P. S. otrzymuje dyktaturę moralną nad całem społeczeństwem. Ludzi uderzył fakt poruszenia się na rozkaz partji olbrzymich tłumów dla zamanifestowania solidarności z wystąpieniami partji. Skutkiem tego nawet grupy Narodowej Demokracji udawały się

do P. P. S. po wskazówki i komendę. Tej olbrzymiej sile moralnej, jaką rozporządzała P. P. S., nie odpowiadała jej możność zachowania siły moralnej wobec tłumu. Możność ta była nader nikła.

Rada partyjna (czerwiec, 1905) była nowym punktem zwrotnym tak w historji partji, jak i w dziejach bojówki. Na Radzie tej bowiem zarysowały się poglądy, które zczasem miały doprowadzić do rozłamu. Poglądy te na wszystkich następnych Zjazdach i Radach rodziły powody do starć.

Według jednego poglądu bojówka powinna być narzędziem walki natychmiastowej, narzędziem, przyczepionem do istniejących organizacyj lokalnych i załatwiającem ich potrzeby, a nie scentralizowaną siłą w rozporządzeniu partji, jej organów centralnych. Pogląd ten wyznawała „lewica". Według niej bojówka powinna była stać się natychmiast armją, z siłami, jakie ma obecnie; powinna była przestać myśleć o scentralizowanej sile fizycznej, rzuconej na szalę wypadków w chwili decydującej: powinna była zużytkowywać swe siły na drobne rzeczy bieżące.

Drugi kierunek chciał z organizacji bojowej uczynić kadry stałe, w które możnaby wciągnąć lud zrewolucjonizowany podczas wybuchu walki.

Zwyciężył kierunek „lewicowy". Dzięki stanowisku pojednawczemu niektórych zwolenników drugiego kierunku, którzy poddali się uchwale większości, nie zrzekając się przeprowadzenia własnych poglądów (Mirecki), jedność

partyjna nie rozprysła się. Zapanowała zgoda pozorna, ale faktycznie kierownicy bojówki zabrali się do tworzenia grup bojowych, musztrowanych, szkolonych, choć nie na całym terenie kraju, co wytworzyło pewną niejednolitość.

Owocami tej roboty były (sierpień, 1905) pierwsze napady na kasy rządowe w Lubartowie, Węgrowie i (udany, pod kierownictwem Mireckiego) w Opatowie.

Ogólno-partyjne życie z jego sporami o zasadę niepodległości, o koordynację i tak dalej oddziaływało i na Organizację Bojową. I na niej odbiło się piętno ruchu masowego, braku myśli o robocie na przyszłość, wobec czego panowało niezdawanie sobie sprawy z tego, jak prowadzić Organizację Bojową. Aresztowania (w sierpniu, wrześniu, 1905) rozbijają organizację Organizacji Bojowej, po której, jako po organizacji, nie pozostaje prawie śladu. Pozostają tylko ludzie oddzielni. I taki stan panował w czasach najkrytyczniejszych, podczas powstania moskiewskiego, kiedy lewicowy Centralny Komitet Robotniczy ogłosił i u nas powstanie (grudzień, 1906). To ostatnie z braku sił wyraziło się w drobnych utarczkach. Jedynym poważniejszym objawem ruchu była „Rzeczpospolita ostrowiecka". Nastąpiło rozczarowanie i sceptyczny stosunek do roli Organizacji Bojowej.

Wówczas nastał okres krytyki przeszłości Organizacji Bojowej, która znalazła się w tem położeniu, że nie posiadała szerszych zadań, a więc ulegała wypadkom bez możności reagowania na nie. Brak jednolitego programu kształcenia

i przygotowania do walki ciążył na bojowcach, którzy różnili się od innych członków partji tylko nazwą („bojowcy"), nie zaś wyszkoleniem i przygotowaniem. W rezultacie pociągało to za sobą zrażania się i demoralizację ludzi.

Powstaje chęć oddalenia się od organizacji, wyodrębnienia się ze sfery obojętnej, nierozumiejącej zadań walki fizycznej. Organizacja Bojowa staje na rozdrożu. Mogła ona skutkiem panującego w niej chaosu pójść tak samo w kierunku „lewicowym", jak i w przeciwnym, albo wybrać kierunek pośredni. Działały na nią bowiem dwa prądy. Jeden — „lewicowy" — żądał działalności natychmiastowej, bez względu na stan sił, bez organizacji centralnej dla rewolucjonizowania umysłów i serc. Drugi twierdził, że serca i umysły są już zrewolucjonizowane, że trzeba tylko wytworzyć siłę fizyczną dla zdobycia swoją krwią celu, że trzeba wytworzyć kadry dla wlania w nie ludu zrewolucjonizowanego, aby przeprowadzić szerokie zadania rewolucji zbrojnej.

Poznaliśmy więc dotychczas dwa okresy rozwoju bojówki. W pierwszym wzmacnia się stan rozporządzalności przy ścisłem związaniu z resztą organizacji. W drugim występuje proces oddzielania się, wyodrębniania się Organizacji Bojowej z reszty organizacji.

II

Dzięki nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności wypadkowych, które przyczyniły się do osłabienia kierunku „lewicowego" w Organizacji Bojowej, i dzięki zupełnej nieudolności i bezradności

przedstawicieli kierunku „lewicowego“, którzy nie potrafili stworzyć nawet takiej armji, jakiej potrzebowali, — dzięki temu kierownictwo Organizacji Bojowej przeszło do rąk ich przeciwników. Ci wobec niemożności tworzenia silnych liczebnie kadrów bojowych, któreby następnie asymilowały szersze masy, wchłaniając je, dążyli do stworzenia kadrów, silnych spoistością wewnętrzną, solidarnością.

Chodziło o to, aby wobec niechętnego stanowiska „lewicowego“ kierownictwa partyjnego powoli stworzyć organizację, silną wewnętrznie, przeniknięta jednym duchem, — organizację, któraby mogła wytrzymać przylew nowych sił, nie ulegając ich parciu. To był cel zasadniczy kierowników. Dla osiągnięcia tego celu postanowiono wytworzyć jednolitą metodę kształcenia bojowców na przestrzeni całego kraju. Ta jednolitość miała być przeciwstawiona poprzedniej przypadkowości. Temi względami kierowali się organizatorowie pierwszych szkół bojowych.

Pomimo braku doświadczenia u samych kierowników, który odbijał się na powodzeniu pierwszych szkół bojowych, te ostatnie pod jednym względem dokonały wprost cudu. W szkołach wyrobiła się ogromna karność i umiejętność narzucania sobie nakazów, wyrobił się mus panowania nad sobą i hart woli. Bojowcy dzięki szkole przeobrażali się gruntownie i, pozbywając się szkodliwych narowów i kaprysów, stawali się wprost innymi ludźmi.

W planie kierowników leżało opanowywanie za pomocą Organizacji Bojowej prowincji, poczy-

nając od niedużych miast, gdzie organizacje partyjne były słabe i gdzie skutkiem tego „lewicowcy" nie mogliby rozbić rozpoczętej pracy. Rozumowano w taki sposób: kiedy Organizacja Bojowa stanie na nogi, z wyrobionemi już na prowincji siłami pójdzie do „stolic" ruchu, gdzie stworzy odpowiednie kadry bojowe.

A więc miano na celu trzy zadania: 1) stworzenie kadrów nielicznych, ale silnych spoistością wewnętrzną; 2) przeprowadzenie bojowców przez ujednostajnione wyszkolenie i 3) rozmieszczenie bojowców na całej przestrzeni kraju, poczynając od tych punktów, gdzie organizacja ogólno-partyjna była zbyt słaba, — dla uniknięcia skutków wrogiego nastroju „lewicy".

Pierwsi uczniowie szkoły bojowej zostali rozesłani po kraju z zupełnie ścisłemi instrukcjami tworzenia nie więcej jak jednej piątki — i to nawet w takich dużych centrach, jak Częstochowa. Po dokładnem poznaniu i skontrolowaniu tej pierwszej piątki miano przystąpić do tworzenia drugiej, trzeciej i tak dalej. Taki był plan. Życie sprawiło, że nie został on przeprowadzony do końca. Spokojna, systematyczna, powolna praca organizatorska stanęła w sprzeczności z rozwojem wypadków i stanem umysłów w kraju. Z dołu szedł pęd do organizowania się, któremu niepodobna było się oprzeć. W krótkim czasie liczba zorganizowanych parokrotnie przenosiła liczbę pierwotnie projektowaną, choć w większości punktów kraju robota nie została jeszcze nawet zapoczątkowana. Północ była jeszcze nietknięta: w Płockiem, Kutnowskiem, Włocławskiem, Łom-

żyńskiem nie było ani jednej piątki. W Warszawie — toż samo. Jednocześnie w ciągu kilku miesięcy zarząd Organizacji Bojowej przygotował wszystkie materjały pomocnicze — (broń, naboje i tak dalej) na daleko większą liczbę, niż to było przewidziane w planie.

Stan umysłów pchał do natychmiastowych przejawów walki. W Organizacji Bojowej panowało ostre niezadowolenie z Wydziału za niedopuszczanie do wystąpień bojówki nazewnątrz. Wydział rozumiał, że niemożliwem jest robienie rewolucji z 500—600 zorganizowanych bojowców, do których przyłączyłoby się jeszcze parę tysięcy ludzi. I tylko wybiegami dyplomatycznemi Wydział odwlekał sprawę wystąpień, do których parła i sama Organizacja Bojowa, i cała partja.

To stanowisko ułatwiła Wydziałowi Rada partyjna (czerwiec, 1906), która zażądała od Organizacji Bojowej zniesienia jej centralizacji i oddania poszczególnych organizacyj bojowych pod komendę organizacyj lokalnych partji — w celu utworzenia armji, rozpuszczonej w otoczeniu niebojowem. Żądanie to zostało w zasadzie przyjęte. Wydział protestował przeciwko niemu tylko z powodów formalnych, gdyż nie pytano ogółu bojowców, czy się na tę propozycję zgodzą. Wydział wypowiedział się za nią, bo sądził, że wpuszczenie do ogólno-partyjnej organizacji — luźnej, o niezdecydowanych poglądach, wobec zrewolucjonizowania ludności — wpuszczenie ludzi z temperamentem, żądających szerszej rewolucji — da pożądane rezultaty. Mianowicie przy-

czyni się do budowania armji z dołu, kiedy nie udało się uczynić tego z góry.

Sprawę tę poddano pod obrady Konferencji bojowej (czerwiec, 1906), która odrzuciła obydwie drogi — tak Rady, jak i Wydziału. Wybrała natomiast pośrednią — drogę tworzenia armji scentralizowanej, nie rozpływającej się w organizacjach lokalnych, ale zaraz idącej do boju bez względu na ilość sił, aby pociągnąć lud przykładem i pchnąć go do rewolucji.

To wypowiedzenie wojny rządowi przez Organizację Bojową nie miało politycznego znaczenia, gdyż nie było właściwego powołania do wojny mas (takiego chociażby, jakie było wówczas, gdy Centralny Komitet Robotniczy proklamował w numerze 68 *Robotnika* powstanie). Odebrało to akcji rozpęd, jakiby jej nadało ogłoszenie wojny przez władze polityczne partji. Skutkiem tego zabrakło bojowcom szerokiego poparcia mas. Armja bojowa z kilkuset ludzi, których liczba wzrosła do 1½ — 2 tysięcy, a wraz z ogółem biorących udział w walce do 5½ tysięcy, była zbyt słaba. Brak politycznego ogłoszenia i brak poparcia ogółu spowodował nierównoczesność wystąpień, częściowe porażki i zwycięstwa.

Porównanie tego ruchu z ruchem roku 1863 wypadnie tylko częściowo na korzyść pierwszego. Wówczas nie było takiej szerokiej masy ludowej w ruchu. Jej udział był zaledwie marzeniem demokratów i to był wielki plus dla nas. Natomiast brak elementu politycznego w ruchu naszych bojowców był wielkim minusem w porównaniu z sytuacją powstania 1863 roku i odbie-

rał temu pierwszemu znaczną część siły. Ogólne tło walki też było dla nas bardziej niekorzystne od sytuacji z roku 1863. Pokojowe wychowanie społeczeństwa, brak wiary we własne siły (wiary, istniejącej w roku 1863), brak śmiałości do podejmowania szerokich zadań politycznych — wszystko to skierowywało uwagę na drobne cele, kazało w nich widzieć zadanie walki. Zabicie szpiega, stójkowego urastało do rozmiarów poważnej akcji rewolucyjnej. Co do warunków walki, to wróg w roku 1906 znajdował się w stanie większego bezładu, niż w roku 1863, ale natomiast posiadał bez porównania większą przewagę techniczną.

W walce, rozpoczętej przez Organizację Bojową, ściśle był stosowany system grupowy. Organizacja składała się z grup (piątki, potem szóstki) stałych, nierozwiązujących się, występujących zawsze w tym samym składzie. Nawet do przedsięwzięć mniejszych, gdzie potrzeba było 1—2 ludzi, szła zawsze grupa. Ta wojna grupowa mogła się utrzymać tylko przez kilka miesięcy. Już od listopada 1906 musiała przybrać inne formy. Okres walki grupowej dał dwie bitwy największe — „Krwawą Środę" w Warszawie i na prowincji oraz Rogów. W obydwóch tych akcjach brała udział największa liczba bojowców — w „Krwawej Środzie" kilkudziesięciu, pod Rogowem — 36.

Okres walki grupowej dał absolutne zwycięstwo nad policją i żandarmerją, które musiały usunąć się zupełnie, ustępując pełnienie swych funkcyj wojsku. Policja i żandarmerja zachowa-

ły tylko kierownictwo. Wojsko zostało rozsypane po całym kraju, po miasteczkach, wsiach i fabrykach. Pociągnęło to za sobą dwa skutki. Wojsko, przeciążone pracą policyjną, zdemoralizowało się i traciło sprawność militarną oraz pewność siebie. Z drugiej strony zbliżyło się ono z ludnością, weszło w jej życie, przestało być dla ludności czemś tajemniczem, mitycznem, strasznem, jak Jowisz, siedzący gdzieś za chmurami i miotający znienacka pioruny, spowszedniało i nie wywoływało już strachu, jak dawniej.

W dużych miastach pod osłoną grupowej walki Organizacji Bojowej zapanowała „konstytucja fabryczna", gdy poza fabrykami rozszerzyło się panowanie żołdactwa. W małych natomiast (również w Zagłębiu) konstytucja była zupełna. Tu policja, trzymana na wodzy strachem wobec bojowców, oddawała honory członkom komitetów partyjnych, bojąc się ich ruszać i świadomie zamykając oczy na działalność rewolucyjną. Sytuacji tej partja nie umiała wyzyskać dla pracy organizacyjno-bojowej, wyzyskując ją jedynie dla agitacji i organizacji politycznej. Posiadając najzupełniejszą przewagę nad policją, Organizacja Bojowa wobec wojska była bezsilna.

Kulminacyjnym punktem rozwoju Organizacji Bojowej były — „Krwawa Środa" i Rogów. Były to ostatnie przebłyski nawpół planowej walki. Potem następuje okres walki dorywczej, przypadkowej, okres cofania się. Pogrom w Siedlcach, stanowiący odpowiedź na „Krwawą Środę", pozostał bez odpowiedzi ze strony Organizacji

Bojowej. Była to moralna przegrana Organizacji Bojowej, poczem przyszła i materjalna.

Pogrom siedlecki wywołał popłoch w całej organizacji partyjnej, bo zrozumiano, że rząd może wszędzie, w każdym punkcie Królestwa, zorganizować z pomocą wojska takiż sam pogrom. Organizacja Bojowa nie zdobyła się na żadne środki przeciwdziałania i rząd, zrozumiawszy jej bezsilność wobec przewagi żołdactwa, zabrał się energicznie do likwidacji ruchu rewolucyjnego, do stopniowego oczyszczania kraju od elementów niepożądanych, poczynając od większych miast, gdzie się najbardziej czuł na siłach. Świadomość przegranej wywołała w partji chęć zamknięcia tego okresu walki politycznej. Na tem tle powstaje rozłam w P. P. S. Skutkiem tego, że w Organizacji Bojowej skupiały się żywioły polityczne „opozycyjne", z Organizacją Bojową były związane i spory polityczne. Do rozłamu szła świadomie „lewica", my — mniej. Po rozłamie Organizacja Bojowa musiała dać mnóstwo sił do roboty politycznej, co osłabiło ogromnie samą Organizację Bojową, ale przyczyniło się do uratowania wszystkiego, czem jest prawdziwa P. P. S., do triumfu jej zasad i kierunku.

Od listopada 1906 rozpoczyna się okres taktyki indywidualnej Organizacji Bojowej. Od wystąpień grupowych przechodzi ona do systemu dobierania towarzyszy dla wykonania tego czy innego przedsięwzięcia. Koniec roku 1906 i początek 1907 schodzi na borykaniu się wewnętrznem z niemożliwością utrzymania organizacyj grupowych. Organizacja Bojowa, chcąc urato-

wać ideję trwania kadrów bojowych, przyczem stale się kurcząc, przystępuje do organizowania milicji. Za punkt operacyj obrano na początek Łódź. Może wybór ten nie był odpowiedni, ale próba nie udała się zupełnie. Organizacja milicyjna, nie przeszedłszy koniecznego wykształcenia i wyszkolenia, postanowiła przekształcić się na bojówkę i przejść do akcyj bojowych. W rezultacie: demoralizacja, bandytyzm i inne smutne objawy, które zniewoliły partję do rozwiązania organizacji łódzkiej.

Tymczasem trwała dalej drobna wojna utarczkowa, oswajając ogół ludności z bojem, z używaniem broni. Wobec zmieniających się ustawicznie na naszą niekorzyść warunków, wobec straty sił, pochłanianych przez próby powrotu do dawnego systemu, coraz bardziej zapanowywała taktyka indywidualna. Od końca 1907 do połowy 1908 mamy okres przejściowy, w którym taktyka indywidualna bierze wkońcu górę. W miarę tego, jak rząd stopniowo pozbawiał Organizację Bojową punktów oparcia, taktyka grupowa stawała się zupełnie niemożliwą.

Taktyka indywidualna ogromnie wyrabiała bojowców, robiła z nich artystów, zdolnych do mistrzowskiego wykonywania czynów, które przy taktyce grupowej wymagały daleko większych sił. Uwydatnia się to przy porównaniu akcji rogowskiej z bezdańską, akcyj analogicznych co do celów i zakresu roboty, choć dokonywanych w odmiennych warunkach.

Rogów był robiony przez bojówkę łódzką, która miała do przebycia zaledwie 30 kilka wiorst,

co mogła uskutecznić jednej nocy. A więc warunki koncentracji i odwrotu były ułatwione. Całkiem inaczej było z Bezdanami. Tu koncentracja, jako dokonywana na obcym dla uczestników terenie, musiała być bardzo skomplikowana. Tu nie było naturalnego punktu oparcia (przy Rogowie — Łódź). Cofanie się odbywało i przez wszystkie trzy zabory w warunkach niezmiernie trudnych. I, pomimo to wszystko, akcja bezdańska została przeprowadzona przez 16 bojowców, gdy pod Rogowem ich było 36. Pod Bezdanami uczestnicy akcji musieli ujawnić olbrzymią sumę sprytu, orjentacji i panowania nad sobą. Obecnie Organizacja Bojowa znalazła się w warunkach, uniemożliwiających taktykę grupową, i musi stosować taktykę indywidualną.

Charakterystyczną cechą całej historji Organizacji Bojowej jest to, że jej przełomowe momenty wiążą się ze specjalną kwestją organizacyjną. Sprawa niepodległości albo podległości organizacjom lokalnym jest tą kwestją, która decyduje o dalszym kierunku rozwoju Organizacji Bojowej. Na Radzie czerwcowej (w 1905 roku) ona to stanowiła o jej upadku czy powolnym zaniku. W roku 1906 ona to stanowiła o wystąpieniu Organizacji Bojowej na szerszą arenę. Należy zastanowić się, dlaczego ta właśnie kwestja była najpoważniejszą kwestją w życiu bojówki? U wszystkich grup walczących góruje jedna ogólna zasada: w czasie wojny interesy wojny przeważają nad wszystkiemi innemi, rozstrzygają. Taką jest psychologja walki. Bez niej walka istnieć nie może. Armja, idąca do boju, nie

może uznawać interesów i czynników, zmniejszających interesy boju. Zasada ta jest często nie rozumiana przez ludzi, nie biorących bezpośredniego udziału w boju, którzy pragną rozwiązać kwestję podległości Organizacji Bojowej partji w sposób czysto teoretyczny. Otóż Organizacja Bojowa, uznając potrzebę organizacyjnej i ideowej zależności od partji, zawsze występowała przeciwko mieszaniu się partji do wewnętrznych, technicznych spraw Organizacji Bojowej — mieszaniu się, stojącemu w sprzeczności z interesami wojny jako takiej.

Fatalnem dla Organizacji Bojowej było to, że wystąpiła ona w społeczeństwie, najzupełniej nieprzygotowanem do tych wielkich zadań, jakie wysuwały się na porządek dzienny. Każdy krok Organizacji Bojowej naprzód był skutkiem tego spóźniony i nie odpowiadał rozwojowi nastroju rewolucyjnego społeczeństwa. Nastrój podnosił się, Organizacja Bojowa upadała. Tak było w roku 1905, tak było pod koniec roku 1905, kiedy w całem państwie napięcie rewolucyjne doszło do najwyższego rozwoju (powstanie moskiewskie). Główną tragedję Organizacji Bojowej stanowił jej spóźniony rozwój, tłumaczący się brakiem uprzednich przygotowań i tem, że musiała się rozwijać w atmosferze sporów, walki, niechęci, nienawiści i niezrozumienia. Poszła do boju jako armja, licząca maximum 5 — 5 i pół tysięcy, a więc posiadając siły, które nie mogły marzyć o zwycięstwie nawet nad zdemoralizowanemi siłami rządu. Zrobiła to, na co ją stać było: pozbawiła znaczenia policję, wywalczyła sui gene-

ris konstytucję. Dużo zrobiło się w kraju pod ochroną wystrzałów beckich. Główną zasługą Organizacji Bojowej — uratowanie idei zbrojnego ruchu, która byłaby zabita, zniszczona zupełnie bez walki Organizacji Bojowej. W społeczeństwie zapanowałoby niepodzielnie przekonanie o zupełnej niemożliwości walki zbrojnej, gdyby nie powstała ona nawet w chwili tak odpowiedniej — w chwili zupełnego osłabienia i dezorganizacji caratu. Organizacja Bojowa przygotowała ludność do walk zbrojnych, wszczepiła jej przekonanie o możliwości boju orężnego. Organizacja Bojowa ostrzelała pole, dała liczne przykłady walki zbrojnej, oswoiła z nią ogół. Poza tem w Organizacji Bojowej skupiła się myśl niepodległościowa — i po rozłamie na Organizacji Bojowej oparły się żywioły niepodległościowe.

Główną wadą Organizacji Bojowej było to, że przeważał u niej temperament, niemiarkowany rozsądkiem, że taktyka przeważała w niej nad szerszemi poglądami na sprawę. Najbardziej charakterystycznemi rysami taktyki Organizacji Bojowej w ściśle bojowem znaczeniu są:

1. Wyzyskanie elementu niespodzianki. Przy braku tego elementu akcje bojowe są niemożliwe wobec przewagi wroga. Niespodziewaność jest główną podstawą akcji, jedyną szansą, zapewniającą zwycięstwo. Wszystko, co prowadzi do niespodzianki (sekret, tajemniczość, konspiracja), musi być stosowane. Stąd trudność koncentracji i przygotowań przedwstępnych.

2. Szybkie opanowanie i sterroryzowanie terenu, ponieważ ma się do czynienia z przeważającemi siłami, wrogiem lub obojętnem otoczeniem. Do tego celu służą najskuteczniej materjały wybuchowe, ich huk wywołuje strach i bezwładność elementów wrogich.

3. Brak rezerwy, spowodowany koniecznością konspiracji i trudnością wycofania się. Brak rezerwy wymaga szczegółowego opracowania planu, przewidywania najrozmaitszych drobiazgów, mogących zaszkodzić akcji, ścisłego podziału ról uczestników.

Ta słaba strona akcyj bojowych do pewnego stopnia rekompensuje się sprawnością ludzi, którzy potrafili samodzielnie przystosować się do zmienionych warunków.

4. Brak długich bitw. Akcje trwają krótko. Albo opanowanie, albo porażka i szybkie wycofanie się. Wszelki opór nieprzyjaciela najczęściej niweczy powodzenie akcji.

5. Sprawność ludzi jest gwarancją powodzenia. Akcja na Wspólnej ulicy (1907) jest szczytem sprawności bojowej: w ciągu kilku minut została stoczona bitwa z żołnierzami i funkcjonarjuszami poczty i dokonana konfiskata pieniędzy pod samym cyrkułem w pobliżu wojska, poczem uczestnicy (w tem trzech rannych) wycofali się i znikli bez śladu. Bezdany są też przykładem nadzwyczajnej sprawności.

6. Rola kierowników przy braku rezerwy zmniejsza się. Jest ona widoczna głównie przy koncentracji i cofaniu się. W samej akcji spro-

wadza się do zera, posiada moralne, nie zaś materjalne znaczenie.

7. Cofanie się jest częścią bardzo ważną akcji, wymaga osobnego kunsztu. Cała sztuka polega na możliwie szybkiem rozpłynięciu się w otoczeniu. Wiele akcyj nie mogło być dokonanych jedynie z braku warunków do odwrotu.

Obecny stan Organizacji Bojowej jest taki, że odbudowanie jej na dawnych podstawach jest niemożliwe. Warunki polityczno - konspiracyjne uniemożliwiają roboty grupowe. Organizacja Bojowa w swym stanie obecnym stanowi drobną armję partyjną do natychmiastowego boju. Ale to nie wyczerpuje jej zadań. Syntezą jest natychmiastowość, połączona z przygotowaniem i siebie, i terenu do walk szerszych. W tem tkwi przyszłość Organizacji Bojowej.

II.

NOWA KSIĄŻKA POLSKA Z DZIEDZINY WOJSKOWOŚCI

„Regulamin musztry“.
Opracował K. Burzyński.
Warszawa. Nakładem autora.

(1910)

Dotąd stronnictwo nasze było jedynem w Polsce we wszystkich sprawach, mających styczność z czynną walką z najazdem. W czasie rewolucji było jedynem, wystawiającem siły, na jakie go stać było, do boju z przemocą wroga, po rewolucji zainicjowało kształcenie się wojskowe, jako przygotowanie do nowych bojów w przyszłości. Tem przyjemniej jest powitać wydawnictwo wojskowe, wychodzące poza nami i świadczące o rozszerzeniu się myśli o walce zbrojnej w społeczeństwie. Jako jedno z pierwszych wydawnictw wojskowych, zasługuje, byśmy się mu bacznie przyjrzeli, tem bardziej, że, jak zapowiada autor we wstępie, książeczka odpowiada „szeroko odczuwanej potrzebie".

Książeczka, według słów autora, „oparta jest na *Exercierreglement für Fusstruppen* austrjackim oraz częściowo na regulaminie musztry sokolej i dawnych podręcznikach wojskowych polskich z lat 1830—1863". Jest to nieścisłe, właściwie tytuł powinien być następujący — *Skrócony regulamin musztry piechoty austrjackiej* — albowiem książeczka jest niczem innem, jak spolszczeniem owego regulaminu. Jeżeli pominiemy język techniczny i komendy, wpływ musztry sokolej ograniczy się punktem 53 pierwszego rozdziału — znaną niewinną komendą sokolą „Czapka w lot", nic

z wojną nie mającą do czynienia, reszta zaś jest, jak zaznaczyliśmy, polską kopją austrjackiego regulaminu z pewnemi skrótami.

Nie mamy tu zamiaru rozpatrywać wartości regulaminu austrjackiego, tem bardziej, że pogląd swój o „szeroko odczuwanej potrzebie" regulaminów wypowiemy potem, lecz zastanowimy się nad jedyną oryginalną pracą, którą włożył autor w książeczkę, — nad wartością owych skrótów.

Niektóre z nich są zupełnie racjonalne, jak opuszczenie całych rozdziałów o terminach nauki poborowych, o muzyce wojskowej, chorągwiach, strzałach salutowych i tak dalej. Szkoda, że autor nie skrócił również rozdziału o „oddaniu czci" wraz z „czapkami w lot", zmniejszając w ten sposób formalistyczną część książki.

Mniej natomiast racjonalnemi są inne skrócenia, tem bardziej, że układają się one jakby w pewien system, obniżający, zdaniem naszem, wartość książeczki. I gdybyśmy chcieli być zjadliwymi, tubyśmy szukali wpływu musztry rodzimych sokołów — tej *Parade-Armee* polskiej.

Skróty autora poszły w dwóch kierunkach. Jeden z nich to częste opuszczanie w tłumaczeniu tych ustępów oryginału, które dają opis czy wyjaśnienie boju piechoty, oraz określenie tych zalet psychiki żołnierza, jakie dla tego boju są potrzebne. Głównie ucierpiał na tem rozdział o tyraljerce — tej istocie nowoczesnego boju piechoty. Skróty doprowadziły go do tego rozmiaru, że rozdział „o oddaniu czci" stał się trochę większym od niego, a sama tyraljerka wygląda w książeczce, jak jeszcze jeden pomiędzy innemi rodzaj

zwrotów i szyków wojska. Dlatego też prawdopodobnie opuszczony został w początkach książeczki punkt 68 regulaminu austrjackiego, głoszący: „należy przy nauce możliwie prędko przystąpić do nauczania tyraljerki".

Dla przykładu tego właśnie systemu skracania przytoczę punkt 144 regulaminu austrjackiego o ładowaniu i strzelaniu oraz odpowiedni skrócony punkt pana Burzyńskiego. Regulamin austrjacki mówi: „Żołnierz powinien umieć mechanicznie wypełniać wszystkie ruchy dla ładowania i strzelania we wszystkich położeniach ciała i wśród wszelkich warunków, nawet i w nocy; da mu to możność w boju zwracać swą uwagę na przeciwnika, na komendy i tem wygrać czas dla spokojnego składania się, celowania i spuszczania cyngla". U pana Burzyńskiego punkt ten wygląda inaczej — „żołnierz powinien umieć dobrze strzelać we wszystkich położeniach ciała i wśród wszelkich warunków, nawet i w nocy". Postępując w ten sposób, można byłoby regulamin skrócić jeszcze bardziej — po formalnem wytłumaczeniu szyków i komend dodać jeden jedyny paragraf: „wogóle zaś żołnierz w boju powinien być dobrym żołnierzem" — i basta! Zawarte w tem byłoby wszystko: dobre strzelanie, i umiejętne przystosowanie się do terenu, i odwaga w ataku ostatecznym i tak dalej. Podobnych zmian tłumaczonego regulaminu austrjackiego, zmian, zmniejszających znacznie wartość jego, znajdziemy w omawianej książeczce sporo!

Znaleźć, coprawda, może usprawiedliwienie w niechęci mieszania z regulaminem kwestyj, na-

leżących właściwie do nauki taktyki. Tak właśnie, naprzykład, rozumieli swe zadanie jenerałowie rosyjscy, układający po wojnie nowy regulamin dla piechoty. I oni jednak wobec nadzwyczajnego znaczenia, jakie ma w boju tyraljerka, z rozdziałem tym obeszli się nie tak po macoszemu, jak pan Burzyński. Naszem zaś zdaniem, wobec ogromnego ubóstwa naszej literatury wojskowej, opuszczenia pana Burzyńskiego nie dają się usprawiedliwić, tem bardziej, że w przedmowie autor chce widzieć wyższość swego regulaminu, w porównaniu z niezupełnym Wydziału Bojowego P. P. S. w tem, że opiera go właśnie na austrjackim regulaminie, gdy P. P. S. oparła go na rosyjskim.

To samo da się powiedzieć o opuszczaniu nie zdań lub całych paragrafów, ale nawet słów, jak „możliwie“, „należy się starać“ i tak dalej. Przy opuszczeniu ich forma regulaminu nabiera cech bezwzględnego nakazu, którego wypełnienie przy działaniach w boju, zależnego od okoliczności i warunków, staje się często wprost niemożliwem. Jako przykład, przytoczę punkt 39 na stronie 98 książeczki pana Burzyńskiego. „Zadaniem jego (komendanta) jest tak prowadzić rezerwę, by nie była narażona na ogień nieprzyjacielski lub oskrzydlenia, a jednak w każdej chwili mogła wstąpić do linji bojowej“. Ależ to zadanie poza nadzwyczaj wyjątkowemi wypadkami zupełnie niemożliwe do wykonania! W oryginale odpowiedni punkt 503 jest znacznie ostrożniej zredagowany. Mianowicie *„dass sie (Batalionsreserve) durch das feindliche Feuer tunlichst wenig leidet“* —

„możliwie mało“, nie „wcale nie“ narażona na ogień, jak chce pan Burzyński.

Drugi kierunek zmian i opuszczeń w porównaniu z oryginałem jest jeszcze gorszy i niczem się nie daje usprawiedliwić, stoi bowiem w zupełnej sprzeczności z podstawami i zasadami nowoczesnego boju piechoty. Jest nim usuwanie z regulaminu wielu ustępów — słów i całych punktów — mówiących o samodzielności i inicjatywie, które muszą przenikać całe wojsko od góry do dołu, jeśli się chce zwyciężać. Już w początkach regulaminu, gdy mowa jest o rozkazach i zachowaniu się komendantów (strona 8 — 10 i 11 — 12), tendencja ta jest uwidoczniona. Brak punktu 13 austrjackiego regulaminu, który mówi o możliwości wyznaczenia tylko celów, z pozostawieniem samodzielności i inicjatywie podwładnych wyboru środków, doń prowadzących. Punkty 27 i 28 cesarsko-królewskiego regulaminu, które dla swego znaczenia są drukowane rozstawionemi czcionkami, twierdzą, że komendanci nie powinni się mieszać w sferę działań swych podwładnych i krępować ich drobnostkowemi rozporządzeniami; regulamin słusznie wyjaśnia, że „nie powinni oni zapominać, iż na wojnie będzie to dla nich możliwem tylko w nader rzadkich wypadkach, a wskutek tego w chwilach niebezpieczeństwa mogą stracić panowanie nad wojskiem, jeżeli w czasie pokoju nie przyzwyczają wojska do samodzielności“. Pan Burzyński streszcza te punkty w krótkiem, zmieniającem sens oryginału zdaniu — „komendanci nie powinni się mieszać w osobiste (?) sprawy żołnierzy“, i potem w innych miejscach opuszcza stale powtarza-

jący się refren cesarsko-królewskiego regulaminu, apelujący do samodzielności i inicjatywy żołnierzy i niższych komendantów.

Więcej nawet, — w tyraljerce, gdzie wszystkie regulaminy nowoczesne wymagają zupełnego braku krępowania żołnierza co do jego postawy i żądają od niego samodzielnego wykorzystywania terenu, pan Burzyński w punkcie 59 chce, by tyraljer, przygotowując się do strzału, „zachował możliwie odpowiednią postawę"! Czy nie „zasadną" może?

Brak zaufania do samodzielnych rozporządzeń i rozkazów niższych komendantów u pana Burzyńskiego doprowadzony jest do naczelników kompanij. Nakazuje on mianowicie komendantom bataljonów wskazywać „położenie celownika (wizerka)", nie mogąc tej czynności zaufać ludziom, dowodzącym 200—250 żołnierzami (strona 99, punkt 42) i tylko na średnią lub małą odległość naczelnicy kompanij mają być wolni pod tym względem od opieki swego dowódcy. Jak mało zrozumienia nowoczesnej metody walki zawarto w regulaminie pana Burzyńskiego, sądzić można z przeróbki 501 punktu regulaminu austrjackiego. Brzmi on: „Komendanci kompanij, wyznaczonych do linij bojowych, prowadzą je w myśl otrzymanych rozkazów według własnego uznania, możliwie stosując się do kompanji dyrekcyjnej. Powinni się starać: wyzyskiwać za własną inicjatywą *(initiativ auszunützen)* sprzyjające okoliczności, we wszystkich warunkach wzajemnie się podtrzymywać, mając stale na oku zadanie, postawione bataljonowi"...

Pan Burzyński podaje ten punkt w innej formie. U niego „komendanci wyznaczonych do walki kompanij postępują w myśl otrzymanych rozkazów, możliwie w łączności z całością, stosując się do kompanji dyrekcyjnej. Jednak w pewnych razach mogą działać według własnego planu, gdy nadarza się sposobność jakiegoś korzystnego posunięcia (?). Poszczególne kompanje powinny wzajemnie się wspierać". O stałym obowiązku inicjatywy niema już ani słowa, są „pewne razy", gdy nagle naczelnik kompanji zmienić może plan dowódcy bataljonu dla „korzystnych posunięć".

Opuszczenia i skróty pana Burzyńskiego wyrządziły wielką szkodę cesarsko-królewskiemu regulaminowi. Uczyniły go zbyt suchym i formalistycznym, a w przedstawieniu walki piechoty i nakazach dla niej wypaczyły go, robiąc go w jednych wypadkach zbyt kategorycznym, w innych niesłusznym i wogóle nieodpowiednim do korzystania z tej jego części.

Wdzięcznym natomiast trzeba być za ogrom pracy, włożony w spolszczenie wojskowych komend i terminologji wojennej. Pod tym względem czeka jeszcze każdego, pracującego w tym kierunku, dużo przeszkód i pracy. Niektórych jednak prób nie moglibyśmy nazwać udatnemi. „Znać artykuły wojenne" (strona 14), „frontuje się" (strona 76), „ćwiczy się to samo w linji bojowej" (strona 43), *Tête i Queue* [1]) i niektóre inne.

---

[1]) Pisownia zarówno cesarsko - królewskiego regulaminu, jak i pana Burzyńskiego, u ostatniego, niestety, *Tête* pisze się małą literą, niekiedy wielką.

Wreszcie słów parę co do owej „szeroko odczuwanej potrzeby“ regulaminów, o czem pan Burzyński mówi we wstępie. Regulaminy są istotną potrzebą każdej zorganizowanej siły zbrojnej, a musztra stanowi nieodłączną część wykształcenia wojskowego, od najniższych stopni do najwyższych. Lecz my — a mówiąc my, mówię o wszystkich, przekonanych o konieczności walki zbrojnej, — my zorganizowanej siły zbrojnej nie posiadamy i wielkim błędem politycznym byłoby przypuszczać, że ją wybudujemy w czasach pokoju i zacisza rewolucyjnego, albowiem wtedy brak materjału ludzkiego do takiej budowy. Tylko w warunkach rewolucyjnych, w czasach, gdy dzięki tym czy innym powodom i przyczynom większa masa ludzi walki takiej chce i żąda, tylko wtedy zorganizowana siła zbrojna stać się może faktem. Ale wtedy liczyć się trzeba z tem, iż naturalnymi nauczycielami będą ci, co sługiwali w wojsku rosyjskiem, austrjackiem, w mniejszej liczbie w pruskiem. Dla nich zaś, tych żołnierzy rezerwowych, podoficerów — kwestja regulaminu będzie rozstrzygnięta, wbito go w nich punkt po punkcie i bodaj już pewną trudnością będzie przyzwyczajenie się ich do polskich komend, zamiast obcych — rosyjskiej i niemieckiej. Teraz więc, gdy się ma do czynienia z nielicznemi jeszcze, niestety, grupami ludzi, o tyle wierzących w przyszłą walkę zbrojną, że się do niej osobiście przygotowują, nie sądzimy, by akurat regulamin jakikolwiek musiał być tą najbardziej przez nich odczuwaną potrzebą. Co do regulaminów bowiem rzecz musi być dla nich jasną — trzeba znać zarówno

regulamin rosyjski, jak i austrjacki, trzeba zdawać sobie jasno sprawę z różnic, jakie pomiędzy niemi zachodzą, trzeba wreszcie pomyśleć, czy te różnice nie dałyby się do pewnego stopnia zetrzeć. I ta ostatnia praca — poza spolszczeniem komend — jest bodaj jedyną twórczą, jaką w regulaminy warto wkładać.

III.

REFORMY ARMJI ROSYJSKIEJ

(1910)

Wsio obstoit błagopołuczno! — oto maksyma, którą się rządziła bizantyńsko-chińska biurokracja w państwie rosyjskiem przez cały szereg lat od krachu po kampanji krymskiej do krachu mandżurskiego. Zasada ta, powtarzana zawsze i wszędzie, we wszystkich okolicznościach wpajana swoim i obcym, wywarła wpływ nawet wśród najzajadlejszych wrogów wewnętrznych i zewnętrznych. Nawet bowiem u nich przy najsurowszej krytyce urządzeń carskich gdzieś na dnie duszy tkwiło przekonanie o sile i trwałości znienawidzonej budowy. Była to hipnoza, której ulegli wszyscy, zaczynając od tych, którzy ją wygłaszali i wpajali innym, kończąc, jak wskazaliśmy, na tych nawet, którym uczucia wrogie mogłyby zabarwić ocenę zjawisk kolorem bardziej ciemnym, pesymistycznym.

Zasada ta ostać się nie mogła wobec klęsk mandżurskich, klęsk, których rozmiar i jakość przeszły najśmielsze marzenia wrogów Rosji. Na ciemnem tle klęsk i porażek znaleźć nie można ani jednej, drobnej chociażby, jaśniejszej plamy, mogącej cieszyć wzrok sympatyzującego z Rosją obserwatora, a bezlitosna krytyka woj-

skowa z dokumentami w ręku odbiera wszelkie podstawy usprawiedliwiania się. I broń rosyjska była lepsza, i przewaga liczebna zawsze była po stronie Rosji, i żołnierz był dobrze nakarmiony i odziany, miano na swe usługi i balony, i telefony, i telegrafy — słowem, wszystko, czego świat wojenny potrzebuje, a jednak... w rezultacie na Rosję spadły tylko klęska i pogrom, wstyd i hańba.

Jeżeli idzie o ilustrację tej hańby i klęski, dosyć wspomnieć flotę rosyjską, która, nie zadawszy nieprzyjacielowi żadnej prawie straty, zginęła bez sławy w Porcie Artura i pod Cuszimą, tak, jakgdyby była to flota łódek ludożerców z wysepki podzwrotnikowej, staczająca boje z nowoczesną flotą pancerną państwa kulturalnego. Armja lądowa miała też swą Cuszimę. W bitwie pod Sandepu druga armja rosyjska, złożona z 117 bataljonów, 78 szwadronów i 416 dział, zaatakowała skrajne lewe skrzydło japońskie, złożone z 6 bataljonów, 14 szwadronów i 6 dział. Cały dzień garstka Japończyków powstrzymywała ogromną nawałę wroga, ustępując zaledwie niewielkie części zajmowanego terenu. Po dwóch zaś następnych dniach, gdy Japończycy wprowadzili do boju 30 bataljonów, liczbę cztery razy mniejszą od napastującej, armja rosyjska uznała sprawę za przegraną i cofnęła się ku pierwotnemu stanowisku, straciwszy około 20 tysięcy ludzi. Czyż ten stosunek sił walczących nie przypomina bojów w kolonjach, gdzie dziesiątki Europejczyków biją na głowę tysiące półnagich dzikusów.

Fakty były zbyt jaskrawe, klęska zbyt wstrząsająca, aby w głowach ludzkich mogło się utrzymać przekonanie o wartości tego stanu rzeczy, jaki istniał [1]). I oto w *pendant* do rozrostu krytycyzmu w stosunku do oficjalnej Rosji, rozwija się krytyka, nieraz bardzo ostra i w stosunku do armji. Wielu młodszych oficerów, nie mogąc spokojnie znieść hańby klęsk mandżurskich i korzystając ze swobody krytyki w czasie wiosennych dni Rosji konstytucyjnej, rozpoczęło ostrą, bezwzględną kampanję przeciwko zaśniedziałym, cuchnącym łapówkami, protekcjami i tym podobnym swoiście czynowniczym zarządom armji rosyjskiej. Na razie jednak głos ich ginął w ogólnym zamęcie, jaki opanował państwo cara. Armja, pobita przez Japończyków, zdobywała laury w walce z ruchem rewolucyjnym i prała swą hańbę we krwi własnych poddanych cara. Mowy być nie może o reformach, gdy się toczy wojnę. Wszystko wówczas poświęca się interesom wojny. Tak się też stało i w wojnie z rewolucją, wojnie swoistej, w której bardziej niż w innej dbać trzeba o duch żołnierza.

[1]) Naturalnie, są i ślepi, dla których żaden fakt nie istnieje. Baron Tettau, attaché pruski przy armji rosyjskiej, opowiada, że przed samym końcem wojny był zaproszony na obiad do głównodowodzącego Liniewicza. Przy obiedzie Liniewicz spytał go, które państwo ma najlepszych żołnierzy? Gdy zaś zakłopotany Tettau wykręcał się, szukając grzecznej odpowiedzi, Liniewicz oświadczył, że najlepszym żołnierzem jest żołnierz rosyjski, na dowód zaś przytoczył jakąś anegdotę żołnierską. Było to już po wszystkich Laojanach, Sandepu, Mukdenach! Coprawda, o Liniewiczu w armji rosyjskiej mówiono, że gdzie nie pomaga doktór (Kuropatkin), wzywają znachora.

W tym też kierunku poszły pierwsze reformy po wojnie. Usunięto przedewszystkiem z armji całe mnóstwo oficerów, nieraz zdolnych, lecz zarażonych przez prądy opozycyjne. Odwrotnie zaś, drogę do karjery otwierały wszelkie słowa i czyny, świadczące o bojowym nastroju w stosunku do rewolucji. Najpewniejszą drogą do awansu był zamach istotnych czy rzekomych rewolucjonistów na daną osobę. Drugą reformą było ożywienie wszelkich tradycyj, wiążących armję z domem panującym. Nadawanie różnym książętom tytułu szefów pułkowych, odwiedzanie przez nich armji, uformowanie specjalnych pułków z żołnierzy, ściągniętych z całej armji, a wyznaczonych do pełnienia służby w pałacu carskim i tak dalej. Wreszcie do tegoż rodzaju reform należy i reforma mundurowa kawalerji, tej najbardziej konserwatywnej części armji. Odnawiając tradycje dawnych zwycięskich wojen, przywrócono różnym pułkom huzarów i ułanów, które przy unifikacji kawalerji i uzbrojeniu jej w broń palną otrzymały wszystkie nazwę dragonów, dawną nazwę i dawne błyskotliwe, bajecznie kolorowe mundury[1]).

---

[1]) Niektórzy chcą widzieć w tej reformie kawalerji myśl głębszą, mianowicie powiększenie ilości lekkiej kawalerji (do której zaliczano dawniej huzarów i ułanów) w porównaniu z ciężką (kirasjerów i dragonów). Jest to całkiem mylne: podział ten, znany w armjach zachodnich — szczególniej francuskiej, w Rosji nie istnieje wcale. Huzarzy i ułani, tak samo, jak i dragoni, są jednakowo wyekwipowani, mają jednakowe konie i różnią się tylko mundurem i nazwą. Kozacy — czwarty pułk w każdej dy-

Jednakże obok tych reform, niewinnych pod względem wojennym albo nawet zgoła szkodliwych, przeprowadzono inne. Żołnierzom ulepszono wikt i utrzymanie, postarano się o usunięcie przynajmniej najbardziej znanych złodziei grosza publicznego. Wreszcie, co najważniejsze, ułożono na podstawie doświadczeń wojny nowe regulaminy dla wszystkich rodzajów broni, — regulaminy, bardziej odpowiadające wymogom nowoczesnej wojny, i nie stawiano przeszkód szerokiej dyskusji fachowej w prasie i literaturze książkowej.

Dyskusja wykryła główne rany armji rosyjskiej, przedewszystkiem w jej organizacji i w brakach korpusu oficerskiego, z czem wiązano braki w wykształceniu żołnierza. Obok tego krytyka ostro napadła na dyzlokatę armji, skoncentrowanej w ogromnym stopniu na zachodzie państwa i związanej z systemem fortyfikacyjnym Wisły i Niemna. Krytyka rzadko uderzała w podstawowe braki państwowego i obywatelskiego życia Rosji i wobec tego nie była dostateczna dla wyjaśnienia złego, a że w państwie cara powoli następowało uspokojenie

---

wizji — chociaż można ich nazwać lekką kawalerją, są gorzej wyekwipowani i mają znacznie gorsze konie. Nieudolność zaś tego rodzaju „lekkiej" kawalerji została dostatecznie udowodniona w ostatniej wojnie, gdzie „ciężcy" jakoby dragoni korzystnie się wyróżniali od „lekkich" kozaków. „Ciężka" kawalerja ze specjalnym doborem koni i ludzi istnieje w Rosji jedynie jako przeżytek w *Parade-Armee* — w konnej gwardji.

i zwycięska kontrrewolucja święciła triumfy, więc prawdopodobnie wszystkie reformy i zmiany odłożonoby ad calendas graecas, wciągając się powoli do dawnego *wsio obstoit błagopołuczno!* Lecz przyszło zaostrzenie stosunków europejskich z powodu wypadków na Bałkanach i Rosja zawahała się poprzeć swoją politykę mieczem. Kampanja dyplomatyczna została przegrana i wobec tego przystąpiono do reorganizacji armji i usunięcia największych jej bolączek.

Nie będziemy się tu zatrzymywali na próbach ulepszenia korpusu oficerów i podoficerów, na zmianach w generalicji i odmłodzeniu jej składu. Są to sprawy zbyt specjalne, a zarazem mają wpływ chwilowy, gdyż ulepszenia w tym rodzaju stać się mogą trwałemi jedynie wówczas, gdy istnieje stała praca w pożądanym kierunku, praca, trwająca długi szereg lat. Czy zarząd wojskowy w Rosji potrafi to uczynić, czy znajdzie dostateczną ilość zdolnych wykonawców w państwie, gdzie cały ustrój zabija samodzielność człowieka i jego inicjatywę, są to pytania, na które twierdzącej odpowiedzi dać niesposób. A bez tej ciągłej i stałej pracy, zmieniającej powoli wewnętrzny skład armji i zapewniającej jej stały rozwój, wszystkie reformy tego rodzaju są paljatywami.

Ważniejszemi wobec tego są mechaniczne zmiany ustroju armji rosyjskiej, które zachowują swą wartość ujemną czy dodatnią niezależnie od tego, czy na tę armję złożą się mniej lub bardziej zdolni i wykształceni żołnierze. Do tego

gatunku zmian należą w armji uzbrojenie, organizacja, wreszcie dyzlokata.

W uzbrojeniu zaszły przez ten czas zmiany niewielkie. Zgodnie z doświadczeniem wojny pomnożono liczbę karabinów maszynowych, przyczem kawalerji dano typ lżejszy, bardziej portatywny. Artylerji dodano przedewszystkiem granaty, których brak dotkliwie dawał się odczuć w czasie wojny, i w każdym korpusie wojska wprowadzono jedną baterję ciężkiej artylerji — baterję haubic.

Znacznie większe zmiany zaszły w organizacji armji. Dotychczas armja rosyjska posiadała organizację najbardziej skomplikowaną w Europie; konkurować z nią pod tym względem mogła chyba Anglja ze swą organizacją, przystosowaną do specjalnych potrzeb kolonjalnych, a wynikającą ze swoistego, opartego na najmie kompletowania armji. Była to dotąd budowa, która obok fundamentalnych podstaw posiadała całe mnóstwo dobudówek, porobionych w różnym czasie, dla różnych celów, mało z całością związanych i wogóle czyniących wrażenie dziwacznej, a skomplikowanej pstrokacizny.

Przedewszystkiem w dotychczasowej armji carskiej raził brak współżycia w czasie pokoju różnych rodzajów broni. Każdy z nich, mając w górze przy dworze głównych dowódców, uniezależniał siebie od innych w stosunku prostym do wpływów i znaczenia swego protektora w Petersburgu. I wtedy, gdy nowoczesny sposób prowadzenia wojny bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, wymaga kooperacji możli-

wie ścisłej, — artylerji, piechoty, kawalerji i inżynierji, w Rosji, zgodnie z czynowniczym charakterem zarządów armji, poszczególne jej części w ciągu pokoju raczej odzwyczajały się od współżycia z innemi rodzajami broni, niż oswajały się ze wspólną pracą bojową, bardziej strzegły swych przywilejów odosobnienia, niż dbały o zespół i harmonję. Tak więc inżynierja wojskowa — saperzy, pontonierzy, telegrafiści — nie stali w żadnym związku z resztą armji, tworząc osobne brygady inżynieryjne, zależne jedynie od zarządu okręgu wojennego i Petersburga, mając sobie tylko teoretycznie wyznaczone korpusy wojska, z któremi ten czy inny bataljon miał iść na wojnę. Kawalerja w pewnej części była zupełnie odosobniona, tworząc własne organizacje korpusów kawalerji i łączyła się z innemi rodzajami broni jedynie w najwyższych jednostkach taktycznych — w korpusach. Z artylerją było to samo, z parkami artylerji i amunicyjnemi — również.

Brak ten zespolenia różnych rodzajów broni był tak silny i tak nie miał znaczenia w życiu armji w czasie pokoju, że ministerjum i sztab główny nie wahały się wcale wysyłać na wojnę korpusów armji, ułożonych w ten sposób, że piechota, artylerja, kawalerja i inżynierja pochodziły z różnych okręgów wojskowych i spotykały się z sobą po raz pierwszy nieledwie na placu boju. Nic dziwnego, że wszyscy rosyjscy krytycy wojskowi, zarówno jak i obcy, przedewszystkiem zwracali uwagę na brak spójności w działaniach różnych rodzajów broni w czasie

wojny. Kuropatkin w swej książce o wojnie japońskiej wskazuje, naprzykład, że niektóre korpusy armji przyszły na plac boju, nie odbywszy ani jednego ćwiczenia wspólnego dla artylerji i piechoty, nie mówiąc już o kawalerji i saperach. W samej zaś organizacji poszczególnych broni panował chaos, trudny do zrozumienia, jeszcze trudniejszy do administrowania i do zarządzania. Zasadą w tym wypadku było imponowanie liczbą — zgodnie z samochwalczem hasłem nacjonalizmu rosyjskiego — *szapkami zakidajem!* To też rozwój armji rosyjskiej szedł, wyprzedzając pod tym względem znacznie armje europejskie, w kierunku wytwarzania coraz to nowych jednostek taktycznych różnego gatunku. A że nie zawsze były odpowiednie pieniądze i odpowiednie siły kierownicze, więc powoli wytworzono nadzwyczajną mieszaninę, wyglądającą jako tako na papierze, lecz bardzo mało zdatną do porządnego działania. W piechocie jednostki taktyczne składały się z jednego, dwóch, trzech lub czterech bataljonów. Bataljony niekiedy z pięciu kompanij, obok normalnych czterech. Brygady artylerji miewały niekiedy 6, niekiedy 8, a nawet 9 bateryj bez względu na ilość piechoty, z którą miały pracować w boju. Saperzy tworzyli jednostki taktyczne — brygady, skazane zawczasu — na wypadek wojny — na zagładę.

I oto papierowe stworzenia — czynownicy — powoli wytworzyły papierową organizację armji, niesłychanie liczebnej, lecz niezdatnej do użytku w tej formie, jaką wytworzono. Na dowód dosyć przytoczyć parę faktów z ubiegłej wojny,

świadczących o zupełnej nieżyciowości organizacji armji rosyjskiej.

Natychmiast po wybuchu wojny postanowiono dwubataljonowe pułki strzeleckie w Syberji przetworzyć w trzybataljonowe i brygady strzeleckie, składające się z 8 bataljonów, w dywizje 12-bataljonowe. W tym celu z całej armji za pomocą losowania wybrano po jednej kompanji z każdej brygady piechoty, potem po pół kompanji z każdej dywizji — złączono to wszystko w bataljony i wysłano do będących już na placu boju pułków strzeleckich w Syberji; niektóre z nich trafiły do swych pułków prawie w przeddzień bitwy przy rzece Jalu. Dla zmobilizowania korpusów sybirskich, oprócz rezerwistów z samej Syberji, wyznaczono po kilkunastu ludzi z każdej kompanji armji europejskiej. Następnie, osłabione w ten sposób korpusy europejskie mobilizowano, pociągając rezerwistów miejscowych i łącząc, jak to wspomnieliśmy wyżej, piechotę z artylerją i kawalerją, pochodzącą z innych okręgów wojskowych. Piechota, naprzykład, była z Petersburga, artylerja z Wilna lub Warszawy, kawalerja z tego czy innego okręgu kozackiego. Bodaj, że jedynie X i XVII korpusy miały na wojnie ten sam skład, co i w czasie pokoju, zawdzięczając to okoliczności, iż niektóre części ich były wyprawione do Mandżurji jeszcze przed wojną.

Hipnoza liczbowa była jednak przytem tak wielka, że postanowiono w Europie utrzymywac wciąż tę samą ilość jednostek taktycznych, tak samo upajać siebie i straszyć innych olbrzymią armją,

sławnem *szapkami zakidajem!* Zgodnie więc z tym zamiarem wzamian korpusów, wyprawianych na plac boju, rozwijano brygady rezerwowe w korpusy i stawiano je w miastach, gdzie garnizonowały tamte. Liczba korpusów, dywizyj, szwadronów, bateryj i bataljonów nie malała. Prawdopodobnie ministerjum wojny i sztab były zachwycone — drżyjcie wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni! Walczymy z wrogiem hen, gdzieś na dalekim wschodzie, wysyłamy tam półmiljonową armję, a gotowi jesteśmy walczyć, choćby zaraz, z każdym innym!

Niedługo jednak trwał zachwyt. Przedewszystkiem zabrakło artylerji — broni najdroższej, wymagającej najbardziej wyćwiczonej obsługi. Pomimo, że wyciągnięto wszystkie stare graty, jakie pozostawały po dawnem uzbrojeniu, zabrakło i tych, zabrakło oficerów i już prawie na początku wojny ograniczono się imponowaniem jedynie piechotą. Naturalnie, pomijam wyciągnięte w sekrecie, w sekrecie bodaj nawet przed sojuszniczką — Francją, armaty forteczne Warszawy, Modlina, Kowna wraz z olbrzymiemi zapasami nabojów, złożonemi w tych fortecach. Wkrótce potem jednak zabrakło i najtańszego materjału wojennego — piechoty. Nie żołnierzy, bo tych w istocie Rosja ma dosyć dla swej olbrzymiej armji na papierze — lecz oficerów, podoficerów i administracji. Nie chcąc doprowadzać do zupełnej dezorganizacji i ruiny wojska, zostającego jeszcze w Europie, musiano skwitować z dumnego planu niezmiejszania ilości jednostek bojowych na Zachodzie pomimo

wojny na Wschodzie. Ostatnie więc korpusy, wyprawiane do Mandżurji, nie otrzymały w Europie zastępstwa. I nie dziwota — przecie w Królestwie, tem oczku we łbie wojennym caratu, liczba żołnierzy w kompanji zmalała do połowy, a chorążowie rezerwy, którzy zdążyli szczęśliwie zapomnieć, że mieli coś wspólnego z wojskiem, bywali nieraz jedynymi oficerami, a więc i komendantami całych dwóch kompanij.

Papierowa organizacja armji nie wytrzymała próby wojennej. Wszelkie jednostki, zorganizowane w czasie pokoju, okazały się niezdatnemi dla wojny, musiano bowiem na poczekaniu improwizować nowe. Zdawało się to rzeczą łatwą, gdyż w czasie pokoju zajmowano się stale improwizacją. Z resztek materjału wojennego, obrzynków, wytwarzano jednostki, dla których obmyślano te czy inne, sensowne czy bezsensowne, wyjaśnienia i cele, w rodzaju ruchomej obrony fortec, tworzenia rezerwowej armji, osłony tej czy innej połaci kraju i tak dalej. I w czasie wojny więc krajano, łatano, dokrawano i doszywano, nim się przekonano, że praca łatacza zawsze się rozpełza nieledwie na drugi dzień po włożeniu ubrania.

Obecna reforma organizacji wojskowej stara się zapobiec temu na przyszłość, wprowadzając bardziej jednolite i uporządkowane stosunki w armji. Przedewszystkiem pożegnano się z systemem obrzynków, systemem dodatków do zasadniczej budowy. Armja dzieli się na korpusy, więc wszystkie jednostki bojowe muszą być w organizację korpusową włączone. Upraszcza

to ogromnie administrację, ułatwia przejście od stanu pokojowego do wojennego, wreszcie uniemożliwia wyodrębnianie się różnych drobnych i większych cząstek armji w osobną niezależną całość. W tym celu skasowano dużą ilość jednostek pozakorpusowych, jak brygady rezerwowe, pułki i bataljony piechoty fortecznej, zwiększono natomiast liczbę dywizyj polowych, z których sformowano nowe korpusy. Liczba papierowa bataljonów, coprawda, zmniejszyła się, lecz to, co jest, jest bardziej zdatnem do wojny, jako organizacja stała, niezmienna dla czasów pokoju, zarówno jak dla wojny.

Przy tej reformie nie szczędzono nawet wojsk uprzywilejowanych, jak gwardji, grenadjerów, brygad strzeleckich w Europie. Tak 3-cią dywizję gwardji (w Warszawie) odłączono do XIX korpusu, 3-cią grenadjerską do XXV, brygady strzeleckie w Królestwie do XXIII. Liczba dywizyj linjowej piechoty z (papierowej) 80, na jaką liczono armję rosyjską na wypadek wojny, spadła do 52, liczba zaś korpusów wzrosła z 31 (1 gwardji, 1 grenadjerów, 22 europejskie, 2 kaukaskie, 2 turkiestańskie i 3 sybirskie) do 37 (1 gwardji, 1 grenadjerów, 25 europejskich, 3 kaukaskie, 2 turkiestańskie, 5 sybirskich).

Równie bezlitośnie zerwano z tradycyjnem odosobnieniem poszczególnych rodzajów broni. Saperom odebrano ich specjalnie pokojową organizację — brygady saperskie — i rozrzucono je bataljonami do poszczególnych korpusów. Kawalerję przydzielono do korpusów, nie wyłączając brygady warszawskiej, parki artyleryj-

skie straciły swą samodzielność i zostały oddane odpowiednim brygadom artylerji, te ostatnie oddano pod komendę naczelników dywizyjnych piechoty. Nawet bataljony taborowe, parki oblężnicze, kompanje balonowe, kompanje dla telegrafu bez drutu włączono do korpusów już nierównomiernie, ale zależnie od miejsca kwaterunku. Obecnie zaś poza artylerją forteczną, związaną ściśle z działami fortec, strażą pograniczną, oddziałami konwojowemi i żandarmerją niema jednostek taktycznych wojska, niewłączonych do ramek ogólnej organizacji korpusowej.

Nieco gorzej przedstawia się w nowej organizacji jednolitość jej wewnątrz korpusów. Pozostawiono przedewszystkiem różnicę w organizacji pułków piechoty i pułków strzeleckich, pomimo, że różnica w treści wojennej jest w Rosji pod tym względem zupełnie nominalna — bataljon strzelecki niczem co do wyekwipowania, uzbrojenia i tak dalej nie różni się od bataljonu zwykłej piechoty. A jednak pułki piechoty liczą 4 bataljony, strzeleckie w Syberji 3, w Europie, na Kaukazie i w Azji środkowej 2. Jedne są złączone w dywizje, drugie w brygady.

Kawalerja nierównomiernie została rozrzucona do korpusów. I jeżeli da się wytłumaczyć, że korpusy nadgraniczne posiadają większą ilość tej broni w porównaniu z korpusami w głębi kraju, to jednak usunięcie zupełne kawalerji z organizacji niektórych z nich przeczy zasadzie stałego współżycia i współćwiczeń wszystkich broni. Bez kawalerji mimo to pozostały korpusy I (Petersburg), IV (Mińsk Litewski), XVII (Moskwa),

XVIII (Petersburg), XXI (Kijów), XXV (Moskwa), IV Sybirski (Władywostok) i V Sybirski (Chabarowsk).

Artylerja natomiast została, że się tak wyrażę, zniwelowana. Każda piesza dywizja ma na swe usługi brygadę artylerji, złożoną z dwóch dywizjonów, każda brygada strzelecka jeden dywizjon. Obok tego każdy korpus posiada jeden dywizjon haubic. Jedyną dysproporcją jest przydzielenie do 5 korpusów dodatkowo jeszcze dywizjonów ciężkiej oblężniczej artylerji (XIX — Warszawa, XX — Ryga, XVII — Moskwa, XIII — Smoleńsk i XXI — Kijów).

Wreszcie wojska pomocnicze, jak bataljony taborowe i pontonjerów, oddziały balonowe i dla telegrafu bez drutu, parki oblężnicze i tak dalej, przyczepiono poprostu do korpusów, zależnie od punktu garnizonowego, jedynie dla zasady, aby całe wojsko było włączone do korpusów. Trudno bowiem było przypuścić, by, naprzykład, XII korpus w Winnicy, mający w swym składzie 2 bataljony taborowe i kompanję balonową, miał pod tym względem większe potrzeby na wojnie, niż sąsiedni XI korpus (Równe), który nie ma ani taborów, ani balonów; albo też, by III korpus wileński miał koniecznie przechodzić większe rzeki (posiada czwarty bataljon pontonowy) i musiał korzystać z wynalazku Marconiego (ma drugą kompanję „iskrową“), a jego sąsiad — IV korpus miński — tego wszystkiego nie potrzebował, natomiast woził ze sobą zwiększone tabory (ma trzeci bataljon taborowy).

Pomimo tych usterek trzeba przyznać, że nowa organizacja armji rosyjskiej zwiększy znacznie jej gotowość do boju. Usunęła ona różne przeżytki i balasty organizacyjne, stworzyła zaś ramy, zespalające różne rodzaje broni w jedną całość i ułatwiające przejście tak trudnego okresu, jakim jest dla wszystkich armij wogóle, dla rosyjskiej zaś w szczególności, okres mobilizacji i przetworzenia stanu pokojowego na stan wojenny.

W tym samym kierunku idą i reformy armji pod względem jej dyzlokacji. Wobec tego, że w tym wypadku są one ściśle związane z naszą ojczyzną i z urządzeniem się najazdu u nas, poświęcimy temu specjalny artykuł.

IV.

BUNT WIĘZIENNY W IRKUCKU

Ze wspomnień

(1911)

Niewielka grupka wygnańców, złożona z dwudziestu kilku ludzi, za którymi w końcu września 1887 roku zamknęła się brama więzienia irkuckiego, nie cieszyła się dobrą opinją u władzy. *Buntujuszczaja partija* — tak mówiono o niej z powodu ogona protokółów, który wlókł się za nami w nudnej, trzymiesięcznej podróży po etapach sybirskich. Protokóły były skutkiem różnych starć z oficerami — komendantami etapów i władzą więzienną w paru miejscach. Jeden z oficerów, gdzieś w gubernji jenisiejskiej, po awanturze z nami napisał na nas *donos*, żeśmy wyłamali w etapie dach w celu ucieczki, co było wierutnem kłamstwem. Wyższa władza, przestraszona tą rzekomą próbą ucieczki oraz oburzona na naszą bezczelność w stosunku do owego oficera, dała depeszę do wszystkich oficerów, z którymi w drodze mieliśmy się spotkać, depeszę, nakazującą w obejściu z nami być „grzecznym, ale srogim", a w razie jakiegokolwiek oporu zakuwać nas wszystkich w łańcuchy ręczne i nożne. Ten dziwaczny okólnik stawiał prawie każdego oficera, napotkanego w drodze, na stopie wojennej względem nas — oto główny powód proto-

kółów o różnych zajściach pomiędzy nami a oficerami etapowymi.

Muszę się jednak przyznać, że w wielu wypadkach my sami byliśmy winni przy tem lub owem zajściu. Wymagaliśmy nieraz od oficerów lub władzy więziennej rzeczy nielegalnych, takich, które stoją w sprzeczności wyraźnej z ustawą więzienną. Wymagania nasze, przed któremi niejeden z oficerów ustępował dobrowolnie, bez żadnego nacisku, wywoływały nieraz awantury, gdy się miało do czynienia z oficerem, który za nić przewodnią w stosunku z nami obrał sobie nie pierwszą, lecz drugą połowę nakazu wyższej władzy i postanowił być nie tyle „grzecznym", co „srogim". Wszystkie jednak awantury kończyły się zwykle protokółem, spisanym z powodu zajścia w asystencji władz miejscowych.

Tak dowlekliśmy się wreszcie do Irkucka, skąd połowa naszej grupy miała się rozjechać, a raczej być rozwiezioną pojedyńczo do pobliższych punktów, wyznaczonych im jako miejsce wygnania. Reszta musiała czekać na ustalenie się drogi zimowej na rzece Lenie, po której droga prowadzi w dalsze, północne strony Syberji. Ja należałem do tej reszty, byłem bowiem naznaczony przez gubernatora irkuckiego do Kireńska, miasteczka powiatowego, leżącego o 1000 wiorst od Irkucka na północ.

Po tygodniu niewoli irkuckiej zostało nas trzynastu, przeznaczonych na Lenę. Czekać mieliśmy dosyć długo, bo droga w południowej części Leny ustanawia się na stałe dopiero w listopadzie i władza chciała doczekać następnych

transportów wygnańców, by eksportować na Lenę odrazu większą ilość ludzi. W oczekiwaniu wyjazdu rozgościliśmy się w więzieniu. Ośmiu z nas mieszkało w „sekretnym korytarzu“ — w sześciu celach. Reszta — pięciu, i ja pomiędzy nimi — w osobnej, dużej celi na parterze więzienia. Cela ta była naszym klubem i jadalnym pokojem, konstytucja bowiem więzienna pozwalała nam na włóczęgę po więzieniu w przeciągu dnia całego bez przeszkody. Zamykano nas w celach tylko na noc — od szóstej wieczorem do szóstej rano.

Oprócz nas — trzynastu mężczyzn, w skrzydle więziennem, przeznaczonem dla kobiet, były trzy towarzyszki, mające również w przyszłości jechać z nami na Lenę. Miały one w swem rozporządzeniu aż sześć cel w „sekretnym“ korytarzu oddziału kobiecego.

Czas spływał na rozhoworach o przeszłości, o warunkach wygnania, na szachach, czytaniu książek. Od czasu do czasu wpadało do więzienia wyższe jakie *naczalstwo* — pułkownik żandarmerji, prokurator, policmajster, nawet sam jenerał-gubernator Wschodniej Syberji, hrabia Ignatjew. Każda nieledwie z tych wizyt była dla nas przykrością, każdy bowiem z tych panów uważał nasze położenie za zbyt dobre i zwracał uwagę dyrektorowi więzienia — poczciwemu, lecz słabemu człowiekowi — na konieczność rygoru więziennego. Nie brakło też i pretensyj z naszej strony.

Tak więc prokurator oberwał od nas za zatrzymywanie naszych listów przez czas dłuższy. Spo-

strzegliśmy, że listy od naszych krewnych i bliźnich, listy, których z takiem upragnieniem oczekiwał każdy z nas, leżały u pana prokuratora tygodniami całemi, dopóki wreszcie raczono je przejrzeć i odesłać do więzienia. Oburzeni posłaliśmy wszyscy jednobrzmiące, nieco obraźliwe komunikaty swoje do prokuratora, zwracając mu uwagę na niestosowność takiego postępowania. Prokurator okropnie się obraził na nas i zaczął nastawać, by zmniejszono nasze przywileje więzienne.

Zdarzył się jednak wkrótce wypadek, który przyśpieszył katastrofę, wiszącą i tak nad głową „buntowników". Jeden z naszych kolegów, niejaki Cejtlin, miał jako narzeczonę jedną z towarzyszek. Pozwolono im widywać się codzień w kancelarji więziennej w przeciągu godziny. Otóż razu pewnego, w czasie takiego widzenia, wszedł do biura więziennego pan policmajster. Kolega Cejtlin nie zauważył go i nie powitał go ani ukłonem, ani słowem. Policmajster wpadł na niego, wymyślając mu po grubjańsku. Kolega Cejtlin nie został mu dłużnym w odpowiedziach. Policmajster rozwścieklony kazał go wsadzić na trzy dni do karceru, lecz nim wyrok został wykonany Cejtlin wyskoczył z biura i wpadł do naszej celi, opowiadając nam o tem, co zaszło.

W jednej chwili byliśmy już zebrani w naszej celi i postanowiliśmy nie pozwolić na wykonanie wyroku. Wnet przyszedł pomocnik zawiadowcy więzienia, wołając Cejtlina do karceru. Oświadczyliśmy, że nic z tego nie będzie, że nie pozwolimy na tę krzywdę. Pomocnik zawiadow-

cy odszedł, po chwili jednak wrócił w asystencji oficera, dowodzącego strażą wojskową w więzieniu, i piętnastu żołnierzami. Raz jeszcze zaproponowano nam wydać Cejtlina władzy więziennej i po odmowie przypuszczono szturm do nas. Oficer, dowodzący żołnierzami, widocznie jakiś porządny człowiek, nie pozwolił tym razem na użycie zwykłej w takich wypadkach broni — okutej żelazem kolby karabinowej — i raz po raz krzyczał:

— Ostrożnie, chłopcy, karabinami nie ruszać, brać rękami!

Po chwili, jak oficer, tak pomocnik zawiadowcy, którym najwidoczniej się chciało uniknąć grubszej awantury, zaprzestali ataku i jeszcze raz spisano wobec nas protokół o niegrzecznem naszem zachowaniu się. Po spisaniu protokółu oficer ukłonił się nam i wyszedł razem z żołnierzami z celi. Usunął się też i pomocnik zawiadowcy.

Dzień ten skończył się bez żadnych przygód. Widocznie i policmajster nie odważał się robić większej awantury bez wyraźnego pozwolenia na to wyższej władzy. Prawdopodobnie więc tego wieczoru udał się po pełnomocnictwa i wskazówki do Ignatjewa.

Nazajutrz rano — było to 20 października starego stylu — według zwyczaju otworzono nam drzwi we wszystkich celach, przez nas zajmowanych. O tej rannej porze spaliśmy wszyscy, z wyjątkiem jednego tylko kolegi w naszej dużej celi, Daniłowa, człowieka starszego od nas, młokosów, który zwykł był wstawać o szóstej rano. Nie minęło jednak godziny, gdy przyszedł

od policmajstra rozkaz zastosowania względem nas całej surowości ustawy więziennej, która wymaga, by więźniowie cały czas byli zamknięci w celach i wypuszczani jedynie na określony, zwykle półgodzinny, spacer.

Zgodnie z rozkazem policmajstra, dozorca więzienny zamknął wszystkie cele w korytarzu „sekretnym". W naszej jednak dużej celi przeszkodził mu w tem kolega Daniłow, któremu zresztą dozorca nie stawiał oporu, bo sam nie rozumiał powodu tej nagłej zmiany i przypuszczał, że zaszła jakaś omyłka. Wszystko było w porządku, nim nareszcie nie obudzili się koledzy w „sekretnym" korytarzu, o których my w dużej celi nie wiedzieliśmy. Krzyki kolegów z „sekretnego" korytarza wywołały nas na podwórze.

— Zamknięto nas! — krzyczeli nam przez okno — wołamy na dozorcę, by otworzył, nie chce!

Zaczęła się narada. Ogólne mniemanie było takie, że prawdopodobnie w ten sposób chciano nas rozdzielić, by łatwiej można było wykonać wyrok karceru na Cejtlinie.

Teraz, gdy sobie uprzytamniam ową chwilę, gdy doświadczenie i wiek wytworzyły w mych żyłach sporą dozę chłodnej krwi, rozumiem, że przedewszystkiem należało porozumieć się z zawiadowcą więzienia, z którym paktowanie było możliwe i prawdopodobnie doprowadziłoby do jakiegoś kompromisu. Lecz wówczas nie chcieliśmy rozumować. Rozzuchwaleni tylu utarczkami z władzą, postanowiliśmy wyłamać drzwi w ce-

lach naszych kolegów i oswobodzić ich z zamknięcia siłą.

Uzbrojeni w drągi i pałki, wpadliśmy na korytarz „sekretny". Dozorca z pałaszem i rewolwerem flegmatycznie przechadzał się po korytarzu, paląc fajkę.

— Otwórz! — zawołaliśmy na niego, — bo będziemy łamać drzwi!

— Kazano — odparł — zamknąłem. A mnie co, drzwi — rzecz skarbowa, nie moja. Łamcie, sami za to odpowiecie.

I najspokojniej w świecie kontynuował przechadzkę po korytarzu, uśmiechając się ironicznie na naszą pracę koło pierwszych z brzegu drzwi „sekretnych". Jednak praca nasza trwała dosyć krótko. Zamek, wiszący u drzwi i utrzymujący żelazną sztabę, stanowiący główną zaporę, nie wytrzymał nacisku pięciu par silnych rąk, pękł i drzwi się otworzyły. Następne cztery cele zostały w jednej chwili otwarte tym samym sposobem. Zatrzymaliśmy się dopiero przy szóstej celi, która miała zamek wewnętrzny — wszystkie nasze usiłowania były nadaremne: drzwi nie poddawały się naszemu naciskowi.

Otoczyliśmy znowu dozorcę, wymagając, by drzwi otworzył. Wahał się, lecz, gdy zagroziliśmy mu, że przemocą odbierzemy od niego klucze, ustąpił i ostatnie drzwi nie zostały uszkodzone. Zabawny był to widok! Przedstawiciel władzy, dozorca z fajką w gębie, oglądał zakłopotany niezwykłe spustoszenie: wygięte sztaby, złamane zamki. My staliśmy spoceni, triumfujący, rozradowani i rozśmieszeni zarazem tak łatwem i tak

oryginalnem zwycięstwem. Wreszcie nie było tu co robić, wyszliśmy na podwórze w podskokach, gwarni i weseli.

Dzień cały minął i nikt nas nie zaczepił. Zdawaćby się mogło, że o nas zapomniano. Władza więzienna do nas się nie zgłaszała wcale, a gdy przyszła szósta godzina wieczorem, nikt nas do cel nie zapędzał. Zostawiono nas w spokoju. To nas zastanowiło — czy nie jest to cisza przed burzą? Zebraliśmy się wszyscy w naszej dużej celi — w naszym klubie — na naradę. Ogólne zdanie było takie, że władza będzie zmuszona coś przedsięwziąć, że zaś nic dobrego wróżyć nie można było z dotychczasowej bezczynności władzy więziennej, postanowiliśmy na wszelki wypadek nie rozchodzić się do cel i czekać tu w kupie dalszego losu. Gdyśmy obradowali, usłyszeliśmy za sobą trzask zamykanych drzwi: któryś z dozorców podkradł się i zamknął nas w klubie.

Niepokój nasz zaczął wzrastać. Przez zakratowane okno nic nie było widać. Słyszeliśmy tylko jakieś szybkie, lecz ciężkie kroki na podwórzu. Po pewnym czasie do uszu naszych doleciał krzyk niewieści. Poznaliśmy głos jednej z naszych towarzyszek. Co ona krzyczała, o czem zawiadamiała nas, nie mogliśmy zrozumieć. Widocznem jednak było, że nasze koleżanki gdzieś były przenoszone, gdyż krzyk i odgłos kroków wskazywał na kierunek ruchu — od skrzydła kobiecego do bramy więziennej.

Rzuciliśmy się wszyscy do drzwi, chcąc je wyłamać, lecz usłyszeliśmy liczne kroki, zbliżające

się do naszej celi. Drzwi z trzaskiem się otworzyły. Na progu błysły bagnety i lufy karabinów. Na środek pokoju pędem wpadło z dziesięciu żołnierzy z nastawionemi w naszym kierunku bagnetami. Za nimi wszedł policmajster w otoczeniu oficera, dowodzącego żołnierzami, i władzy więziennej.

— Panowie, — zwrócił się do nas policmajster — musicie państwo być przeniesieni do innej części więzienia; ta cela nam jest potrzebna.

— Zgoda! — odpowiedział na to nasz starosta, wybierany zwykle w partjach wygnańców dla prowadzenia wspólnej gospodarki i pertraktacyj z władzami, — zgoda! Nam jest wszystko jedno, tu czy gdzieindziej. Żądamy tylko, by pan nam przyrzekł, że nasze warunki życiowe nie będą pogorszone, że będziemy korzystali z tych samych swobód, jakieśmy mieli dotąd.

— Nie mogę wchodzić w żadne umowy z panami, — odparł policmajster, podnosząc głos, — jesteście więźniami, my jesteśmy władzą. Waszą rzeczą jest słuchać i być posłusznym rozkazom władzy.

Rozpoczęła się krótka kłótnia. Żądaliśmy stanowczo określenia warunków naszej przyszłej niewoli. Policmajster widocznie się wściekał.

— Nie chcecie panowie mnie słuchać, — zawołał — posłuchacie czego innego. Panie poruczniku, — zwrócił się do oficera — rób pan, co panu kazano!

Porucznik wyjął pałasz i huknął na żołnierzy:

— *Biej ich, riebiata! cztob dołgo pomnili!*

Żołnierze, jak wściekłe wilki, rzucili się ku nam z podniesionemi karabinami. Byliśmy skupieni w kącie między piecem i ścianą, ja stałem w pierwszych szeregach. Podniosłem oczy, nade mną była kolba karabinowa. Odsunąłem ją ręką, kolbaześlizgnęła się po czole, lecz w tej chwili otrzymałem kolejne uderzenie kolbą po drugiej stronie głowy, potem drugie, trzecie... Krew zalała mi oczy, zachwiałem się na nogach, w głowie mi się zakręciło... Upadłem. W chwili, gdym się przewracał, żołnierze odskoczyli od nas — był to efekt rzuconej z tylnych naszych szeregów poduszki, która upadła tuż przy mnie. Po chwili zemdlałem, słysząc jeszcze narazie jakiś jęk, nie wiem już, czy z moich, czy innego kolegi ust wydarty.

Co dalej było, nie widziałem. Jak mi opowiadał potem jeden z kolegów, z pomiędzy nas trzynastu trzech tylko pozostało na nogach do końca, reszta pomdlała pod uderzeniami kolb żołdackich. Wyciągano nas pokolei z celi na podwórze. Co do mnie, ocknąłem się w objęciach dwóch żołnierzy, którzy już na podwórzu próbowali stawić mię na nogi. Przyszedłem do przytomności, lecz niebardzo rozumiałem, co wokoło mnie się dzieje. Instynktownym ruchem wyrwałem się z rąk żołnierzy i pobiegłem przed siebie. Wpadłem pod bramę więzienną, gdzie ujrzałem cały szereg żołnierzy z karabinami w ręku. Podoficer, który stał przed szeregiem, otworzył ramiona i chwycił mnie. Nogi pode mną się uginały i osunąłem się na ręce tęgiego chłopa, który mnie złapał. W tej chwili dopadł do mnie jeden z żołnie-

rzy, od których przed chwilą się wyrwałem, i uderzył mię kolbą w twarz. Krew z nosa i ust buchnęła mi na twarz i odzienie. Oburzyło to widocznie podoficera.

— *Durak!* — usłyszałem nad sobą — nie widzisz, że chłopiec na nogach nie stoi?!

Żołnierz widocznie się zażenował. Szorstkim rękawem *szynelu* starał się otrzeć mi twarz, naturalnie, rozmazując krew jeszcze bardziej. Wreszcie na rozkaz podoficera wziął mię pod ramię i poprowadził za innymi. Prowadzono nas na kobiecy oddział, skąd świeżo wywieziono nasze koleżanki. W głowie mi huczało, szedłem krokiem niepewnym, napół omdlały; dusiła mię bezsilna złość, a gorycz grubjańsko zdeptanej godności osobistej dławiła mi gardło. Słyszałem wokoło brutalne słowa żołdaków, podpędzających mych kolegów, słyszałem głuche dźwięki uderzeń. Mój żołnierz po naganie podoficera zachowywał się grzecznie. Silnem ramieniem podtrzymywał moje niepewne kroki i raz po raz powtarzał:

— *Nu, warnaczok*[1]) *idź! Wisz! Nie buntuj! Osłab, biednyj!*

Wepchnięto mnie wreszcie do celi, gdzie już zastałem kolegę, leżącego na podłodze. Drzwi za mną zamknęły się natychmiast. Byłem ostatnim, wprowadzonym do kobiecego oddziału, i zaraz po zamknięciu drzwi zaległa w naszym korytarzu cisza. Kroki oddalających się żołnierzy milkły w podwórzu.

---

[1]) Ludność sybirska dla zesłańców wszelkiej kategorji ma nazwę pogardliwą *warnak*. Natomiast przybysze zowią Sybiraków — *czałdonami*.

W celi było ciemno, słyszałem tylko ciężki oddech leżącego na podłodze kolegi.

— Który to z was? — zapytałem.

— Ach! To wy, pan, — z jękiem odpowiedział mi kolega, który mię poznał po głosie i tytułował zwykłem dla Polaków przezwiskiem „pan“. — Jeden z tych djabłów na pożegnanie poczęstował mię w bok kolbą, ledwie dyszę. A z wami co? Widziałem, że upadliście przy początku awantury.

— Gnatów mi nie połamali — mówiłem, — ale okrwawili, jak nieboskie stworzenie; dotąd mi z gęby krew cieknie. Musimy ładnie wyglądać! Cholera! — zacząłem już łajać po polsku — żebyć to choć siekiera lub bodaj porządna pałka w garści była. A to poduszka!

Po chwili przyszedł drżący, jak liść osinowy, zawiadowca i doktór. Przyszli obejrzeć, czy niema poważniejszych uszkodzeń, wymagających opatrunku.

— Co panu? — zawołał doktór, świecąc mi latarką w oczy. — Pan cały we krwi!

— Idźcie do djabła! — zawołał nagle kolega, wyprostowując się groźnie — a był to potężny mężczyzna — jeszcze patrzeć przyszli, czy dobrze swe barbarzyństwo wykonali!

— Precz, precz! — zawołałem i ja, zaciskając kułaki.

Doktór wyszedł, słyszeliśmy, że obchodził resztę kolegów, — dochodziły nas podniesione, zirytowane ich głosy. I znowu cisza. A nagle krzyk:

— Panowie! Czy wszyscy są tutaj?! — rozległo się z którejś celi.

Obliczyliśmy, że wszystkie sześć cel są zajęte, lecz jest nas tylko dziesięciu — trzech brakowało. Nie było Daniłowa, nie było Cejtlina i jeszcze jednego. Gdzie oni być mogą? Może ich zatłukli, może wsadzono ich zbitych do karceru. Minęła noc na naradach, co wobec tego robić wypada. Postanowiliśmy ogłosić bunt głodowy, dopóki nam nie przyprowadzą kolegów.

Gdy nazajutrz rano przyniesiono nam rzeczy z dawnych cel, gdy nas wypuszczono na korytarz i mogliśmy się obejrzeć wzajemnie, spostrzegliśmy, jak strasznie byliśmy zmaltretowani. Okrwawieni, opuchnięci, potłuczeni, z palącemi się od gorączki oczami wyglądaliśmy, jak świeżo przytransportowani z placu boju żołnierze. Wszyscy drżeliśmy z oburzenia i zaciskaliśmy zęby z wściekłości, co nas dusiła, lecz nadewszystkiem górowała kwestja, gdzie są ci, których pomiędzy nami nie było?

Zażądaliśmy zaraz papieru i atramentu. Napisaliśmy do władzy komunikat, ogłaszający, że od dzisiaj rozpoczynamy się głodzić i nie będziemy przyjmowali pokarmu dopóty, dopóki nam nie przyprowadzą naszych kolegów lub nie przyniosą własnoręcznie przez nich napisanych listów do nas. Pomocnik zawiadowcy biegał od jednego do drugiego, upraszając nas, byśmy tego nie robili. Mówił nam, że owych trzech kolegów zaprowadzili do cyrkułów policyjnych, że im się nic złego nie stało, — byliśmy niewzruszeni.

Pamiętnem mi jest to głodzenie się. Pierwszego dnia kurczyło w żołądku okropnie i głód pod wieczór doskwierał nieznośnie. Nazajutrz jednak i trzeciego dnia żołądek przypominał o swych

prawach jedynie w porach, gdy przy normalnym biegu rzeczy otrzymywał należną mu daninę. Zresztą opanowała mię na trzeci dzień słabość i pewne znieczulenie, byłem ciągle drzemiącym. Pod wieczór tego trzeciego dnia przyprowadzono nam dwóch kolegów, którzy zarazem przynieśli nam wiadomość, że trzeciego, mianowicie Daniłowa, widzieli na własne oczy i że wywieziono go na miejsce wygnania. Ogłosiliśmy więc, że przestajemy głodzić się, i poczciwy zawiadowca wbrew ustawie więziennej pozwolił nam po szóstej wieczorem zgotować sobie obiad i herbatę. A nazajutrz, gdyśmy już wpadli w doskonały humor i z apetytem zajadali obiad, przyniesiono nam papier od pana prokuratora, który nam groził sztucznem karmieniem, gdybyśmy się ośmielili nadal wyrażać swój protest głodzeniem się.

Tak się zakończył nasz bunt irkucki. Po tym buncie mieliśmy święte życie. Żadne *naczalstwo* nam nie dokuczało — bało się zaglądać na nasze podwórko. Natomiast mieliśmy swobodę zupełną na naszem terytorjum, w dawnem kobiecem skrzydle więzienia. Nie zamykano nas nawet na noc. A gdy przyszły świeże partje wygnańców, pomieszczono je w dawnych naszych kwaterach — rozbitych przez nas celach „sekretnych". Lecz nie przeszkadzano nam odgrywać rolę gościnnych gospodarzy i zapraszać nowych kolegów na obiady i kolacje „buntowników".

Swoją drogą, za awanturę 20 października pociągnięto nas do odpowiedzialności sądowej. Prokurator oskarżał nas nie mniej nie więcej, jak o „zbrojny opór władzy więziennej" — to jest

o przestępstwo, za które prawo wysyła ludzi na katorgę.

Nie wiem, jak prokurator udowadniał na sądzie „zbrojność“ naszego oporu, bośmy wszyscy stanowczo odmówili udziału w komedji sądowej i zrzekli się wszelkiej obrony. Sąd jednak nie zgodził się z żądaniem prokuratora i zastosował do nas możliwie łagodną karę: skazał wszystkich na pół roku, a mnie i dwóch jeszcze kolegów, jako niepełnoletnich, na trzy miesiące więzienia. Prokurator, niezadowolony z wyroku, apelował do senatu.

W tydzień po sądzie — 1 grudnia — wyruszyliśmy na Lenę i dopiero w rok potem otrzymałem wyrok senatu, który w swej łaskawości podwoił nam karę, skazując mnie na półroczne więzienie. Odbyłem je w Kireńsku, na miejscu mego wygnania .

Ten bunt irkucki, o którym teraz wspominam, jako o drobnostce, długo był mi pamiętnym. Przez pewien czas nie mogłem obojętnie patrzeć na żołnierza, na mundur, — czułem, że mi się pięści zaciskają, a nieraz, gdym zamykał oczy, widziałem przed sobą pełen grozy obraz dzikiego ataku uzbrojonego tłumu żołdaków na bezbronną garstkę ludzi, skupioną w kąciku.

V.

KRYZYSY BOJÓW

(1911)

Zwycięstwo w boju doby dzisiejszej jest wynikiem wielkich wysiłków, trwających bardzo długo, wysiłków, w czasie których waha się szala powodzenia. Po długiem zmaganiu się następuje wreszcie w boju kryzys, po którym jedna strona ulega drugiej. Jest to ów kryzysowy moment ulegania, przyznawania się do słabości, uznania przewagi zwycięzcy nad sobą, moment, który można też obserwować choćby w walce, prowadzonej przez atletów. W boju doby dzisiejszej, trwającym długo, psychiczne objawy kryzysu posiadają wielkie, ogromne znaczenie.

W starożytności walczono w ten sposób, że plemiona wyrzynały się wzajemnie. Walka wówczas nie trwała długo, kryzys przechodził szybko. Im dalej od tych czasów do nowoczesnego sposobu boju, tem czas wahania się zwycięstwa przedłuża się oraz wzmaga się znaczenie elementu psychicznego. Broń palna oddaliła ludzi od siebie, bój, kończący się powaleniem przeciwnika, przedłużyła. Za czasów napoleońskich już boje trwają dobę, w ciągu dnia sprawa się rozstrzyga. Dziś trwa bój tygodniami. Gdybyśmy z zwierzeń starożytnych wieków zaczerpnąć chcieli przenośni do określenia tej niepewności wyników dzisiejszego boju, powiedzielibyśmy, że Zeus, który dzierży szale powodzenia

w swych rękach, obecnie długo waży i znacznie subtelniejszych używa wymiarów... Francuzi bardzo trafnie nazwali pierwszy okres walki bojem zużywania — *combat d'usure.*

Bo też, jak w żarnach, przemiela się siła człowieka, siła ludzkiego charakteru. Bój w pierwszym okresie nawet prowadzony jest w tym celu, by przeciwnika doprowadzić do kryzysu w stanie zupełnego zwiotczenia. Bojem nerwów nazywa to zmaganie się współczesny pisarz wojskowy. W kryzysach więc boju zwycięstwo dokonywa się w tajnikach duszy ludzkiej. Szala zwycięstwa rozstrzyga się w sercu, woli, charakterze i w umiejętności trwania u człowieka. W kryzysie technika ustępuje miejsca charakterowi.

O ile bowiem chodzi o techniczną stronę dzisiejszego boju i jego rezultaty w stratach, ponoszonych przez strony walczące, okazuje się, że wojny dzisiejsze są mniej krwawe od dawniejszych. Napoleon płacił za swe zwycięstwa ofiarami 40 — 50 procent swych ludzi. Dziś pada 20 — 30 procent ludzi. Dziś zdarzają się zjawiska, że mordercze narzędzia zdolne są jeszcze do długiej służby, zaś ludzie się zużywają, ustępują.

Kilka przykładów, z ostatnich wojen zaczerpniętych, zilustruje należycie nastrój dzisiejszych bojów.

Weźmy, naprzykład, epizod jeden z walki o oswobodzenie Ladysmithu, w czasie wojny angielsko - burskiej.

Burowie zajęli pod Ladysmith korzystne pozycje, umożliwiające im odparcie usiłowań odsieczy oblężonej twierdzy.

Mimo to generał angielski Buller dokonuje szeregu prób odsieczy.

Jednym z końcowych epizodów takiej próby była bitwa o górę Spionskopp. Buller Burów przełamać nie może. Cztery dni zużywania się sił ludzkich. I oto generał Buller decyduje nocny atak na Spionskopp. Rusza półtrzecia bataljonu do ataku i spycha z pozycji Burów. Trzykrotne hurra! zwiastuje w dole stojącej armji angielskiej zwycięstwo.

U Burów ogromne przygnębienie, wszyscy pewni klęski. Lecz znalazł się człowiek, był nim generał burski Botha, który, korzystając z błędów angielskich, zwołał kilkuset ludzi i z artylerją rzucił się do kontrataku. Rozpoczęła się walka, trwająca cały dzień. Zwycięstwo wahało się. Upał, pragnienie, niemożność wyniesienia trupów i rannych, niewygodne pozycje zużywały siłę i wolę stron obu.

Zapada noc. Komendant Anglików, pułkownik Thornecroft, nakazuje odwrót. Zabrakło mu siły wytrwania.

Burowie też opuszczają swe stanowisko. Górę walki opuściły obie strony, że zaś zwycięstwo zostało po stronie Burów, znowuż to zasługa generała Bothy, który, prosząc i nalegając, zdołał zebrać 40 ludzi i zająć na nowo opuszczoną pozycję. Po stronie Burów znalazł się człowiek, którego siły nie zwiotczały, który wytrwał, — i zwyciężyli.

A materjalne straty? Bez porównania mniejsze, niż w dawnych czasach: 30% zabitych i rannych, $^{2}/_{3}$ wojska zostało nietknięte. Po boju przegranym zostały dwie trzecie „rycerzy żywych".

Przykład inny z wojny rosyjsko - japońskiej. Pod Liaolianem siedm dni walczono i oto po siedmiu dniach na jednej górze (Mandżujama) zogniskowały się nadzieje obu walczących armij. Góra owa zajęta była przez XV brygadę japońską generała Okasaki. Atakowali pozycję owej brygady Rosjanie w liczbie 60 bataljonów przez 48 godzin. Japończycy bronili pozycyj wśród trupów poległych towarzyszy, przy huku 152 armat, grających im marsz pogrzebowy. Szturmy rosyjskie szły jeden po drugim. Brygada wytrwała.

Można krytykować te czy inne zarządzenia wodzów rosyjskich, nie zmniejsza to wyjątkowości wypadku, że 6 bataljonów przez 48 godzin wytrwało na stanowisku i odparło pięciokrotny szturm 60 bataljonów przeciwnika. Gdy brygada owa wyszła z okopów, ludzie podobni byli do cieni. Musiano wyznaczyć osobne kompanje wojska, które im jeść gotowały, bo do tego już nie byli zdolni ci, co przeszli kryzys boju.

Straty i w tym wypadku, w porównaniu do przejść moralnych, nieznaczne, — obejmowały około $^1/_3$.

Też same momenty kryzysu przechodzi w boju każda jednostka, każdy człowiek. Z relacyj pamiętnikarskich pewnego kapitana rosyjskiego zaczerpnąć można przykład takiego jednostkowego przeżycia kryzysu boju.

Kapitan ów otrzymał rozkaz zajęcia ze swą kompanją pewnej pozycji. Po jej zajęciu zasypał kompanję grad pocisków. Sytuacja stała się groźną, rozpaczliwą. Nie mogąc powziąć samodzielnej decyzji, kapitan ów, chcąc zmiejszyć odpo-

wiedzialność, postanawia posłać gońca do komendanta z zapytaniem, co ma począć.

Lecz wobec rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazła jego kompanja, wobec czyhającej zewsząd śmierci i przerażenia, nie miał on serca wydać wprost rozkazu któremuś z żołnierzy, by poszedł. Wzywa więc żołnierzy na ochotnika. Milczenie w szeregach odpowiedziało na wezwanie kapitana. Żołnierze stoją drżący, bladzi, nieporuszenie. Kapitan więc poczyna prosić, błagać wreszcie, by ktoś pójść z raportem odważył się, gdyż jemu, jako komendantowi, pod najsurowszą odpowiedzialnością opuszczać swego stanowiska nie wolno. Po długich błaganiach wreszcie zgłasza się ochotnik. Kapitan opowiada, że mimo grozy sytuacji śmiać mu się chciało na widok owego bohatera. Ochotnik drżał na całem ciele, był jakby bliski zemdlenia. A jednak on przeszedł wysiłek woli, wyszedł z kryzysu zwycięsko.

Od ciężkich chwil kryzysów nie są też wolni wodzowie. Ciężkie chwile przeżywał Kuropatkin pod Liaolianem. Początkowo wszystko składało się dlań na zwycięstwo, aż oto jedna wieść tragiczniejsza od drugiej poczęły się ścigać. Najpewniejsze korpusy zawodzą.

Kuropatkin waży losy boju. Dni siedm strasznej walki nań działało. Uznać się za pobitego czy nie? I rozstrzygnął na przegraną.

Oto jeszcze dla kontrastu zachowanie się generała Kurokiego w bitwie nad Sza-he. Kuroki zewsząd otoczony. Dowozy żywności, owa arterja, utrzymująca życie armji, przecięta. Kuroki trwa

i wysyła. jak sokoły, części swej armji na wroga atakującego.

Poszła już gwardja i została odparta. Tenże los spotkał oddział generała Mazumagi. W ręku Kurokiego została ostatnia stawka — brygada generała Okasaki, — „brygada orłów“, — która potem zadecydowała zwycięstwo japońskie pod Liaolianem. Kuroki wreszcie tę ostatnią brygadę pchnął w bój. Ciężka chwila niepewności. Brygada staje. Okasaki nie może iść naprzód. Nie. On czeka, aż pod jego ogniem stopi się hart wroga. Czyha na chwilę słabości. Wybrał ją — brygada się zrywa i zwycięża.

VI.

ZARYS HISTORJI MILITARNEJ POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Wykłady wygłoszone w Szkole Nauk Społeczno-Politycznych w Krakowie

(1912)

WYKŁAD PIERWSZY

13 lutego 1912

Wykłady swoje muszę poprzedzić paroma uwagami.

Pierwsza będzie się tyczyła treści. Zatytułowane one zostały *Historją militarną powstań polskich.* Jest to przedmiot tak obszerny, że objąć go nie byłbym w stanie. To z konieczności zmusiło mnie ograniczyć wykłady do pewnej tylko epoki. Wybrałem rok 1863. Zatrzymałem się na nim, gdyż zbliża się jego pięćdziesięciolecie i chciałbym przyczynić się do uczczenia tej rocznicy. Prócz tego do wszystkich innych powstań mamy wiele prac cennych, które ujmują stronę militarną w sposób wyczerpujący, podczas gdy tu pracy takiej właściwie niema. Przedmiot zatem nęcił mnie i chciałem w ten sposób zapełnić lukę, jaka istnieje w historji tego powstania.

Po tym roku bowiem panował pogląd, którego dewizą stały się słowa Aleksandra II: „Żadnych marzeń!". Pod sugestją tego poglądu rozwijało się po powstaniu społeczeństwo polskie. W myśl tego hasła wszystko, co było związane z walką zbrojną, zostało przez społeczeństwo odrzucone.

Skutkiem tego stosunku i w historji 1863 roku strona militarna w zupełności jest zaniechana.

Kiedy zastanawiałem się nad ogromem pracy, przyszedłem do przekonania, że ujęcie w całości dziejów powstania styczniowego ze strony militarnej jest rzeczą niemożliwą ze względu na czas i na pewne braki w źródłach, o których będę jeszcze mówił. Wobec tego zatrzymałem się na przedstawieniu ewolucji wojennej, jaka zaznaczyła się u bojowników 1863 roku, oraz na jej rozwoju pod wpływem tych czy innych okoliczności. Krytykę swoją chcę mieć możliwie objektywną, staram się stanąć w położeniu tych, którzy wtedy działali. Nie spotkacie się u mnie z napaściami czy z krytyką postanowień co do powstania. Biorę je jako fakt. Wszyscy ci, którzyby oczekiwali innego ujęcia, zawiodą się zatem.

Druga uwaga tyczy się źródeł, któremi rozporządzamy dla danego przedmiotu. Każda historja opierać się musi na źródłach i krytyka ich stanowi podstawę opracowania historycznego. Niestety, dla tej strony, która ma stanowić przedmiot moich wykładów, źródeł jest nadzwyczaj mało. Każdy, pracujący nad historją 1863 roku wogóle, musi narzekać na dotkliwy brak materjałów, a specjalnie dla strony militarnej jest on przerażający. Zwykłych, bezpośrednich źródeł brak prawie zupełnie. Są to zawsze rozkazy, raporty, słowem, cała kancelarja wojenna. Te źródła właściwie nie istnieją dla polskiej strony z powodów zrozumiałych, dla rosyjskiej zaś są zamknięte dla każdego badacza nieurzędowego. Zatem przedstawienie ich czy krytyka jest niemożliwa.

Przechodząc do tych źródeł, jakie mamy w ręku, dzielę je na rosyjskie i polskie. Skutkiem specjalnych cech tej wojny rosyjskie władze i drobni naczelnicy fałszowali historję w straszny sposób. Opisywali bitwy, których nie było, czasem napaści na zupełnie bezbronnych ludzi przedstawiali, jako walki ze zbrojnemi bandami, ukrywali swoje straty, przeceniając straty nieprzyjaciela.

Ze źródeł tych wymienię dzieła: 1) Sergjusza Gesketa, będące najprzyzwoitszem opracowaniem początków powstania, oraz — 2) Mikołaja Berga i Mikołaja Pawliszczewa. Te dwa ostatnie, które również weszły jako podstawa dla ujmowania historji 1863 roku przez wielu polskich pisarzy, opierają się przeważnie na zeznaniach zdrajców, złożonych w komisjach śledczych. Zdumiewać się trzeba, jak można ze strony polskiej korzystać z takich źródeł; tłumaczy to tylko ogólny ich brak.

Berg opiera się na zeznaniach 1) Oskara Awejdy i 2) Karola Majewskiego. Obaj ci panowie najbezczelniej sypali. A na tomach ich zeznań opiera się również i jeden z polskich historyków, mianowicie Przyborowski. Wiemy dobrze, że nawet ludzie, którzy sypią, w swoich zeznaniach kłamią. I czyż na kłamstwach można opierać swe sądy?

Jeżeli przejdę do materjałów polskich, to przedewszystkiem należy stwierdzić, że one strony militarnej prawie nie ujmują. Z opracowań wymienię historję Bolesława Limanowskiego, która, choć stronie militarnej mało poświęca uwagi,

jest ważna dla ogólnej znajomości tej epoki, oraz dzieło Walerego Przyborowskiego, które znacznie więcej stroną militarną się zajmuje. Ponieważ to ostatnie jest najszerszą pracą, poświęconą dziejom tego powstania, stanowi konieczne oparcie, z którem każdy musi mieć do czynienia. Ma ono wszakże dwie wady: opiera się na zeznaniach zdrajców i z tych bierze podstawę do ujmowania najróżniejszych zjawisk. Co się tyczy strony militarnej, to Przyborowski opracował ją przeważnie na podstawie prac rosyjskich oraz pamiętników polskich. Drugą ogromną wadą tej pracy jest polityczna jej strona, która stawia rok 1863 w stan oskarżenia przed społeczeństwem polskiem. Jest to odbicie tej opinji publicznej, która ten rok starała się wymazać z pamięci i serc polskich. Dlatego wiele jego twierdzeń, opisów i sądów należy przyjmować z wielkim krytycyzmem. Trzecia wada polega na tem, że autor tej książki, mając szczęście służyć w powstaniu pod dowództwem Langiewicza, ze specjalnem zamiłowaniem traktuje tego wodza, zupełnie niesprawiedliwie sądząc o działaniu innych ludzi, aby tem piękniej przedstawić swego ulubieńca.

Osobną kategorją źródeł są bardzo liczne pamiętniki. Ale odznaczają się one z jednej strony bardzo często wielką chełpliwością i przesadą, tak, że mimowoli wywołuje to pewien niesmak; z drugiej strony bardzo często ulegają opinji, tak, jakby pisane były nie dla prawdy historycznej, lecz dla usprawiedliwienia błędów i grzechów młodości. Wobec tego również wiele z tych

pamiętników traktować należy z dużą ostrożnością.

Wreszcie jeszcze jednem źródłem, specjalnie ważnem dla mnie, jest doświadczenie niedawno ubiegłego okresu rewolucyjnego. Gdybym tej rewolucji nie przeżył, nie miałbym klucza do bardzo wielu zagadnień z 1863 roku. Ponieważ wszelkie rewolucje są do siebie podobne, kto rewolucji nie przeżył, ten rewolucjonistów nie jest w stanie należycie ocenić. Kiedy brałem różne książki o 1863 roku przed rewolucją, bardzo wiele rzeczy było dla mnie niezrozumiałych; nie mogłem sobie wyobrazić, jak takie czy inne fakty dziać się mogły. I w tem należy szukać przyczyn, dlaczego krytycy nieraz stronniczo rozumieją różne zjawiska tej epoki: gdyż sądzą oni o czasach rewolucyjnych z punktu widzenia czasów pokojowych, z drugiej strony sądzą wojnę nieregularną z punktu widzenia armij regularnych.

Jako trzeci punkt podkreślić należy dane, tyczące się geografji historycznej i statystyki. Przedewszystkiem ważny jest podział kraju ze strony wroga i ze strony rewolucji. Rewolucja dzieliła Królestwo na województwa; było ich ośm. Cztery z nich najzupełniej odpowiadały podziałowi na gubernje. Województwo: 1) sandomierskie — gubernji radomskiej, 2) lubelskie — gubernji lubelskiej, 3) podlaskie — gubernji siedleckiej, 4) mazowieckie — prawie zupełnie odpowiada gubernji warszawskiej. Inne cztery województwa niezupełnie temu podziałowi odpowiadają. Znika gubernja łomżyńska i piotrkow-

ska; 5) województwo krakowskie — odpowiada gubernji kieleckiej i południowej części piotrkowskiej; 6) do kaliskiego włączona była gubernja kaliska i pozostałe części piotrkowskiej. Z województw północnych: 7) augustowskie obejmowało późniejszą gubernję suwalską i część łomżyńskiej, zaś 8) płockie — drugą część łomżyńskiej oraz gubernję płocką.

Ludność Królestwa wynosiła wtedy 4 i pół miljona, zatem na tej samej przestrzeni było jej ponad dwa razy mniej, niż obecnie. Warszawa liczyła 170 tysięcy mieszkańców, zatem tyle, co dziś wielki Kraków.

Typ ludności był nieco odmienny, niż teraz. Przeważała ludność rolnicza, typ życia mieszkańców był także rolniczy. Fabryczny przemysł znajdował się zaledwie w początkach rozwoju; przeważały cukrownie, zakłady żelazne, w niektórych miejscowościach tkactwo. Warszawa była wówczas największem centrum przemysłowem.

Ważną jest również we wszystkich wojnach sieć komunikacyjna. Była ona niepodobna do dzisiejszej. Koleje znajdowały się w początkowym rozwoju i nie odgrywały wybitniejszej roli. Istniały wtedy trzy linje następujące: warszawsko-wiedeńska, warszawsko-bydgoska i warszawsko-petersburska. W tym wypadku szosy mają tem większe znaczenie. Zbiegają się one do Warszawy. Główne: na lewym brzegu Wisły krakowska przez Radom i Kielce i dwie szosy w stronę Berlina; na prawym — lubelska na Garwolin, petersburska przez województwo płoc-

kie i augustowskie, wreszcie szosa do Brześcia. Poza tem należy brać pod uwagę drobniejszą sieć gościńców, rozchodzących się z głównych miast w Królestwie: z Lublina, Radomia, Kalisza, Płocka i tak dalej. Wzdłuż nich biegły wszędzie linje telegraficzne.

Trochę historji.

Przed powstaniem, w czasie krymskiej kampanji 1855 roku, zaszedł ważny wypadek: śmierć Mikołaja I. Syn jego, Aleksander II, w początkach panowania odznaczał się tak zwanym liberalizmem i zaczął wprowadzać duże reformy. Wywołało to w Rosji ogromny ruch liberalny i rewolucyjny. Był on na tyle silny, że wdzierał się do wszelkich zakamarków urzędowego życia państwa rosyjskiego. Żadna kancelarja nie była zabezpieczona od pewnych wpływów i udziału liberałów. Zwracam na to uwagę dlatego, że stan ten we wszystkich kombinacjach w 1863 roku odgrywał niesłychanie wielką rolę. Wiara i nadzieja, że rosyjskie sfery urzędowe, a specjalnie wojskowe, mogą wziąć udział w rewolucji nietylko polskiej, ale i rosyjskiej, stanowiły w początku powstania przez dłuższy czas podstawę dla różnych planów militarnych.

Wybuch powstania w Polsce poprzedziło pewne wrzenie w formie patrjotycznych demonstracyj. Rząd ustawicznie chwiał się w swych decyzjach, tak, że sprawiał wrażenie rządu słabego, co wywoływało u ludzi pewność siebie, która nader sprzyjała wytworzeniu się partji ruchu rewolucyjnego. Na czele tej partji stanął tak zwa-

ny Centralny Komitet Narodowy, ostatecznie ukonstytuowany w połowie 1862 roku.

Jak dalece przedtem społeczeństwo nie myślało o zbrojnem powstaniu, można sądzić stąd, że kiedy w marcu 1861 roku z powodu manifestacyj rząd w Warszawie oddał pewne atrybuty władzy tak zwanej delegacji miejskiej, — delegacja ta, wraz ze swymi funkcjonarjuszami, zwanymi konstablami, którymi przeważnie byli akademicy, zajmowała się głównie szukaniem i odbieraniem od ludności broni, jako że to miało być prowokacją rządu. Myśl bojowa zatem w społeczeństwie polskiem wtedy nie istniała. O przygotowywaniu więc militarnem możemy mówić dopiero od połowy 1862 roku, kiedy z pośród „czerwonych" wyłonił się wspomniany Komitet Centralny z siedmiu osób, który wziął na siebie kierownictwo ruchu. W skład Komitetu weszli również oficerowie organizacji rewolucyjnej napoły rosyjskiej i polskiej, która powstawała wśród korpusu oficerskiego w armji. Najwybitniejszymi z pomiędzy nich byli Jarosław Dąbrowski, który zginął w czasie komuny paryskiej, oraz Zygmunt Padlewski, stracony następnie w czasie powstania, — obaj członkowie Komitetu. Byli to jedyni wojskowi z zawodu w Komitecie Centralnym i jedyne prawdziwe autorytety, na których odpowiedzialności spoczywało przygotowanie i plan powstania 1863 roku.

W celu przygotowania sił przystąpiono wówczas do zorganizowania sprzysiężenia. Było ono oparte na systemie dziesiątkowym. Z dziesiątek tworzyły się setki. Na czele organizacji w każ-

dem województwie stali komisarze Centralnego Komitetu.

Spisek ten rozszerzał się bardzo szybko i przed wybuchem powstania, w styczniu 1863 roku, doszedł do rozmiarów, które swemi cyframi wzbudzają podziw dla energji i dla wielkiej konspiracji, jaką włożono do tej pracy. Podawane w tym zakresie cyfry wydają się nieco podejrzane, gdyż pochodzą z zeznań Awejdy. Nieco przed powstaniem jako podstawę obliczenia przyjmowano: w Płockiem — 5000 ludzi, w Lubelskiem — 5000, w Mazowieckiem — 4000, w Podlaskiem — 4000, w Kaliskiem — 2000, w Sandomierskiem — 2000, w Krakowskiem — 1000, w Augustowskiem — 700.

Inny członek ówczesnego Komitetu, Bronisław Szwarce, człowiek, który nie zdradzał, który długie lata spędził w katordze, do tych cyfr wprowadza pewne zmiany bardzo wiarogodne, które odpowiadają zupełnie temu wrażeniu, jakie ja odniosłem przy studjowaniu tego zagadnienia. Ze względów konspiracyjnych nie można było sprawdzać szeregowców, a trzeba było poprzestać na dowództwie, tak, że same „dziesiątki" musiały zostać w wyobraźni. Tak pisze człowiek, który został aresztowany miesiąc przed powstaniem. Dla mnie cyfry powyższe wydają się mocno przesadzone. Rzeczywiście — prawdopodobnie, że te dziesiątki istniały tylko w wyobraźni. Faktem, który utwierdza w tem mniemaniu, jest, że w samej nocy styczniowej liczba powstańców jest znacznie mniejsza, dalej, że

w ciągu całego powstania nigdy nie było więcej na placu boju, jak 30000 ludzi.

Kółka spiskowe, sformowane przed wybuchem powstania, zajmowały się przedewszystkiem rozszerzaniem się, to jest propagandą i dalszem zorganizowaniem spisku. Mnóstwo prac agitacyjnych pochłaniało w ogromnej większości siły tych ludzi.

To również absorbowało czas i kierownictwu organizacyjnemu. Musiało ono być z konieczności zawalone kłopotami organizatorskiemi i wystąpieniami w rodzaju manifestacyj i różnych psikusów, tak, że na przygotowanie wojenne bardzo mało zwracano uwagi. Zaledwie w niektórych miejscowościach uczono się pewnych zacządków musztry, prowadzono pewne przygotowania wojenne.

Drugą rzeczą, konieczną dla powstania, jest broń; — broń, której Królestwo nie miało, albowiem od czasu stanu wojennego w 1861 roku kilka razy je rozbrajano, odbierając od ludności wszelkie uzbrojenie. Broni więc było bardzo mało. Było zatem koniecznością broń tę przygotować. Jakoż Komitet Centralny zaczął o niej myśleć. W tym celu wysłano zagranicę delegatów, którzy mieli czynić zakupy i następnie dostarczyć ją do kraju. W Paryżu jednak aresztowano naszych agentów i nawet papiery, przy nich znalezione, oddano władzom rosyjskim. Stało się to w grudniu 1862 roku, tak, że niemal w przeddzień wybuchu władze rosyjskie były powiadomione o przygotowaniach. Mimo tego kupowano rozmaitą broń — głównie w Leodjum

i w Londynie i układano drogi, któremi miała ona dojść do kraju. Poza tem starano się w samym kraju ściągnąć, jakie się tylko dało, uzbrojenie, lecz rezultaty pod tym względem były bardzo nikłe. Do nocy styczniowej ściągnięto, według współczesnych relacyj, zaledwie 600 strzelb myśliwskich w różnych częściach kraju. Do tego doliczyć trzeba trochę pistoletów oraz rewolwerów i wreszcie pewną ilość broni białej, mianowicie kos.

Tyle zrobiono pod względem uzbrojenia do wybuchu powstania.

Wreszcie zastanówmy się nad naczelnikami, których przygotowywano do objęcia kierowniczych stanowisk powstańczych.

Takim naczelnikiem głównym był Zygmunt Padlewski, oficer względnie wykształcony, odznaczający się jedną cechą, którą wykazał w całej działalności, mianowicie brakiem uporczywości. Człowiek ten zrażał się bardzo szybko i łatwo ulegał wpływom. Drugą indywidualnością, wysuwającą się na czoło wypadków, był Jarosław Dąbrowski, człowiek znacznie energiczniejszy, bardziej śmiały i przedsiębiorczy. Niestety, aresztowany przed powstaniem, siedział w czasie całego powstania w cytadeli.

Poza tem sprowadzono naczelników na prowincję. Wyznaczono ich kilku. Jednym był na województwo sandomierskie Langiewicz, który wyjechał z Warszawy 12 stycznia na teren obcy, z którym nigdy przedtem żadnych stosunków nie miał. Na Podlasie wysłany został Walery Lewandowski, który wyjechał tam w początkach stycznia.

W szczęśliwszem położeniu był dowódca wojenny województwa krakowskiego, Apolinary Kurowski, który był obywatelem miejscowym.

Jeżeli weźmiemy innych dowódców niższych, którzy udawali się na stanowiska, to wszyscy wyjeżdżali dopiero w styczniu. Naprzykład, Antoni Jeziorański wyjechał do rawskiego powiatu 16 stycznia, Józef Oxiński w Kaliskie w tym samym dniu. Jeden Roman Rogiński w Podlaskiem pracował nieco dawniej.

Taki był w najogólniejszych zarysach stan przygotowań ze strony polskiej przed wybuchem powstania.

WYKŁAD DRUGI

14 lutego 1912

Żeby zakończyć z przygotowaniami do powstania, muszę wspomnieć o dwóch instytucjach, które w wielkim stopniu przyczyniły się do lepszego prowadzenia i stanowiły pewną dumę powstania. Pierwsza z nich — to szkoła w Genui, potem w Cuneo, przeniesiona tam z powodu specjalnych warunków politycznych. Założona ona była przez koło emigrantów wojskowych i młodzież z Paryża. Szkoła owa istniała cały rok i została zamknięta przez rząd włoski we wrześniu 1862 roku. Wychowała ona około 200 ludzi, dając im wyszkolenie niższego oficera. Przy braku wykształcenia wojskowego szkoła ta w wielkim stopniu przyczyniła się do polepszenia sytuacji w Polsce. Była ona również pewnem centrum życia wychowawczego pod względem politycznym. To też z tej szkoły wyszło bardzo dużo działaczy powstańczych, z których prawie wszyscy spłacili swój dług krwią własną na polach bitew lub niewolą na Syberji. Bardzo nieliczni ludzie z tej szkoły nie zostali upamiętnieni w historji powstania.

Drugą specjalną zasługą Centralnego Komitetu jest organizacja cywilna późniejszego Rządu Narodowego, wybudowana przezeń przed powsta-

niem. Organizacja ta odznaczała się pewnemi cechami, które bodaj że w żadnym innym kraju w czasach rewolucyjnych spotkać się nie dają. Była to organizacja o tyle sprężysta i silna, sięgająca do najdalszych zakątków, że gdyby szło o wzór dla organizacji rewolucyjnej, to ją można jako taki postawić. Dla celów wojennych ważną była organizacja komunikacji, która, specjalnie opracowana, przez cały czas powstania niesłychane oddawała usługi sprawie wojennej. Cywilna ta organizacja musiała jednak pochłaniać całe mnóstwo sił ludzkich, które trzeba było czerpać z tego samego zapasu spiskowych. Zmniejszało to znacznie materjał ludzki do walki orężnej na polu bitwy na rzecz organizacji cywilnej, która działała w czasie całego powstania.

Oto w ogólnych zarysach stan przygotowań, jakie osiągnęła organizacja ruchu pod przewodem Centralnego Komitetu dla powstania ze strony militarnej. I czas jest, abym dał wam pewną krytykę postępowania ówczesnych działaczy, krytykę — jak powtarzam — możliwie objektywną, wychodzącą z założenia, że staje się w położeniu tych, którzy wówczas pracowali.

Przedewszystkiem zwraca uwagę niedostateczne przygotowanie materjału ludzkiego, którym powstanie rozporządzało. Materjał ten składał się głównie z mieszczuchów, robotników, dość licznej inteligencji, wreszcie z wiejskiego elementu, z oficjalistów prywatnych przy dworach czy zakładach fabrycznych. Główną podstawą było mieszczaństwo, w którem wtedy przeważał element rzemieślniczy. Jeżeli wziąć spiskowych, to głów-

ną ich cyfrę stanowili mieszkańcy miast i miasteczek Królestwa. Element ten cały pod względem wojennym nie był do jakiejkolwiek wojny przygotowany, albowiem wówczas przygotowanie wojenne państw było formowane inaczej, niż obecnie. Armje ówczesne nie tworzyły się na zasadzie powszechnej służby wojskowej, lecz przez rekrutację, przytem rekrut w Królestwie szedł do wojska na dziesięć lat. Jego doświadczenie wojskowe najzupełniej nie dawało się przez społeczeństwo zużytkować. Dlatego też mamy tu do czynienia z elementem, do wojny nieprzygotowanym.

Obok tego dłuższy czas względnego zacisza z jednej strony, z drugiej stałe rozbrajanie Polski sprawiły, że ludność z bronią oswojona nie była. Broń, zwłaszcza dla mieszczaństwa, nawet najprymitywniejsza, jaką była kosa, stanowiła zupełną nowość.

I oto nie spostrzegam w pamiętnikach żadnych działań ze strony głównych kierowników, aby tę ludność do nadchodzącej wojny przygotować. Jeżeli niektórzy wspominają o pewnych próbach musztry, to jednak widocznie było to tak rzadkie, że przeważnie pamiętnikarze opuszczają ten dział roboty. We wspomnieniach wybitnych członków Centralnego Komitetu nie znajdziemy nawet myśli, że należy ludzi do wojny przygotować. Zajęci oni byli pracą koło dalszego zorganizowania spisku, naprawianiem szczerb organizacji, zdarzeniami wewnętrznemi w rodzaju manifestacyj, zajęci byli sprawami cywilnemi, zorganizowaniem konspiracji cywilnej, wreszcie byli pochłonięci wypadkami, idącemi w tak żywem tempie — ale o tych

rzeczach technicznych, związanych z wojną, prawie nie myślano. Powiadam „prawie" jedynie przez sumienność, gdyż bodaj tylko u jednego pamiętnikarza jest o tem wzmianka.

Tem przykrzej mnie to uderza, że, czytając pamiętniki, opisujące powstanie, napotkałem we wspomnieniu Beliny z powiatu łęczyckiego na wiadomość, że gdy w maju czy czerwcu 1863 roku, a więc po rozpoczęciu powstania, przyjechał nowy naczelnik, to pierwszym krokiem jego było założenie szkoły podoficerskiej. Czyż nie czas było te szkoły zakładać poprzednio? Czyż nie należało zawczasu głowy zaprzątać tem, co następnie pod strzałami robić musiano? Jeżeli można było urządzić tak świetnie służbę cywilną, komunikacyjną *et cetera,* to zdawałoby się, tem łatwiejszem jest zwrócenie uwagi na przygotowania, konieczne do wojny.

Niechybnie każda organizacja konspiracyjna, istniejąca i rozwijająca się w warunkach zaboru rosyjskiego, a więc pod stałym naciskiem prześladowczym rządu, przedewszystkiem dbać musi o własne bezpieczeństwo. Zmiana takiej organizacji na jawną nie jest łatwą i wymaga czasu, aby ją przeprowadzić. Ale ten czas potem byłby wygrany, gdyby poprzednio zostały zrobione przygotowania w celu wychowania wojennego ludzi. Obok tego praca nad przygotowaniem wojennem tego elementu niechybnieby się przyczyniła nawet do uzdrowienia stosunków wojskowych. Dałaby pewne zajęcie ludziom, któreby ich powstrzymało czasem od różnych wystąpień, jakie wówczas nieraz miały miejsce. Ludzieby wtedy bar-

dziej się liczyli z trudnościami technicznemi, które mogłyby niechybnie się przyczynić do zmniejszenia lekkomyślności, z jaką wojnę wydano. Powołam się tutaj na opinję człowieka, któremu w tym wypadku najwięcej wierzyć można, na słowa Szwarcego, który nie kłamał dla polityki czy też dlatego, aby przed żandarmami się wykręcić. Otóż twierdzi on, że niemożliwem jest wszechstronne przygotowanie w takich warunkach. Nic dziwnego, że organizacja ta poważnie chromać musiała.

Drugą sprawą nie mniejszej doniosłości jest kwestja uzbrojenia. Znane i słuszne są napaści na brak broni i przygotowania pod tym względem. Lecz spójrzmy, skąd się ją bierze? Kupuje się w Londynie, Paryżu, Belgji i Włoszech, a więc w krajach, nie sąsiadujących z Królestwem, narażając się na najrozmaitsze trudności i przeszkody przy jej przewozie. Na kraje najbliższe nie zwrócono uwagi, a przecież one przedewszystkiem powinny być powołane do tego, aby stać się dostarczycielem broni. Stamtąd nie trzeba było transportować broni przez rozliczne granice. Wynik to bardzo świeżej tradycji świętego przymierza trzech państw zaborczych; wynik to niepewności, jaką spiskowcy odczuwali na gruncie Austrji i Prus; wynik to był wreszcie tego stanu rzeczy, że rewolucja ówczesna miała podstawę w Kongresówce i w emigracji. W Galicji czy w Prusach element polski był znacznie bardziej skrępowany, niż na Zachodzie. Również nieobojętnym był wpływ pewnego sprzymierzenia się naszej irredenty z ruchem wolnościowym w całym świecie, który był

silnym na Zachodzie, a słabym w Niemczech i Austrji.

Obok tego zwrócić musi uwagę centralizowanie dostarczania broni, które znajduje się w rękach jedynie Centralnego Komitetu. Władze lokalne i wojewódzkie od tego są zupełnie usunięte. Zgadza się to z polityką Centralnego Komitetu niedolewania oliwy do ognia. Bardzo możliwe, że daleko posunięta ostrożność kierowała Komitetem, kiedy centralizował dostawę broni. Jednak przyznać trzeba, że ten sposób przy szerokich przygotowaniach musi dać w warunkach konspiracyjnych ujemne rezultaty, przedewszystkiem z powodu znacznego ryzyka, jakie pociąga za sobą każde centralizowanie. Uniknęłoby się może zbytniego narażenia przygotowań na najrozmaitsze nieprzewidziane okoliczności, które doprowadzają do takich katastrof, jak wspomniana z grudnia 1862 roku. Lokalne siły wojewódzkie w swoim zakresie, licząc się z miejscowemi warunkami, mogłyby znacznie lepiej i znacznie pewniej przygotować i zebrać tę broń z najbliższych okolic z Prus i Austrji, choćby ona była mniej liczna. Niektórzy z tych lokalnych przedstawicieli władzy wyłamywali się z pod silnej ręki Centralnego Komitetu, niektórzy dowódcy o tę broń niezależnie podjęli starania, co — jak się okazało — było tylko z korzyścią dla sprawy.

Przypuszczam jednak, że postawić pod tym względem Centralnego Komitetu w stan oskarżenia nie można. Ta jego ostrożna polityka była w istniejących warunkach wskazana. Komitet Centralny, zdaniem mojem, popełnił błąd, że nie

stworzył sobie odpowiednich organizacyj wojennych na prowincji. Wszędzie potworzył tam organizacje cywilne, ale organów wojennych nie miał. Lecz nie dziwię się wcale, że Centralny Komitet wahał się poruczyć broń organizacjom cywilnym.

To samo, co z bronią, było ze wszystkiem absolutnie, co dotyczyło uzbrojenia żołnierza. Nie było przygotowane kompletnie nic. Nie myślano o tem wcale. I jeden z wybitnych mężów tych czasów, Langiewicz, słusznie powiada, po obejrzeniu wyznaczonego mu województwa sandomierskiego, że wydawało mu się, jakoby powstanie miało być kilkugodzinnem polowaniem. Takie były przygotowania.

Podnoszę to jako niezaprzeczoną winę Centralnego Komitetu. Był to brak organizacji wojennej i mężów zaufania w tej dziedzinie — komendantów wojennych na prowincji. Naczelnicy ci wyjechali z Warszawy dopiero w styczniu, na parę tygodni, czasem kilka dni przed wybuchem. Przeważnie nie znają oni terenu. Każdy gubi się na miejscu w miljonie szczegółów; każdy potrzebuje czasu, aby się oswoić z nowem położeniem. Tego czasu mu nie dają. Brak owych naczelników wojennych na miejscu jest jednym z najcięższych grzechów, jakie Komitet Centralny w stosunku do sprawy wojennej popełnił. Gdyby ci naczelnicy byli na miejscu choć parę miesięcy, to niechybnie inne byłyby skutki ich pracy.

Każdy plan, powstały w tej czy innej głowie, wymaga wykonawców. Żaden plan objąć wszystkich szczegółów nie jest w stanie. I te szczegóły,

które decydują o powodzeniu planu, ktoś musi przygotować i opracować. To było obowiązkiem wojewódzkich komendantów. Obowiązkiem ich było obmyślenie na miejscu, jak ten materjał wykorzystać, jak ten czy inny plan Centralnego Komitetu przeprowadzić. Niechybnie ludzie, którzyby nad tem pracowali na miejscu i od dłuższego czasu, bardzo wiele mogliby przygotować pod względem wojennym; prace ich wywołałyby narady i poprawki Centralnego Komitetu, zbliżając plany bardziej do realnych warunków.

Kiedy występuję z tem oskarżeniem, że oni o wojnie zgoła nie myśleli, że, wojnę wypowiadając, do wojny się nie przygotowali, muszę, rozpatrując tę sprawę i znając psychikę rewolucji, powiedzieć sobie, że z wielu win da się ich rozgrzeszyć, jako rewolucjonistów. Potęgę rewolucji przed rewolucją stanowi technika, czy co innego? Nie! siłę rewolucji stanowi to, co się dzieje w głowach ludzkich: wzrost namiętności ludzkich; one stanowią bazę, bez której żadna rewolucja istnieć nie może. W podobnych zjawiskach dziejowych dajcie najwspanialszą technikę, a niech namiętności nie będzie — nie będzie rewolucji; dajcie gorszą technikę, ale przy silnej namiętności — a rewolucja będzie. W tem jest siła, w tem jest podstawa rewolucji. I oto w owym zapale, w chęci budowania siły, kiedy się widzi, że siła namiętności wywołuje przewrót we wszystkiem, co istnieje, nie dziwcie się, że jest chęć wzmocnienia tej podstawy, że tu idą główne wysiłki przewódców.

Zastanowić się warto, kto tą rewolucją kieruje? Student, oficerek, urzędniczek, ludzie normalnie bez wpływu, których głos nic nie znaczy. I oto tych ludzi cały kraj słucha. Ta bajeczna karjera, ten bajeczny rozwój roli, jaką ludzie ci odgrywają, ta bajeczna metamorfoza, która z ludzi, nic nieznaczących, robi potęgę, ta metamorfoza musi zawrócić ludziom głowy. Ludzie w siłę wierzą. Powolne narastanie techniki obok tej żywiołowej namiętności sprawia wrażenie, że tam jest siła, robi wrażenie, że tu głównie na sile namiętności oprzeć się trzeba. Albowiem cechą znamienną wszystkich czasów przedrewolucyjnych jest, że rządy przed rewolucją się cofają. Ludzie to widzą, są przekonani, że dzieje się to pod wpływem tych bajecznych sił.

I oto psychiczne warunki rewolucji wytwarzają daltonizm, dający przesadną wiarę w te siły, jakie mamy. Stąd wynika pewnego rodzaju zaślepienie, które daje jeszcze większe usunięcie na plan drugi tego, co potem będzie potrzebne i niezbędne, gdy bój zawrze. Jeżeli rozważymy warunki, w których jakakolwiek rewolucja zwycięża, to powiedzieć musimy, że żadna zwyciężyćby nie mogła, gdyby na technice oparła swe rachuby.

WYKŁAD TRZECI

15 lutego 1912

W zeszłym wykładzie starałem się wytłumaczyć, dlaczego kierownictwo zamierzonej rewolucji w Królestwie niedostatecznie pomyślało o technicznych przygotowaniach. Starałem się wytłumaczyć, że bazą wojenną każdej rewolucji są namiętności ludzkie. Byłoby błędem ze strony kierownictwa rewolucji, gdyby ono na tę podstawę i na jej opracowanie nie zwróciło uwagi, tem bardziej, że stan podniecenia i zrewolucjonizowania daje widoczny rezultat w okresie przedrewolucyjnym w postaci cofania się rządu. Zwycięstwa już odniesione upoważniają do sądzenia o sile i potędze ruchu. Powstanie 1863 roku pod tym względem było podobne do bardzo wielu rewolucyj, a raczej do wszystkich rewolucyj, jakie kiedykolwiek istniały na świecie. W czasach spokojnych ludzie w rewolucję nie wierzą i dlatego się nie przygotowują. Kiedy zaś przychodzi okres rewolucyjny, czasu już na to niema.

Nie usprawiedliwia zaniedbania tego również fakt, że powstanie miało wybuchnąć później, gdyż Centralny Komitet odkładał je na kilka zaledwie miesięcy. Nie upoważniała więc owa zwłoka do tego niedbalstwa w dziedzinie prac technicznych. Pod tym względem osobiście podzielam zdanie wo-

jennego przedstawiciela obcego państwa, który się zjawił w Polsce w czasie wojny 1863 roku jako obserwator, coś w rodzaju attaché przy wojsku polskiem. Był nim major sztabu generalnego Erlach, Szwajcar, który zostawił książeczkę, opisującą swoje z tego czasu wrażenia. Różne jego bardzo pochlebne zdania cytowane są często w opracowaniach dziejów powstania. Natomiast z wielką siłą przekonania podkreśla on w konkluzji, że powstanie nie było przygotowane, i twierdzi, iż dla Szwajcarji płynie stąd nauka, że im wojna ludowa lepiej i dłużej jest przygotowana, tem pomyślniejszą bywa w skutkach.

Przechodząc teraz do planu Komitetu Centralnego dla powstania, zastanowić się wypada nad pytaniem, co właściwie podlega planowaniu? W wojnach regularnych nie planuje się wojny od początku do końca. Podlega planom zaledwie jej początek: mobilizacja i koncentracja strategiczna. Dalsze sprawy, sam przebieg wojny już planowanym być nie może, gdyż zależy w wielkim stopniu od przeciwnika. Zatem wojna planowana jest tylko dla swego początku. Na dalszy okres istnieją tylko główne myśli wytyczne. Bieg wypadków ginie we mgle niepewności. Tylko sam początek sztaby przed wojną planować są w stanie.

Jeżeli jednak zwrócimy się do warunków rewolucyjnych, tam, gdzie istnieje wrogi rząd, który nad całem terytorjum panuje i na niem gospodaruje, to odrazu spostrzeżemy, że sam plan, jakiby mógł być skonstruowany, podlega zawsze znacznie większym wątpliwościom, niż w armji regularnej. Armja ta ma zawsze znajomość i pewność terenu,

na którym stoi, oraz dokładne wiadomości co do swoich własnych sił i co do swoich pierwszych zamiarów. W rewolucji nawet ta podstawa podlega znakom zapytania.

Już sama mobilizacja, jako podlegająca obserwacji nieprzyjaciela, jako podlegająca działaniu jego złej woli, sama koncentracja staje się niepewną, chwiejną we wszelkich obliczeniach. Dlatego też wszystkie plany rewolucyjne zwykle są dla spokojnego i rozważnego oka szalonemi, zuchwałemi planami, które rozważny umysł uważa za niemożliwe do wykonania.

Rewolucja planować również może tylko swój początek, ten początek, który nazywam bojem wstępnym, jaki trzeba stoczyć, aby mieć możność prowadzenia rewolucji. Planowanie tego boju jest obowiązkiem sztabu rewolucyjnego. Jest on koniecznością psychologiczną, jest to, że tak powiem, wrzód, który pęknąć musi, jest to narastanie psychiczne; konieczność psychiczna, do której zmierza tak jedna, jak i druga strona. Rządy rozumne usiłują sprowokować rewolucję do przedwczesnego wybuchu, kiedy siły rządowe nie są zupełnie zdemoralizowane przez owo żywiołowe przejawienie się ducha rewolucji. Do tego dążą również najczęściej rewolucjoniści pod wpływem parcia z dołu: decyduje dół, który nie rozumuje, nie rachuje, nie myśli.

Rewolucja, która do wybuchu jawnej walki fizycznej nie doszła, nie jest rewolucją. I tu jest wszystko jedno, czy ten wybuch nastąpi w jednem tylko miejscu, jak się to bardzo często zdarzało; czy to będzie walka, toczona w głównem siedlisku

wroga, czy w innem jakiem miejscu; czy też to będzie „rozlana" rewolucja, wybuchająca jawnie w różnych miejscach, jak to bywa zwykle w rewolucjach narodowych; czy daje ona natychmiastowe rezultaty, czy też potem znowu będzie przez długi okres czasu zmagać się z przemocą; jest to wszystko jedno. W każdym razie istnieje konieczność zrobienia wstępnego boju, który musi być rozplanowany.

Bój ten jest zawsze niespodzianką nietylko dla rządu, przeciw któremu wybucha, ale i dla otoczenia, dla wszystkich tych, którzy bezpośrednio w spisku udziału nie biorą. Otóż jest to jednym ze zwykłych błędów, że rewolucjoniści nie liczą się z niespodzianką, jaką wybuch stanowi dla ogółu. Jest to znowu ten daltonizm psychiczny u rewolucjonistów, którzy czasu, koniecznego dla oswojenia się z bojem, szerszym masom dać nie chcą.

Od sposobu prowadzenia tej pierwszej bitwy i jej rezultatów, od wrażenia, jakie ona wywrze, najczęściej zależą dalsze losy rewolucji. Gdy ten pierwszy bój jest przegranym, wówczas najczęściej rewolucja przegrywa i odwrotnie, gdy on jest wygrany, wtedy daje rozpęd wielkiej rewolucji, prowadzący do zwycięstwa. Dlatego obowiązkiem kierowników rewolucji jest przed wybuchem wstępny bój możliwie opracować, możliwie do niego się przygotować; ten wstępny bój zrobić możliwie zwycięskim. A pod tym względem ogólne prawa strategiczne i taktyczne są obowiązujące. Trzeba rzucić wszystko na szalę wypadków, aby ten bój wywalczył podstawy istnienia rewolucji, że-

by umożliwił on mobilizację i koncentrację sił rewolucyjnych.

Specjalnie ten wstępny bój w warunkach Królestwa Polskiego jest prawie obowiązkiem z tego względu, że Królestwo, jako kraj podbity, nie ma własnego rządu, który rewolucja względnie łatwo obala, a jest rządzone przez władzę obcą, nie wyrastającą z łona społeczeństwa. Dlatego wszelkie starania rewolucji są w Królestwie znacznie trudniejsze, niż gdzieindziej. To też wstępny bój musi być tu szeroko planowany. Uderzenie w jeden punkt nie da rezultatu.

Jeżeli przejdziemy do planów, jakie układali dowódcy powstania, to z nich znam dwa. Pierwszy plan — Jarosława Dąbrowskiego — był przedstawiony jeszcze przed utworzeniem Komitetu Centralnego na początku 1862 roku, kiedy najrozmaitsze grupy rewolucyjne nie zlały się jeszcze w jedną organizację, kiedy były one złączone węzłami jakby federacyjnemi, kiedy Centralny Komitet jeszcze się nie wyłonił. Wówczas Dąbrowski, jako przedstawiciel miejskiej organizacji i wojskowego spisku w wojsku rosyjskiem, wystąpił z projektem następującym: spiskowi, których miało być 7000 (w Warszawie 2500), zbiorą się wokoło cytadeli (26 czerwca), uzbrojeni w byle co. Wtajemniczeni oficerowie otwierają im bramę cytadeli i przez nią powstańcy wchodzą do wnętrza twierdzy, rozbrajają załogę, opanowując magazyny i tym podobne. Pewna część spiskowych rozbiega się w tym czasie po mieście w celu aresztowania lub zabicia wyższych dowódców i oficerów. Biją w dzwony, starają się opanować arsenał. Tymcza-

sem wojsko, stojące w obozie powązkowskim, ma się zachować możliwie neutralnie. Oficerowie spiskowi mają otoczyć namioty dowodzących. W ostatecznym wypadku mają udać, że ze sztabu przyszedł rozkaz odprowadzenia wojska kilka mil za Warszawę. Mniej więcej to samo miało się odbyć pod Modlinem, w którym leżało 70000 karabinów. Oficerowie i junkrzy mieli tam wpuścić przez otwartą bramę spiskowych. Na prowincji, w miastach gubernjalnych i powiatowych, dokonywa się napadów na garnizony i stara się te punkty opanować. Dąbrowski nalegał, aby termin ustalić na 26 czerwca z tego względu, że późniejszy termin pozbawi powstanie wielkiej pomocy ze strony oficerów spiskowych, gdyż rząd, przewidując wybuch, miał przystąpić do masowych przenosin oficerów Polaków z Królestwa w głąb Rosji. Przytem twierdził on, że nietylko oficerowie, lecz i żołnierze są związani ze sprawą rewolucji i że żądają, aby im po wybuchu pozwolono sformować legjon rewolucyjny przeciw carskiej Rosji.

Plan ten nie wszedł w wykonanie dla bardzo wielu powodów, a głównie dlatego, że się okazało, iż wojsko rosyjskie nie znajduje się w takim świetnym dla rewolucji nastroju, jak Dąbrowski myślał. Abstrahując od tego, musimy go rozpatrzeć. Plan Dąbrowskiego przewiduje bój przedwstępny bardzo ryzykowny, ale dający w ręce, w razie powodzenia, szeroką podstawę dla dalszej rewolucji. Po drugie, opiera się on na spiskowych tam, gdzie oni istnieją. Nie wymaga skomplikowanych koncentracyjnych marszów *et cetera*. Jedynym wypadkiem dyzlokat spiskowych byłby napad na Modlin.

To są dobre strony tego planu. Niema tu niepotrzebnych manewrów, do których ludzie nowi nie będą najczęściej zdolni. Trzecią dobrą stroną jest to, że stawia się odrazu wszystko na kartę, że jest w tem rozpęd, który stanowi cechę i siłę rewolucji. I gdyby ten plan mógł być wykonanym, to niechybnie powstanie alboby stanęło odrazu silnie na własnych nogach, albo odrazu byłoby zamarło.

Złą stroną w tym planie, jak zresztą we wszystkich planach rewolucyj, stanowi opieranie się na „sztuczkach". To nie jest otwarta siła, lecz dowcipny sposób. Poleganie na możliwościach, na sprycie, na szybkiem zorjentowaniu się, działanie bez rezerwy — oto są słabe strony, jakie zawsze we wszelkich tego rodzaju planach być muszą. Gorszą słabą stroną jest to, że opiera się on nie na rzeczywistej sile, a na iluzorycznej, jaką ludzie obcy daćby dopiero mogli. Opiera się on na pomocy ze strony oficerów i żołnierzy rosyjskich. To też nic dziwnego, że cała ta pomoc wydała się reszcie Komitetu niemożliwą. I pomimo, że Dąbrowski usilnie nalegał, by plan jego przyjęto, zażądano, aby przedtem zwołał on przedstawicieli wojskowych organizacyj dla rozmówienia się z nimi. Na tem zebraniu okazało się, że Dąbrowskiego uniósł fanatyzm. Nie było ani tak wielu oficerów, ani nie byli oni pewni własnych podwładnych. Zaledwie jeden był pewny swej kompanji, inni byli nawet przekonani, że żołnierze staną przeciw rewolucji.

Jarosław Dąbrowski był jednak znakomitym rewolucjonistą. Pewne dane upoważniały do takiego wnioskowania. Na dowód, jak szerokim był ten prąd w wojsku, opowiem państwu, zda się,

brzmiącą anegdotycznie, historję, którą miał jeden z organizatorów wojskowych na prowincji w województwie kaliskiem — Oxiński. Kiedy wyjeżdżał „na powstanie“ 16 stycznia, wówczas widział się z oficerem, kierującym sprzysiężeniem, który, nie mając pod ręką adresów oficerów-spiskowców w Kaliskiem, wskazał mu tylko ludzi, do których ma się udać po informacje. Powiedział mu tylko, że najwięcej spiskowych jest w artylerji. Oxiński przyjeżdża do Warty, w cukierni dowiaduje się o komendanta artylerji, idzie do niego, okazuje znak, jaki był odznaką sprzysiężonych. Oficer zdetonował się, wyjął taką samą kartkę z kieszeni i podał ją Oxińskiemu. Widocznie stan umysłów upoważniał do takich sposobów.

Wreszcie najgorszą stroną projektu Dąbrowskiego było to, że, ulegając sugestji siły ruchu rewolucyjnego w Rosji, przypuszczał, iż sprawy rewolucji w Polsce ze sprawą rewolucji w Rosji dadzą się złączyć w jedno i że sprawa polska w ten sposób może stać się sprawą wewnętrznej rewolucji dla całego państwa rosyjskiego. Dlatego też cały plan w swojej istocie ma cechy planu rewolucji wewnętrznej, który wojny nawet nie przewiduje.

Drugi plan wybuchu przedłożony został przez Zygmunta Padlewskiego. Plan jego jest całkiem inny: jest on mglisty, osnuty w stylu wielkiej wojny. Padlewski bierze pod uwagę przedewszystkiem komunikacje Warszawy z resztą państwa. Plan ten wymagał, aby powstanie z największą siłą wybuchło na wschodzie; aby w ten sposób rewolucja opanowała komunikacje Warszawy i Królestwa z resztą Rosji; żeby wreszcie, w razie nie-

powodzenia pierwszych napadów, nacisk szedł na wschód i północ ku Litwie, aby rozszerzyć pod tym względem obszar, objęty powstaniem, i aby dalsze komunikacje zrobić dla wojska niepewnemi. Natomiast na południu Langiewicz, niejako pod osłoną tej walki na wschodzie i północy, miał formować armję, która miała iść na Warszawę.

Wstępny bój jest w tym projekcie na planie drugim, właściwie brak go zupełnie; jest tylko ogólny rys kampanji, któraby mogła trwać lata w przyszłości. Niema w nim wywalczenia warunków dla kampanji. Jest tu pewna fikcja. Pokutuje w nim również myśl owładnięcia Modlinem i Zamościem dzięki stosunkom z armją rosyjską, nad czem, jak wspomniałem, stał znak zapytania. Wreszcie napady na garnizony zostały tu uwzględnione tylko jako rzecz dodatkowa, która nie jest specjalnie rozplanowywana.

Oto są dwa plany, które przed wybuchem rewolucji istniały. Pierwszy — plan rewolucyjny, drugi natomiast to plan wojny bez danych dla jej prowadzenia. Jedną z najpoważniejszych luk, osobliwie w planie drugim, jest zupełne niezwracanie uwagi na granice. Granice są zostawione zamknięte. I jeżeli Dąbrowskiego usprawiedliwić można, że o tem zapomina, gdyż bierze pod uwagę jedynie rewolucję wewnętrzną, to Padlewskiego uniewinnić pod tym względem niesposób.

Wreszcie pozostaje zagadnienie, które do końca rozstrzygniętem nie zostało, — to sprawa naczelnego dowództwa. Na wojnie odgrywa ona bardzo wielką rolę. Pod tym względem kwestja ta wywoływała nieraz silne tarcia i spory i bodaj, że będę zu-

pełnie ściśle trzymał się prawdy, jeżeli powiem, iż kwestja dyktatury była uważana za jedyny sposób rozstrzygnięcia tej sprawy.

Otóż chciałbym zwrócić uwagę na ten szczegół, gdyż on w historji militarnej powstania odegrał bardzo poważną rolę i bodaj w wielkim stopniu przyczynił się do zwiększenia słabych stron wybuchu 1863 roku. Z historji wiemy, że dyktatura wojenna w tych warunkach, jakie mieliśmy wtedy, była fikcją. Było dwóch wodzów, którzy nosili ten tytuł, to Mierosławski, potem Langiewicz. W obu wypadkach dyktator, panujący nad Polską, mógł kierować tylko setkami ludzi. którzy znajdowali się w jego obozie. I do takiej roli chciano zmuszać zarówno Mierosławskiego, jak i Langiewicza! Jedyna realna dyktatura, jakaby mogła istnieć, była połączona z Warszawą. Tam się zbiegały nici z całego kraju; tam wiodły linje komunikacyjne, szły wiadomości, nieraz może późne, ale tam się schodziły. Stamtąd nowe rozkazy płynąć mogły. I tam jedynie było miejsce dla dyktatora. Spostrzeżono to zbyt późno.

Tymczasem wówczas rewolucja była tylko wojną dla wodzów. Zapominali oni o tem, że aby wojnę toczyć, przedtem rewolucji dokonać trzeba, że wojna jedynie po wywalczeniu warunków dla niej toczoną być mogła. Oni natomiast nawet w ujęciu kwestji dyktatury dawali świadectwo, jak fałszywie sprawę rewolucji sobie przedstawiali.

WYKŁAD CZWARTY

16 lutego 1912

Poprzednio scharakteryzowałem dwa plany przed wybuchem powstania. Wspomniałem, że pojęcie o wielkiej wojnie istniało powszechnie; że tem tłumaczy się plan dyktatury wojennej, jakgdyby ona bez wywalczenia możliwości jej była możliwa. Taką magiczną laseczką, która rozwiązywała wszystkie trudności liczbowe, techniczne *et cetera,* miało być pospolite ruszenie włościan.

Jest cechą charakterystyczną wszystkich ruchów rewolucyjnych, iż takie laseczki w wyobraźni ich przewódców istnieją. W 1905 roku była nią żywiołowa potęga mas ludowych, które miały rozwiązać różne trudności techniczne walki rewolucyjnej. Tak samo w 1863 roku wszelkie techniczne trudności miały być usunięte przez pospolite ruszenie.

Nie moją rzeczą obalać takie czy inne pod tym względem poglądy polityczne i społeczne, jakie istniały w głowach ówczesnych przewódców. Moją rzeczą jest wskazać na przeoczenie faktu, że taka siła magiczna, ażeby móc urzeczywistnić to, czego się po niej spodziewa, musi być przedtem przepracowana przez świadomą swych celów i świadomą swych środków grupę. Pospolite ruszenie polega na użyciu, na poruszeniu ludzi, nie-

należących do żadnej organizacji. Dlatego też było obowiązkiem pomyśleć o tem, jak świadoma swych celów i środków organizacja rewolucyjna ma przygotować rewolucję, ażeby tą magiczną laseczką, niezorganizowaną i narazie nierealną masą, wywalczyć urzeczywistnienie celów rewolucji.

Przejdę teraz do planu trzeciego, który został urzeczywistniony, który stał się wyrazem realnym w noc styczniową. Aby zrozumieć i ocenić go należycie, trzeba wejść w położenie ludzi, którzy go wytworzyli. Działo się to podczas niespodziewanej branki w Warszawie. Brankę tę rząd ogłosił, lecz termin jej nie był znany. I oto, dzięki podnieceniu dołu, termin wybuchu łączył się w umysłach z terminem branki. Wszechpotęga Centralnego Komitetu i organizacji pozwoliła spiskowym mieć nadzieję, że Centralny Komitet obroni od branki i na brankę odpowie powstaniem. Już przed samą branką Centralny Komitet, wiedząc o aresztowaniu agentów, wysłanych po broń, rozpoczął w swojem łonie debaty, jak zachować się, jeżeli branka przyjdzie przedwcześnie. Postanowiono urządzić masową dyzlokację spiskowych; przypuszczano, że można będzie dowiedzieć się o brance wcześniej i w ten sposób uchronić przed nią ludzi.

Branka jednak wypadła nie tak, jak Centralny Komitet się spodziewał; spadła niespodzianie. O ostatecznej decyzji dowiedziano się na parę godzin przed jej rozpoczęciem. Zdążono tylko porobić pewne zarządzenia, a więc wyznaczono naprędce punkty zborne, tak. że branka w samej Warszawie ciosu organizacji nie zadała. Na 2000 pro-

skrybowanych w mieście wzięto tylko pięciuset kilkunastu. Reszta wyszła z Warszawy do lasów okolicznych.

Fakt branki wywołał tak silną presję z dołu, że Komitet Centralny musiał powziąć szybkie postanowienie wybuchu powstania. Trzeba było śpieszyć, gdyż branka na prowincji miała się odbyć dnia 26 stycznia. Miano zatem od branki w Warszawie 10 dni czasu.

Mamy tutaj ten wypadek, kiedy rząd, przeciwko któremu rewolucja idzie, w poczuciu siły bierze inicjatywę, ruchu rewolucyjnego się nie boi. Inicjatywa wzięta została przez rząd, trzeba było na nią odpowiedzieć inicjatywą rewolucji. Lecz, jeżeli weźmiemy pod uwagę stan głów i serc ówczesnego Komitetu, a specjalnie Padlewskiego, to stan ten nie upoważniał do oczekiwania od nich tej mocnej, pewnej siebie inicjatywy. Wszyscy pamiętnikarze, którzy zajmują się tą chwilą, piszą o utracie wszelkiej nadziei, o rozpaczy. Ludzie potracili głowy. Różne rozpaczliwe projekty snuły się w mózgach i bodaj jedyną realną myślą było ratowanie honoru rewolucji. Tu nie było mocnego umysłu, mocnego charakteru. Padlewski, mimo bardzo wielu świetnych cech i osobistego męstwa, mocą charakteru się nie odznaczał; brak mu było wytrwałości, przytem był to człowiek chwiejny, poddający się łatwo nastrojowi chwili. Takim go charakteryzują wszystkie późniejsze wypadki.

I oto przed takim człowiekiem leży konieczność decyzji. Na niego skierowały się oczy wszystkich, był to bowiem jedyny autorytet wśród tego ele-

mentu cywilnego, do niego więc się zwracają, oczekują rozkazu, instrukcji. I jak chcecie, by człowiek, który jest w stanie rozpaczy, mógł myśleć? Dla myśli trzeba spokoju, trzeba opanowania się. Tego u Padlewskiego w tej chwili nie było.

Dlatego plan ten jest nieprzemyślany, nie stanowi on jakiejś całości, lecz raczej fantazję, jakieś fragmenty nieskoordynowane. Stąd przedewszystkiem płyną najboleśniejsze zawody późniejsze.

Najpierw zaszła konieczność stoczenia wstępnego boju; w tym celu decyduje się napaści na poszczególne garnizony. Gdzie i jak? O tem czasu niema pomyśleć. Ową paniczną bezmała sytuację ratuje ta powszechność nastrojów, owa magiczna laseczka, która właściwie powinna była nastąpić potem, zamiast tutaj na samym początku akcji ratować sytuację. Napadać mają wszędzie, gdzie się tylko da. Jednem słowem, zwala się z siebie odpowiedzialność konieczności myślenia; odpowiedzialność rozkłada się na barki zbyt szerokie, skutkiem czego powstaje faktycznie brak wszelkiej odpowiedzialności.

I oto sam Padlewski z tej rozpaczy opuszcza Warszawę i jedzie do tych „dzieci warszawskich", obozujących w pobliskiej puszczy kampinoskiej, stanowiących niezorganizowany tłum, aby ich ratować od obławy, już wysłanej z Warszawy.

Dla reszty spiskowych rozsyła się rozkazy. Dzień 22 stycznia wybrano na moment ogólnego wybuchu, a dopiero 16-go idą rozkazy. Podlasie, najbliższe części Augustowskiego, województwo płockie, jako sąsiadujące z Warszawą, otrzymują rozkaz 17 stycznia, dalsze województwa otrzy-

mają go 18-go, Langiewicz i Kurowski w Kielcach 18 stycznia wieczorem. Oxiński 17-go rano wyjeżdża w Kaliskie, Jeziorański 18-go rano w Rawskie. Ludzie ci mają pozostawione 4 do 5 dni dla wykonania planów Centralnego Komitetu.

Jako skutek tej niespodzianki, z prowincji sypią się zapytania, czy to prawda? Takie zapytanie idzie z Lubelskiego, gdzie przywieziono rozkaz 18 stycznia. Takie same zapytania szły z Kaliskiego. Gdzieindziej rozkazy doszły na 12 godzin przed terminem, wyznaczonym dla powstania.

Tak wyglądał ten trzeci plan w życiu. Jest w nim realną rzeczą walka z załogami, wyznaczona na 22 stycznia, mająca być możliwie powszechną. Ma on dla rewolucji wywalczyć swobodę ruchu i organizacji, przyczem bezwiednie polega na powszechnem ruszeniu, wcale nieprzygotowanem.

Przejdziemy do szczegółów donioślejszej wagi.

Z mapy, przedstawiającej dyzlokację wojsk rosyjskich 22 stycznia, widać sieć załóg; wojska tego było wówczas w Królestwie 110000. Po odliczeniu chorych *et cetera,* jedni obliczają stan bojowy na 99000, inni na 92000. Nie będziemy się upierali przy tej lub innej cyfrze.

Każda rewolucja ma to do siebie, że w czasie przedrewolucyjnym zmusza rząd do rozrzucenia wojska z tego powodu, że najrozmaitsze wypadki, najróżniejsze wystąpienia tej czy innej części ludności wymagają udziału wojska. Jest ono ostatnim atutem i ten ostatni atut rzuca się wszędzie tam, gdzie zachodzi potrzeba. W ten sposób wojsko, normalnie skupione, rozchodzi się po całym kraju. Takie zjawisko miało miejsce i wtedy, gdy władze

znalazły się w konieczności wysyłania wojsk z normalnych kwater do różnych zagrożonych punktów. Wreszcie samo przygotowanie branki zawczasu zmuszało do dalszego rozrzucenia wojska.

Punktów, zajętych w ten sposób przez wojsko, jest sto sześćdziesiąt kilka; nie jest to cyfra zupełnie ścisła, gdyż nie da się dokładnie ująć stanu rozlokowania straży pogranicznej. Głównem siedliskiem siły wojennej przeciwnika jest przedewszystkiem Warszawa, jako centrum, dalej fortece Modlin, Dęblin i Zamość. Poza tem komendy główne w poszczególnych ośrodkach spoczywały w rękach generałów dywizyj w Płocku, Kaliszu, Radomiu, Lublinie i Warszawie. Sama Warszawa liczyła załogi 22000. W porównaniu z obecną Warszawą jest to takie nasycenie wojskiem, do którego nawet teraz Rosja u nas nie doszła. W ośrodkach gubernjalnych wojsko skoncentrowane było silniej. Poza tem rozlało się ono po całym kraju, tak, że jeżeli weźmiemy przeciętną ilość na każdy punkt po odrzuceniu Warszawy, to otrzymamy załogi po 400 mniej więcej ludzi. O ile odrzucimy i główne ośrodki, to na każdy punkt wypadnie 200 do 300 ludzi; zwrócić przytem należy uwagę na fakt, że działały jeszcze wpływy niewojenne, wskutek czego najrozmaitsze bronie w rodzaju artylerji, parków, które bezpośrednio nie są potrzebne, pozostawione były bez dostatecznej osłony. Tak wyglądała ogólna charakterystyka dyzlokacji rosyjskiej.

Co się tyczy jej gęstości, to można powiedzieć, że poza północną częścią, względnie mało obsa-

dzoną, miało miejsce dość równomierne rozrzucenie, z nieznaczną może przewagą zachodu, gdzie załogi były rzadsze.

Jeżeli przejdziemy do samej nocy styczniowej, to na wstępie zaznaczam, że nie wchodzę najzupełniej w to, w jaki sposób wykonane były poszczególne napady, albowiem rzeczy taktyki z mego wykładu świadomie usuwam. Na załączonej mapie wyznaczone są miejscowości, gdzie były dokonane napady. Widzimy, jak mało owa, podkreślona przeze mnie, „powszechność" zrobiła. W cyfrach wyrażają się napady następująco: starć, według mego obliczenia, było 19, z nich jedno poza granicami Królestwa — w Surażu; na Królestwo przypada 18. Z nich dwa urządzono na Podlasiu, trzy w Płockiem i Augustowskiem, dwa w Sandomierskiem, dwa w Krakowskiem, jedno w Lubelskiem, jedno, którego można nawet nie liczyć, w Kaliskiem, żadne w Mazowieckiem. Oprócz tego, zbierając najrozmaitsze dane o tej nocy, wynotowałem 14 miejsc, gdzie tej nocy powstańcy się zbierali, nie dokonawszy napadu. Prawdopodobnie miejsc tych było więcej, tylko brak o nich wiadomości w pamiętnikach.

Z tych wszystkich napadów ośm było udanych, to znaczy, że cel został osiągnięty. Cztery były zupełnie nieudane. Do nich należy doliczyć i te 14, gdzie powstańcy się zebrali i przed zadaniem się cofnęli. Wreszcie siedm uważać można, jako nawpół tylko udane. Za chwilę to wyjaśnię.

W paru miejscach, naprzykład w Radzyniu i Lubartowie, powstańcy, napadając w nocy na armaty, stojące osobno w szopach, zdołali niemi owład-

nąć, lecz utrzymać ich w swoich rękach nie potrafili, gdyż piechota zdążyła do tych armat dopaść i powstańcom odebrać. Armat nawet nie popsuto. Zdobyto w tej walce paręset karabinów. Specjalnie udanym był pod tym względem napad w Kodniu pod Brześciem, gdzie znajdował się magazyn, którym powstańcy pod dowództwem Nenckiego owładnęli, biorąc około 80 żołnierzy do niewoli, resztę rozpędziwszy. W niektórych miejscach zdołano pozbierać część broni po zabitych.

Jeżeli idzie o liczbę powstańców, którzy brali tej nocy udział w bitwach, którzy stanęli do apelu, to tak jest trudno zorjentować się przy sprzecznych cyfrach u różnych autorów, że doprawdy każdą cyfrę musiałbym zaopatrzyć znakiem zapytania. Aby jednak mieć podstawę rachunku, starałem się do niej dojść. Według moich obliczeń suma ludzi wynosiła około 6000. Przypuszczam jednak, że jest to cyfra za duża.

O ile weźmiemy kwestję uzbrojenia, to było ono wszędzie bardzo liche. W niektórych miejscach walczono między sobą o kosy, albowiem brakło ich. Często wycinano drągi w lesie, jako jedyną broń. Od tego czasu pochodzi nazwa drągaljerów.

Jeżeli idzie o organizację, to wszędzie ona zawiodła. Nigdzie nie stanęło tylu, ilu się spodziewano, wszędzie liczba była o trzy czwarte zmniejszona. Obok tego wszędzie powstańcy wykazali dużo płochliwości. Przy najmniejszym oporze masa ta okazywała się bardzo bojaźliwą.

Największym, najpoważniejszym i najdonioślejsze znaczenie polityczne mającym był zupełnie

nieudany napad na Płock. Jest to jedyny znaczniejszy punkt, jaki przy napadach był wybrany. Mimo że powstańców zebrało się zgórą tysiąc, a załoga wynosiła 200 do 400 ludzi, jednak napad najzupełniej się nie powiódł.

Z pomiędzy udanych napadów wymienię napad Zameczka-Cichorskiego na Suraż w województwie białostockiem. W województwie podlaskiem, które najenergiczniej wystąpiło i najwięcej dokonało, wymienić trzeba wspomniany już napad na Kodeń pod dowództwem Nenckiego, na Łomazy pod dowództwem Szaniawskiego, gdzie ułanów w puch rozbito; z bardziej nieszczęśliwych, tam, gdzie armaty wzięto i stracono, wspomnieć trzeba napad na Radzyń, prowadzony przez Deskura. W województwie sandomierskiem pod dowództwem Langiewicza dokonano trzech napadów: dwa z nich udane na Bodzentyn i Jedlnię pod dowództwem Figetiego, trzeci pod dowództwem samego Langiewicza na Szydłowiec. W województwie krakowskiem udanym był napad w Michałowicach na straż graniczną. Wreszcie jako udane nazwać trzeba starcie w Ciołkowie pod Płockiem pod dowództwem Rogalińskiego, w którem 100 powstańców spotkało się z silniejszym oddziałem rosyjskim; skutkiem naiwnego humanitaryzmu dowodzącego pułkownika oddział jego został prawie zupełnie zniszczony.

Komunikacje telegraficzne prawie wszędzie zostały przerwane.

Dla charakterystyki stanu ówczesnych umysłów, przenikniętych brakiem wiary w powodzenie, wspomnę o tak dla mnie zrozumiałem opo-

wiadaniu Daniłowskiego, który wówczas był w grupie rządowej, jaka pozostała w Warszawie. Powiada on, że 22 stycznia rano poszedł do drugiego członka Komitetu, inżyniera Marczewskiego, z pewnym strachem, aby dowiedzieć się, co się stało. Czy może nic się nie stało? I dopiero westchnienie ulgi, kiedy dowiedział się, że komunikacja przerwana.

Jeżeli teraz zwrócimy się do napół udanych przedsięwzięć, to z pewnego punktu widzenia są one raczej zupełnie nieudałemi. Takiego punktu widzenia trzymają się Gesket i Przyborowski, którzy uważają, że czego się nie dokonało i nie osiągnęło bezpośrednio, należy zaliczyć do niepowodzeń. Jest to czysto taktyczny punkt widzenia, który nie uwzględnia moralnego wpływu, jaki dane przedsięwzięcie wywiera na wypadki i sytuację. Zaliczyłem tu te wszystkie, które, wywierając swój wpływ na wroga i na otoczenie, pozostawiły swoje dobre dla powstania ślady, pozwoliły odetchnąć głębiej, organizacji powstania dały pewną ilość czasu i wreszcie w umyśle wroga zostawiły pojęcie o szerokości ruchu.

Chciałbym wkońcu zwrócić uwagę na to, jak pierwotny plan Padlewskiego wywarł jednak swój wpływ na przebieg nocy styczniowej. Napady są najbardziej skoncentrowane na wschodzie; w pierwszym planie Padlewski kładł na to nacisk i tu poprzednie prace przygotowawcze wywierały swój nacisk. Widać tu potężny wpływ myśli ludzkiej w dziedzinie wojny, widać, jak myśl ta znajduje swój wyraz w realnych przejawach wojny. Zauważmy, że Lubelskie, mające

najwięcej spiskowych, ale bez wojennego naczelnika, ma tylko jeden napad. W województwach mazowieckiem i kieleckiem, gdzie brakło naczelników, nie było też napadów. Poprzednie przygotowania dają jednak odpowiednie rezultaty, a brak ich doprowadza do takich właśnie ujemnych wyników, jak wyżej przytoczone.

WYKŁAD PIĄTY

3 maja 1912

W poprzednim wykładzie przedstawiłem owo bardzo słabe uderzenie ze strony powstania. Chciałbym jednak nad paru kwestjami, tyczącemi się nocy styczniowej, zatrzymać jeszcze nieco uwagi; przedewszystkiem chcę podnieść pewną nadzwyczaj cenną cechę u powstańców, która, daj Boże, aby istniała u wszystkich rewolucjonistów polskich.

Kiedy się mówi o niespodziance, jest rzeczą bardzo ważną, aby tajemnica była zachowana. Otóż pod tym względem napięcie moralne było nadzwyczajne. Mimo, że dziesiątki tysięcy ludzi wiedziało o nocy 22 stycznia, wiadomość ta nie doszła do wroga i we wszystkich wypadkach wybuch był dlań niespodzianką. Ta umiejętność dotrzymania tajemnicy świadczy o wysokim poziomie moralnym, jakim było ożywione powstanie 1863 roku.

Druga rzecz, którą podnieść trzeba w związku z omówionemi przedtem planami, to najzupełniejsze nieudanie się obliczeń co do oficerów i żołnierzy rosyjskich. Przeważnie próbowano wejść z nimi w porozumienie, aby wspólnie akcję tej nocy przeprowadzić. W niektórych wypadkach doprowadziło to do zdrady, w innych po-

moc ich była zupełnie nieokreślona. W jednym tylko wypadku przeszli kanonierzy Polacy na stronę rewolucji. Oficerowie zaś, nawet Polacy, w ogromnej większości zawahali się; dopiero po pewnym czasie ci ostatni przechodzili na stronę powstania.

Poprzedni swój wykład zakończyłem twierdzeniem, że jeżeli idzie o zwycięstwa taktyczne, to w nocy styczniowej było ich bardzo mało. Natomiast zwycięstwo zostało odniesione w dziedzinie moralnej. Do przedstawienia wpływu nocy styczniowej w tej dziedzinie przejdę obecnie.

Trzeba sobie przedstawić położenie głównodowodzącego armją rosyjską, stacjonowaną w Królestwie, po nocy styczniowej, kiedy zaczęły go dobiegać sztafety konne z różnemi przesadnemi wieściami z kraju. Wojsko, którego położenie opisałem, znajdowało się w stanie prawie bezbronnym; było ono wysyłane do różnych miejsc nie dla celów wojny, a po to, by podtrzymać władze cywilne przy uspakajaniu wrzenia rewolucyjnego. Dlatego w poszczególnych oddziałach dawał się odczuwać brak odpowiedniej ilości nabojów, dzięki czemu do dłuższej walki były one niezdatne. Same kwatery, wobec rozesłania całego mnóstwa wojska ze stałych miejsc postoju, wydawać się musiały niedostatecznie ochronione. To samo się działo z artylerją, która w noc styczniową była łatwym łupem i która w oczach i w wyobraźni dowódców mogła stać się łupem prędzej czy później. Magazyny, tabory, artylerja — wszystko to wydawało się w stanie niedość osłoniętym. Same zaś wojska, rozrzucone po

kraju, wydały się również w położeniu niezbyt bezpiecznem, gdyż mogły stać się łatwą ofiarą silnego uderzenia. I mimo tego, że we wszystkich prawie miejscowościach powstańców odparto, wojsko jednak wydawało się dowódcom niezdatnem do prowadzenia wojny, zwłaszcza zaczepnej, na którą zdobyć się musiało. Wydawał się im koniecznym pewien niezbędny okres czasu dla nowego urządzenia wojska i przygotowania go do ruchów zaczepnych przeciw powstaniu. Oto jest położenie, które zmuszało do pewnego rodzaju skoncentrowania się wojska i jego zorganizowania się dla celów wojny.

I oto idą rozkazy od generała Ramsaya, zarządzające koncentrację podległego mu wojska. Cele te są bardzo wyraźnie podkreślone. Rozkaz został rozesłany już 23 stycznia. Generał Ramsay był usposobiony o tyle gorączkowo, że wobec protestów z prowincji od różnych podległych mu dowódców 27 stycznia potwierdza raz jeszcze ten rozkaz koncentracyjny w sposób bardziej jeszcze bezwzględny. W planie koncentracyjnym przebija staranie Ramsaya, aby armję uczynić możliwie silną i pewną, tak, aby każde jej uderzenie miało silną podstawę, aby biło silnie w wyobraźnię ludzką.

Ten śpieszny i bezwzględny rozkaz koncentracji wywołał u późniejszych krytyków 1863 roku dość ostre zarzuty, jak ze strony polskiej, tak i rosyjskiej. Przyborowski twierdzi, że cała koncentracja była czarną intrygą przeciw Konstantemu i Wielopolskiemu. Że w ten sposób chciał on dać rozrosnąć się powstaniu, aby wy-

kazać, że tylko siła zbrojna może doprowadzić do uspokojenia. Hipotezę powyższą opiera na tem, że kiedy pewne lojalne koła szlacheckie zwracały się do wielkiego księcia Konstantego, aby wojsko zostawił na prowincji dla osłony dworów, wówczas Konstanty zwrócił się z tem do Ramsaya. Na to Ramsay odpowiedział, że im więcej buntowników zginie, „tem lepiej dla nas będzie". Na tej dość mętnej polityce, która nic dla sprawy wojny nie stanowi, jest oparta czarna intryga tego generała, zmierzająca do obalenia Wielopolskiego. Jest to hipoteza, której genezę tłumaczę sobie późniejszą tendencją polityczną; sądzę, że zrodziła się ona w czasie, kiedy powstanie 1863 roku chciano wymazać z pamięci i serc ludzkich, kiedy chciano je przedstawić, jako czyn zbrodniczy wobec narodu. A najpewniejszemi argumentami tej teorji stało się „łaskawe" usposobienie miarodajnych wysokich czynników rosyjskich.

W istocie z punktu widzenia wojskowego generał Ramsay znacznie większą miał rację, niż wielki książę Konstanty, który chciał zarządzoną przezeń dyzlokację zatrzymać. Ze stanowiska wojennego nie miał on prawa zostawiać armji w stanie nawpół bezbronnym, nie miał prawa przypuszczać, że noc styczniowa nie powtórzy się w najbliższych dniach; z punktu widzenia wojny musiał on dbać o swoje wojsko. Że pod tym względem liczenie się z późniejszą wojną było słuszne i miało rację bytu, świadczą następne wypadki.

Krytyka Gesketa, jako wojskowego, jest inna. Twierdzi on mianowicie, że koncentracja była

konieczna; sądzi jednak, że generał Ramsay działał zbyt pośpiesznie, że nie liczył się z warunkami wojskowemi i stąd zbyt schematycznie ją zarządził. Gesket przypuszcza, że generał Ramsay w decyzjach swoich przeceniał siłę powstania, zanadto się go bojąc, że powinien był okazać więcej zimnej krwi i koncentrować nie tak silnie, mógł pozostawić luźniejszą dyzlokację i w ten sposób pozostawić mniej pola dla swobodnego działania powstania. Ta krytyka, ujęta z punktu widzenia wojskowego i historyka, który znał całość późniejszych wypadków i mógł ocenić wartość militarną powstania na podstawie faktów już dokonanych, jest tylko w pewnej mierze do przyjęcia. Całkowicie zgodzić się na nią niesposób. Niewątpliwie było błędem Ramsaya, że koncentracja była przeprowadzona zbyt nerwowo, tak, że w wielu wypadkach wyglądała, jakgdyby była robiona pod wpływem strachu, robiła wrażenie ucieczki.

Jeżeli przejdziemy do faktów, to najlepiej ilustruje nową sytuację mapa, przedstawiająca ugrupowanie wojska po koncentracji. Oto zamiast 180 punktów mamy ich czterdzieści parę; resztę kraju pozostawiono zupełnie bez osłony. Zachodzi przytem jeszcze jedna ciekawa omyłka ze strony rosyjskiej, mianowicie zupełne zapomnienie o straży pogranicznej. Jest to wynik systemu urzędniczego, w jakim znajdowała się Rosja, bo niczem innem nie można sobie wytłumaczyć faktu, żeby wojsko innego rodzaju wypadło z pamięci. I ta straż pograniczna, rozsypana po całej granicy, została pozbawiona pomocy linjowego

wojska, gdyż cofnęło się ono w głąb kraju. Dopiero po dłuższym czasie władze rosyjskie spostrzegły się i zaczęły robić wysiłki, aby straż pograniczną ocalić, lecz wtedy już większość jej legła pod razami powstania.

Dla charakterystyki tej koncentracji wspomnę, że z 40 miast powiatowych opuszczono aż 14. Zatem koncentracja wielkie szmaty kraju uwalniała od wojska. Najsilniej przeprowadzono ją w województwie sandomierskiem i krakowskiem. Wynikało to ze względnie małej ilości wojska, jakie tam znajdowało się przed powstaniem. Drugą charakterystyczną cechą jest pozostawienie koncentracji w znacznie gęstszym stanie na zachodzie w porównaniu z południem i wschodem. Warto zastanowić się nad przyczynami tego stanu rzeczy, dlaczego na zachodzie generał Brunner, który w powstaniu odznaczył się niezwykłem tchórzostwem, przeprowadza koncentrację typowo tak, jakgdyby był najodważniejszym ze wszystkich dowódców w Królestwie. Pisze on parę razy do Ramsaya, prosząc, aby dał spokój zbyt ostrej koncentracji, że i bez tego da sobie radę. Inni generałowie chętniej wykonywują koncentrację, chociaż są mniej tchórzliwi. Otóż tłumaczy to fakt, że cały zachód, dzięki nieprzygotowaniu tam powstania, został przez akcję styczniową pominięty; zachód nie drgnął, nie dał znaku życia. Nie wytworzył bicza, któryby Brunnera zmusił do lęku, któryby w wyobraźni jego wywołał grozę położenia. Zachód milczał i oto mamy skutek tego milczenia.

Lecz mamy i inne wytłumaczenie przytoczonej wyżej krytyki Gesketa, krytyki, bardzo krzywdzącej działania generała Ramsaya, która posądza go poprostu o tchórzostwo wobec rewolucji. Jest ona mianowicie oparta już na doskonałej znajomości całej historji powstania. Istotnie, gdy się zastanowimy nad materjalnym naciskiem, zrobionym przez powstanie, i porównamy go ze skutkiem, jaki wywarł, to mimowoli przychodzi do głowy pytanie, poco był ten pośpiech? Przecież wszystkie prawie napady były odparte, wojsko rosyjskie zostało zwycięskiem, więc pocóż było właściwie tak śpieszyć? Oto na podstawie tego porównania powstały zarówno te plotki i gawędy, jakie streścił Przyborowski, jak i owa krytyka Gesketa. Jednak zdaje mi się, że krytyka ta nie jest dostatecznie usprawiedliwioną. Gesket bowiem przechodzi do porządku dziennego nad czynnikiem moralnym, jaki wytworzyła ówczesna sytuacja, bierze natomiast pod uwagę tylko czynniki czysto materjalne. Jeżeli jednak wnikniemy w stan moralny Ramsaya, a jeszcze bardziej jego wszystkich podkomendnych, to łatwo spostrzeżemy, iż oni, którzy dotąd przed rewolucją się cofali, nie mogli nie wyobrażać sobie, że ta rewolucja jest znacznie silniejszą, niż była w rzeczywistości. Jest przecież rzeczą niemożliwą nie popełniać błędów.

Aby jasno przedstawić ogrom owej siły moralnej, przytoczę jeden obrazek z nocy styczniowej, mianowicie napad Rogińskiego na Białą, napad nieudany skutkiem zdrady dwóch oficerów Polaków, którzy poszli do komendanta, generała Ma-

majewa, i uprzedzili go w porę. Generał Mamajew zbiera o dziewiątej wieczorem całe swoje wojsko: dwie kompanje piechoty, baterję artylerji, sotnię kozaków. O niespodzianym napadzie mowy niema. Rogiński zbiera 80 ludzi, których broń palną stanowi jedenaście strzelb myśliwskich, reszta ma kosy. I oto naprzeciw siebie stają dwie potęgi, które pod względem materjalnym wyglądają rzeczywiście zabawnie. Lecz Mamajew nie śmiał uderzyć na tych 80 ludzi i pozwala nawet, by przemaszerowali oni na kilka kroków od jego frontu. Dopiero po ich przejściu generał puszcza na nich kozaków. Oto, co czyni potęga moralna, która uderzenia słabe robi uderzeniami olbrzyma. To nie jest ta siła materjalna słaba i nikła; to jest owa potęga moralna rewolucji, która działa, potęgując słabiznę fizyczną. I w nocy styczniowej potęga moralna, potęga ducha sprawiła to, że mapa koncentracji rosyjskiej tak wygląda świetnie.

Jednak technika i siła fizyczna ma swoje działanie i swój wpływ. Wpływ braku techniki widzimy na przykładzie generała Brunnera. Nawet w tej fazie wojny, kiedy jeszcze siła moralna jest siłą dużą, jest ona konieczna.

Tak czy inaczej, koncentracja została nakazana. W czasie jej trwania wojsko nie jest zdatne do boju. Przejść musi pewien okres czasu, nim ta koncentracja się zakończy i nim wojsko stanie się znów zdolnem do zadawania powstaniu ciosów silnych, szybkich i skutecznych. Pewien czas zatem został wygrany.

Widzimy po stronie rosyjskiej wyraźny cel. Możemy uważać, że mogła ona postąpić omyłkowo, ale cel jest jasny i jednolity dla całej armji; cała armja ma na pewien okres czasu postawione wyraźne, jasne zadanie. Jak zobaczymy, po stronie polskiej było akurat odwrotnie. Polacy ani czasu nie wykorzystali, ani też nie mieli w tym czasie żadnej wyraźnej myśli wojennej, nie mieli jej też w postaci jednolitego prowadzenia sprawy na całym terenie.

Zobaczmy przedewszystkiem, jaki był stan tej armji polskiej po nocy 22 stycznia. Oddziały, w różnych miejscach odrzucone przez przeciwnika, nie zatrzymując się na punktach napadu, zdezorganizowane nawet zwycięstwem, nietylko przegraną, rozepchnięte w różne strony, znajdują się w stanie najzupełniejszej dezorjentacji i nieświadomości, co z sobą mają czynić. Przedewszystkiem biegną gońcy ze wszystkich okolic do Warszawy. Stamtąd żadnej odpowiedzi niema. Rząd Narodowy wyniósł się do Płocka, a raczej chciał się tam wynieść, i w Warszawie zostało trzech ludzi: dwóch studentów, Bobrowski i Daniłowski, i jeden inżynier — Marczewski, jako przedstawiciele Rządu.

Jeżeli natychmiast kurjera nie odesłano, to za nim przyjeżdżał nowy. Co ci nieszczęśliwi ludzie mieli dawać za wskazówki? Komu, jak? Kiedy oni sami chcieliby od kogo otrzymać jakąkolwiek radę czy dyrektywę. Żadnej myśli wojennej z tego centrum spisku! Zadawalniano się załatwieniem najpilniejszych interesów. Posłano kilka kożuchów, trochę broni.

Kierownictwo? — do tego ich nikt nie przygotowywał; kierownika rzeczywistego nie było. I oto widzimy zupełny brak myśli kierowniczej, łączącej te wszystkie ruchy w owej chwili w jakąś jedność. Tego niema. Rząd Narodowy złożył dyktaturę na barki Mierosławskiego, który był jeszcze w Paryżu, i stamtąd czekał odeń rozkazów i wskazówek. Od tego czasu kierownictwo akcją nie spoczywało na barkach władz centralnych. Spadło ono z konieczności na niższe organy. Tam mamy dowódców, jak: Padlewski, Lewandowski, Langiewicz, Jeziorański, Kurowski, Oxiński. Oto przed nimi stanęły kwestje, niech oni je rozstrzygają! Jeżeli idzie o jednolitość, to już ta myśl zepchnięcia decyzyj na podwładnych jest zgubna. Tutaj mamy początek tego kardynalnego błędu powstania 1863 roku: brak myśli wojennej, obejmującej cały kraj.

Te pretensje możemy postawić i wtedy, kiedy będziemy mówili o znacznie mniejszych częściach kraju. Weźmy, naprzykład, Podlasie, gdzie ruch był najsilniejszy. Tam też każdy oddział szuka odpowiedzialnego za województwo dowódcy, Lewandowskiego; nikt jednak znaleźć go nie może, bo oddział, jakim on dowodził, rozsypał się w boju, a on sam jeden błądził, szukając również swoich oddziałów.

Na powstańców ten brak decyzji działał fatalnie; jest to rzeczą zupełnie naturalną, zwłaszcza dla ludzi, nieobeznanych z rzemiosłem wojennem, mających zupełnie świeżo z wojną do czynienia. Trzeba dawać albo zawczasu pewne przy-

gotowanie, albo bardzo jasne i ścisłe rozkazy. W tym wypadku ich zabrakło. I stąd chwiejność i niepewność najbardziej charakteryzują stan moralny powstania po nocy styczniowej.

WYKŁAD SZÓSTY

7 maja 1912

Mówiłem poprzednio o stanie oddziałów powstańczych po nocy styczniowej. Charakteryzowałem go, jako stan pewnej dezorjentacji, którego główną cechą był brak zorganizowanego kierownictwa wojną z polskiej strony. Aby dać przykład, wystarczy wskazać na brak naczelnego kierownictwa w Warszawie. Poza Warszawą, w województwach, było absolutnie to samo. Na Podlasiu pułkownik Lewandowski, po nieudanym zamiarze napadu na Siedlce, błąkał się po swem województwie, tak, że go znaleziono dopiero po dłuższym czasie. Każdy dowódca był pozostawiony sam sobie. W Lubelskiem znajdziemy całkiem to samo. Tam nawet nie wyznaczono wcześniej naczelnego dowódcy; i tam również widzimy poszczególne oddziały, niezłączone żadnemi węzłami. W województwie sandomierskiem Langiewicz chciał mieć ingerencję we wszystkich sprawach. Pomiędzy innemi nakazał on, aby wszystkie oddziały, bez względu na powodzenie w pierwszej akcji, skoncentrowały się w Szydłowcu, na który on sam prowadził napad. Wobec nieudania się napadu na Szydłowiec punkt ten jako koncentracyjny przestał istnieć, — nieopanowany przez Polaków, zo-

stał w ręku Rosjan. Z chwilą więc, kiedy Langiewicz poszedł z pod Szydłowca w stronę Wąchocka, już w jego województwie znalazły się oddziały, zupełnie z nim niepołączone.

W województwie krakowskiem Kurowski, który w nocy styczniowej prawie nic nie zrobił, stara się koncentrować swe siły w pobliżu granicy, prowadzi tam nawet z powodzeniem walkę ze strażą pograniczną, poza tem jednak kierownictwo jego rozciąga się jedynie na jeden drobny południowo-zachodni kąt województwa, na powiat olkuski, w którym on panuje.

Na zachodzie mamy absolutnie to samo. Tam również, jak w Lubelskiem, kierownik nie został wyznaczony, kierownictwa wojennego nie było i poszczególne oddziały zbierały się zupełnie samorzutnie. Najzręczniej prowadził swoją akcję dotychczasowy wódz naczelny, a obecnie wojewoda płocki, Padlewski. Sprawnie obejmował on poszczególne tereny i miejscowości swego województwa, mimo, że i jemu w nocy styczniowej się nie powiodło. Niestety, materjał historyczny do jego działalności w tym czasie jest tak mały, że trudno z zupełną ścisłością przedstawić tę jedyną robotę naprawdę wojenną. O ile sądzić można z tych źródeł, jakie posiadamy, myśl jego polegała na tem, że — wobec niemożliwości skoncentrowania w jednem miejscu wszystkich sił wojskowych — zajmował się przygotowaniem lokalnem ludzi w różnych powiatach, ćwicząc ich tak, aby ten materjał ludzki opanować na miejscu i mieć przygotowanym do walki w odpowiedniej chwili. Bardzo być może, iż dzięki temu

właśnie, że Padlewski wykazał więcej umiejętności organizatorskiej, zdołał on wytrzymać dłużej w walce początkowej.

Jednak, powtarzam raz jeszcze, jakiegoś planu kierowniczego ze strony polskiej dla całości nie było. Dano w ten sposób początek brakowi kierowniczej myśli wojennej, brakowi organizacji wojennej, ujętej w ramy hierarchji, któraby bezładne wojsko trzymała w karbach posłuszeństwa. Dano początek tej chorobie, która rozsadzała wszelkie próby działania jakichkolwiek oddziałów. Nie szło o to, aby wojewoda miał pełen autorytet władzy. Dano początek zawiści, nieorganizacyjnemu zachowywaniu się w sprawach wojennych. Odtąd będziemy mieli stale, przy każdem połączeniu się dwóch oddziałów walkę wewnętrzną w obozach między dwoma dowódcami. Tych paru dowódców zawistnych, którzy w ten sposób podrywali wszelką możność skoordynowania działań, będziemy mieli całe mnóstwo. W Kaliskiem widzimy Mierosławskiego, który w swoim obozie miał wroga Mielęckiego. Na południu mamy Langiewicza, który w swoim oddziale miał wroga Jeziorańskiego, z którym ciągle staczał walki, oraz Czachowskiego, który się kłócił z Kononowiczem. Będziemy mieli na północy Padlewskiego, walczącego z Cichorskim i tak dalej. Stale mamy te tarcia wewnętrzne, które robiły niemożliwemi działania skoordynowane.

Jeżeli wejrzymy do teorji wojennej, traktującej o organizacji armij nieregularnych, znajdziemy w niej wszędzie jedno twierdzenie: naj-

słabszą jej stroną jest brak ustalonej hierarchji wojskowej. Przeciw temu należało zawczasu zapobiec. Tymczasem ze strony kierownictwa nie widzimy wcale starania, aby wcześniej ułożyć te sprawy tak, żeby nie uderzyły one w najsłabszą stronę: niezorganizowanie armji. A przecież w czasie przygotowawczej pracy przed powstaniem był czas do wytworzenia tego, co było najłatwiejszem, to jest kierownictwa.

Tego powstanie w poprzedzającym wybuch okresie nie uczyniło, natomiast w czasie samego wybuchu uczyniło jakby wszystko, aby zniszczyć już wytworzoną organizację. Mamy Padlewskiego, który, zamiast kierować wojną, zrzuca z siebie odpowiedzialność za jej losy, za całość sprawy. Mamy potem wszystkich dowódców, którzy stają się dowódcami tylko drobnego kawałka swego województwa, tego, w którym w danym momencie naczelnik województwa stoi ze swojemi oddziałami. W jaki sposób nawet chcieć, aby ten naczelnik kierował działaniami wojennemi, jeżeli w każdej chwili los będzie go przerzucał z jednego miejsca na drugie.

I oto powoli wszczepia się w ludziach przekonanie, że każdy z dowódców nie jest tem kołem w mechanizmie wojennym, lecz jest on zupełnie nieodpowiedzialnym przed kimkolwiek kierownikiem swego oddziału i jest pewnym tego tylko, co koło niego się skupia. Odtąd myśl wojenna zaczyna z konieczności wyrabiać się niejednolicie i bez żadnego wpływu centralnego. Myśl wojenna ciąży na względnie jednolitych elementach, które każdej chwili ulegają wpły-

wowi, jakiemu muszą poddać się w danej chwili. Niema żadnego organu, któryby to wszystko jednoczył.

Jednak jakąś myślą, jakimś celem kierować się trzeba. I oto natychmiast po wybuchu myśl ta kierownicza w głowach poszczególnych dowódców zaczyna się wyrabiać. Nie jest ona świadoma; jest to pewne instynktowne szukanie większej siły. Każdy czuje się słabym, czuje się niezdatnym do walki. Każdy oddział czuje się niepewnym, a jego dowódca nie wie, co ma przedsięwziąć. Zjawia się instynktowne połączenie się z sobą dla wytworzenia większych oddziałów na przestrzeni całego kraju, bezwiedne tworzenie zawiązków armji polskiej.

U niektórych dowódców ta myśl była nawet zupełnie świadoma. Do takich niewątpliwie należał Langiewicz, który we wszystkich swoich działaniach szukał możliwie większej siły. Lecz jeżeli zanalizujemy pojęcie jego w tym względzie, to zauważymy, że niema tu myśli tworzenia armji, lecz tworzenia większego oddziału dla przedsięwzięcia czegoś, co zdarzyć się może. Myśl świadoma o armji musiałaby doprowadzić do myśli, czego trzeba do jej stworzenia.

Tej świadomości ja, przynajmniej w działaniach ówczesnych dowódców, nie znajduję. Albowiem chociaż zewnętrznie działania ich wydają się zupełnie świadomemi i rozumnemi, zwłaszcza tych, którzy łączyli się w większe grupy, to jednak nie znajdziemy niczego, żadnych działań, któreby mówiły, że są one zupełnie skrystalizowane. Przeciwnie, sądzę, że był to wynik

instynktu szukania oparcia w liczbie. Albowiem gdyby dowódcy ci zastanowili się tylko nad tem, jak się armje tworzą, to niechybnie każdy z nich przyszedłby do przekonania zupełnie wyraźnego, że do tego trzeba mieć przedewszystkiem czas, a następnie, że trzeba osłaniać czemkolwiek tworzenie się armji; armja bowiem w chwili organizowania się nie jest zdatną do walki.

Dla armji potrzebni są ludzie, potrzebna jest broń i potrzebne jest zorganizowanie się. W warunkach, w jakich powstanie 1863 roku walczyło, wszystkie te czynniki sprowadzają się do kwestji czasu. Ludzie, materjał ludzki istnieje, było go poddostatkiem. Ale i tu chciałbym wskazać na jeden specjalny błąd ogromnej większości umysłów rewolucyjnych, mianowicie, że one z kwestją czasu bardzo mało się liczą i, wierząc w rewolucyjne usposobienie ludności, przypuszczają, że ludność ta jakimś cudem stanie się zdolna do przeprowadzenia rewolucji.

Tymczasem wybuch rewolucji robi niespodziankę nietylko rządowi, ale i całemu narodowi. Cały naród w jednej chwili przejść nie może ze stanu poddańczego do stanu otwartej walki. Musi przejść pewien czas przygotowania psychicznego, dla zyskania wiary i nadziei, musi przejść pewien czas, potrzebny dla wytworzenia ram organizacyjnych. Do tego, by ten materjał ludzki był materjałem wojennym, trzeba czasu i ten czas wygrać musi to wszystko, co już poprzednio zorganizowaniem rewolucyjnem było. Jeżeli weźmiemy tylko sprawę uzbrojenia, to nawet przypuściwszy, że ta broń była złożona, zakopana

et cetera w kraju i nad granicami, nie możemy negować czynnika czasu, jaki jest nam potrzebny, by owa broń doszła do tych, którzy chcą się zbroić i walczyć. A cóż dopiero wtedy, gdy broń nawet nie jest przygotowana?

Wreszcie broń przychodzi. Są ludzie. Ale trzeba czasu, aby ich wojennie zorganizować, żeby nie byli zbiorowiskiem, które przy pierwszem zetknięciu z nieprzyjacielem rozprasza się, gdzie ludzie jedni drugich nie znają, gdzie niema tej spoistej całości, jaką przedstawia każda armja.

Jeżeli przejdziemy teraz do kwestji czasu, jak ona wyglądała w 1863 roku, to widzimy, że powstanie po wybuchu miało 9 do 10 dni swobodnych. Nastąpiła koncentracja rosyjska, która zajęła pewną ilość czasu; w Radomskiem pierwsze działania wojenne ze strony Rosjan nastąpiły 1 lutego, ma więc Langiewicz 9 dni. W Lubelskiem 6 lutego, zatem Zdanowicz ma 14 dni. W Miechowie załoga rosyjska występuje na pierwszy rekonesans w ostatnich dniach stycznia starego stylu, Kurowski ma więc do 20 dni. Pierwszy ruch nie daje żadnych rezultatów i poruszenia wojska w kierunku Ojcowa zaczynają się dopiero 16 lutego, zatem nawet 24 dni. Na Podlasiu przeciw Rogińskiemu 31 stycznia — zatem 8 dni czasu; wyprawa na Węgrów 2 lutego, zatem 11 dni. Z Kalisza Brunner robi pierwsze rekonesanse 31 stycznia, nie dające żadnych rezultatów, mają więc powstańcy 8 dni, a następny rekonesans ma miejsce dopiero 15 lutego, zatem właściwie 23 dni przed jakiemkolwiek starciem. Jeziorański miał 13 dni czasu. W Płockiem pierwsze większe starcie nastąpiło

28 stycznia, więc znowu 3 dni i tak dalej, i tak dalej.

Jeżeli z powyższych cyfr i następnych, których już tu nie wymieniam, weźmiemy przeciętną, to otrzymamy 10, 9, 12 dni czasu, jakie miało powstanie przed powzięciem inicjatywy ze strony Rosjan. I ten czas okazał się niewystarczającym. Powstanie nie zdążyło zebrać ani dostatecznej siły wojskowej, ani nie wytworzyło dostatecznej spoistości wewnętrznej, albowiem jej zawiązki prysły już z końcem marca. Tych 12 dni czasu było zatem za mało dla powstania, aby się dostatecznie silnie przeciwstawić wojsku rosyjskiemu. I oto, naturalnie, powstaje kwestja, czy można było wygrać czasu więcej, czy w działaniach powstańców nie było jakiegoś błędu, czegoś takiego, co wpłynęło na jego ograniczenie? Jeżeli w tym wypadku stawiam powyższe pytanie, to również należy się zastanowić, czy nie wymagam od powstania rzeczy niemożliwych, czy nie wymagam rzeczy, których powstańcy w żaden sposób wykonać nie mogli, i w ten sposób staję wobec faktów, jako krytyk nieobjektywny?

Te dwa pytania musimy rozstrzygnąć.

Przy pierwszym namyśle nad tem, co się działo w nocy styczniowej, rzuca mi się w oczy to wielkie zapomnienie o centrach życia ówczesnego. Cały kraj staje do walki; padły pierwsze strzały, a główne centrum życia, w którem rewolucja wrzała i gdzie została przygotowana, to główne centrum pod względem wojennym milczy. W Warszawie niema nic, tam niema wojny.

Kiedym analizował koncentrację wojska rosyjskiego, starałem się uzasadnić, że była ona wynikiem wpływu na wyobraźnię wodzów rosyjskich, który wywołało u nich pewne uczucie strachu za wojsko, im powierzone. Czy sądzicie, że gdyby stolica nie milczała, to ten wpływ byłby mniejszym? Gdyby w stolicy rewolucja wrzała, czy sądzicie, że wyobraźnia wodza nie byłaby bardziej skuta? Tymczasem mamy w całym ruchu powstańczym emigrację z centrów: z Warszawy wychodzą do lasów okolicznych, z Radomia poto, aby napaść na Jedlnię. Jedynie Płock uczuł na sobie szpony rewolucji. Wszystkie inne centra, wszyscy inni generałowie są zdala od wpływu jakichkolwiek działań rewolucyjnych; oni czują tchnienie rewolucji tylko przez odbicie. To milczenie centrum jest jednym z wielkich błędów, który niechybnie musiał powiększyć siły moralne wroga.

Jeżeli przypomnimy sobie plany Dąbrowskiego, to zauważymy, że nie opuszczały one centrów, a przeciwnie: były ściśle z niemi związane. W planach Padlewskiego już to wszystko minęło, mamy w nich emigrację rewolucji z centrów na prowincję. Coprawda — natychmiast po wybuchu — Bobrowski i Daniłowski przypomnieli sobie coś z planów Dąbrowskiego i snuli szalone pomysły dla podtrzymania rewolucji w samej Warszawie, jak łapanie Konstantego na ulicy i wywożenie do lasu, rzucanie się w mieście i robienie rozruchów. Jednak na nich zwalił się zaraz cały nacisk interesów i kłopotów bieżących, związanych z podtrzymaniem ognisk walki nazewnątrz. Oni sami byli w stanie pewnej rozterki duchowej. I oto, jako sku-

tek tego stanu rzeczy, Warszawa stała się rezerwą dla działań wojennych rosyjskich. Z Warszawy wychodziły oddziały dla zwalczania ognisk rewolucji tam, gdzie tego było trzeba. Przez cały czas powstania była ona rezerwą dla wroga.

Pod tym względem mimowoli nasuwa się porównanie z rokiem 1905, gdy Warszawa odwrotną rolę odgrywała, gdy Warszawa ściągała wojska do siebie; gdy musiano z prowincji zbierać siły dla uśmierzenia rewolucji w stolicy. W 1863 roku to zapomnienie centrów było jednym z tych błędów, które niechybnie odbić się musiały na dalszym biegu wypadków.

WYKŁAD SIÓDMY

10 maja 1912

Jak Warszawa została zapomniana, przez co nie odegrała w wojnie większej roli, tak było i z wszystkiemi innemi centrami wojennemi w Królestwie, z wyjątkiem Płocka. Pozwoliło to rządowi rosyjskiemu i wojsku w tych głównych punktach wojskowych skupić swoją rezerwę, która w każdej chwili była używaną do odpowiednich czynności. Niewątpliwie w początkach powstania centra te mogłyby odegrać rolę powstrzymywania na sobie sił wojennych, tak, aby wygrana czasu na początku mogła być możliwie wielka.

Drugim takim środkiem bardzo silnym i, zdawałoby się, nadzwyczaj zgodnym z tem, co teorja wojny mówi o partyzantce, a jednak w powstaniu zapomnianym i nierozplanowanym, było działanie na komunikacje wroga. Wojsko, aby planować jakieś manewry, musi być ze sobą w łączności. Z chwilą, kiedy jej niema, manewry jego stają się niepewne, często są chybione. Dlatego też komunikacje odgrywały na wojnie zawsze nadzwyczaj poważną rolę. Partyzantka między innemi ma za zadanie oddziaływanie na komunikacje wroga, psucie komunikacyj i wywoływanie możliwie wielkiego w nich tarcia, tak, by nieprzyjaciel musiał na

utrzymanie ich i zabezpieczenie możliwie dużo sił poświęcić. W wypadkach wojny rewolucyjnej komunikacje te są zarazem najłatwiejszym objektem działania. Wojsko bowiem poświęca na nie bardzo mało sił, dzięki czemu działania te są względnie łatwe.

Przedewszystkiem zasługiwały na uwagę komunikacje z Warszawy, skąd rozchodziły się we wszystkich kierunkach szosy. Obok tego uwagę należało zwrócić na linje kolejowe, a szczególnie na petersburską, łączącą Warszawę z resztą państwa. Chociaż w tym czasie kolej nie odgrywała takiej roli, jak dziś, jednak w życiu wojennem 1863 roku zaważyła bardzo poważnie. Skutkiem nieopanowania linji petersburskiej mamy zaraz w pierwszym miesiącu przypływ wojsk z zewnątrz Królestwa przy jej pomocy. Dwa pułki jazdy przybyły tą właśnie drogą do Warszawy.

Linje telegraficzne wprawdzie zostały narazie przerwane, jednak w bardzo prędkim czasie zostały one naprawione; i chociaż potem nieraz je przerywano, jednak telegraf stale był w rękach rosyjskich i służył do koordynowania zarządzeń przeciw powstaniu. Tymczasem łatwo możemy sobie wyobrazić, że psucie telegrafu nie sprawiało żadnej trudności; wystarczało zwrócić na to baczniejszą uwagę, aby telegraf wogóle przestał działać.

To samo się tyczy konnych posłańców pomiędzy poszczególnemi oddziałami. Czytając opis wszelkich działań wojennych w tym pierwszym roku powstania, widzimy, jak to psucie komunikacyj między oddziałami odbywało się najzupełniej wypadkowo. Jedyna szosa brzeska, najbardziej opa-

nowana przez powstańców, sprawiała Rosjanom najwięcej kłopotu, bowiem wszelkie komunikacje na niej nadzwyczaj długo nie dochodziły do tej normy, aby działać sprawnie. To też największe zamieszanie po stronie rosyjskiej było na Podlasiu. We wszystkich innych miejscowościach spotykamy ciągłe umowy i porozumienia między różnemi oddziałami, którym powstanie nie stawiało przeszkód. I jeżeli niekiedy te złożone nieraz manewry wojenne Rosjan, zmierzające do otoczenia poszczególnych oddziałów powstańczych, chybiały, to nie jest to wynikiem braku porozumienia, gdyż jednak do tego manewru dochodziło. Tymczasem zwracanie większej uwagi na komunikację i otoczenie wiankiem przeszkód każdego centrum rosyjskiego byłoby zwiększeniem tarcia, któreby niechybnie musiało przedłużyć okres czasu, wolny od działań wojennych.

Przerwanie komunikacji ma zasadniczy wpływ moralny; powoduje brak wiadomości, który działa zawsze demoralizująco na stan głównych kierowników i na wojsko. Gdyby zawczasu było uplanowane działanie przeciw komunikacjom wroga, możnaby było oczekiwać tego, że pierwszy zwrot nieprzyjaciela poszedłby w kierunku zapewnienia sobie łączności wewnętrznej, koniecznej do skoordynowanych działań wojennych. Na to trzebaby było przeznaczyć większe oddziały, a przedewszystkiem musianoby zużytkować kawalerję, musianoby sztafety wysyłać całemi oddziałami i można stanowczo stwierdzić, że czas w tym wypadku — rzecz najdroższa dla powstania — byłby temi walkami, systematycznie prowadzonemi, wygrany. Należało

tylko dla tej pracy wojennej wyznaczyć zawczasu pewne oddziały, które otoczyłyby dookoła wszelkie rosyjskie centra wojskowe. Oto czytamy, naprzykład, w jednym z pamiętników, że przez dziedziniec pewnego dworu przejeżdżali rosyjscy posłańcy wojskowi z Janowa do Lublina. Takich posłańców było bardzo wielu i nietrudno było ich wyłapać, tymczasem tylko wypadkowo te sztafety wpadały w ręce powstańców.

W zarządzeniach powstaniowych jakiegoś planu w tym kierunku nie widać wcale. I bodaj jedyny z wodzów powstania, wojewoda kaliski, Bronisław Rudzki, już po wybuchu powstania, przy pierwszym swym planie działania w województwie kaliskiem, ułożył rodzaj planu izolowania od siebie poszczególnych garnizonów, tak, by im komunikację możliwie utrudnić. Ale plan ten powstał wtedy, gdy już inicjatywa była w rękach wroga, gdy wszelkie kombinacje mogły być przez wroga zniesione, a nie wówczas, kiedy inicjatywa cała spoczywała w rękach polskich i gdy szło przedewszystkiem o przedłużenie czasu utrzymania inicjatywy w swoich rękach. Plan ten pękł najzupełniej z tego powodu, że oddziały rosyjskie rozbijały wszelkie tego rodzaju próby.

Punkt ten uważam osobiście za rzecz bardzo ważną i dlatego chciałbym przedstawić trochę wyraźniej tę akcję, którąby w tym wypadku ze strony powstania mogła być prowadzona, i skutki, jakieby ona za sobą pociągnęła.

Gdy na jakimkolwiek trakcie komunikacja staje się niepewną, wtedy okoliczność zmusza do zabezpieczenia tej łączności. Prowadzi do tego albo

zwiększenie ochrony, eskortującej daną sztafetę, a więc zwiększenie ilości wojska, zużytego na czynności nie bezpośrednio bojowe, albo też lepsze zabezpieczenie punktów, najbardziej zagrożonych. Kiedy wojsko, przeznaczone do bezpośredniej akcji wojennej, jest w ten sposób uszczuplone, łączność będzie mniej szybka, chociaż pewniejsza; w drugim wypadku rozporządzalne siły będą większe, ale bezpieczeństwo komunikacji nie jest w dostatecznej mierze zapewnione. Zmusiłoby to do takiego tarcia wewnętrznego, któreby moment inicjatywy rosyjskiej mogło usunąć na jakiś czas. Uzyskane dni w każdym razie byłyby wygrane.

Wreszcie jedno jeszcze działanie wojenne nadzwyczaj łatwe, nie wymagające większych sił, którego powstańcy powinni byli używać. Tem działaniem są alarmy. O alarmach w pierwszych początkach nie czytamy zupełnie. Później były one, chociaż nieplanowo, czynione. Nastrój zaś nerwowy wojska rosyjskiego po napadach styczniowych był dość silny i alarmy mogły wywołać odpowiednie zmęczenie wojska i niezdolność do orjentowania się w sytuacji; odsuwałyby zatem moment inicjatywy na pewien okres czasu. Jako dowód służyć mogą raporty komendanta fortecy brzeskiej, generała Stadena, posłane 17 lutego do Warszawy, z których wynika, iż nie czuł on się dobrze, że czuł się nieco chwiejnie; żałuje on swego ruchu zaczepnego przeciw Białej, musi specjalnie ubezpieczyć się od urojonych napaści powstańców na twierdzę. Naturalnie, że jeżeli ten stan chwiejności i niepewności jest u komendanta, to tem silniejszy będzie wśród żołnierzy. I ten stan właśnie uniemożliwiał

narazie przedsięwzięcie jakichkolwiek ruchów zaczepnych.

W samej Warszawie zarządzenia wojskowe były takie, że część garnizonu ustawicznie stała w pogotowiu. Były specjalne zarządzenia alarmowe, któreby wojsko uczyniły zdolnem do odparcia jakiegoś nagłego napadu.

W stanie nerwowym ówczesnego wojska fałszywe alarmy musiały wywołać te skutki, co napady rzeczywiste. Musiałyby one opóźnić chwilę inicjatywy ze strony Rosjan.

Z pierwszych działań powstańczych przypominam sobie jeszcze obraz Kielc, kiedy Czengieremu również wydało się, że go mają zamiar atakować. I oto wojsko całą dobę czeka na napad w ostrem pogotowiu. Nazajutrz po takiej nocy zmęczeni żołnierze nie są zdolni do jakichkolwiek czynności zaczepnych.

Nieco obszerniej zatrzymałem się nad temi trzema rzeczami, które, zdaniem mojem, gdyby były rozplanowane zawczasu, mogły niechybnie opóźnić moment przejścia Rosjan do działań zaczepnych, a jednocześnie, dając wygraną czasu, mogły zmęczyć wojsko rosyjskie.

Coprawda, mimowoli przychodzi mi na myśl zła strona takiego postępowania, zwłaszcza w miastach, mianowicie wywoływanie drapieżnego wilka z lasu, prowokowanie załóg miejskich, które zdenerwowane mogłyby wywołać rzezie na ulicach miast. Przecież potem, już w czasie walk planowych, w miasteczkach grabieże były na porządku dziennym, a mieścina, z której padły strzały, bywała potem niszczona. Ale z punktu widzenia wojenne-

go takich skrupułów niema. Na bezwzględność odpowiedzią musi być tylko bezwzględność. Kto jej nie ma, ten musi przegrać.

Inną stroną ówczesnej sytuacji, zapomnianą przez pierwsze zawiązki armji powstańczej, była ich ochrona. Ochrona jest to jeden z pierwszorzędnych działów pracy wojennej. Żołnierz musi być w chwilach, kiedy nie jest zdatny do boju, ochroniony przez części wojska, gotowe w tej chwili do walki. Czy żołnierz spoczywa, czy zajęty jest czemś niewojennem, co absorbuje jego siły i uwagę, musi być chroniony przed możliwym zawsze napadem przez oddziały, zdatne natychmiast do boju. Wojsko improwizujące się, które dopiero się organizuje, wymaga ochrony takiej, jaką powinno mieć w czasie snu. W chwili organizacji nie jest ono zdatnem do natychmiastowego boju i w takich chwilach o jego ochronie zapominać nie wolno. Niewątpliwie nie zapomnieliby o niej ludzie wojskowi, jakimi byli Padlewski, Langiewicz i Lewandowski; u wszystkich tych dowódców musiałaby ona wypłynąć, jako prosta i naturalna konieczność, gdyby oni świadomie przystąpili do formowania zawiązków armji. Zapomnienie o ochronie, chociażby z poświęceniem oddziałów ubezpieczających, i to u wszystkich wodzów, świadczy o nieświadomości u nich myśli formowania armji, do czego zostali oni popchnięci jedynie przez instynktowne i przypadkowe szukanie większej siły bojowej.

Wszystkie te, analizowane przeze mnie a zapomniane wówczas, czynności mogłyby dostatecznie spełniać rolę ochrony organizujących się oddziałów.

trzebaby tylko pomyśleć o stałej komunikacji pomiędzy poszczególnemi ich częściami, o stałej wymianie rozkazów i raportów, aby ludzie, zajęci organizacją, byli powiadomieni o tem, co się dzieje dookoła nich.

I jeżeli zastanawiam się, gdzie jest właściwe źródło błędu ze strony powstania, skąd pochodzi, że ludzie, skądinąd dzielni, rozsądni i niechybnie znający się na wojnie, zapominali nieraz o tych elementarnych, podstawowych wiadomościach wojennych, to muszę stwierdzić, że jedynem źródłem jest najzupełniejsze nieużycie się w te warunki, w jakich powstanie znajdzie się po wybuchu, najzupełniejsze nieprzedstawienie sobie, czem będzie powstanie po 22 stycznia, najzupełniejsze niezdawanie sobie sprawy z tych warunków, w których wojna będzie toczona. Ta wielka łatwość, z jaką wówczas przechodzono od zera do armji, z jaką przeskakiwano przez ogrom przeszkód, stojących na drodze do wytworzenia armji, oto jest błąd zasadniczy ówczesnego pokolenia i jego przewódców.

Bo że tak lekko przez te trudności przeskakiwano, świadczy najwymowniej łatwość, z jaką rozwiązywano kwestję naczelnego dowództwa za pomocą dyktatury. Mamy już w samym początku wyznaczoną zgóry dyktaturę Mierosławskiego, który z Paryża ma dopiero przyjechać; prawdopodobnie przypuszczano, że, zebrawszy wielką armję, będzie mógł sprawować dyktaturę rzeczywistą, a nie operetkową. Mamy potem znów tę łatwość w przyjęciu dyktatury przez Langiewicza; druga dyktatura, gdzie dyktator panuje nad kilkoma morgami lasu, gdzie co najwyżej przenosi się on z jed-

nego lasu do drugiego i panuje na długość swoich kos. Ta dyktatura operetkowa, która tak łatwo w głowach ówczesnych ludzi powstawała, świadczy o tem, że warunki wojny całkiem inaczej sobie wyobrażano, że nie przewidywano tych ciężkich okoliczności, w jakich powstanie znalazło się zaraz po wybuchu.

Na tej kwestji, dość zasadniczej, dość poważnej dla zrozumienia wojny 1863 roku, zatrzymam się jeszcze wtedy, gdy przejdziemy do ostatecznych wyników, kiedy postaram się zespolić wszystkie te myśli, jakie wywołują we mnie ówczesne działania. Wskazuję tu tylko na nie, jako na główne źródło tych błędów.

Przejdźmy jednak do faktów, ilustrujących wyżej omówione sprawy.

W dziesięć dni po wybuchu rozpoczyna się inicjatywa ze strony Rosjan. Ze wszystkich centrów wyrusza wojsko, narazie w celu zrobienia poszukiwań, sprawdzenia wiadomości. Są to właściwie oddziały wywiadowcze, które nawet były formowane jako takie. A więc są to oddziały o niewielkiej sile, nieodpowiadającej stanowi garnizonów, jakie istnieją w tem czy innem miejscu; są to oddziały, liczące najwyżej parę kompanij, pół szwadronu jazdy, niekiedy jedną lub dwie armaty.

Niektóre z tych oddziałów spotykają przeciwnika w stanie takiej słabości, że z nim te niewielkie siły mierzyć się mogą, ale nietylko mierzyć, lecz nawet go zwyciężać. Oto pierwsze wrażenie, jakie

wróg otrzymuje o tej dość przesadnej sile powstania, o której dotąd dochodziły do niego tylko pogłoski. Wszędzie te małe oddziały zmuszają powstańców do odwrotu, gdzieindziej nawet ich zwyciężają.

WYKŁAD ÓSMY

14 maja 1912

Pierwszą czynnością bojową ze strony rosyjskiej, było — jak powiedziałem — wysłanie oddziałów wywiadowczych bardzo nielicznych. Oddział niewielki, liczący 2 do 3 kompanij piechoty, ½ szwadronu kawalerji, kilka armat — oto jakie siły wychodziły zrazu na spotkanie powstania. Wszystkie te pierwsze zetknięcia dały zwycięstwo Rosjanom; plac boju zostawał stale w ich ręku. Jedynie w obozie ojcowskim odniesiono sukces, lecz tam do starcia nawet nie doszło i Rosjanie cofnęli się zpowrotem do Miechowa.

Ten zgoła niespodziewany skutek wywiadów nie mógł nie dać Rosjanom przekonania o ich własnej sile; z jednej strony musiał on wpłynąć demoralizująco na stan moralny powstania, z drugiej — podnieść stan moralny wojska moskiewskiego. Odtąd próba inicjatywy rosyjskiej, niedostatecznie odparta przez Polaków, pozostaje najzupełniej niepodzielnie w ręku Rosjan. Ostatnie resztki inicjatywy polskiej są to napady, wykonywane jeszcze przez niektórych dowódców. Te napady są wielką rzadkością, a dowodzą one, że u tych właśnie dowódców idea walki i nadzieja zwycięstwa nie wygasła, że oni moralnie poczuwali się do pewnej siły; to też z wielką przyjemnością je wymienię, tem bar-

dziej, że historja dotychczas je lekceważyła. Taką właśnie akcją zaczepną polską były: Jeziorańskiego napad na Rawę, napad udany, w którym Rawa zostaje zdobyta; napad Kurowskiego na Miechów, choć nieudany, lecz świadczący o tem, że Kurowski miał w sobie rozpęd i chęć utrzymania inicjatywy w swem ręku. Tutaj zwrócę uwagę, że obaj oni w noc styczniową nie brali najzupełniej udziału, że ich duch pewności siebie nie przebył próby ogniowej w noc styczniową. Tem większa zatem zasługa musi być tych, którzy, przeszedłszy próbę, mieli dość siły, by wojnę zaczepną prowadzić.

Do takich wyjątków należą Rogiński i Lewandowski. Po zebraniu wojska w Siemiatyczach Rogiński zdobywa Prużany, idzie dalej w głąb Litwy, zagraża Pińskowi i do końca istnienia swego oddziału na Litwie działa zaczepnie, jako świetny partyzant. Lewandowski, cofając się na Podlasie, również zachowuje się ofenzywnie i wykonywa napad na szańce przedmostowe pod Woskrzenicami, bijąc Rosjan i napędzając strachu dowódcy twierdzy brzeskiej, generałowi Stadenowi.

Pominąwszy jednak te cztery wypadki chęci utrzymania inicjatywy w swem ręku, już nie znajdujemy u Polaków siły ducha, zdolnego do postawienia na kartę zwycięstwa. Stale widzimy poddawanie się temu, co wróg przedsięweźmie, uleganie jego inicjatywie.

Jak widzimy zatem, owe dziesięć dni, a dla niektórych więcej, ta cała ilość czasu okazała się zupełnie niedostateczną, by wytworzyć odpowiednie siły nietylko dla zwyciężenia wroga, ale nawet często i dla jego odparcia. Czas ten nie wystarczył

również, aby w sobie wytworzyć dosyć pewności siebie, by dalej prowadzić wojnę zaczepną. Już było w tem poczucie słabości, które nie pozwala na zaczepienie nieprzyjaciela; już był brak nadziei w zwycięstwo, który nie pozwala iść naprzód.

Okres tworzenia armji na Podlasiu, w Płockiem i na południu pod Langiewiczem, to słabe próby, wyglądające w istocie tak, że nie dawały dowódcom prawa podejmowania inicjatywy. Bo jeżeli przyjrzymy się tym oddziałom pod różnemi względami, to niechybnie przyjdziemy do wniosku, że trzeba było nadzwyczajnej siły woli, by zdobyć się w tych warunkach na inicjatywę.

Największe skupienie było u Langiewicza, który w najwyższym okresie rozwoju liczył nie więcej nad 3000 ludzi. Lewandowski na Podlasiu w chwili największego skupienia miał dwa tysiące kilkaset. Padlewskiego siły na północy nie dadzą się ściśle określić, gdyż trzymał się on innego systemu: nie skupiał armji w jednem miejscu, lecz organizował oddziały w różnych powiatach. Jednak, o ile przeliczymy całość sił Padlewskiego, to dojdziemy do cyfry trochę większej, niż 3000. Jeżeli na całej przestrzeni reszty kraju siły polskie określimy na 3000, to będzie bardzo dużo. Wobec tego ze strony powstania mamy maximum 15000 ludzi. Jest to siła zbrojna, którą kraj mógł wystawić. Gdyby wiara w ruch zbrojny była większa, to niechybnie i ta siła byłaby znacznie liczebniejsza. Cyfra powyższa świadczy o bardzo niskim poziomie pewności siebie po stronie polskiej.

Jeżeli przejdziemy do uzbrojenia, to wyglądało ono jeszcze gorzej. Skutkiem braku przygotowań

ze strony Centralnego Komitetu broń dopiero była w drodze z krajów dalekich. Brakło też amunicji. Wobec tego powstańcy w pierwszym okresie byli uzbrojeni bardzo licho, przeważnie w kosy. Broń palna była bardzo marna, przeważnie myśliwska, i zaledwie do Langiewicza doszły pierwsze transporty sztucerów zagranicznych, nieustępujących broni rosyjskiej.

Temu stanowi uzbrojenia oraz stanowi liczebnemu odpowiadał również stan organizacyjny nadzwyczaj słaby, który z oddziałów nie wytworzył spoistego, jednolitego organizmu. Mówiłem już o intrygach wewnętrznych. Obok tego w samej organizacji zaufanie wzajemne było bardzo nikłe. Jeżeli weźmiemy pewne jej przejawy, to znajdziemy, naprzykład, fakt, że po bitwie grochowiskiej oddział, z powodu braku spoistości, rozsypuje się. Każda praca wojenna w takich warunkach dezorganizowała.

Przejdźmy teraz do analizy liczby sił rosyjskich, wystawionych dla stłumienia powstania. Z liczb, jakiemi rozporządzamy, można również wnioskować o względnie słabej potędze strony polskiej. Najwięcej wojska wystawiono dla zwalczenia Langiewicza. Brało ono udział w bitwie grochowiskiej. Są to trzy bataljony, pięć szwadronów i sześć dział. Razem trzy tysiące kilkaset ludzi. W porównaniu do stanu liczebnego wojsk, stojących w Królestwie, mamy na południu największe ich skupienie, które absorbuje jedynie trzydziestą część całej armji. I ta znikoma część armji daje sobie radę z największem skupieniem powstańczem. Coprawda, bitwa grochowiska skończyła się dla Rosjan niepomyślnie,

gdyż mimo, że Polacy nie mieli armat, zostali oni, dzięki niedołężności wodzów swych, pobici. Ale jeżeli spojrzymy na to, co się dzieje po bitwie, to znajdziemy z jednej strony armję pobitą, która się skupia i gotuje do nowej akcji zaczepnej, z drugiej zaś strony armję zwycięską, która nazajutrz nie jest zdatna do boju. Nic zatem dziwnego, że nazajutrz pobici Rosjanie doprowadzają do ostatecznego rozproszenia cały zwycięski oddział powstańczy.

Wspomniane tu przeze mnie trzy główne skupienia polskie odpowiadają również poprzedniemu planowi. Większych skupień gdzieindziej, gdzie nie było przygotowań wojennych, i teraz w całym tym okresie nie posiadamy. Próba pewnego rodzaju, wobec przyjazdu Mierosławskiego, była uczyniona na północnym zachodzie Królestwa; wspominam o niej jedynie dlatego, że sam Mierosławski nie może być pominiętym w historji militarnej powstania, bo siła tego skupienia, jak i kilkudniowy okres pobytu Mierosławskiego na terenie Królestwa, nie zasługują najzupełniej na porównanie z tamtemi oddziałami. Jest to raczej jeden z epizodów, których dość było i na innych terenach; jeden z tych epizodów, które nietylko nie powodują systemów w sytuacji na terenie okolicznym, ale wogóle nie zostawiają na nim śladu widoczniejszego.

W drugiej połowie marca wszystkie pierwsze przygotowania powstańcze zostają ostatecznie rozbite. Znika Langiewicz ze swoim oddziałem, ginie Lewandowski z oddziałem i giną siły Padlewskiego. Myśl tworzenia większych związków, która do-

tąd bezwiednie rodziła się u ludzi, a w której jeszcze tkwiła nadzieja zwycięstwa, myśl ta, w której widzimy jeszcze dalszy rozpęd pierwszego rzutu, zostaje od połowy marca złożona w archiwum. Myśli wojennej dalej w powstaniu niema; powstanie przeradza się w manifestację i demonstrację zbrojną, której dzieje są bardzo ciekawe, ale której właściwie wojną nazwać już nie można.

O losach tej demonstracji, o pewnych charakterystycznych jej cechach powiem w następnym wykładzie. Tutaj chcę wyjaśnić, że jeżeli zatrzymałem się tak długo na pierwszym okresie i dążyłem do przykucia uwagi do tych pierwszych prób, to zrobiłem to dlatego, że one jedynie są czemś w rodzaju wojny, one jedynie są nacechowane jakąś nadzieją zwycięstwa, one jedynie są rzeczywistem przeciwstawieniem się sile rządowej; wreszcie dlatego, że wszystkie złe strony, wszystkie wady i słabości w tym właśnie pierwszym okresie mają swój początek i w nim dają się jasno określić. Cała podstawa słabości powstańczej już nie ustąpi i sytuacja powstania nie poprawi się w przyszłości, mimo, że nadeszła większa ilość broni, pomimo, że w dalszych walkach ludzie nabierają doświadczenia, stają się istotnie żołnierzami. Już tej słabości, idącej z pierwszych błędów, powstanie z siebie nie zrzuci.

Dlatego też ten pierwszy okres jest właściwie dla powstania decydujący; można było w nim albo wywalczyć w sobie możliwość prowadzenia dalszej wojny, albo też zginąć. Niewątpliwie można było zdobyć podstawy dla dalszych działań wojennych. Z chwilą, gdy powstanie tego nie uczyniło, sprawa jego pod względem wojennym została przegraną.

To samo się dzieje i dziać będzie z każdą rewolucją. Pierwsze początki jej są decydujące, albowiem podstawą rewolucji jest tylko wiara. Gdzie wiara jest poderwana, tam nie może być mowy o zwycięstwie. Wiara była w początkach powstania; mógł jej nie mieć Padlewski, kiedy szedł ginąć; mogli jej nie mieć poszczególni dowódcy, ale mieli ją wszyscy spiskowi, ona trwała, dając spiskowym możność prowadzenia wojny z nadzieją i myślą zwycięstwa. Z chwilą, kiedy wiara została podcięta, kiedy pierwszy krok wykazał słabość, kiedy wszystkie pierwsze próby dają przewagę nieprzyjacielowi, wyjątkowe tylko wypadki i siła moralna dać mogły podniesienie moralne rewolucji.

Jeżeli zatrzymałem się na tym pierwszym okresie tak długo, zrobiłem to najzupełniej rozmyślnie, gdyż tu była kuźnia tej myśli wojennej, która ma nadal trwać w Polsce. Tu ważyły się losy powstania.

Streszczając pierwszy okres, przypomnieć muszę, co się złożyło na ten nieszczęsny stan powstania, na owe poderwanie wiary i nadziei na zwycięstwo, z powodu wadliwych przygotowań i wadliwego prowadzenia sprawy w jej początkach.

Przedewszystkiem więc znajdujemy powstanie militarnie nieprzygotowane. Widzimy dbanie bardzo usilne o rozwój ducha, moralu, nadzwyczaj zaś małą dbałość o to, co jest techniką. Mamy bardzo małe przygotowania pod względem przerabiania materjału ludzkiego, mamy bardzo niewielkie przygotowanie pod względem broni, mamy wreszcie plany, nieoparte na rzeczywistych warunkach. Skutkiem tego stanu z chwilą sprowokowania ru-

chu zbrojnego przez rząd, do czego każda rewolucja musi być przygotowana, mamy uderzenie polskie nader słabe, nader mało podrywające moralną siłę nieprzyjaciela, a raczej zostawiające ją prawie nietkniętą, mamy uderzenie, niedające wyników, któreby nazwać można było zwycięstwem. Wobec zaś tego, że ówcześni powstańcy wyobrażali sobie wojnę i warunki wojenne całkiem inaczej, niż okazały się one w rzeczywistości, mamy natychmiast po tem słabem uderzeniu powszechną dezorjentację, mamy rozchwiane i zepsute nawet te początki organizacji wojennej, które zostały założone w okresie przygotowawczym.

Powstanie zastaje brak myśli kierowniczej nietylko w Warszawie, jako głównem centrum kraju, lecz i w ośrodkach władzy prowincjonalnej; skutkiem tego myśl wojenna idzie na łaskę losu, rozpryskuje się na tyle kierunków, ilu jest dowódców, przez co do szeregów polskich wkrada się dezorganizacja, która najbardziej osłabia już i tak najsłabszą stronę każdej armji ochotniczej, mianowicie jej spoistość organizacyjną i pewność siebie, zaufanie do dowódców i odwrotnie.

Powstanie ówczesne nie wyobrażało sobie realnie tych warunków wojny rewolucyjnej, w których z konieczności znaleźć się musiało, nie obrachowało ono należycie niezmiernie doniosłego czynnika wojennego, jakim jest rozgospodarowanie się nieprzyjaciela w kraju, przez co nie wzięło w rachubę faktu, że nawet najbardziej powstańcze usposobienie ludności potrzebuje czasu, by wyjść ze stanu niewoli do stanu walki; dzięki tym błędom nie zostały ze strony powstania przygotowane

wszelkie sposoby do wygrania możliwie wielkiej ilości czasu w pierwszym okresie. Skutkiem tego zaś, że powstanie po pierwszem uderzeniu miało zbyt mało czasu, wytwarzają się w początkowym okresie tak małe siły, że w walce z równie małemi siłami rosyjskiemi uległy one rozdarciu; przez to wiara i nadzieja na możliwość odniesienia zwycięstwa swojemi własnemi siłami znikła, a tem samem rewolucja została w korzeniu swoim poderwana.

Następuje więc drugi okres wojny, który właściwie wojną już nie był. Jest to wojna tylko pod względem technicznym, trudno jednak nazwać wojną działanie, które jedna ze stron prowadzi nie dla zwycięstwa. W tych warunkach, w jakich powstanie istniało, wojna przeradza się w manifestację zbrojną, idzie tu bowiem jedynie o wywarcie wrażenia, o cele postronne, — nie o samą wojnę, lecz o pewną politykę. Więc dla stronnictwa „białych" będzie to manifestacja zbrojna, robiona dlatego, by wywrzeć wrażenie na gabinety zachodniej Europy, by wywołać w ten sposób interwencję zbrojną mocarstw. Jeżeli weźmiemy stronnictwo demokratyczne, tak zwanych czerwonych, to i w tem stronnictwie powstanie stało się manifestacją, robioną dla tłumów włościańskich, by przygotować je moralnie do walki zbrojnej, zbliżyć i doczekać się owoców tej przemiany w postaci powszechnego poruszenia ludowego.

Mamy więc wojnę, której celem jest trwanie i to trwanie możliwie bez strat. Oto do czego doprowadził system wojny, w którym inicjatywa najzupełniej spoczywa w rękach Rosjan, nigdy nie przechodzi do rąk polskich (jeżeli pominiemy parę zaledwie wypadków ruchu zaczepnego ze strony pol-

skiej); w którym za zwycięstwo uważane będzie jedynie odparcie wroga i szczęśliwe wycofanie oddziału bez rozsypki; w którym bitwy przybiorą charakter bojów arjergardy, kiedy z jednej strony będzie pościg, z drugiej ucieczka.

Oto jest ten nowy okres walki, jako zbrojnej manifestacji, walki, zrodzonej w niewierze, której już zwycięstwo własne nie przyświeca.

O ile zastanowimy się nad taktyką i sposobem walki ze strony Rosjan, to przedewszystkiem zwracają uwagę skargi i narzekania na bezwzględność prowadzonej wojny, na okrucieństwa wojenne, popełniane na ludziach bezbronnych. Jest to jednak system wojny, sposób wojowania, którym zawsze muszą się odznaczać wszelkie wojny domowe. Bezwzględność nieprzyjaciela, chęć szybkiego zakończenia wojny, sterroryzowanie ludności — oto jest jego racjonalna taktyka. Z punktu widzenia wojennego nie wolno na to narzekać, gdyż zawsze tego spodziewać się należy. To jest sposób wojenny, którym każdy, czy to będzie Rosjanin, czy Anglik, wszędzie i zawsze będzie dusić rewolucję. Sentymentalizm, który gwałtuje o te rabunki, nie jest na miejscu, gdy rozważa się sprawy wojny. Jest to bowiem sposób, za pomocą którego oddziaływa się na stan moralny ludności. Każda rewolucja otoczona jest najrozmaitszemi przejawami moralnej siły, która stanowi właściwą jej podstawę. I czyż można wymagać od przeciwnika, by on na tę właśnie siłę nie zwrócił uwagi? Bezwzględność stanowi wojenny sposób, skuteczny dla zwalczania rewolucji, i brak jej mógłby zawsze być postawiony jako zarzut złego sposobu wojowania.

WYKŁAD DZIEWIĄTY

15 maja 1912

W zeszłym wykładzie mówiłem o systemie bezwzględności wojennej, jaki był zastosowany przez Rosjan. Że strony polskiej nie umiano przeciwstawić odpowiedniej bezwzględności. Polacy cofali się przed tą koniecznością wojenną i stąd nawet celowość tej metody musieli Rosjanie rozumieć. Wkrótce po pierwszych wypadkach niszczenia wiosek i miasteczek wyszedł rozkaz Rządu Narodowego, aby dowódcy starali się unikać wszelkich bojów przy miastach i wsiach. Z tego powodu dowódcy nieraz musieli przyjmować bitwy w miejscach nieodpowiednich, często musieli się wycofywać z zajętych już pozycyj, pomimo, że te wsie i miasteczka dawały dogodniejsze pozycje dla silnej obrony. Ta bezwzględność Rosjan byłaby niechybnie słabsza, gdyby Polacy przedstawiali odpowiednio wielką siłę i gdyby swojem cofaniem się nie dawali świadectwa swej słabości. Na wojnie na bezwzględność jedynie odpowiadać można bezwzględnością. Strona wahająca się okaże się zawsze słabszą w działaniach.

Przy analizie taktyki wojennej Rosjan uderza, że przeważnie starali się oni skoncentrować ruch

różnych kolumn wojska do pewnego punktu środkowego, w którym przypuszczano istnienie siły polskiej. Ruchy te przedsiębrano na podstawie porozumienia, które świadczy o tem, że komunikacje rosyjskie nie były odpowiednio zagrożone przez siły powstańcze, nie było odpowiedniego przeciwdziałania skombinowanym ruchom rosyjskim. System powyższy należy również do tych, jakie stosować można tylko przeciw słabszemu przeciwnikowi, albowiem każda kolumna zosobna jest słabszą od nieprzyjaciela; siłę znacznie większą dają dopiero wtedy, kiedy są zebrane razem. Wobec tego oddział, poczuwający się do pewnej siły, ma możność wyjścia z takiej pozycji za pomocą bicia poszczególnych kolumn. System ten był w swoim czasie zasadą działania Napoleona, który nim świat cały przeszedł. Lecz na to zdobyć się można jedynie w poczuciu siły. W poczuciu słabości, jak to bywało u Polaków, ratowano się wymknięciem się z tej sieci. Nie było to znowu tak trudnem i zwykle się udawało.

Ze strony rosyjskiej innego systemu chwytać się nie można było z tego względu, że ludność odmawiała pomocy w służbie wywiadowczej; wprost przeciwnie, nieraz naprowadzała na fałszywe tory oddziały rosyjskie lub odmawiała wyjaśnień. Stąd wojsko musiało chwytać się tych środków. W wojnie angielsko-burskiej, naprzykład, mamy także kolumny, idące dośrodkowo ku pewnym centrom. Tak samo Burowie, jak w 1863 roku Polacy, względnie łatwo wyślizgiwali się z tych sieci nieprzyjacielskich.

Po tym pierwszym okresie, którego analizie poświęciłem więcej czasu, następuje to, czego, jakby się zdawało, powstanie oczekiwało. Następuje wzrost sił, wzmocnienie stanu ilościowego jakością materjału żołnierskiego, następuje jakby zwiększenie potęgi, którą przedstawia powstanie. Jeszcze zatem trzy tygodnie przetrwania okresu bez rozbicia tych wszystkich usiłowań i próba tworzenia armji dałaby niechybnie wzrost potęgi jej zawiązków w porównaniu z tem, co się stało w początkach marca; tu właśnie widzimy, jak ważną była kwestja czasu, o której poprzednio mówiłem.

Coprawda, przybytek sił nie idzie z tej strony, z której spodziewali się go kierownicy. Zwiększenie to powstaje wskutek przystąpienia do rewolucji stronnictwa umiarkowanego, które, dzięki nadziejom na interwencję mocarstw, schodzi z chwiejnego stanowiska, stając otwarcie po stronie rewolucji. Dzięki temu, że była to warstwa majętniejsza i inteligentna, wzrasta potęga rządu cywilnego, który swoją siecią obejmuje cały kraj, który wszędzie ma swoich przedstawicieli, umiejących nakazać sobie posłuszeństwo, który wreszcie staje się tym rządem, którego ani złapać, ani uchwycić nie można.

Z drugiej strony pomoc przychodzi z Galicji i Poznańskiego, gdzie nadzieje polityczne na interwencję są jeszcze żywsze i gdzie łatwiejszem jest przygotowanie się do walki, niż na terenie Królestwa. Stąd nadchodzi pomoc w ludziach i broni. Odtąd oddziały powstańcze są znacznie lepiej uzbrojone, niż w pierwszym okresie. Już

teraz nie będziemy widzieli ogromnej przewagi ludzi nieuzbrojonych, uzbrojenie większości powstańców dorównywa jakością nieprzyjacielowi. Oddziały zaczynają liczyć do połowy uzbrojonych w sztucery i karabiny. W ustawicznej akcji wytwarza się prawdziwe rzemiosło żołnierskie; ludzie zyskują doświadczenie. Wreszcie zaczyna się dopływ sił fachowych, oficerów armij rosyjskiej, austrjackiej i pruskiej; nadto dość znaczny jest przypływ emigracji z zagranicy. Mamy więc warunki, w których powstanie znacznie lepiej czuć się mogło i przedstawiało znacznie większą potęgę.

Lecz powstanie, jak skorupka w młodości nasiąkła, przeniknięte dezorganizacją, kiedy w samych początkach wiara i nadzieja zostały w niem poderwane, nie zdołało się już z konsekwencyj pierwszych swych kroków wyzwolić. Przedewszystkiem ogromny brak kierownictwa wojennego pozostaje w całej sile, a nawet jeszcze bardziej daje się odczuć. Warszawa i ośrodki wojewódzkie tego kierownictwa w ręce swoje nie biorą. Istnieje, coprawda, Wydział Wojny, lecz zajmuje się on bardziej załatwianiem spraw bieżących administracyjnych, nominacjami, dostarczaniem broni, amunicji, mundurów *et cetera;* wydział ten zajmuje się całą kancelarją wojenną, a nie kierownictwem wojny w ścisłem jego znaczeniu.

Kierownictwo to próbują wziąć w swe ręce poszczególni wojewodowie. Jedni chcą zebrać całe siły zbrojne województwa w jednem miejscu, jak, naprzykład, w Sandomierskiem czy Lubelskiem. Nie doprowadza to do niczego. Zebranie w jed-

nem miejscu większej siły ściąga natychmiast uwagę wroga, który zmusza zebrane już oddziały do ponownego rozproszenia.

Z drugiej strony nawyczki do anarchji, uważanie oddziału za własność dowódcy, biorą górę, wytwarzając tarcia tak silne, że oddziały, raz zebrane, rozpryskiwały się na tyle części, ile ich było poprzednio.

Wojewoda mazowiecki, pułkownik Callier, organizując swoje województwo, sam na czele oddziału konnego przebiegał województwo, biorąc władzę nad poszczególnemi partjami na pewien czas i wkrótce rzucając je, aby iść gdzieindziej, a jednocześnie osłaniając w ten sposób rozdrobnione swoje siły ruchomemi oddziałami jazdy.

Lecz teraz wszystkie wysiłki pryskają dlatego, że wróg ma inicjatywę i każdy plan rozbija swojem działaniem, któremu przeciwstawić się strona polska nie jest w stanie. Widzimy zatem, jak myśl wojenna zostaje znowu bez kierownictwa, jak wyrabia się w kilkudziesięciu głowach dowódców, pozostawionych samym sobie. I oto myśl ta, jak mówiłem poprzednio, w ogólnym zarysie brzmi: trwać. Jedni będą mówili o przyszłej interwencji zbrojnej mocarstw, inni będą oczekiwać powszechnego powstania ludu. W owem trwaniu system wojny jest narzucony przez tych, którzy mają inicjatywę, którzy są, że tak powiem, na ręku, mając pierwsze wyjście, — przez Rosję. Do tego systemu walki przystosowują się w różny sposób Polacy. A wobec tego, że każdy oddział czuje się słabym, przeważnie jest to sy-

stem marszów, system uciekinierstwa, który nuży wojsko, doprowadzając do tego, że każdy oddział w marszach traci od dezercji więcej, niżby stracił w najokrutniejszej walce. Oddziały po miesiącu takiego działania zostają zniszczone nie bojem, lecz nadmiernym trudem.

Mistrzem w tym wypadku niedoścignionym był stary Czachowski, który wytrzymywał w najcięższych warunkach w województwie sandomierskiem. Stanowił on ze swoim oddziałem długo jedyną siłę na przestrzeni dwóch województw i na tej przestrzeni odgrywał rolę wilka, pędzonego przez lasy i knieje. Był to bowiem jedyny może wódz, który walczył naprawdę ze znajomością terenu.

Rzadko więc będziemy w tym okresie spotykali boje, przyjęte z premedytacją, z postanowieniem zwycięstwa, boje przygotowane. Wszystkie one noszą cechę przypadkowości, bezmyślności. Nad wszystkiem króluje nie siła, lecz ślepy traf. Rzadkie są walki, przyjęte z rozmysłem, i te doprowadzają zawsze do najdłuższych, najkrwawszych starć, które przynoszą zaszczyt młodemu wojsku. Takim, naprzykład, jest bój pod Ignacewem, przyjęty po długich marszach przez generała Taczanowskiego. Był to jeden z bojów najkrwawszych w 1863 roku. Drugim jest dwukrotny bój, stoczony przez generała Jeziorańskiego pod Kobylanką, gdzie, dzięki dobrze wybranej pozycji i umiejętnemu zastosowaniu fortyfikacji, dwa razy odparto Rosjan, przyczem raz wzięto nawet ich artylerję. Trzecim jest bój, toczony pod wodzą Józefa Trąmpczyńskiego w Płockiem

dwa dni przez małą garstkę 200 ludzi przeciw 1500 z czterema armatami, któremi przez dwa dni bombardują stanowiska powstańcze, by potem odejść ze wstydem. Te boje, przyjęte z postanowieniem walczenia, również pozwoliły wprowadzić system fortyfikacji.

Jeżeli rzadkiemi były wypadki przyjęcia boju z rozmysłem, to jeszcze rzadszą była decyzja walki zaczepnej, rzucanie się do walki agresywnej. Na tę siłę, na tę odwagę wobec poczucia własnej słabości zdobywali się bardzo nieliczni. Tem przyjemniej mi tutaj oddać cześć ich imieniu. Do takich należeli Ignacy Mystkowski w województwie płockiem, który śmiało rzucał się na najsilniejszego wroga, i Zygmunt Chmieliński w województwie sandomierskiem, który z zasady szedł naprzód wstępnym bojem; do takich należał i Kruk-Heydenreich, który stoczył słynny bój pod Żyżynem, odnosząc najpełniejsze zwycięstwo w ciągu powstania, zwycięstwo zupełne, zadające oddziałowi rosyjskiemu absolutną klęskę. Inni próbowali niekiedy zaczepnych bojów, napadając na poczty, na magazyny, na patrole, nie prowadzą wszakże bojów w większym stylu.

Najrzadszemi jednak były te walki, które mogłyby dać największe powodzenie, walki, połączone z manewrem oddziałów, złączonych ze sobą jedną myślą, według jednego planu. Do tego poziomu wojny powstańcy z powodu dezorganizacji nie dorośli zupełnie. Nie było komu nakazać tych skomplikowanych manewrów, nie było autorytetu, któryby zmusił oddziały do tego. W każdej chwili wypowiadano posłuszeństwo.

Był to zbiór oddziałów, nie mających ufności do siebie. A jednak te rzadkie wypadki koordynacji dawały zawsze piękne rezultaty. Takiem, naprzykład, działaniem są działania wspólne Younga i Ludwika Oborskiego, którzy wspólną akcją, wspólnym manewrem nietylko rozbili, lecz wyrzucili za granicę państwa dość silny oddział rosyjski. Działo się to na polach Nowej Wsi. Lecz już nazajutrz po tem zwycięstwie oddziały te się rozpryskują z powodu niechęci poddania się pod ogólne kierownictwo, gdyż wodzowie pogodzić się nie byli w stanie. Tak samo bitwa drążdżewska została wygrana przez Trąmpczyńskiego nie jego własnemi siłami, lecz dlatego, że nadeszły na tyły przeciwnika inne oddziały powstańcze.

Jeżeli przebiegniemy historję powstania, to z wyjątkiem tych dwóch bitew oraz pewnych prób bezskutecznych, podejmowanych przez Heydenreicha i Czachowskiego, nie znajdziemy innych tego rodzaju wypadków. Można stąd wnosić, jak daleko sięgała dezorganizacja i jak mocno utrwalił się brak kierownictwa w powstaniu.

Jeżeli idzie o cyfry, to dają one siłę oddziałów już znacznie mniejszych, niż w pierwszym okresie. Zbiorowiska większego, zaczątków armji już nie znajdziemy. Siły nawet zlanych oddziałów rzadko dojdą do 2000, najczęściej są mniejsze niż 1000.

Uzbrojenie jest znacznie wyższem. Sztucerami i karabinami, zdobytemi na powstańcach, zbrojono w broń palną kozaków. Jeżeli broni nie było poddostatkiem, to jednak jej nie brakowało w ten sposób, jak w pierwszym okresie. Jeżeli

było czego brak, to tylko amunicji i to było nieszczęściem tego okresu. Trudność dostarczenia dostatecznej ilości amunicji, zabezpieczenia składów, trudność obciążania się taborami zaciążyła bardzo na losach powstania w tym okresie. To też bardzo często spotykamy się z faktem, że oddziały, mając nawet dobrą broń, stawały się bezbronne, zostawały właściwie z pałką w ręku.

A teraz cyfry ogólne: obliczam, że w sierpniu, kiedy siła liczebna powstania stała najwyżej, wynosiła ona 30000. Na to Rosjanie, zwiększając cyfrę wojska, wystawili mniej więcej 180000. Mamy więc w porównaniu z niewielką armją polską sześciokrotną przewagę dobrze uzbrojonego wojska, któremu nigdy nic nie brak. I jeżeli się zapytamy, skąd pochodzi to zjawisko, że z tak znikomą siłą ta wielka armja tak długo rady sobie dać nie mogła, to jedynem wytłumaczeniem jest niesłychana moc, jaką wytworzyło powstanie w swojej organizacji cywilnej. Bez osłony, bez opieki tej organizacji, która, jak czuła matka, otaczała każdy oddział ciągłą troską, która poświęcała swoje siły na to, by nad nim czuwać, gdy oddział spoczywa, by mu dostarczać wiadomości, jedzenie i temu podobne, bez tej pomocy powstanieby nie wytrzymało dwóch miesięcy. Tylko ta sprężystość rządu niewidzialnego, niedającego się pochwycić, mającego tak ogromną powagę moralną wśród wszystkich, ratowała trudną sytuację powstania. Tylko dzięki tej organizacji mogło ono trwać tak długo.

W końcu 1863 roku przychodzi do władzy centralnej — niestety, zbyt późno — człowiek, który

swoją potęgą woli, swoją umiejętnością rządzenia potrafił utrzymać powstanie i to przez najtrudniejsze, bo zimowe miesiące. Był to jedyny w powstaniu dyktator faktyczny, który na swoich barkach zdołał je jeszcze przeciągnąć ku wiośnie. Był nim generał Romuald Traugutt. O jego ostatnich próbach reformy wojennej powiem w następnym wykładzie.

WYKŁAD DZIESIĄTY

17 maja 1912

Już z chwilą nastania zimy 1863 roku warunki klimatyczne zmuszały do zmniejszenia rozpędu wojennego, tem więcej, że rozpęd ten stanowczo coraz bardziej z natury swej malał. W październiku przybywa do Warszawy Traugutt, który wziął władzę w swe ręce i swoją nadzwyczajną energją zdołał podtrzymać powstanie aż do wiosny 1864 roku. Jego rządy była to jedyna dyktatura realna. On jeden faktycznie panował, stojąc na czele rządu cywilnego w Polsce. Był to zarazem po Padlewskim pierwszy wojskowy, który stał na czele rządu, -- wojskowy, który doświadczenie swe zyskał w kilku wojnach, jakie Rosja od 1849 roku wiodła. Nic dziwnego, że musiał on zwrócić uwagę na dezorganizację, jaka się wkradła do całego kierownictwa wojny. To też zaraz po objęciu rządów próbuje reformować stan rzeczy, wprowadzając ład i porządek, z drugiej strony próbuje nadać pewne ogólne kierownictwo wojnie.

W kwestji organizacji stara się on zbudować istniejące oddziały na podstawach armji regularnej. Więc dzieli oddziały na bataljony, szwadrony *et cetera,* które oddaje pod komendę oficerom, dzieli całość na korpusy, których tworzy

cztery i w ten sposób stara się nadać wojnie trwałą hierarchję, którąby uniemożliwiała oddziaływanie zgubnych czynników dezorganizacji. Jego próba ożywienia ruchu polegała na tem, że surowo w imieniu Rządu zabraniał rozpuszczać oddziały, zabraniał tak zwanego uciekinierstwa za granicę, które weszło w krew i życie powstania. Specjalnym dekretem Rządu skazywał na infamję i wyrzucenie oficerów, którzyby tym prawom poddać się nie chcieli.

Wreszcie wprowadził sanację w galicyjskich i poznańskich oddziałach. Oddziały te organizowały się szalenie długo i zostawały stale nad granicą. Skutkiem zbyt długiego okresu organizacji oddziałów samo organizowanie rozkonspirowywało je, tajemnica przechodziła przez kordony, dzięki czemu wojsko rosyjskie mogło być stale w pogotowiu. Traugutt zabronił formowania oddziałów w Galicji i Poznańskiem, natomiast nakazał ochotników bezzwłocznie wyprawiać do oddziałów, już konsystujących w Królestwie.

Ta próba utworzenia armji na podstawach już zorganizowanych przyszła stanowczo za późno, kiedy mowy już nie było o tem, aby powstanie mogło odżyć do tego poziomu, jaki niedawno w lecie lub na wiosnę posiadało. Siła moralna narodu została w wielkim stopniu poderwana i nadzieja, optymizm rewolucyjny już zdążył się zmienić w skrajny pesymizm. Dlatego też zaczęło brakować ludzi na wszelkich posterunkach. Rząd cywilny zaczynał odczuwać coraz większe luki, które wciąż wzrastały. Rząd Narodowy zmuszony był brać siły podrzędniejsze, mniej wprawne,

aby jako tako na powierzchni się utrzymywać. Jednak niezłomna wola Traugutta nie dawała upaść powstaniu. Ostatnie jego zarządzenia dotyczyły pospolitego ruszenia. Opracowana przezeń instrukcja o powszechnem ruszeniu ludowem odznaczała się bezwzględnością rewolucyjną. Zdecydował się brać rekruta bez względu na to, czy on chciał, czy nie chciał.

Powtarzam, że ta siła woli Traugutta, jego energja i wiedza fachowa nie dały tych rezultatów, jakieby dały w początkach rewolucji. Powstanie chyliło się już nieodzownie ku upadkowi. Znikła siła moralna i cała siła materjalna rewolucji zawisła najzupełniej w powietrzu. Widzimy postępujący szybko upadek rządu cywilnego i upadek zaczątków wojny polskiej, jaką toczono w 1863 roku. W ten sposób powoli gaśnie i sama demonstracja zbrojna. Jednak dzięki pewnej tężyźnie żołnierskiej, dzięki temu, że walki 1863 roku przeżyli najsilniejsi, najtężsi, najbardziej do sprawy przywiązani, dzięki temu nawet w ostatnich chwilach powstania są boje tęgie, boje silne. Kampanja zimowa generała Bosaka-Haukego przy czynnym udziale pułkownika Chmielińskiego należy do najlepszych w tej wojnie. Daje ona bitwy, które odznaczają się większą wartością militarną, niż poprzednie boje powstania. Jeszcze w lutym 1864 roku jeden z oddziałów Haukego szturmem bierze Opatów; wojsko rosyjskie ponosi duże ofiary, aby ponownie odzyskać to miasto, przyczem zażarta bitwa trwa kilkanaście godzin. Jednak z chwilą upadku bazy rewolucyjnej, jaką była siła moralna, niema

żadnej nadziei na odżycie powstania z wiosną 1864 roku.

Ostatecznym ciosem było aresztowanie 11 kwietnia Traugutta, przez co ostatni Rząd Narodowy zostaje zdezorganizowany. Powstanie w ten sposób upadło.

Jeżeli chciałbym streścić główny błąd myśli wojennej powstania, to powiedziałbym, że błędem tym jest niezdanie sobie sprawy z roli spisku w rewolucji. Mówiłem już o podziale ludzi na zorganizowanych i niezorganizowanych, o tem, że zorganizowanym jest tylko właściwy spisek. W powstaniu 1863 roku mieliśmy zorganizowanych dwadzieścia parę tysięcy, wobec czterech i pół miljona ludności niezorganizowanej. Tymczasem siła ruchu rewolucyjnego nie odpowiada najzupełniej tej nielicznej garstce zorganizowanych ludzi. I oto powstaje iluzja, że istniejąca siła moralna jest znacznie większa od siły, reprezentowanej przez zorganizowanych, że ta siła moralna, rozsiana w otoczeniu, daje się zużytkować materjalnie dla celów wojny; że daje się zorganizować jakimś cudownym sposobem dla celów walki, jakby to była już gotowa materjalnie siła.

Tę iluzję, ten mylny rachunek bardzo często spotykamy u rewolucjonistów. Rok 1863 pod tym względem nie jest wyjątkiem. Jednak rok ten również dowodzi, że dla celów wojny nie można liczyć na siłę moralną, jako na konkretną wartość materjalną. Dla celów wojny należy liczyć na to, co się ma w ręku i odpowiednio do tej siły planować swoje ruchy. Stąd wynikało tak jas-

krawe przeliczenie się powstańców co do swoich sił, tak jaskrawa nieumiejętność zdania sobie sprawy z tego, w jakiem położeniu znajdzie się powstanie nazajutrz po wybuchu; stąd wynika niechęć do szczegółowego rozplanowania swoich zamierzeń. Jest to poczucie, że się rośnie; czy warto planować coś z tem, co się ma w ręku dziś, kiedy to, co będzie jutro, będzie znacznie większe?

Dlatego też siła zorganizowana, czyli spisek, nie dał tego rezultatu, jaki dać był powinien. Dać zaś powinien był kilka koniecznych elementów: rozplanowanie wybuchu rewolucji, który mógłby być niespodzianką zarówno dla wrogów, jak dla przyjaciół, i w ten sposób dać wygraną w czasie dla przejścia niezorganizowanych ludzi od stanu w sensie wojennym biernego do stanu czynnego. Wreszcie musiał dać ramy, chociażby nieliczne, lecz gęsto w kraju rozsypane, dlatego, by niezorganizowany element miał oparcie dla organizacji.

Bez tego powstanie wybuchło, jak proch rozsypany, nie jak proch nabity; wybuchło bez celu, jak ten proch, eksplodujący w nieokreślonej sile w tem czy innem miejscu, zależnie od przypadkowego rozsypania.

To jest zasadniczy błąd rewolucji, który przyczynił się w wielkim stopniu do tak słabego rozwoju wojennego powstania.

Jeżelibyście państwo zwrócili do mnie pytanie, czy przy wszelkich poprawkach powstanie byłoby zwycięskiem, to, sumiennie powiedziawszy, nie mógłbym na pytanie takie odpowiedzieć

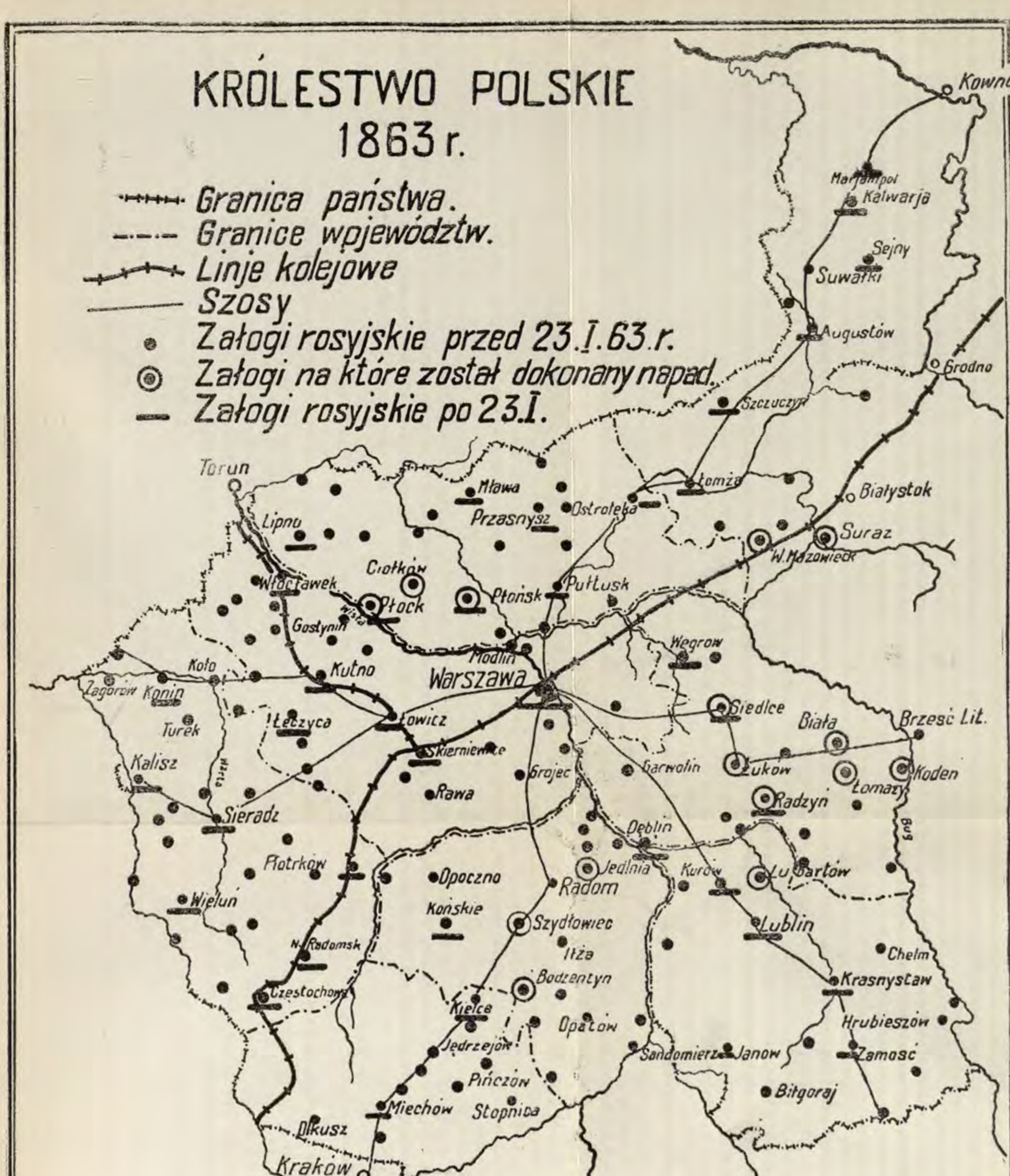
twierdząco, bowiem warunki polityczne nie upoważniały do optymistycznych pod tym względem przypuszczeń. Główna podstawa demokratów — rewolucja rosyjska — zupełnie zawiodła; główna podstawa umiarkowanych — interwencja Zachodu — zawiodła również. Siły zaś polskie były tak dysproporcjonalne do rosyjskich, że trudno było niemi doprowadzić do zwycięstwa.

Jeżeli jednak szło mi o tę krytyczną ocenę wypadków i sytuacyj wojennych, to dlatego, że, jak przypuszczam, przy lepszem prowadzeniu wojny, niż w 1863 roku, powstanie umarłoby z innemi tradycjami, niż te, jakie synom zostawiło; umarłoby nie tak prawie bezpotomnie, jak skończyło.

Wreszcie pozwólcie na dygresję. Cały czas w swoich wykładach trzymałem wszystko, co jest uczuciem, na uwięzi. Starałem się możliwie objektywnie przedstawić błędy; starałem się usunąć na bok wszelką sympatję dla tych, którzy walczyli. Lecz w każdym wypadku, gdy z ust moich padało słowo krytyki, stale się obawiałem, że mogę być zaliczony do rzędu tych, którzy tak haniebnie krytykowali to powstanie, a którym poświęciłem słów kilka na wstępie, którzy rok 1863 z pamięci, z serc chcieliby wymazać, a nad całym tym okresem wyryć słowo: zbrodnia.

Wyznaję otwarcie, że rola moja była bardzo trudna. Pocieszałem się tem, iż panowie zechcecie zrozumieć moją intencję, że zechcecie zrozumieć, jak szczerze pragnę zbudować most między teraźniejszem pokoleniem a pokoleniem 1863

roku. I sądzę, że gdybym miał przed sobą ludzi z tamtych czasów, to powiedzieliby mi tak, jak ja to sobie nieraz sam mówię: „Zginęliśmy niedarmo i nauka dla was ze śmierci naszej płynąć może“.


KRÓLESTWO POLSKIE
1863 r.
Granica państwa.
Granice województw.
Linje kolejowe
Szosy
Załogi rosyjskie przed 23.I.63.r.
Załogi na które został dokonany napad.
Załogi rosyjskie po 23.I.
Kowno
Marjampol
Kalwarja
Sejny
Suwałki
Augustów
Grodno
Szczuczyn
Białystok
Łomża
Suraz
W. Mazowieck
Toruń
Mława
Przasnysz
Ostrołęka
Lipno
Ciołków
Włocławek
Płock
Płońsk
Pułtusk
Wisła
Gostynin
Modlin
Węgrów
Koło
Kutno
Warszawa
Zagórów
Konin
Turek
Łęczyca
Łowicz
Siedlce
Biała
Brześć Lit.
Skierniewice
Kalisz
Warta
Grójec
Garwolin
Łuków
Koden
Łomazy
Rawa
Radzyń
Sieradz
Bug
Dęblin
Piotrków
Opoczno
Jedlnia
Kurów
Lubartów
Radom
Wieluń
Końskie
Szydłowiec
Lublin
Iłża
N. Radomsk
Chełm
Bodzentyn
Krasnystaw
Częstochowa
Kielce
Opatów
Hrubieszów
Jędrzejów
Sandomierz
Janów
Zamość
Pińczów
Biłgoraj
Miechów
Stopnica
Olkusz
Kraków

VII.

22 STYCZNIA 1863

(1912)

Dnia 17 stycznia w polskiej kwaterze głównej dawano ostatnie, nieodwołalne rozkazy do boju. Rozkazy aż na 22 stycznia. Nieodwołalny rozkaz na całych pięć dni przed bojem! Już w tem jednem odczuć się daje ogromna osobliwość warunków wojny i boju. Stokilkadziesiąt godzin ma dzielić rozkaz od wykonania i to w położeniu, w którem każda z tych setek godzin przynieść może zmiany zasadnicze, zmiany, uniemożliwiające wypełnienie rozkazu. Bo też osobliwą była ta główna kwatera!

Nic w niej nie przypominało zwykłego obrazu wojennego miejsc, gdzie się ważą i rozstrzygają w ostatniej instancji losy bitew i wojen. Ani błyszczących mundurów, ani dźwięku ostróg, ani tętentu koni adjutantów, pędzących z rozkazami lub raportami, żadnej wreszcie osłony siłą zbrojną, żadnej, najkonieczniejszej bodaj, warty, strzegącej spokoju wodzów. Kwatera wyglądała, jak najzwyczajniejsze mieszkanie prywatne najbardziej cywilnych ludzi. Jeżeli co różniło ją od mieszkania jakiegoś urzędnika lub kupca, to chyba nieokreślony niepokój, który wiał z twarzy i ruchów obecnych, to zarazem nieco przyciszony sposób obcowania — szepty zamiast głośnych rozmów, wsłuchiwanie się w odgłosy

ulicy, jakby ciche, lecz niespokojne zmaganie się z otaczającem niebezpieczeństwem. Od czasu do czasu z kwatery wymykali się adjutanci - kurjerzy. Najczęściej były to — całkiem niewojenny obraz — kobiety, unoszące nieraz w najtajniejszych skrytkach damskiej garderoby rozkazy, pisane na cienkim świstku papieru. Od czasu do czasu błysnął mundur wojskowy, lecz — o, dziwo! — mundur wrogiego wojska; byli to oficerowie rosyjscy, należący do spisku.

Dziwna wojna, dziwna kwatera główna, której najważniejszem zadaniem zdawało się być utrzymanie tajemnicy i ukrywanie się przed okiem otoczenia. Nie było tam nic z tej buty i pewności siebie, jaką daje oparcie się o gotową i posłuszną na każde skinienie siłę zbrojną, zdolną do nagięcia otoczenia odpowiednio do planów i myśli wodza. Owszem, widoczną była chęć przystosowania się do otoczenia i rozpłynięcia się w niem.

Bo też główna kwatera polska pracowała w sferze działania wroga. Ba, nawet oddalona była od głównej kwatery jego zaledwie o kilkaset kroków — o zwykły strzał karabinowy. Gdy jedna w każdej chwili mogła mieć na usługi tysiące tych karabinów, druga działać była w stanie tylko nie będąc dostrzeżoną, a nie mając nic dla swej osłony, w każdej chwili stawiała na kartę samo swe istnienie. Nic więc dziwnego, że twarze sztabu były niespokojne. Wódz ówczesnej Polski — Zygmunt Padlewski — nerwowo chodził po pokoju. Wahał się: jechać do puszczy kampinoskiej, czy też zostać w Warszawie? Po raz dzie-

siąty wracał do obliczeń, spisanych na skrawku papieru.

— Do Lewandowskiego na Podlasie rozkaz wysłany. Rozkaz trzymania się na szosie brzeskiej, przerwania komunikacji z głębią Rosji, z Moskwą. — Czy rozkaz doszedł? Kto zaręczy? — przemknęło mu przez głowę.

— Ma w rozporządzeniu swem 3 — 4 tysiące ludzi. Jakie tam rozporządzenie? — Znowu wyrastała w głowie wątpliwość. Ludzie w chatach, po dworach, rozsypani, czy staną na wezwanie, by kłaść, ot tak, zdrową głowę pod ewangelję? Kto ich zmusi? A gdy musu niema, to ilu z tych niby liczonych da się policzyć już na placu boju?

— A wreszcie, co najgorsza, z czem ludzie pójdą do walki? Śmieszne! Z kijami, kosami, w dobrym wypadku z marną dubeltówką na karabiny i armaty! W ostatnim raporcie Lewandowski wymieniał nawet liczbę tej najlepszej broni — strzelb myśliwskich. Całych 300! To w najlepiej uzbrojonem województwie! A tych karabinów rosyjskich, nie licząc jazdy i artylerji, w województwie jest nie mniej, niż 5 tysięcy. Zresztą nawet ta marna broń, czy jest pewna? Może już dzisiaj, albo w jednej z tych setek godzin, dzielących nas od boju, wróg położy swą rękę na wszystko, albo na dużą jej część, zostawiwszy do boju dziesiątki, zamiast setek sztuk broni palnej? Może przez ten czas wyaresztują wybitniejszych spiskowych i reszta, zostawszy bez głowy, wcale do apelu nie stanie?

— Wszystko w tem przedsięwzięciu takie niepewne, takie chwiejne!... — mruknął z rozpaczą.

Takie niepodobne do tego, czegom sam uczył innych! Czy to nawet wojna? Rzeź niewiniątek, klęska pewna!

Myślą przebiegał wszystkie województwa, cały kraj. Langiewicz w Sandomierskiem, Kurowski w Krakowskiem, Bończa w Płockiem. Te same niepewne tysiące spiskowych, te same wątpliwości, gorsze, bo broni mniej jeszcze, niż na Podlasiu! Zaledwie 300 sztuk broni palnej w całym kraju, tyle, co w jednem województwie podlaskiem. A cały zachód, niezorganizowany wcale wojennie, pewnie się nie ruszy bez wodzów i naczelników; to samo w Lubelskiem.

— Czemuśmy o tem wcześniej nie pomyśleli?— myślał z goryczą. — Odkładaliśmy zawsze na potem przygotowania ściśle wojenne, baliśmy się, że dolejemy tem oliwy do ognia, gorejącego już w duszach ludzkich.

— A teraz....

Znowu czarna rozpacz osiadła mu w duszy; dręczyły go wyrzuty sumienia; przecież sam dawał rozkazy do powstania, przecież sam wysyłał na śmierć te setki i tysiące ludzi. A za tydzień, po niechybnie nieudanej operacji, jakiemiż oczyma będzie spotykał pytania i wyrzuty? Jakie da rozkazy, jakie polecenia 23 czy 24 stycznia, gdy do Warszawy zbiegną się zwiastuny klęski? Nie, lepiej śmierć, śmierć razem z nimi! Raczej śmierć, niż ta odpowiedzialność i stąpanie po chwiejnym, niepewnym gruncie!

Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że jednak ktoś na miejscu zostać musi; że na kogoś przecież spadną wszystkie pytania i wątpliwości

dni, następujących po bitwie, dni ciężkich i trudnych, a tem trudniejszych, im bitwa będzie mniej szczęśliwą. Lecz górę brała rozpacz, zwyciężało zniechęcenie.

— Więc jechać! — pomyślał z westchnieniem ulgi.

Koledzy z Komitetu Centralnego proponowali mu, aby objął dowództwo nad zebranymi już w lasach okolicznych spiskowymi, którzy, uniknąwszy branki, koczowali teraz w puszczy kampinoskiej na lewym brzegu Wisły i w serockiej na prawym w oczekiwaniu wodza i... broni.

Z tą gotową już decyzją przyjął najbliższego swego przyjaciela i kolegę z Komitetu — młodego Stefana Bobrowskiego. Bobrowski przyszedł pożegnać się z wodzem i przyniósł mu dokumenty podróżne, mające go osłonić przed aresztowaniem podczas drogi.

— Śpieszyć trzeba, — dodał, — Potjebnia[1]) mi mówił, że jutro rano wyrusza wyprawa dla wyłapania w lasach uciekinierów od branki. Bądź dobrej myśli! Ludzie są ożywieni dobrym duchem, a gdy dostaną wodza tej miary, co ty, dadzą sobie rady z wrogiem. A jedno zwycięstwo poruszy tysiące chłopów, wtedy pewnikiem górą nasza! Trudno nam tu będzie dać sobie rady bez ciebie, zostajemy przecież sami niewojskowi, ale jakoś to będzie. Zresztą po opanowaniu Płocka tam przeniesiemy rząd i ty go osłonisz, wodzu! Ty lud wolny poprowadzisz do boju!

---

[1]) Oficer Rosjanin, stojący na czele spisku wojskowego w Królestwie.

Mówił z zapałem i gorącą wiarą, nie przekonał jednak przyjaciela.

— Lud prowadzić do boju! — twierdził ze zniechęceniem, — cóż temu ludowi damy do ręki? Kije, marne kosy? Nie, mój drogi, z tem nie zwyciężymy. Nic nam nie pozostało, jak umrzeć z honorem i po to jadę. Jedna, druga bitwa, krwią własną i wroga zlejemy obficie pole, oto wszystko, co zrobić mogę, co zrobić obiecuję.

Bobrowski pozostał przy swojem.

— Nieprawda, Zygmuncie, nieprawda! Niechybnie położenie nasze ciężkie, ale nie wszystko stracone. Nie może być wszystko stracone, gdy z jednej strony do walki stanie człowiek wolny, o wolność walczący, z drugiej niewolnik, pędzony batem, a do wolności wzdychający skrycie. Zapominasz o naszych przyjaciołach w obozie wroga.

Padlewskiemu twarz się nieco rozjaśniła. Przypomniał sobie zebranie spiskowych oficerów, wśród których sam, były oficer, czuł się pewniej, niż gdzieindziej. Wszystko tam wydawało się pewniejszem, stalszem, silniejszem wreszcie. Charaktery, opanowane przez wychowanie i dyscyplinę wojskową, nawet przy rozgorączkowaniu spiskowem, dawały grupom oficerów pozory spokojnej siły. Nieraz zmęczony krzykliwemi i burzliwemi zebraniami spiskowych cywilnych, gdzie nerwy szarpał mu gorący powiew podnieconego tłumu, gdzie tak łatwo było o niesłuszne oskarżenie, o zwycięstwo pustego słowa czy górnolotnego frazesu — nieraz Padlewski odpoczywał na spokojnych zebraniach kolegów

wojskowych. Tam każde słowo zdawało się być opoką nienaruszalną, a szable przy boku zebranych dawały poczucie gotowej już siły zbrojnej, którą gdzieindziej budować dopiero wypadało, budować, przełamując ogromne trudności i olbrzymie przeszkody.

Jako wódz powstania — jedyny fachowiec wojskowy pośród członków Rządu rewolucyjnego— liczył na wojskowe grupy rewolucyjne, jako na niezawodną siłę, jako na wielki atut w polityce powstańczej. Główna, coprawda, nadzieja powstania — spisek oficerski w Modlinie, fortecy i składzie broni, — rozwiała się niedawno przez aresztowania i translokacje podejrzanych, lecz pozostało jeszcze całe mnóstwo oficerów, wciągniętych do spisku, szczególnie wśród artylerji, broni najgroźniejszej dla Polaków, chociażby dlatego, że sami jej nie posiadali i niełatwo mogli ją stworzyć.

I teraz więc, gdy myślał o tych swych sojusznikach, może przyszłych towarzyszach broni, — uspakajał się powoli. Zresztą oddziaływało nań zawsze towarzystwo młodszego kolegi z Komitetu, Bobrowskiego, rozkochanego w wodzu bez zastrzeżeń, a stanowiącego dlań oparcie moralne wobec siły charakteru i woli, którą się odznaczał.

— Śpiesz, śpiesz! — powtarzał Bobrowski — nie poddawaj się rozpaczy! Nam cofać się nie wolno! Przedwcześnieśmy powstali do boju, ale lepiej tak, niż nigdy. Wierz w potęgę moralną powstającego ludu. Jedź do obozu, odzyskasz siły i energję. Zamówiłem już konie dla ciebie.

Za chwilę ruszysz w drogę. Czy masz jeszcze jakie zlecenia?

— Żadnych, — odpowiedział Zygmunt — pamiętaj tylko o tem, że w fortecach Brześciu i Zamościu mamy przyjaciół oficerów. Lewandowskiego o tem zawiadomiłem i dałem mu odpowiednie wskazówki. Gdy do Lubelskiego wyznaczony będzie wojewoda, prześlij mu dane o Zamościu. Nie udaje się nam z Modlinem, może się udać z inną fortecą. To bardzo ważne!

Do pokoju wpadł, jak bomba, młodzieniec w czamarce. Był to Rogiński. Przyjechał z Białej, gdzie go rano zastał rozkaz powstania. Nie wierzył swym oczom, wydawało mu się to niemożliwem. Pędził ekstrapocztą, by sprawdzić rozkaz u źródła.

— Co czynicie? — zawołał. — Przecież nas rozbiją w puch! Nie mamy sił, ani oręża. Czyż nie wykładałeś nam w szkole, Zygmuncie, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?

— Stało się! — odpowiedział spokojny już Padlewski. — Śpiesz zpowrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. Niepodobna zresztą, by Europa dała nam zginąć. Bywaj zdrów! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, cośmy przysięgali, iż się nie cofniemy. Ja jadę natychmiast!

Przykrą mu była ta rozmowa. Z goryczą myślał, że jeszcze przed paru tygodniami ten sam Rogiński wspólnie z drugimi spiskowymi oskarżał go i jego kolegów z Komitetu o brak energji, o rozmyślne odwlekanie powstania, niedołęstwo, ledwie nie zdradę, I wówczas te same argumen-

ty przeciw natychmiastowemu wybuchowi padały z jego ust, by się odbić o rozgorączkowane, nierozważające głowy, jak groch o ścianę. Teraz, gdy fakt był dokonanym, gdy się stało podług myśli najgorętszych, własne jego argumenty wracały, ale już jako zarzut przeciw niemu.

— Tłum jest zawsze niesprawiedliwym i zna tylko dzisiaj, dzień wczorajszy dla niego nie istnieje... — myślał.

*

* *

Po szerokim gościńcu, idącym wzdłuż lewego brzegu Wisły od Warszawy do Modlina, pędziła pocztowa bryczka z dwoma podróżnymi. W dali czerniała ściana dużego boru. Pomimo widocznego zmęczenia koni woźnica raz po raz zacinał je batem, nagląc do pośpiechu. Wreszcie bryczka zagłębiła się w las, konie po błotnistej drodze zwolniły biegu; westchnienie ulgi wyrwało się z piersi wszystkich. Woźnica uśmiechnięty odwrócił się do swych panów.

— Udało się! — mówił — można szkapiskom dać trochę wytchnąć; przed nocą staniemy w obozie.

Był to Padlewski ze swym adjutantem Seyfriedem, których do obozu w puszczy kampinoskiej odstawiał pocztyljon, należący do organizacji. Dopóki podróżni nie dostali się do lasu, byli wciąż zdani na łaskę i niełaskę patroli kozackich, włóczących się po okolicy. Przed wyjazdem z Warszawy kilkakrotnie zatrzymywały ich patrole; badano ich, rozpytywano: poco, naco ja-

dą, jakie mają dokumenty? Ciągle byli o włos od aresztowania, jechali cały czas z perspektywą spędzenia nocy nie w obozie powstańczym, dokąd zmierzali, lecz w więzieniu, którego unikanie stanowiło sztukę życia rewolucyjnego.

Znowu Padlewski czuł pod sobą ten dziwny, chwiejny i niepewny, grunt, na którym niesposób czynić zimnych obrachowań i spokojnych planów. Znów na każdym kroku czuł niejako oddech wroga, z którym miał wojować, znów był w zupełności w sferze jego działania. Przypominał sobie dowódców wojsk na manewrach— tych próbach wojny. Pamiętał ich, otoczonych licznym sztabem, osłoniętych oddziałem jazdy, pomimo, że byli od nieprzyjaciela oddzieleni jeszcze murem bagnetów własnych, tysiącami piersi żołnierskich, idących do boju. Tu on, wódz, nie miał nic podobnego, tu wróg zewsząd go otaczał, nieledwie dotykał go fizycznie.

A zarazem, gdy jechał ulicami Warszawy i polami Mazowsza, spotykając człowieka, nieodzianego w mundur wroga, myślał o nim, jako o jutrzejszym towarzyszu broni, który go, jak swego wodza, będzie bronił i osłaniał. Tylko dzisiaj jeszcze brak ujawnionej zbrojnej siły stawiał początki działań ciągle pod znakiem zapytania, przewracając całkowicie wszystkie znane pojęcia o wojnie. Więc prędzej do obozu! Prędzej tam, gdzie pod sobą ma się trwały, niezdradliwy grunt siły zbrojnej pod nogami. Niech ta siła będzie mała, niech będzie źle uzbrojona, z nią jednak jawnie się walczy, choćby umierać przyszło!...

Zdaleka poprzez drzewa błyskały rozpalone suto ogniska. Na polanie do pięciuset ludzi skupiało się koło ognia, przygotowując się do noclegu pod chmurnem niebem styczniowem. Ludzie gwarzyli. Koło niejednego ogniska panowało zniechęcenie. Zmęczeni, zziębnięci wylewali swą gorycz i niezadowolenie na władzę rewolucyjną, szukając w niej winy.

— Obiecywano broń, obiecywano wodzów, zwycięstwa — gdzie to jest wszystko? Sami tam wygrzewają się w ciepłych pokojach, śpią na puchach, a ty, człecze, tułaj się, jak wilk, po lesie, śpij na gołej, zimnej ziemi, ba, nie miej często kawałka chleba marnego!...

Szeptano o zdradzie władzy, zmawiano się do ucieczki, bąkano o oddaniu się w ręce wrogom, byle móc się wywczasować i najeść do syta.

Gdzieindziej młodzież wesoło się bawiła, zapominając przy żartach i dowcipach o wszelkich niewygodach i bawiąc się nawet tą zimową majówką w wiecznie zielonym lesie. Humor podtrzymywał wiarę i snuto przy trzasku palącego się drzewa rojenia równie fantastyczne, jak te płomyki, przeskakujące w ognisku wesoło od trzaski do trzaski.

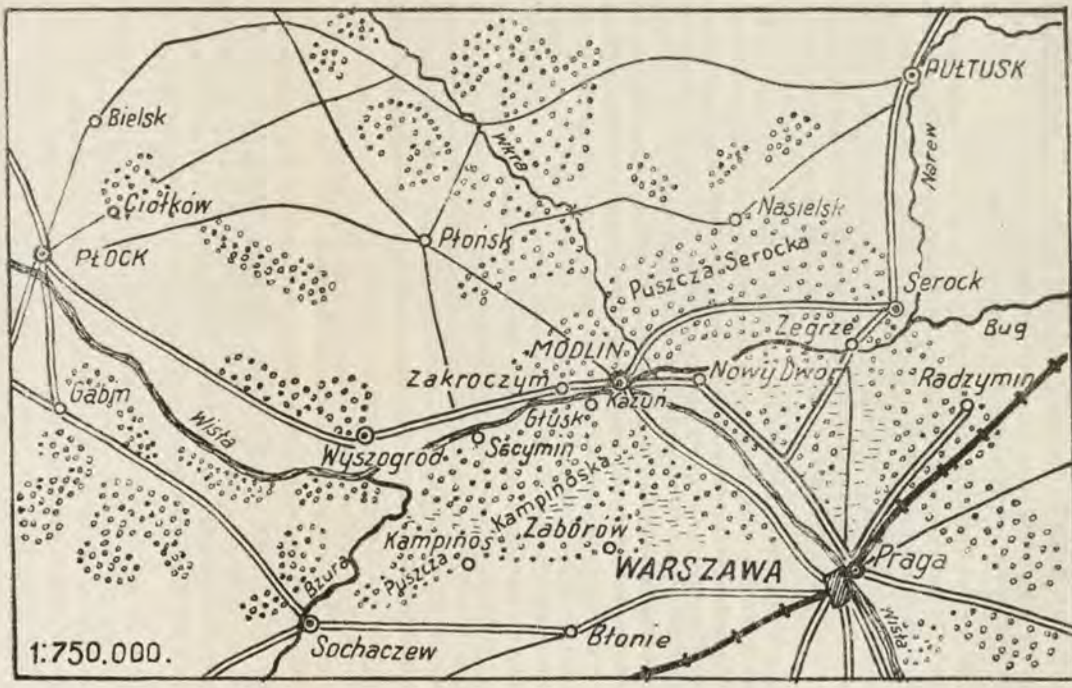
O nieprzyjacielu nie myślał nikt, — ani ci, którym było wesoło, ani ci, których dręczył smutek. Nie było to wojsko, co, znając zdradliwe prawa wojny, czujnemi się otacza czatami, co mechanicznie, jak zegarek, spełnia swą powinność. Nie było tam oficerów i podoficerów, przełamujących zmęczenie żołnierza, zmuszających do pracy rycerskiej, nieraz uciążliwej i niemiłej. Nie było

tam ładu i porządku, wciskającego każdego na swoje miejsce, jak niewielki trybik czy sztyfcik do sprawnej maszyny. Każdy robił, co chciał i jak chciał, nie dbając o innych. Nie było żadnej myśli kierowniczej, spajającej to zbiorowisko kilkuset ludzi w jedną całość, zdolną do jednolitego ruchu i życia.

To też, gdy Padlewski niespodziewanie zjawił się wśród tego towarzystwa — wojskiem tego nazwać nie można było — musiał podjąć ciężką i trudną pracę, by nadać tej zbieraninie chociażby pozory wojska i nauczyć ją najelementarniejszych form bytowania wojennego. Musiał wraz ze swym adjutantem być naraz i wodzem, i sztabowym oficerem, i podoficerem nawet.

Zapowiedział wymarsz na dzień następny. Wiedział, że z różnych stron dążyć będą jutro oddziały nieprzyjacielskie, by wyłapać poborowych, zebranych w lesie. Wiedział też, że nie mógłby stawiać oporu natarciu z tem wojskiem zaimprowizowanem, w dodatku licho uzbrojonem: na pięciuset zebranych było zaledwie kilka sztuk broni palnej marnego gatunku, reszta była uzbrojona w kosy lub — gorzki śmiech zbiera — pałki i drągi. Postanowił więc szybkim marszem przerzucić się za Wisłę, dążąc do złączenia swego oddziału z innemi w województwie płockiem, które obrano za główną podstawę dalszych działań wojennych.

Gdy nazajutrz kolumna oddziału wymaszerowała wylotem na północny zachód ku Secyminowi nad Wisłą, z różnych stron dążyło już wojsko nieprzyjacielskie obławą na lasy kampino-



Mapa puszcz Kampinoskiej i Serockiej

skie. Więc z Warszawy wyszedł podpułkownik Bremsen z kilku kompanjami piechoty i sotniami kozaków, więc z Płocka wyruszył major Sławin na czele paruset kozaków, a wreszcie po drugim brzegu Wisły maszerował, rozsypując wszędzie patrole, oddział jazdy pod pułkownikiem Riedieczkinem.

Nie była to właściwie wyprawa wojenna; jako taka nie miała prawie sensu. Chcieć bowiem, aby tysiąc kilkaset ludzi, z których połowa piesza, zamknęło szczelnie oczka olbrzymiej sieci, ogarniającej 300 kilometrów kwadratowych, i jeszcze dostarczyło dostatecznie silnej kolumny na bój przy spotkaniu z nieprzyjacielem — było to żądać od wojska roboty, graniczącej z niepodobieństwem. Tem bardziej, że konnica, służyć mająca do szybkiej posługi wywiadowczej, mało była przydatna wobec lesisto - błotnistego terenu, który przeszukać należało. Zresztą nie było jeszcze wojny. Było drobne zamieszanie i wojsko miało tu wyręczyć właściwie nieliczną i niesprawną policję — nic więcej.

To też oficerowie, którym zadanie poruczono, nie przyjęli go z zadowoleniem. Pomimo woli przychodziła im do głowy możność oporu, a na wypadek walki byli za słabi i ta włóczęga po lasach, w przypuszczeniu, że zwierz osaczony nie ruszy się z miejsca, że będzie czekał, nim go zbliska osaczą, nie uśmiechała im się wcale. Przy jakiej takiej ruchliwości osaczonego uderzenie paść mogło w próżnię i wynik obławy nie rokował powodzenia.

Lecz pan każe, sługa musi. Nie wojskowe, ale cywilne władze, na których czele stał sam brat cesarza, tak były pewne swego, tak liczyły na łatwy i pewny triumf, że nawet, dla uniknięcia rozlewu krwi i związanego z tem rozgłosu, nakazały wojsku iść na te łowy bez nabitej broni, chwytać osaczonego zwierza gołemi rękami, by tem bardziej go upokorzyć, tem większy wznieść w nim szacunek dla siły władzy prawowitej. Pan każe, sługa musi! I po błotnistych leśnych drogach powoli wlokły się kolumny wojska, rozsyłając leniwie patrole, gdy zwierz, na którego polowano, wiedząc o obławie, już się zbliżał do Wisły, za którą zaczynała się przestrzeń, wolna od założonej sieci. Jeżeli co było przeszkodą, to nie pomyślana niedołężnie i nieśpiesznie wykonana obława, lecz przeszkody fizyczne w postaci Wisły samej.

Wisła jeszcze nie puściła, lecz lód wobec ciepłej pogody był słaby i trzeszczał pod nogami. Pierwsi, którzy na rzekę weszli, cofnęli się z przestrachem. Lecz Padlewski w obozie odzyskał już swą energję i zdołał zapanować nad oddziałem. Dzięki niemu przeprawa pod Secyminem odbyła się bez wypadku. Szła wolno, drobnemi grupami, trwała całą noc nieledwie, lecz została dokonaną i gdy wreszcie obława, idąc śladami, doszła do Secymina, Padlewskiego i jego oddziału już dawno nie było tutaj; zdążył już bowiem ujść dobry kawał drogi, z każdą chwilą oddalając się od niezręcznych łowców. W sieciach pozostali tylko ci, co tego chcieli; ci, których zniechęcenie i zmęczenie nie minęło pod

wpływem zjawienia się Padlewskiego. Takich było niewielu — zaledwie dziewiętnastu na 500, którzy byli w składzie oddziału.

Tak samo wypadły łowy, zorganizowane przez władzę cywilną w innej puszczy — serockiej koło Zegrza.

Popisowi z Warszawy, którzy się tam zgromadzali, przeszli przez Narew i Wkrę, a uniknąwszy niezręcznie zastawionej sieci, dążyli, jak i Padlewski, do województwa płockiego. Jeżeli zaś dodamy, że i z samego Płocka wyszło kilkuset ludzi, słusznie czy niesłusznie podejrzewających, że są na liście konskrypcyjnej rządu, zobaczymy, że w okolicach Płocka nagromadziła się w ten sposób większa ilość materjału palnego, zdatnego i przysposobianego do wstępnych kroków, wstępnego boju powstania.

Materjał ten, coprawda, znajdował się w strasznym chaosie grupy bez organizacji wojennej, bez administracji, przygotowanego prowiantu, odzienia i, co główna, broni. Najpilniejszą więc pracą władzy powstańczej, a w pierwszym rzędzie Padlewskiego, było jakie takie zorganizowanie grup i rozmieszczenie ich w okolicy do wyznaczonego terminu wybuchu — do 22 stycznia.

Włóczęga jednak tysiąca ludzi po wsiach i dworach, nieoswojonych z takim ruchem, nie mogła być utrzymana w zupełnej tajemnicy i niejasne, mętne opowiadania o tych zbiorowiskach dochodziły do Płocka, siedliska głównej władzy w tej stronie kraju. Wysłano więc stamtąd rekonesanse — nie w celu wojny, bo tej

jeszcze nie było — lecz tak samo, jak nieudane łowy kampinoskie i zegrzańskie, w celach policyjnych, z tym samym rozkazem nienabijania broni, ale brania opornych popisowych żywcem.

Ten półśrodek — grzeczna surowość — jak zwykle półśrodki w czasie wojny, dał rezultaty nie nikłe nawet, ale wręcz ujemne. Wszystkie rekonesanse męczyły się bezcelowem łażeniem po drogach, dworach, wszystkim grzecznie usuwano zawczasu z oka ludzi obcych, by natychmiast po odejściu wojska tem swobodniej gościć i ukrywać popisowych w okolicy, zbadanej już przez wroga. Na czele tych bezpłodnych rekonesansów stał pułkownik Kozlaninow, człowiek, bolejący nad nieszczęściem kraju, nie chcący zadawać ran zbytecznych, jednem słowem, człowiek zasad humanitarnych. Nieszczęśliwy, znając brutalną szorstkość swych kolegów, sam prosił o dowództwo i szedł w burzę z gałązką oliwną pokoju. I trzeba tej ironji losu, by właśnie jemu z godłem pokoju w ręku przyszło doprowadzić do pierwszego rozlewu krwi.

Przebiegając z drobnym, kilkaset ludzi liczącym oddziałem pola i wsie płockiego województwa, natrafił przy wsi Ciołkowie na setkę popisowych, rozlokowanych we dworze tamecznym, a spożywających w tej chwili obiad. Oddział polski, przewodzony przez Rogalińskiego, oficera z armji Garibaldi'ego, nie zdążył zgodnie z ogólną instrukcją usunąć się niepostrzeżenie z oczu Rosjan. Wycofał się do lasu, lecz tuż za nim podążał Kozlaninow.

I oto wreszcie oddziały stanęły naprzeciw siebie. Rosjanie z nienabitą bronią, rozsypani szerokim łańcuchem dla obławy — łapania według rozkazu żywcem; żołnierze, nie znajdujący się jeszcze w stanie wojny, a pełniący jedynie posługi policyjne. Polacy, skupieni w kolumnę, licho uzbrojeni — zaledwie w dwie strzelby myśliwskie na cały oddział, reszta w kosy lub nawet kije. Kozlaninow zgodnie z pokojową misją, którą miał w sercu, zbliżył się do Polaków i zwrócił się do nich z sentymentalną przemową. Przekonywał o konieczności oddania się w ręce prawowitej władzy, obiecywał nieledwie bezkarność. Losy zależały zupełnie od tego, czy oddział polski uczuje się stroną wojującą, zdecydowaną na wojnę i świadomą jej wymagań, czy też przemoże w nim pokojowe przyzwyczajenie do posłuchu dla władz urzędowych. Każdy z tej setki ludzi Rogalińskiego jeszcze przed chwilą był nie żołnierzem i sama żołnierka zależała od jego własnej nieprzymuszonej woli, trzeba więc było, aby w duszy każdego z nich nastąpił nakaz „stań się!“; wówczas dopiero możliwemi będą jakiekolwiek zjawiska wojny.

Nastąpiła więc krótka chwila wahania i wreszcie Rogaliński, jakgdyby wyczuwając wzmaganie się ducha wojny u swych podkomendnych, z okrzykiem rzucił się naprzód. Potyczka trwała tylko chwilę. Niewielka przestrzeń dzieliła przeciwników, a w starciu na białą broń zwyciężył, jak zwykle, atakujący zbitą masą, tem bardziej, że nieprzyjaciel, psychicznie do boju niegotowy, rozciągnięty w szyk, niezdatny do boju,

stracił odrazu dowódcę, który padł z rozpłataną głową. Do 50 żołnierzy zostało na placu; reszta w popłochu uciekła, roznosząc wieść o porażce. Apostoł pokoju w czasie wojny padł ofiarą fałszywego zrozumienia rzeczy zarówno przez siebie, jak przez swych przełożonych.

Polacy mieli zaledwie kilku rannych, lecz pomiędzy nimi był i ich dowódca, Rogaliński, który, straciwszy w starciu oko, musiał opuścić swe stanowisko. Jeśli oddział rosyjski, doznawszy porażki, rozprzęgł się zupełnie, to jednak żołnierze, przyłączywszy się już tego samego dnia do innych drobnych oddziałów, w okolicy rozsianych, zdatni byli nazajutrz do boju. Inaczej było z Polakami. Ich hufiec wyczerpał się moralnie nawet zwycięstwem. Ludzie, niespojeni w jedno długiem wspólnem życiem żołnierskiem, nie mający zaufania do siebie, musieli nawet dla krótkotrwałego boju zdobyć się na taki wysiłek energji i woli, że natychmiast po fakcie nastąpiła reakcja — zmęczenie i upadek na duchu, osobliwie, gdy zabrakło oficera, który zwycięskiej walce przewodził. Wojna, w zasadzie już pełna niespodzianek, staje się niemi przesycona, gdy samo wojsko jest niespodzianką, a nie organizacją, zawczasu przez długi czas przygotowywaną do wojny.

*

* *

Był to pierwszy bój, pierwszy podmuch wichury, zwiastującej nadchodzącą burzę. Była to zarazem jakby ilustracja ogólnego położenia stron walczących. Rosjanie, nie znajdujący się

jeszcze w stanie wojny i łudzący się nadzieją zażegnania niebezpieczeństwa środkami, będącemi mieszaniną łagodnej ustępliwości z terrorem i surowością postępowania wojennego. Wykonawcą tej dziwacznej dyplomacji miało być wojsko, jako ostatni najpoważniejszy argument władzy chwiejącej się i chwiejnej. Szło więc wojsko wszędzie, gdzie ten argument niejako naocznie musiał być przedstawiony, szło w celu nastraszenia nieposłusznych, mając zarazem rozkaz postępowania grzecznego i możliwie zgodnego, nie jątrzącego stosunków wzajemnych z otoczeniem.

A że nieposłusznych było wielu, a jeszcze więcej takich, których o chęć nieposłuszeństwa posądzano, więc wojsko posyłać trzeba było nieledwie wszędzie. I oto powoli, stopniowo większe skupienia wojskowe topniały: drobne oddziałki wychodziły na czasowe postoje do tego lub owego miasteczka, czasowy pobyt się przedłużał i wreszcie cała duża armja, rozdrobniona na małe garnizony czasowe, stanowić zaczęła niewielkie wysepki wojskowe wśród morza obcego, najczęściej wrogiego otoczenia. Dyplomatami zaś z hasłem surowej łagodności stawali się najczęściej młodzi, nie znający życia subalterni-oficerowie, dowódcy kompanji, szwadronu lub baterji, nieprzyzwyczajeni do brania większej odpowiedzialności na swe barki.

Nie na wojnę szły te drobne oddziały, odrywając się, jak sądzono, tylko na czas krótki od macierzystych garnizonów, składów i magazynów. Nie na wojnę, lecz dla prowadzenia polityki państwowej! Więc nie zaopatrywano ich

na wojnę — ani w dostateczną ilość naboi, ani w należyty tabor, ani w zapas odzieży lub instrumentów; wszystko to zostawało pod raz po raz malejącą opieką dawnych garnizonów z czasów spokoju. Pułki leżały bez osłony, artylerja stała często bez należytej asekuracji. Jenerałowie przestali właściwie dowodzić swemi dywizjami i brygadami, pułkownicy — pułkami, najczęściej nawet majorowie swemi bataljonami. Kompanje, szwadrony lub baterje stały każda osobno, żyjąc życiem prawie samodzielnem, osobliwie wobec braku nowoczesnej komunikacji w kraju. Oficerowie - subalterni i żołnierze chwalili sobie taki stan rzeczy, był on dla nich dogodnym. Zdaleka od oka i kontroli wyższej władzy, bez możliwości odbywania ciężkiej musztry, tonęli w słodkiej drzemce, do której zresztą ciągnął ich także charakter rasowy. Obok tego całe mnóstwo oficerów, Polaków lub Rosjan, wciągniętych do spisku, świadomie przymykało oczy na wszystko, co się działo dokoła, wybierając z nakazanej im łagodnej surowości pierwszą połowę formuły, jako najlepszy sposób wybrnięcia ze sprzeczności, zawartej w rozkazie.

Takich drobnych garnizonów, rozsypanych po Królestwie, było 180. A że cała armja liczyła 101880 ludzi, więc przeciętnie wypadało na garnizon ludzi 566. Lecz główne miasta kraju, siedliska władz centralnych, nie mogły przecież pozostać bez silniejszej obsady. Sama Warszawa pochłaniała 21503 garnizonu. Miasta Lublin, Radom, Kalisz i Płock, w których znajdowały się komendy dywizyjne, oraz fortece Modlin, Dęblin i Zamość miały

też większą załogę, w sumie wynoszącą 13370 głów. A wobec tego przeciętna załoga w innych miejscach spadała w przecięciu zaledwie do 390 ludzi.

I te drobne załogi w najbliższych czasach miały się rozdrobnić jeszcze bardziej. Wyznaczono pobór wojskowy i dla poparcia władz cywilnych od tych „dyplomatycznych" kompanij i szwadronów miały odejść „policyjne" plutony i sekcje dla asysty przy poborze, dla konwojowania rekruta i wszelkich czynności policyjnych, chociażby, naprzykład, łapania po lasach uciekinierów, jak to robił nieszczęsny Kozlaninow ze swym oddziałem. Pobór był wyznaczony na 26 stycznia, na dziesięć dni po nieudanym poborze w stolicy — Warszawie.

I właśnie te dyplomatyczno-policyjne oddziałki, nieprzygotowane do wojny ani psychicznie, ani technicznie, miały zgodnie z planem powstania być pierwszym objektem ataku rewolucji. Przedmiotowa była może i dobrze wybrana, lecz jakież były środki i możliwości ataku?

Jeśli armja rosyjska była rozdrobnioną, to siły polskie były wprost w stanie luźnych atomów wojskowych, niespojonych w żadną organizację wojenną, związanych jedynie spiskowym, tajnym dla całego otoczenia, łącznikiem systemu dziesiątkowego. Każdy z tych dziesiątków pozostawał pod wszelkiemi względami w zupełnej zależności od sumienia i umiejętności swego dziesiętnika, czy to pod względem napięcia rewolucyjnego i moralnej gotowości do boju, czy to pod względem szybkości mobilizacyjnej, czy też nawet pod względem samego istnienia, niekontrolowanego najczęściej

przez nikogo dla przyczyn natury konspiracyjnej. Wszystkie więc obliczenia co do liczby i czasu wisiały niejako w powietrzu bez trwałego, widocznego dla wszystkich gruntu i podstawy.

Każdy, wróg czy przyjaciel, mógł siły rewolucji taksować, jak chciał, jak mu usposobienie i wyobraźnia nakazywały. Więc taksowano je rozmaicie, przeważnie jednak in plus, nie in minus. I jak zresztą mogło być inaczej, gdy na świecie działy się rzeczy i wypadki, które tylko siłą rewolucji wytłumaczyć można było? Nie co innego, jak ta tajna siła wymuszała raz po raz ustępstwa polityczne, pobudzała do pobłażliwego traktowania postępków, które jeszcze niedawno nie mogły nawet być pomyślane przez najodważniejszych. Ta siła jednak nie na wiele się zdała do boju, gdzie uczucie, namiętność i zapał tylko wspierają ramię, lecz samo ramię i broń przy niem jest nieodbicie koniecznem.

Jeśli armja rosyjska nie była dla wojny przygotowana i łatwo stać się mogła łupem umiejętnego i energicznego napastnika, to przygotowania wojenne polskie wyglądać raczej mogły na przygotowania do obławy na dzikiego zwierza w jakim leśnym ostępie, niż na zamiar wojny. Dubeltówki, kosy, drągi — to broń; żadnych składów i magazynów, żadnego zapasu odzieży i obuwia, żadnych środków do wyekwipowania żołnierza. Zdawało się, że ludzie wybierają się na kilkodniowe polowanie, po którem zdrowo i szczęśliwie wrócą do domu.

Lecz rozkaz był dany, termin boju wyznaczony. Pobór na całej prowincji miał nastąpić 26 stycznia,

chciano go uprzedzić i jako pierwszy dzień wojny wybrano dzień 22 stycznia. Nie dzień, raczej noc, gdyż dla ukrycia swej słabości organizacyjnej i technicznej i dla wyzyskania w zupełności czynnika niespodzianki, nakazano nocne napady na garnizony rosyjskie. Szło więc przedewszystkiem o utrzymanie tajemnicy, co niechybnie zmniejszyć musiało zarówno liczbę powstańców, jak i stopień ich przygotowania wojennego.

Zaczęły się więc w całym kraju ciche szepty, częste rozjazdy kurjerów i kurjerek, gorączkowe przygotowania. Czasu było mało, a noc 22 stycznia szybko się zbliżała!

*
* *

Pułkownik Lewandowski w Siedlcach otrzymał rozkaz z Komitetu Centralnego dnia 17 stycznia. Pomimo umówionych znaków na piśmie, pomimo, że był pewien kurjerki, która rozkaz przywiozła, nie dał wiary poleceniom. Jeszcze niespełna dwa tygodnie temu—5 stycznia—gdy wyjeżdżał z Warszawy dla objęcia stanowiska dowódcy sił zbrojnych Podlasia i Lubelskiego, zapewniano go, że wybuch nastąpi nieprędko. Padlewski rozmówił się z nim tylko ogólnikowo, licząc, że do czasu działań nieraz przyjdzie do szczegółowego omówienia planu. A teraz nagle ten rozkaz równie ogólnikowy, nie wchodzący w żadne szczegóły, jakgdyby Lewandowski miał był już czas i możność poznać i zbadać szczegóły tak rozległego terenu. Dziwny rozkaz!

— I jeszcze — myślał, — gdybym przy tem przelotnem obznajmieniu się z częścią podległych mi

sił znalazł był dostateczne siły, dostateczne przygotowania! Ale, przeciwnie, wszystko jest raczej niegotowe do wybuchu!

Przypomniał sobie swą tygodniową podróż. Był w Siedlcach — organizacja nieliczna, możliwa pomoc od oficerów spiskowych. W Białej — okolica zrewolucjonizowana, oficer artylerji Zarzycki obiecywał rozdać ślepe ładunki żołnierzom i twierdził, że w 500 ludzi, nawet źle uzbrojonych, zdobyć można armaty. W Brześciu to samo — tam trzeba 5000 ludzi. W Węgrowie i Sokołowie silne wpływy przeciwników powstania — białych. Przelotne rozejrzenie się w sytuacji pozwala przypuszczać, że nie jest tak źle, że dużo dałoby się zrobić, ale na to trzeba czasu, czasu, jeszcze raz czasu.

— Teraz dopiero mógłbym — myślał dalej — przystąpić do szczegółów, ułożyć je w system, dostosować go do okoliczności terenu i warunków lokalnych, i to tylko w tych miejscach, gdzie byłem. Nie znam jeszcze dwóch trzecich swego terenu, ani zajrzałem na południe i nie wiem, co się tam dzieje.

Szeptał z wściekłością:

— Jak — u pioruna — mam działać?!

Przeczytał raz jeszcze rozkaz:

— Napadać na garnizony w nocy 22 stycznia, starać się utrzymać w swojem posiadaniu szosę moskiewską, przy niemożliwości dowiedzionej przenosić teatr małej wojny na wschód, na Litwę.

Przypomniało mu to rozmowę z Padlewskim:

— Wschód cały prowadzi ostrą demonstracyjną i partyzancką walkę, przecinając komunikację Warszawy z Rosją, a pod osłoną tej walki na po-

łudniu, w Sandomierskiem, i na północy, w Płockiem zbierają się i organizują armje polskie do marszu na Warszawę.

Taki w ogólnych zarysach plan był mu przedstawiony w tych rozmowach, te same też ogólnikowe wskazówki zawierał rozkaz.

Opadały go coraz bardziej zwątpienie i niepewność.

— Przecież — myślał dalej — muszą tam w Warszawie wiedzieć, żem świeżo tu przybył, że nie mogłem w dwa tygodnie poznać i obmyśleć wszystkiego dokładnie. Powinni byli wziąć to pod rozwagę i dać mi lepsze i szczegółowsze rozkazy, dane, wskazówki. Niechbym miał za sobą miesiąc lub dwa pracy przygotowawczej, już wiele dałoby się zrobić!

Głęboko zamyślił się pułkownik i wreszcie po namyśle zasiadł do pisania. Pisał prośbę o odwołanie rozkazu, motywując ją niedostatecznem przygotowaniem województwa do walki, powołując się na rozmowy z Komitetem z przed dziesięciu dni, obrady, w których odkładano wybuch na czas późniejszy.

Jeszcze tegoż dnia wieczorem nadszedł powtórny rozkaz z zawiadomieniem, że Komitet opuszcza Warszawę i że cały kraj ma taki sam rozkaz, a zatem Podlasie nie może pozostać wtyle.

Pułkownik wzruszył ramionami: „Nieodwołalne — trzeba rozkaz spełnić, trzeba śpieszyć, bo czasu mało!“

— Być może — pomyślał, chcąc usprawiedliwić polecenie, — iż inne województwa zachodnie są lepiej przygotowane, niż moje. Ja mam demon-

strować tylko, niechże będzie możliwie dobra demonstracja! Na szczęście spadło z mojej głowy Lubelskie, Warszawa sama się niem zajęła; nie wiedziałbym, co z tem zrobić, jak nadążyć w tym krótkim czasie z robotą na takich przestrzeniach! I z tem, co mam, daj Boże wydołać!

Tejże nocy z Siedlec popędzili kurjerzy i kurjerki z zawiadomieniem o terminie i rozkazie Komitetu do dowódców powiatowych, wyznaczonych zawczasu. Od nich wieść szła już wolniejszą drogą, drogą nieledwie ustną od człowieka do człowieka, omijając tych, których podejrzewano o gadulstwo, a których zostawiono na ostatnią chwilę. Droga powolna, droga zawodna! Niektórzy otrzymali zawiadomienie o punkcie zbornym zaledwie na kilka godzin przed terminem wyruszenia, a przecież trzeba było każdemu jakoś się opatrzyć na wojenkę, urządzić swe domowe interesy i sprawy przed wyprawą, z której często już się nie wraca.

Do niektórych rozkaz dochodził po czasie; bywało tak nawet z naczelnikami, jak, naprzykład, z Krysińskim, wyznaczonym do napadu na Międzyrzecz. Każdy przyjmował rozkaz tak, jak w danej chwili nakazywał mu nastrój jego: gdy była chętka — szedł na wskazane miejsce, gdy tchórz obleciał lub wprost ostrożność przeważyła — zostawał spokojnie w domu, wiedząc, że nikt go do wojaczki nie zmusi i że za dezercję żadna kara nań nie spadnie.

Nazajutrz pułkownik Lewandowski ze swymi podwładnymi z powiatów siedział nad rozłożoną mapą. Wszyscy biadali, wszyscy źle tuszyli o sprawie. Zaczęto obliczenia.

Na szosie, wiodącej z Warszawy do Brześcia Litewskiego, cztery główne punkty były zajęte przez Rosjan: Siedlce z załogą jednego bataljonu piechoty i setki kozaków, — Łuków, obsadzony dwoma kompanjami piechoty, Międzyrzecz ze szwadronem ułanów i wreszcie Biała z baterją artylerji konnej, setką kozaków i jedną kompanją piechoty. Wszędzie istniało porozumienie z oficerami, należącymi do spisku, więc wiadomem było nieledwie każde poruszenie w garnizonie i liczyć można było na pomoc w obozie wroga. W Łukowie i Białej po kilkunastu żołnierzy Polaków było w zmowie z rewolucją i miało natychmiast przejść do szeregów powstańczych.

Pomimo tych słabych stron u nieprzyjaciela przedstawiał tenże siłę 2 tysięcy kilkuset bagnetów i szabel z dodatkiem ośmiu dział. Siła potężna w porównaniu z tem, co powstanie przeciw niej wystawić mogło.

Przeciwko Siedlcom postanowiono użyć organizacji z Siedlec, Sokołowa i Węgrowa z dodatkiem ludzi z pod Łosic. Siły te każdy liczył inaczej; gorętsi spodziewali się 3 tysięcy, chłodniejsi doliczali się tysiąca. Dowodzić miał sam pułkownik Lewandowski. Łuków z okolicą, dobrze zorganizowaną, miał opanować ksiądz Brzózka; liczył, że zbierze 3000 ludzi, co aż nadto wystarczało na słabą załogę łukowską, tem bardziej, że w spisku było sporo żołnierzy Polaków. Międzyrzecz oddano Krysińskiemu, którego na naradzie nie było; liczono tam na kilkuset ludzi; zadanie tu wyglądało tem łatwiej, że piechoty nie było wcale. Wreszcie Białą z artylerją poruczono młodemu Rogińskiemu, który —

najgorętszy ze wszystkich — był teraz pewien swego: cały powiat był zorganizowany — jego zdaniem — i na każde skinienie wszyscy gotowi tam byli stanąć!

Lecz piętą achillesową było uzbrojenie. Broń była w tak śmiesznie małej ilości i w dodatku tak licha, że na myśl o gwintowanych karabinach i armatach nawet odważniejszym ręce opadały. Trzeba wykorzystać zatem słabą stronę przeciwnika; kazać działać swoim sojusznikom w jego własnym obozie. Więc oficerowie, należący do spisku, wszędzie otrzymają nakaz, aby w naznaczony dzień urządzić jaką ucztę, tak, by wszyscy dowódcy, nawet pomniejsi, osobno od swych żołnierzy stać się mogli łatwym łupem napastników. Liczono na to, że żołnierze, pozbawieni kierowników i zaskoczeni nagłym napadem, nie będą w stanie wykorzystać w dostatecznej mierze ani siły swej organizacji, ani potęgi swej broni. W najgorszym razie mogło to zrównoważyć szanse nierównego boju. Nawet najchwiejniejsi sądzili, że przy takiej pomocy sprawa beznadziejną nie jest.

Resztę załóg, rozsypanych w województwie, leżących z boku głównej linji komunikacyjnej, przydzielono innym. Więc Deskur, obywatel ziemski, otrzymał Radzyń, punkt ważny, bo obsadzony artylerją i piechotą. Więc Nencki miał prowadzić napad na Kodeń, gdzie, na trzy mile od fortecy brzeskiej, stał prawie bez osłony pułk artyleryjski z magazynem broni i amunicji. Wreszcie na Łomazy z załogą kawaleryjską miał napaść Szaniawski. W każdem z tych miejsc liczono na kilkuset powstańców. Kilka wreszcie pomniejszych punktów,

zaopatrzonych w drobniejsze załogi, jak Węgrów, Sokołów, Mroczki, Serokomla, Kock, Ostrów i Łaskarzew, postanowiono zostawić w spokoju: zabrakło na to wodzów i sił spisku. Zresztą w razie powodzenia, choćby tylko częściowego, w głównych siedliskach władzy wojennej te drobne oddziałki muszą stracić orjentację i w każdym wypadku w trudnem znajdą się położeniu, jeśli nawet nie przepadną zupełnie.

Jako dalszy, wspaniały już etap rozwoju rewolucji, rysował się Brześć Litewski. Przyświecał on wyobraźni Lewandowskiego, jak gwiazda przewodnia. Po udanych napadach złączonemi siłami ruszyć pod fortecę, gdzie spiskowi oficerowie ułatwią jej zdobycie! Dałoby to odrazu szeroką i pewną podstawę powstaniu nietylko już na Podlasiu, ale w całym kraju i postawiłoby wojsko rosyjskie w Polsce w położenie groźne i trudne.

Na wypadek nieudania się napadów, zgodnie z poleceniem Komitetu, miano się przenieść na Litwę, rozszerzając ideję buntu i teatr wojny.

Role zostały rozdane, plan osnuty.

Do pracy! A pracy było jeszcze wiele!

Każdy z poszczególnych dowódców musiał obmyśleć szczegóły swego postępowania. Ba, gdyby tylko obmyśleć! Każdy miał na głowie też i przygotowanie wszystkiego do wybuchu nieledwie własnoręcznie. Wobec konieczności zachowania ścisłej tajemnicy, liczba ludzi, zajętych przygotowaniami, musiała być bardzo ograniczoną, by żadna liczniejsza grupa ludzi, nawet nieuzbrojonych, żadna furmanka z bronią czy amunicją nie spotkały na swej drodze czujnego oka wroga, nie wydały sekretu

przedwcześnie. Koncentracja sił i środków tak łatwa, gdy siła zbrojna kroczy jawnie do swego celu, naginając całe otoczenie do swojej woli i potrzeby, napotykała tutaj liczne, nieraz zupełnie nie dające się przewidzieć przeszkody i wywoływała tarcie tak silne, jakiego nie zna armja regularna. Hasłem tu było nie przystosowywanie otoczenia do swej wygody, lecz wbrew swej wygodzie, a zatem ze stratą czasu i wysiłków, przystosowanie siebie samego do otoczenia, zniknięcie w niem, rozpłynięcie się aż do niewidzialności. Tylko ta czapka-niewidka dawała gwarancję sekretu, tylko ona jakimś niewinnym pozorem osłaniała groźne przygotowania.

A ileż w takiej pracy niespodziewanych zagadek losu i ślepego wypadku? Zagadek, wypadków, których zgubnego wpływu niczem parować niesposób! Zdradliwemi są prawa wojny, zdradliwemi niechybnie, lecz przesiąkniętem zdradą staje się powietrze, gdy sama wojna inaczej nie może się przejawić, jeno podstępem i zdradą.

*

* *

Nadzwyczajny ruch panował w Horostycie, cichym zwykle dworku podlaskim. Pani domu wraz z fraucymerem przez cały dzień gotowała, smażyła i piekła, wieczorami zaś szyto jakieś woreczki, darto i szarpano bieliznę i płótna. Niezbyt wesołe widocznie były przygotowania, bo pani nieraz ukradkiem łzy ocierała i tuliła drobne dzieci do siebie. W całym dworze rozmawiano szeptem, oglądając się, by nikt nie słyszał, nawet swawolne dzieci przyciszonym głosem komunikowały sobie

spostrzeżenia nad tą dziwną, nieznaną im dotąd krętaniną i nerwową, pośpieszną pracą starszych. Nie miały to być ani imieniny, ani częste dawniej przyjęcia sąsiedzkie. W kuchni nie robiono zwykłych w tych wypadkach smakołyków, lecz gotowano proste, chłopskie jedzenie i w takiej ilości, jakgdyby miano przyjmować wszystkie wsie okoliczne.

Pan domu, znany na Podlasiu obywatel ziemski, Bronisław Deskur, chodził z miną zakłopotaną po dworze, przynaglał wszystkich do pośpiechu, raz po raz zamykał się w swym gabinecie na cichą rozmowę z przyjacielem i dalekim sąsiadem, Teodorem Jasińskim. Po takiej rozmowie zwykle wychodził do izby folwarcznej i po chwili na drodze rozlegał się tętent cwałującego konia, wiozącego chłopca z posyłką do sąsiada, do miasta, czy okolicznej wioski lub plebanji.

Pan Deskur przygotowywał się do napadu na Radzyń. Dom jego stał się główną kwaterą, dla ułatwienia zaś sprawy i zarazem punktem koncentracji dla broni, amunicji, zapasów wojennych i żywności.

— Zawcześnie, zawcześnie — mówił do swego przyjaciela przy krótkim wypoczynku — nie myślałem nigdy, bym teraz właśnie miał taką niespodziankę. Trzy dni tylko czasu zostało. Swoje osobiste sprawy jużem zakończył. Ale z tą bronią, czy damy sobie radę? Dotąd nie kazałem nawet kos na sztorc przekuwać, by Rosjan nie alarmować, a teraz boję się, czy aby nadążą. I jak ja sam poradzę? Mianowali mnie majorem, ale co z tego majorstwa, gdy nie bardzo wiem, co robić? Umiem ekspedyte

regulamin kawalerji, czytało się coś niecoś o taktyce i strategji, ale niech mnie kule biją, jeśli wiem, co z tego wszystkiego wziąć do ataku na Radzyń. Widocznie czegoś nie doczytałem, czegoś się nie douczyłem. Tu byłby potrzebny jakiś podporucznik, ale rzeczywisty, nie taki malowany major. Pamiętaj, Teodorze, musisz być ciągle przy mnie, bym się mógł kogo poradzić.

— Nie, za nic! — odrzekł Jasiński — jesteś majorem i musisz dowodzić. Pójdę naoślep, gdzie zechcesz, lecz nie zajmę się niczem samodzielnie, bo wyobrażenia nie mam, jak sobie radzić w tem położeniu. Mogę odpowiadać tylko za siebie! Zresztą i regulaminu żadnego nie umiem i żadnej książki wojskowej nie czytałem. Ty musisz to umieć!

Biedny pan Deskur choć musiał, jednak czuł, że nie umie. Podejrzewał jakąś lukę w swem wykształceniu militarnem i prawdopodobnieby nie uwierzył, że dla napadu z garstką „kosynierów" i „drągaljerów" na armaty i karabiny żadna książka wojskowa nie jest napisana i że każdy porucznik lub kapitan niemalowany, równie jak on, byłby zdany w tym wypadku na łaskę i niełaskę swoich zdolności i energji bez żadnego oparcia na nauce i regulaminach. Ba, czułby się gorzej, bo nie miałby tego oparcia, jakie miał pan Deskur w dokładnej znajomości otaczającego go radzyńskiego światka.

Lecz pan Deskur musiał, więc słał rozkazy, jak major rzeczywisty. Do Horostyty na 21-go rano niejaki Michałowski, kotlarz z profesji, szczery patrjota i dzielny człowiek, mający wpływ duży w różankowskich dobrach hrabiego Zamoyskiego, miał

przybyć z organizacją tameczną i bronią, ukrytą na wozach. Bronią tą były kosy, przez tegoż Michałowskiego przygotowane, i kilkanaście strzelb myśliwskich, będących w posiadaniu zorganizowanej straży leśnej. Do tejże Horostyty miano ściągnąć i resztę broni z okolicy, gdyż stąd część jej trzeba było oddać i panu Krajewskiemu, wyznaczonemu do zaalarmowania załogi w Ostrowie. W Horostycie też oddział zabierał żywność na dni kilka, woreczki do kul i prochu, uszyte rękami kobiecej połowy zaludnienia dworu.

Lecz dzień jeden cały ta gromada przebyć musiała na miejscu, następnie dzień cały maszerować siedm mil drogi pod Radzyń. Okoliczność ta niepokoiła głęboko pana Deskura. — Czy też to ujdzie niepostrzeżenie, czy też przedwcześnie zamiar nie będzie odkryty i udaremniony?

Ale jak postąpić inaczej? Wyznaczyć odrazu miejsce spotkania dla wszystkich pod Radzyniem? Niemożliwe; trzebaby wyznaczyć termin wcześniejszy, licząc na opóźnienie i powolne ściąganie się ludzi. Gotowi będą ludzie—broń się opóźni, gotowa broń — ludzie przyjdą później. I potem ten jarmark na drodze pod samem miastem może zaalarmować, zaniepokoić załogę, a tego właśnie za wszelką cenę uniknąć trzeba. Wyznaczyć punkt zborny gdzie bliżej Radzynia, u innego obywatela? Lecz niema takiego, któryby się nie wystraszył, nie robił wielkiej rzeczy z każdej drobnostki, kto wie, czyby nie zepsuł wszystkich przygotowań jakimś niepotrzebnym niepokojem lub alarmem. Niech już będzie Horostyta! Przynajmniej tu się nie rozgada, tu się zna każdego dokoła i wie się dokładnie,

czego i od kogo wymagać można. Tu zresztą przygotowują się wszystkie zapasy na drogę, tu nikt narzekać nie będzie na uciążliwe kłopoty, wydatki i strachy.

— Oficerowie, należący do spisku, już są zawiadomieni o terminie, mają ściągnąć wszystkich oficerów na wspólną hulatykę, tak, że armaty zostaną bez poważniejszej osłony, a żołnierze bez dowódców. Organizacja miejska w Radzyniu ze swym naczelnikiem, Pyrkoszem, ma do ostatniej chwili mieć na uwadze wojsko i jego czynności, a na godzinę dziesiątą wieczór przyjść w umówione miejsce w okolicy miasta po broń i ostateczne rozkazy.

Tak, rozkazy wydane, wszystko już umówione, a jednak jakiś niepokój gryzie pana Bronisława, świeżego majora wojsk polskich. To nietylko brak zaufania do własnych sił i umiejętności i strach przed umiejętnością fachową wroga. Owszem, to działa swoją drogą denerwująco i przypominanie wszystkich mądrości regulaminu kawalerji wraz z urywkami taktyki i strategji nie uspakaja wcale. Lecz poza tem ten ogólny niepokój o to, czy wszystkie te szczegóły dopasują się dobrze nawzajem w ostatniej chwili? Wszystkie atomy — broń i ludzie — z których przed samym napadem złoży się siła zbrojna pana Deskura, dziedzica Horostyty, wszystkie te atomy są dotąd i do ostatniego momentu nie w jego bezpośredniem rozporządzeniu, lecz mają życie samodzielne, niekontrolowane czujnem okiem dowódcy. Każdy atom zosobna chodzi luzem, a tych chwil luźnego życia jeszcze takie mnóstwo! Toż to chaos jakiś, niepodobny do

uchwycenia przez żadną, choćby najżywszą, wyobraźnię! Każda chwila jest niepewna, w każdej chwili nieprzewidziany postępek, wprost nawet kaprys wroga wprowadzić może plątaninę i zamieszanie do misternych obliczeń.

I, jakby dla potwierdzenia tych niepokojów pana Deskura, spada nań grom nieoczekiwany. Oto w nocy z 20-go na 21-szy, akurat przed terminem zbiórki przynajmniej części sił zbrojnych, przybiega ze stolicy miejscowej, z Radzynia, goniec. Jest nim pan Prądzyński, pomocnik naczelnika miasta. Przywozi on przykrą wiadomość, zasięgniętą od oficerów spiskowych, że żandarmerja miejscowa wybiera się z wizytą do Horostyty, że mają rozkaz aresztowania pana majora we własnej osobie. Grunt zaczynał palić się pod nogami!

W oczach biednego pana Deskura wszystko zawirowało; całe obliczenie stawało do góry nogami. Horostyta — punkt koncentracyjny — był już niepewnym, chwiejnym, jak i wszystko dokoła.

— Wysyłać kontrrozkazy, odwołania? — niesposób! Przy tych przestrzeniach i całym systemie luzaków byłoby to ryzykowne; do jednych trafi się w porę, do innych, prawdopodobnie większości, za późno, gdy poprzedni rozkaz już będzie wykonywany. A zresztą nawet tam, gdzie jeszcze na czas się nadąży, muszą też nastąpić odwołania dalsze, nowe rozkazy, które ten bezmierny już chaos zawikłają w tak niesłychany sposób, że o rozplątaniu go i ułożeniu w porządku chybababy mowy być nie mogło.

Nie pozostało więc nic innego, jak „delożować" tylko samego siebie, usuwając się z pod ręki wła-

dzy. Reszta pozostanie po staremu, zdwojone będą tylko ostrożności, aby koncentracja nie wpadła w oko żandarmom.

Pan Bronisław prawdopodobnie miał w tej chwili jedną pociechę. Przyjaciel jego — pan Jasiński — choć umiał mniej jeszcze od niego, lecz tym razem musiał zastąpić wodza. Prawdopodobnie panu Jasińskiemu w jego naiwności ani przez głowę nie przeszło, że biorąc w tym wypadku w swe ręce ostateczne przygotowania do wyprawy, wypełnia czynność wojenną najbardziej odpowiedzialną, najbardziej delikatną, czynność sztabowych oficerów, swą administracyjną pracą torujących drogę do zwycięstwa. Niechybnie złośliwa myśl o przyjacielu, bojącym się odpowiedzialności, a zmuszonym do niej, mogła być pociechą, lecz zato wątpliwość, niepewność, znaki zapytania co do samego przedsięwzięcia musiały wzrosnąć w myśli pana Deskura w trójnasób. Z ciężkiem sercem wsiadał on o świcie na brykę, wyznaczywszy miejsce spotkania w lasku podmiejskim, na drodze z Wohynia do Radzynia. Na ganku dworku rzewnemi łzami płakała dziedziczka i czworo dzieci z wystraszonemi twarzyczkami tuliło się do jej sukni.

* * *

Ksiądz Nawrocki, proboszcz w Huszczy, śpieszył, drepcąc po błotnistej drodze zaścianka. Na twarzy miał rumieńce, oczy mu błyszczały, a chociaż zmuszał się do uważnego odmawiania modlitwy i myślenia o wzniosłych rzeczach niebieskich, jednak dnia tego nie mógł wymóc na sobie

uwagi i skupienia. Pacierze mu się plątały, a oglądając znane sobie oddawna zabudowania zaścianka, mruczał pod nosem: „Pojutrze! Pojutrze!"

Szedł do starego Macieja, kolegi z drugiego pułku ułanów z roku 1831, którego ongi był kapelanem. Teraz miał mu zwiastować nową pobudkę, nową wojenkę.

— Hej, nie tak szło się ongiś na wroga! Jawnie, buńczucznie, ze śpiewem wesołym, brzękiem ostróg, furkaniem chorągiewek, w jaskrawych mundurach, na koniach, parskających wesoło. Hej! Macieju, teraz na wojenkę wykradać się będziesz, jak złodziej, — jak zbój jaki, razić będziesz wroga z za węgła, z ukrycia. Pójdziesz, jak stoisz przy swej chacie, w siermiędze, a zamiast lancy i pałasza weźmiesz z sobą pracowitą kosę. Nie zagra ci do boju skoczna a dziarska muzyka, nie będziesz miał tego gwaru wojskowego dokoła, co cię zamłodu cieszył i radował. Przekradać się teraz będziesz po lasach i błotach rodzimych, jak włóczęga bezdomny, a pieśnią twą będzie smutna, ponura, grobowa nuta tych pień żałobnych, co od lat paru w kościołach twej ziemi się rozlega.

Lecz bój jest bojem i serce prawego żołnierza rwie się doń, jak młodemu do miłej. Więc i Maciej, gdy od swego proboszcza i kapelana usłyszał, że już czas się gotować, nie myślał o dawnych rozkoszach bojowania, tylko wraz z księdzem jął deliberować o przygotowaniu rodzimego zaścianka do walki.

Mieli napaść na załogę w Łomazach; tam kwaterował drugi szwadron ułanów smoleńskich Jego Cesarskiej Wysokości następcy tronu.

— Na ułanów! — westchnął proboszcz, wspominając dawne ułańskie czasy.

— Psia mać, za przeproszeniem księdza jegomości, — obruszył się Maciej — takie i ułany! Nieboszczyk nasz rotmistrz na cztery wiatry rozpędziłby taki szwadron. Już to im się przyglądam ustawicznie. Pójdzie nam, jak z płatka, księże dobrodzieju, ani to się pilnować umie, a wieczorem połowa pijana. Wyrżniemy, jak świnie, za przeproszeniem dobrodzieja, a tam taki szwadron sformujemy, że nieboszczyk pan rotmistrz w niebie się uraduje.

— Zanadtoś na krew łapczywy, — mitygował ksiądz — śpiących wyrzynać, nie żołnierza rzecz! Broń odebrać, konie, siodła pozabierać, a tych biedaków puszczać wolno, taki nakaz z Warszawy. Jakoby i oni będą się buntować przeciw rządowi. Słyszę, wśród Rosjan wielu jest takich, co nam sprzyjają.

Maciej z argumentami temi nie zgadzał się i z zaciętej mazurskiej twarzy widać było, że krwi ani swojej, ani wroga nie będzie szczędził pomimo łagodnej perswazji księdza. Nie był on zdatny do stosowania sprzecznej w swej zasadzie formuły łagodnej surowości, jaką ze swej strony rewolucja chciała się kierować w stosunku do wojska.

Zaczęła się długa narada o sposobach podejścia wroga, ukrycia pierwszych kroków przygotowawczych. Brano w rachubę każdy krzaczek, każdy domek po drodze lub w miasteczku. Maciej się gorączkował, chciał iść wprost, jak ongiś na szarżę, impetem; ksiądz mitygował, doradzał ostroż-

ność, dorzucał uwagi, świadczące zarówno o doskonałem znawstwie terenu, jak i rozumieniu życia żołnierskiego i działań wojennych.

We wszystkiem szybka następowała zgoda; Maciej przeważnie poddawał się argumentom księdza. Jedna tylko kwestja wzbudziła dłuższy spór. Szło o to, czy zaraz w zaścianku rozpocząć przygotowania, czy czekać jeszcze dnia następnego. Maciej dowodził, że zaraz trzeba skrzyknąć ludzi — oddawna przecie są już spisani — przysięgli i są gotowi. Kazać przekuwać kosy, sposobić odzież i obuwie, gotować zapas żywności. Twierdził ze słusznością, że zwłoka odbije się na gotowości, że się nie nadąży potem, że ludzie muszą przecie i pozałatwiać swe sprawy domowe, i pożegnać się z rodziną, i pogodzić się z Bogiem, odbyć spowiedź świętą. Na to wszystko dnia nie wystarczy. Ksiądz upierał się, by narazie zachować w tajemnicy termin wybuchu, spuścić się z sekretu tylko najzaufańszym, a nazajutrz otoczyć zaścianek strażą z młodszych, by nikt z obcych i niepowołanych nie zastał szlachty przy dziwnej, niepokojącej robocie. Specjalnie obawiał się paru pijanic zaściankowych, którzy w karczmie rozgadać mogą przed Żydem, a ten mógłby o tem donieść władzy. Maciej na te argumenty doradzał wprowadzenie odrazu nieledwie stanu wojennego, chciał Żyda z rodziną i ludzi niepewnych zamknąć pod straż i gospodarzyć w zaścianku śmiało.

Długo trwał spór, lecz wreszcie Maciej i w tej sprawie ustąpił. Ustąpił nie dla słuszności argu-

mentów proboszcza, lecz dla jego powagi kapelana ułańskiego. Narady się skończyły.

Nazajutrz w zaścianku, otoczonym czujnemi strażami, wrzała praca. W kuźni nagwałt spajano kosy, w chatach baby, ocierając łzy fartuchem, piekły, gotowały i szyły, w kościele przy konfesjonałach tłumy młodych chłopców odbywały krótką, żołnierską spowiedź, po wsi całej urządzano uroczyste żegnania i błogosławieństwa. A w samych Łosicach aż do wieczora kręcili się starzy Huszczowie, wysłani przez Macieja i proboszcza na przeszpiegi, na pilnowanie wszelkich ruchów ułanów i ich dowódcy, którzy ani się spodziewali, jaka burza spadnie na nich tej nocy. Wieczorem zaległa w zaścianku niezwykła cisza. Tylko po chatach cicho i skrycie płakały młode i stare kobiety, tylko starzy dziadusie — wojscy nowocześni — próbowali łagodzić smutek zrzędzeniem; wszystko, co było silnem, zdrowem, wziąwszy w tęgie. spracowane garście kosy i zatknąwszy za pas na siermiędze siekiery, wymknęło się cichaczem ze wsi pod wodzą Macieja. Proboszcz, już teraz kapelan i doradca techniczny wodza, ruszył też w pole. Zaścianek Huszcza ruszył na wojnę. Z sąsiednich zaścianków — Wiski i Tuczna — tak samo wyprowadził młodzież na Kodeń stary Nencki, wysłany ongiś w sołdaty na Kaukaz i obdarzony tam szewronami podoficerskiemi.

*

* *

Na plebanji w Białej u proboszcza księdza Mleczki w bocznym pokoiku od paru miesięcy

rozgospodarował się młody, nieznany dotąd nikomu młodzieniec. Proboszcz przedstawiał go, jako swego siostrzeńca, lecz dziwnym był stosunek pomiędzy wujem a siostrzeńcem. Jeżeli szło o szacunek i poważanie, to korzystał z nich właśnie siostrzeniec, który w rozmowach używał tonu nakazującego i mówił do otoczenia, jak przełożony do podwładnych. Od czasu jego zamieszkania do niepoznania zmienił się tryb życia na plebanji. Drzwi się nie zamykały prawie; w pokoju siostrzeńca odbywały się ciche narady i szepty, do których niezawsze był dopuszczany sam gospodarz domu. Młodzieniec często uciekał na całe tygodnie, do proboszcza zaś zgłaszali się coraz częściej ludzie z odległych okolic. Była to główna kwatera rewolucyjna, zpoczątku na całe województwo Podlasia, a potem na obszerny powiat bialski. Młodzieńcem zaś był młody Roman Rogiński, dawny komisarz pełnomocny Komitetu Centralnego na województwo, a teraz naczelnik powiatu.

Od czasu ostatniego powrotu z Warszawy i Siedlec, od 19 stycznia, nerwowy Rogiński nie miał odpoczynku. Wszędzie go było pełno, podwoił, potroił swe usiłowania, by jego duma, Biała z okolicą, wysunęła się na jedno z pierwszych miejsc w Polsce podczas napadów w nocy 22 stycznia. Był prawie pewien powodzenia. Wojsko pod komendą generała Mamajewa nie spodziewało się niczego; i ślepyby to spostrzegł. Przed chwilą właśnie umówił się Rogiński z komendantem baterji, Suchodolskim, i jego subalternem, Zalewskim, co do szczegółów napadu. Na alarm nie

wyjdą wcale z mieszkania, pozwalając spiskowym kanonierom gospodarzyć, jak chcą, w baterji, ci zaś strzałami mają nastraszyć konie, tak, by nie zdołano dział zaprząc i by zamieszanie, w ten sposób wywołane, ułatwiło zdobycie armat. W okolicę już gońce rozesłani. Od Janowa podlaskiego ma przybyć 400, tych przyprowadzi ksiądz Rozwadowski, proboszcz z Niemirowa; z Zalesia pod Bogusławskim stanie stu ludzi, z pod Łosic, z jednego z zaścianków nauczyciel ludowy, Wolanin, ściągnie z 300 szlachty. To wszystko zaś jest tylko pomocą, rezerwą. Grunt to mieszczanie bialscy, spiskowi, zaprzysiężeni każdy osobno, nie tłum nieobliczalny. Dwustu ich stanie, dzielnych zuchów rzemieślników, chłopów na schwał, zdolnych i do tańca, i do różańca, jak to mówią; rzemieślnicy, to dusza spisku w Polsce. Dwudziestu razem z Rogińskim wpadnie do kwatery wodza sił wrogich, reszta, podzielona odpowiednio, uderzy na koszary baterji za miastem, na sotnię kozaków, wreszcie na kompanję piechoty. Wszystko obliczone, wszystko ułożone. Nie! Chyba nie może się nie udać!

Rogiński w duszy nawet się cieszył, że nie zastał Mroczka, oficera od saperów, wyznaczonego do komendy w tym napadzie. Wysłano go nagle do Kazania, hen, daleko nad Wołgę. Komitet Centralny liczył, że tam powstanie bunt chłopów rosyjskich, jak ongi za dawnych czasów Katarzyny wybuchł bunt Pugaczewa. Komitet tem łacniej temu dawał wiarę, że go w tym kierunku zachęcano gorąco ze strony najbardziej kompetentnej: ze strony wodzów duchowych rewolucji rosyj-

skiej, Hercena i Bakunina, którzy potężny wpływ wywierali na spiskowych oficerów rosyjskich w Polsce. Bez tego fachowca, któremu z konieczności komendy ustąpićby trzeba, cały talent wojenny Rogińskiego — a weń z pewną słusznością wierzył święcie pan naczelnik powiatu — zajaśnieć może w pełni. Uczeń szkoły wojskowej polskiej, szkoły rewolucyjnej, pokaże, co umie!

I nagle w maszynie, nakręconej tak dowcipnie przez młodego wodza, coś się psuć zaczęło. Właśnie, odpoczywając chwilkę, marzył on o dalszym rozwoju działań po zwycięstwie w Białej, gdy do drzwi ktoś cicho zapukał w umówiony sposób.

— Proszę! — obudził się z marzeń Rogiński.

Do pokoju wsunął się młody, dwudziestoparoletni rzemieślnik z przekrzywioną od zgrozy twarzą i, nie zapomniawszy przyjąć wobec naczelnika postawy odpowiedniej, jednym tchem zaraportował:

— Panie naczelniku! Nieszczęście! Księża Reformaci rozgrzeszenia nie dają!

— Co pleciesz?! — zerwał się Rogiński — jakiego rozgrzeszenia?

Rzecz się wyjaśniła szybko. Stu kilkudziesięciu ludzi przed wyjściem do boju poszło do spowiedzi księży Reformatów. Lecz tu nie poszło tak gładko, jak u kapelana drugiego pułku ułanów polskich w Huszczy. Zakonnicy przestraszyli się, że ich posądzą o współudział w napadzie i przy konfesjonałach jęli odmawiać swych penitentów od ryzykownego kroku, nie dając nawet rozgrzeszenia pod pozorem znajdowania się w stanie grzechu przeciw przykazaniu: nie zabijaj. Tłum sku-

piał się w kościele, zmieszany, zdemoralizowany, niepewny przedsięwzięcia. Więc zapaleńsi posłali po naczelnika.

Rogińskiemu, raptusowi z natury, zaiskrzyły się oczy. Narzucił kożuszek, schwycił czapkę i pędem ruszył do kościoła. Ręce mu dygotały, w kieszeni zaciskał nerwowo rewolwer.

— Zabiję, zamorduję, z dymem puszczę! — przelatywało mu przez głowę.

Wreszcie dopadł do kościoła. Tłum ochotników powstańczych z uszanowaniem się rozstępował, dając przejście naczelnikowi. Już nie przy konfesjonałach, lecz w środku kościoła odbywała się dysputa. Z jednej strony zakonnicy z oburzeniem odpychali penitentów, z drugiej młodzież, jedni zapalczywie, inni na klęczkach, błagali lub nastawali gwałtownie, żądając spowiedzi i rozgrzeszenia. Na to właśnie wpadł Rogiński. Ogniście, chociaż niezbyt wymownie, zaczął zarzucać ojcom, że popełniają zbrodnię narodową, że gdyby szło o spowiedź żołnierza w służbie rosyjskiej, żołnierza, idącego wyrzynać własnych braci, toby mu rozgrzeszenie dali, a tutaj nie czynią tego jedynie z nędznego tchórzostwa. Wreszcie, coraz bardziej się rozgrzewając własnemi słowami, krzyknął:

— Żywcem tu was spalę! Z dymem puszczę klasztor, jeśli nie ustąpicie i nie wypełnicie obowiązku!

Musiała być w tej groźbie siła i jakaś prawda, bo księża cofnęli się i spowiadanie rozpoczęli.

Rozdrażniony Rogiński po chwili wrócił do domu. Nie miał już poprzedniego spokoju i pewności siebie, czuł, że część, może i znaczna część

mieszczan ulegnie nastrojowi, wywołanemu przez księży Reformatów, a naprawiać szkody już nie miał czasu, za kilka bowiem godzin należało stanąć do boju. Nie wiedział jednak, że już spadło nań nowe, kto wie, czy nie większe nieszczęście, które już w niwecz obróciło wszystkie jego rachuby.

Kapitan Suchodolski, dowódca konnej baterji Nr. 3, od kilku godzin siedział w swem mieszkaniu w ciężkiej zadumie. Należał on do kółek oficerskich rewolucyjnych, niebardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, ot tak, dla mody, która opanowała inteligencję owego czasu, gdy być ugodowcem było to samo, co nosić żaboty, pończochy lub trzewiki ze sprzączkami. Rewolucja była hen, gdzieś daleko, jakaś nierealna, nie wkładająca żadnych obowiązków, a tymczasem przy spotkaniach z kolegami było tak miło drwiąco odezwać się o władzy, skrzywić się na wzmiankę o cesarzu, gorąco krytykować możnych tego świata, przed którymi było się takim maluczkim w życiu.

A oto przyszły realne obowiązki rewolucyjne. Jeżeli dotąd przymykał tylko oczy na szerzenie się spisku wśród żołnierzy swej baterji, to przecie widział to wszędzie naokoło. Czynił to cały rząd w swej łagodnej surowości, w swej ustępliwości przed rewolucją.

Ale teraz trzeba było przejść przez Rubikon. Trzeba było zamknąć oczy na opanowanie przez powstańców baterji, za którą jest odpowiedzialny, trzeba było zamknąć oczy na rzeź swoich żołnierzy.

— A co będzie, gdy wojsko napad odeprze, a on jutro będzie musiał stanąć przed oczami komendanta, jenerała Mamajewa, i odpowiadać za niestawienie się podczas alarmu, za niespełnienie najkardynalniejszego obowiązku żołnierza? Sąd wojenny, scena rozstrzelania mignęły mu w oczach.

— Brr!... Więc co? Czy można temu przeszkodzić? Przekonać Rogińskiego o niedorzeczności napadu?

— Ależ to niepodobieństwo, ten zapaleniec gotów go zabić, usunąć z drogi! Zresztą przekonać się nie da!

— Uprzedzić Mamajewa?

Wzdrygnął się narazie. Czarna to zdrada, wydanie na rzeź już nie swych żołnierzy, lecz kolegów ze spisku!

Rumieńcem wstydu spłonął narazie.

Lecz jest to właściwie jego obowiązkiem żołnierskim, tak mu nakazuje przysięga, którą składał po przyjęciu szlif oficerskich. Zresztą nikt o tem wiedzieć nie będzie. Pójdzie do Mamajewa, uprzedzi go o napadzie, wojsko stanie w pogotowiu, powstańcy nie ośmielą się napaść. Mamajewa zaś samego przekona o konieczności możliwie pokojowego załatwienia sprawy. Przecież znaną jest rzeczą, że namiestnik, wielki książę, mający duży wpływ na cesarza, jest stronnikiem łagodności rządów, stronnikiem reform liberalnych, główną podporą partji reformy i opiekunem urzędników, skompromitowanych za swe zbyt radykalne poglądy. Tak będzie i wilk syt, i koza cała. Jeżeli rewolucja ma

w istocie siłę, to brak powodzenia w jakiemś jednem miasteczku nie wpłynie na wypadki, a jutro, pojutrze najdalej będzie to widoczne.

Jeszcze chwilka wahania — wreszcie pan kapitan drżącemi rękami przypasał szablę i, korzystając z wczesnego styczniowego zmierzchu, by nie być dostrzeżonym, wymknął się chyłkiem na ulicę. Za chwilę Mamajew przestrzeżony kazał uderzyć na alarm. Wszelkie plany Rogińskiego prysły, jak bańka mydlana!

* * *

Takich dworów, jak dwór pana Deskura, takich chat, jak chata Macieja w Huszczy, plebanij, jak dom księdza Nawrockiego, miasteczek, jak Biała, i ciężkich tragedyj, jak los kapitana Suchodolskiego — było mnóstwo w dni owe w naszym kraju. Te same kłopoty, te same rozkazy i przeciwrozkazy, te same wahania i wątpliwości. Wszędzie to samo zmaganie się z okropnemi trudnościami wytworzenia z chaosu, a więc z niczego, jawnej, zorganizowanej siły zbrojnej. Przygotowania techniczne były zaniedbane już to dla braku środków, już to dla względów konspiracyjnych, dla uniknięcia rozgłosu i przedwczesnego wystawiania tych przygotowań na ciosy wroga, już to z przyczyn politycznych. Nie chciano dolewać oliwy do ognia i doprowadzić do wybuchów lokalnych, niezwiązanych z sobą w jakiś system. I teraz brak tej pracy, poprzedzającej wojnę, mścił się na każdym kroku, w każdej drobnostce. Tarcie przygotowań wojen-

nych olbrzymiało, wywołane pośpiechem w sposób nieoczekiwany, zmniejszając niechybnie zarówno liczebność sił, jak i wartość ich techniczną. Tysiące malały do setek, setki topniały w dziesiątki, dziesiątki znikały, rozwiewały się w mgłę nieuchwytną. A brak czasu — gdzieniegdzie rozkaz chwytania za broń przychodził na 12 godzin przed terminem wybuchu — potęgował grozę położenia, powodował rozpaczliwe szamotanie się w sieciach niemożliwości, wywoływał gorycz, brak wiary w powodzenie. W takich chwilach ludzie szukają oparcia moralnego. Jedynem tem oparciem była Warszawa, był Komitet Centralny, widoma głowa ruchu.

To też jeden goniec za drugim pędził do stolicy z zapytaniami, wątpliwościami, z żądaniami. Pierwsi gońcy byli zwiastunami zdziwienia i przerażenia, które sam rozkaz wywołał. Zewsząd — z Podlasia, z Lubelskiego, z Kaliskiego, z północy i południa, ze wschodu i zachodu — słano zapytania: czy być może? z czem pójdziemy? nieledwie: czyście oszaleli?!

W Warszawie, jako zastępcy Rządu Tymczasowego, zostali trzej ludzie: Stefan Bobrowski, Władysław Daniłowski i Witold Marczewski: pierwsi dwaj młodzi, dwudziestokilkoletni akademicy, ostatni trochę starszy, inżynier kolejowy. Bobrowski, który rozumem, wolą i energją trójcy tej przewodził, odprawiał tych pierwszych gońców narazie łagodnem, lecz stanowczem słowem, potem ze złością i wzruszeniem ramion. Pamiętał, że ci sami ludzie, którzy teraz niepokoili się i okazywali brak stanowczości, niedaw-

no jeszcze argumentowali inaczej. Nietylko zachęcali, lecz wprost wymagali, groźnie żądali wybuchu. Pamiętał, że wtedy w rozpaczy, rozgoryczony brakiem zaufania, a przeświadczony o niemożliwości żądań, zdobył się na propozycję, by gremjalnie z całym składem Komitetu Centralnego oddać się w ręce wroga. A teraz ci sami, ludzie tłumu bez pamięci, nastrojowcy, gdy wybiła godzina, ślą mu słowa mądrości, przezorności i... lęku. Wzruszył ramionami.

Lecz później przyszli gońce ze sprawami technicznemi, z pytaniami, które czuć było prochem, w których dojrzeć było można organizację wojenną, manewr bitewny. Tu bezradnie opuszczały się ręce wodzów narodu; żaden z nich najmniejszego o tem nie miał pojęcia; żaden nawet nie miał takiego odczucia luk w swem wykształceniu wojennem, jakie miał pan dziedzic z Horostyty.

Jeszcze gdy szło o pomoc materjalną — parę groszy, kilka kożuchów, trochę prochu czy ołowiu — jeszcze w tych wypadkach energja i stosunki Rządu wystarczały. Lecz gdy miała być dana rada wojenna, wskazówka techniczna, gdy trzeba było uspokoić sumienia świeżych majorów i kapitanów, dodać im pewności siebie, gdy, słowem, szło o kierownictwo wojenne, o myśl przewodnią działań, brakło nie sił i energji, nie woli i serca, lecz głowy i zrozumienia rzeczy. W poczuciu więc własnej niemocy, w bezpłodnym wysiłku mózgów i nerwów malała wola, znikała stanowczość i decyzja. Impulsy z centrum życia rewolucyjnego były coraz słabsze i bledsze. Wkońcu w głównej kwaterze zwątpiono, czy

wogóle cokolwiek będzie, czy wogóle rozkazy w jakikolwiek sposób będą wykonane i czy noc 22 stycznia, zamiast być Polski momentem dziejowym, nie będzie śmiesznością, przedmiotem dowcipów i drwin pokoleń następnych.

W posępnej trwodze oczekiwano wyniku, w trwodze tem większej, że tu na miejscu, w stolicy i sercu ruchu rewolucyjnego, wyglądało wszystko po dawnemu, bo wogóle przygotowań nie poczyniono. Warszawa, promotor wojny, Warszawa, która dała do niej hasło, która wymusiła na Komitecie Centralnym ogłoszenie powstania, Warszawa wreszcie, najdotkliwszy, najbardziej cenny dla wroga punkt w całym kraju, — Warszawa zepchnęła cały ciężar wojny na drobne miasta, miasteczka, wsie nawet; sama niczem nie miała zadokumentować swej siły rewolucyjnej.

Tu, gdzie pracował mózg organizmu wojennego wroga, sztaby wojenne i kierownicy polityki nieprzyjaciela, gorący oddech walki bezpośredniej nie miał mu zamącić spokoju pracy, nie miał osłabić decyzji i woli. Błąd ten, błąd fatalny dla ogółu operacyj, nie był jednak w ten właśnie sposób odczuwany przez młodych przedstawicieli Rządu. Gnębiła ich bardziej bezczynność wojenna, czuli się upokorzeni, że nie są w szeregach walczących, tam, w drobnych miastach i miasteczkach. Po głowach snuły im się plany równie ryzykowne, jak sama rewolucja.

Więc Bobrowski rzucał się, by porwać brata cesarskiego, wielkorządcę Polski, Konstantego. Kilkunastu śmiałków, upatrzywszy odpowiednią

chwilę, rozpędzi konwojujących kozaków i wielkiego księcia szybko wywiezie do lasów okolicznych. Bobrowskiemu, rozkochanemu w swym wodzu, wydawało się, że posiadanie w obozie tak cennego zakładnika odrazu wyniesie Zygmunta Padlewskiego na czoło powstania, odrazu uczyni go ogniskiem, koło którego skupią się wypadki rewolucyjne.

Daniłowski znowu przypomniał dawne plany Jarosława Dąbrowskiego, wówczas zamkniętego już w murach cytadeli. Twierdził, że trzeba rozbiec się po mieście niewielkiemi grupami, wpadać do mieszkań dygnitarzy wojskowych i cywilnych, zabijać ich, wprowadzać dezorganizację. Wszystko to było ogólnikowe, mgliste, nieprzemyślane. Wszystko nie stało w żadnym związku, zrozumiałym choćby tylko dla autorów tego czy innego planu, z ogółem rozwijających się wypadków. Wreszcie ta trójca rządowa tak była zarzucona szczegółami i szczególikami rozpoczynającego się już gdzieindziej życia wojennego, że mowy być nie mogło, aby się jeszcze na coś samodzielnego zdobyła. Warszawie sądzonem było milczeć tym razem, poprzestając na niesieniu pomocy powstającej prowincji.

W rosyjskiej kwaterze głównej nie oczekiwano wcale nadchodzących wypadków. Władze cywilne łudziły się nadzieją, żywiły nawet pewność, że po wyłapaniu najgorętszych i usunięciu najbardziej zapalnej młodzieży do szeregów wojskowych w głębi Rosji wszystko się uspokoi. Liczono na bezsilność ruchu rewolucyjnego, groźnego, coprawda, w słowach, lecz skrępowa-

nego warunkami tajnej organizacji. Władze wojskowe szemrały, sądząc, że wojsko jest niezabezpieczone, a używane raz po raz do robót policyjnych. rozprasza się coraz bardziej po kraju. Lecz szemrania były ciche, nie odważono się na żaden śmielszy krok w sporze z władzą cywilną, ta bowiem miała poparcie u wielkiego księcia Konstantego. Jeżeli noc 22 stycznia zastała Polaków nieprzygotowanych do niej technicznie i organizacyjnie, jeśli wypadki postawiły przed Polakami nadzwyczaj trudne zadanie nagłego zaimprowizowania siły zbrojnej bez jakiegokolwiek przyzwoitego przygotowania do niej, to Rosjan zaskoczyła ona psychicznie. Organizacja i technika były u nich gotowe, jak w każdej regularnej armji, coprawda, osłabione rozproszeniem armji po kraju, lecz duchowo wojsko do wojny się nie gotowało, w stanie wojny się nie znajdowało i wszystkie korzyści inicjatywy działań i niespodzianki przypadały Polakom, jakby dla częściowego przynajmniej wyrównania szans boju.

* * *

Na olbrzymim placu bitwy — a takim placem nocy 22 stycznia miała być cała Kongresówka — stali naprzeciw siebie dwaj przeciwnicy. Jednym była rozproszona na drobne oddziały i jeszcze dyplomatyzująca armja rosyjska, silna swą techniką i organizacją. Drugim były koncentrujące się w ostatniej chwili z luźnych atomów oddziały polskie, licho uzbrojone, a liczące na niespodzia-

ny nocny napad w połączeniu z pomocą, której spiskowi sojusznicy mieli udzielić od wewnątrz obozu nieprzyjacielskiego.

Największe natężenie ruchu powstańczego istniało w Płockiem, na Podlasiu i w Sandomierskiem. Reszta kraju albo, jak Lubelskie, nie miała wodzów, albo też brakło jej dostatecznej ilości dostatecznie podnieconych żołnierzy, jak było na całym zachodzie: w Kaliskiem, Krakowskiem, a w wielkim stopniu i na Mazowszu. W tej części placu boju co najwyżej liczyć było można na drobne, nieznaczne i nie mogące wpłynąć na losy boju utarczki. Główne uderzenie musiało nastąpić tam, gdzie się ześrodkowały główne, chociaż jeszcze rozproszone, siły spisku, to jest na całym wschodzie.

W Płockiem, na Podlasiu, w Sandomierskiem wreszcie, półkolem otaczając serce ruchu i stolicę kraju, miał wybuchnąć bój — walka zdradliwa i rozpaczna, jaką zawsze jest starcie powstającego ludu z „prawnie“ istniejącą władzą, opartą o całą potęgę techniki wojskowej, jaką posiada każde państwo. Kosy miały się zderzyć z bagnetami i karabinami, myśliwskie strzelby miały sprostać armatom. Pomocą zaś w nierównej walce miała być noc ciemna, niespodzianka, wreszcie zdrada w obozie nieprzyjacielskim — ułatwienie napadu przez spiskowych oficerów w armji rosyjskiej.

Czy dlatego, że energiczniej szła przygotowawcza praca na Podlasiu, czy że silniejszemi okazały się tam charaktery, właśnie w tej części kraju bój wypadł najkrwawszy. Brak czasu

i broni, przeciwdziałanie przeciwników powstania wśród Polaków i tu, jak wszędzie, przeszkodziły w wielu miejscach części spiskowych wyruszyć w pole. Niektóre więc planowane napady zawiodły najzupełniej, czy to z braku dowódców lub żołnierzy, którzy zgodnie z prawami wojska ochotniczego zostali w domu. Zamiast sześciu tysięcy, które miano wystawić przeciw sile wroga, wyższej liczebnie, zaopatrzonej w artylerję, zaledwie 1500 ludzi stanęło do rzeczywistego boju.

Tysiąc pięćset ludzi, zebranych w ostatniej chwili, więc niespojonych organizacją wojskową, ludzi, którzy najczęściej broni w ręku nigdy nie mieli! Trzeba było szaleństwa decyzji rewolucyjnej, by w tych warunkach bój rozpoczynać. Trzeba było naiwnej w duszach wiary, rozwijanej i potęgowanej przez długotrwały okres wrzenia rewolucyjnego, podczas którego wszystko, co jest władzą, powoli w proch się rozkładało, przestając otoczenie zmuszać do posłuszeństwa już to swą powagą, już to postrachem kary. Trzeba było tej ogromnej przemocy moralnej, z jaką każdy ruch rewolucyjny występuje w stosunku do swych zwolenników, a nawet do przeciwników swych dążeń. W chwili wybuchu, gdy technika i sprawność wojenna nie wypowiedziały swego słowa, wyraźnego aż do brutalności, powstającemu ludowi w całej rozciągłości sekunduje jeszcze ta siła, która w okresie przedwybuchowym w ścieraniu się ze stroną przeciwną święciła same prawie triumfy, zmuszając wroga do cofania się przed nią — sekunduje mu siła mo-

ralna. Jeszcze w chwili samego wybuchu odnosi ona dziwaczne nieraz zwycięstwa!

Oto na skrajnym wschodzie placu boju nastąpiło spotkanie dwóch przeciwników. Jeden z nich to jenerał Mamajew, komendant garnizonu w Białej. Uprzedzony, jak widzieliśmy, przez zdradę jednego ze spiskowych oficerów, kazał uderzyć na alarm i zaraz po dziewiątej wieczór wytoczył na rynek miasta wszystkie swe siły. Więc ośm dział odprzodkowanych, gotowych do strzału, stanęło pośrodku. Osłoniła je ze skrzydeł kompanja piechoty, a dokoła, jako flankierzy i wywiadowcy, rozsypali się kozacy. W ciemnościach wilgotnej, dżdżystej nocy styczniowej zabłysły ognie, suto w pośród rynku rozpalone. O nagłem, niespodziewanem zawładnięciu armatami, o zniesieniu siły rosyjskiej podstępnym napadem nocnym mowy być nie mogło. Wstępny bój toczonym być musiał otwarcie — jawnie trzeba było pokazać, czy kosy, drągi, siekiery, a w najlepszym razie śrutem nabite ruśznice są zdolne do pojedynku z działami i gwintowanemi karabinami, z całą techniką wojska, w swym przepychu i dumie ześrodkowaną na rynku małego miasteczka.

Naprzeciw, u wylotu jednej z ulic na rynek, zaczęła się zbierać gromadka powstańców pod dowództwem młodego Rogińskiego, którego śmiałe zamiary wniwecz się obróciły. Spiskowi bialscy ściągali się powoli i leniwie. Zdemoralizowani przez kontragitację księży Reformatów, przestraszeni widoczną przemocą wroga, przygotowanego do odparcia napaści, rzemieślnicy bial-

scy haniebnie dezerterowali z szeregów spiskowych. Do godziny jedenastej wieczór zebrało się zaledwie sześćdziesiąt kilku ludzi, którym rozdano kosy, siedm dubeltówek i cztery pojedynki myśliwskie. Kilkunastu żołnierzy Polaków z baterji nieprzyjacielskiej otwarcie wyszło z szeregów, by stanąć z bronią — pałaszami — po stronie powstania. I ta drobna garstka, wyglądająca na wyprawę myśliwską, wracającą z obławy na leśnego zwierza, przez parę godzin w trwożnem napięciu nerwów stała o paręset kroków naprzeciw oddziału z trzech rodzajów broni, gotowego do boju. Jedno poruszenie, jedno nieznaczne pokręcenie korby u gotowej maszyny wojskowej wystarczało do zgniecenia śmiałków! A jednak tylko ponure milczenie zalegało na rynku, milczenie, które zalegać musi duszę małego zwierzaka, zahipnotyzowanego przemocnem spojrzeniem boa-dusiciela.

Jednak zdolnym do ruchu w tym wypadku okazał się nie boa-dusiciel! Rogiński z samego rynku pchnął posłańców-pocztarków, którzy z odgłosem trąbki pocztowej rozbiegli się w różne strony, jako adjutanci, pędzący do sąsiednich oddziałów z prośbą o pomoc. I znowu minuty za minutami, kwadranse za kwadransami mijały w śmiertelnem oczekiwaniu. Wreszcie o pierwszej w nocy Rogiński znowu na ruch się zdobywa.

Tym razem postanawia ustąpić z placu, lecz ze śmiałością ostatecznej determinacji kazał swej garstce niejako defilować przed siłą nieprzyjacielską — przejść na ukos rynek, by zniknąć w innej ulicy, prowadzącej w stronę Janowa,

skąd najszybciej nadciągnąć mogła pomoc. Więc naprzód poszli dezerterzy-kanonierzy z kosą w ręku, w końcu, przykrywając marsz, jedenastu strzelców z Rogińskim, uzbrojonym w rewolwer, na czele. „Była taka cisza — pisze Rogiński, — że słychać było tylko szmer równo posuwających się kroków i nieomal bicie serca każdego".

Rynek przebyli szczęśliwie i wówczas dopiero Mamajew puścił w pogoń kozaków, których odstraszono paru strzałami.

Któż więc w tem bezkrwawem zmaganiu się sił był hipnotyzerem? Czy bezczynna i bezwładna w swej masie zbrojnej siła rosyjska, jako wojsko — zdemoralizowana zdradą oficerów i żołnierzy, czy garstka prawie bezbronnych straceńców, spokojnie defilujących przed najeżonym bagnetami frontem wroga?

Dopiero o milę od Białej Rogiński spotkał nadciągające opóźnione oddziały księdza Rozwadowskiego i Wolanina, liczące razem trzystu ludzi.

Mamajew zaś wystraszony tą bezkrwawą bitwą, słał gońców jednego za drugim, by ściągnąć do Białej większe siły, jakgdyby mu nie wystarczały dotychczasowe. W kilka dni potem Rosjanie opuścili Białą, wycofując wojsko do Siedlec i sąsiedniej fortecy — Brześcia.

Niewszędzie jednak na Podlasiu bój był tylko zmaganiem sił moralnych. Gdzie tylko czynnik niespodzianki mógł być wyzyskanym należycie, bój był przeprowadzony nieraz z rozpaczną energją.

Więc w Kodniu Nencki z furją wpadł na paruset żołnierzy, stanowiących załogę miasteczka i będących obsługą parku artyleryjskiego. W jednej chwili rozprzężone i rozproszone siły rosyjskie w bezładnym popłochu opuściły miasteczko, oddając na łup zwycięzcom niewielki skład broni i naboi. Kilkunastu żołnierzy z oficerem, wziętych do niewoli, świadczyło o zupełnem zwycięstwie.

Więc w Łomazach znany nam zaścianek szlachecki Huszcza tak samo znienacka wpadł na szwadron ułanów, rozbił go w puch, zabrawszy rynsztunek i wielką ilość koni.

Wreszcie w Łukowie ksiądz Brzózka, który zczasem miał się wsławić, jako ostatni partyzant Polski, nie schodzący z pola walki jeszcze na wiosnę 1865 roku, nagłym napadem wyrugował z miasta dwie kompanje piechoty, zabrawszy sporą ilość broni.

Gorzej poszło w samych Siedlcach i Radzyniu, gdzie bitwy były najkrwawsze i gdzie po krótkiem starciu plac boju został przy Rosjanach.

W Siedlcach przewodził Polakom wódz Podlasia, pułkownik Lewandowski. Jak wszędzie, tak i tutaj, poprzednie obliczenia zawiodły. Większość ochotników nie stanęła do apelu, już to z przyczyn usprawiedliwionych, jak najrozmaitszych przeszkód technicznych, już to ulegając moralnej depresji w ostatniej chwili. Przy najpesymistyczniejszem obliczeniu sądzono, że stawi się najmniej tysiąc ludzi; w rzeczywistości stawiło się koło trzystu, zaledwie trzecia część tego, na co liczyli pesymiści. Świeży żołnierz,

licho uzbrojony, niepewny w swych poruszeniach, po raz pierwszy zobaczył swego naczelnika w nocy przed samym bojem. Nawet zewnętrzna jego postać nie mogła być dokładnie rozeznana, a Lewandowski sam, spostrzegłszy wahanie się ludzi, nie zdecydował się uderzyć na silną załogę siedlecką. Cofnął się więc o pół mili, by znieść kompanję, osobno stojącą w Stoku Lackim, tem bardziej, że tu właśnieześrodkowane były składy 19-go pułku kostromskiego, podówczas rozsypanego drobnemi załogami po kraju.

Pierwszem nagłem uderzeniem Polacy opanowali składy i odrzucili kompanję do wsi, gdzie żołnierze, instynktem samym prowadzeni, roztarasowali się po chałupach, odstrzeliwując się napastnikom. Ciemna noc, obok niedostatecznej organizacji wewnętrznej i spoistości świeżego wojska polskiego, nie dały możności przeprowadzenia z powodzeniem trudnego względnie zadania stopniowego wyparowania żołnierzy rosyjskich z osiedli. Powstańcy stanowili bezładną kupę ludzi, z którą złożonego manewru niesposób było wykonać. Poprzestano więc na utrzymywaniu gęstego ognia ze strzelb i zdobytych karabinów i z najbliższej tylko podpalonej chałupy zdołano wyrzucić obrońców wioski. Oczekiwano świtu, ażeby z większą łatwością móc zorganizować oddział i użyć go jako siły zorganizowanej do skończenia zaczętego dzieła.

Lecz nad ranem z Siedlec i niedalekiej Białki nadbiegła odsiecz w postaci trzech kompanij piechoty i sotni kozaków. Niezorganizowane wojsko polskie okazało się niezdatnem do dłuższego opo-

ru. Oddział zaczął się rozprzęgać, cofać grupami do pobliskiego lasu, wreszcie o samym świcie bój ustał. Polacy, nieścigani przez Rosjan, lecz zdezorganizowani długim bojem, prawie w zupełnej rozsypce rozeszli się w różne strony. Sam zaś Lewandowski z niewielką garstką ludzi uszedł, by szukać innych podwładnych mu oddziałów.

Dziedzic z Horostyty — pan Deskur — miał prowadzić atak na Radzyń. Rozstaliśmy się z nim w chwili, gdy zrozpaczony musiał porzucić sklecone z takim mozołem atomy podwładnej mu siły zbrojnej. Zgodnie z planem, ułożonym jeszcze w spokojnej Horostycie, miał on stanąć pod lasem o dwa kilometry od Radzynia wieczorem 22 stycznia, by tam oczekiwać na przymarsz zebranych ludzi. Po drodze, dla pewności, bo był sam jeden, jak palec, zabrał z sobą Jerzmanowskiego, człowieka starszego, kiedyś, w 1848 roku, za spiski zesłanego na Syberję. Jerzmanowski od stóp do głowy zbroił się na wyprawę. Wreszcie pan major stanął u celu — na skrzyżowaniu kilku dróg, któremi nadciągnąć mogli jego ludzie. Mrok zapadał, mokry śnieg począł sypać, Jerzmanowski został na skrzyżowaniu dróg. Deskur zaś sam udał się na skraj lasu, skąd mógł zdala obserwować Radzyń i spotkać spiskowych mieszczan radzyńskch.

Chwiła za chwilą mijały w przykrem oczekiwaniu. Niepewność gryzła pana majora: — Czy też uda się misterny plan skoncentrowania wszystkich atomów — ludzi i broni — pomimo wszelkich przeszkód w jednym punkcie? A tu nagle nowe nieszczęście! Zdala zbliżał się turkot

szybko jadącego wozu, rozlegały się dźwięki trąbki, po chwili padły dwa strzały, a koło zdumionego majora w pełnym cwale przemknął wóz z dwoma żołnierzami rosyjskimi. Na skrzyżowaniu dróg Deskur Jerzmanowskiego nie zastał.

— Wszystko stracone! — oto pierwsza myśl, która przemknęła przez głowę nieszczęśliwego majora. Kłopoty organizacyjne, niepewność oczekiwania samotnego, mokry śnieg, wreszcie alarm niespodziewany, wszystko to razem z równowagi duchowej wyprowadziło Deskura. Włosy mu dębem stanęły na głowie, a język kołkiem w ustach — jak to sam znacznie później opisze w swym pamiętniku. Miał jednak tyle odwagi i hartu, by straconego, jak mu się zdawało, posterunku przecież nie opuścić.

— Nie wydawać przynajmniej na łup nieuprzedzonych powstańców! — myślał; i znowu naczelnik siły zbrojnej parę godzin spędził pod krzakiem w oczekiwaniu swych ludzi.

Był szczęśliwszym od innych, naprzykład, od Oxińskiego w Kaliskiem, który tej samej nocy w takiej samej samotności doczekał się w ciągu nocy jednego — wyraźnie jednego tylko — ochotnika. Pan Deskur już o jedenastej wieczór doczekał się swego przyjaciela Jasińskiego, który z Horostyty przyprowadził na punkt zborny stukilkudziesięciu ludzi i trochę broni: 40 dubeltówek i 100 kos. Broni, nawet tej lichej, było tak mało, że mając na uwadze konieczny udział mieszczan radzyńskich w boju, nowych przybywających ochotników pan major odprawiał

z kwitkiem, jako zbyteczny balast dla swego oddziału.

O dwunastej nareszcie zjawili się dawno oczekiwani mieszczanie z Pyrkoszem i Prądzyńskim na czele, z gołemi rękoma, nawet bez siekier. Niektórzy otrzymali kosy, reszta poszła z drągami. Nowiny z miasta były uspakajające. Oficerowie, w dwóch miejscach zebrani, grali w karty i hulali, żołnierze spali snem sprawiedliwych. Coprawda, wobec braku broni w oddziale panowało przygnębienie, lecz pan major opanował ludzi i wydał rozkazy.

— Przedewszystkiem wziąć w swoje ręce naczelników! — brzmiało polecenie.

Pyrkosz miał prowadzić mieszczan na jedno z mieszkań, gdzie byli zebrani oficerowie. Otoczyć ich, ubezwładnić i postąpić z nimi, jak nakażą oficerowie spiskowi, — oto było jego zadanie. Drugiej części oddziału Michałowski miał użyć dla ujęcia głównego komendanta wroga — jenerała Kannabicha, który u Chwoszczyńskiego, oficera żandarmów, grał w karty. Wreszcie na główną wartę i koszary artylerji sam pan Deskur prowadził resztę oddziału: 14 strzelców i 40 kosynierów. Rozpoczyna Pyrkosz, który dla dania sygnału innym zapali słomę, złożoną dla artylerji w rynku.

W rozkazach nie było tej ścisłości i pewności siebie, jaka była pożądana. Pyrkosz czynności swe miał uzależnić od nieobecnych w tej chwili oficerów spiskowych, którzy mogli się zachwiać w postanowieniach. Zapalenie zaś słomy, jako sygnału, świadczyło, że ludzie, nie wyłączając

samego dowódcy, majora Deskura, żądali jeszcze jakiegoś zewnętrznego znaku na dowód, że wojna w istocie się zaczyna. W głębi bowiem duszy jeszcze nurtowały wątpliwości, czy wogóle to jest możliwem, czy przypadkiem którykolwiek z zebranych nie cofnie się w ostatniej chwili. Bo poza tem uzewnętrznieniem niejako rozkazu rozpoczęcia robienie alarmu w mieście, na które niespodzianie się napada, oświetlenie placu boju, gdy się chce własną ukryć niemoc — najmniej było wskazanem.

Bądź co bądź jednak ułożono plan cały i wyprawa ruszyła na miasteczko, migocące w mglistej dali paru świetlnemi punktami, oświeconemi oknami czuwających jeszcze, a nie spodziewających się nadchodzącej burzy mieszkańców. Pyrkosz, który dla dodania animuszu trochę sobie podchmielił, zapalił słomę w rynku, otoczył mieszkanie z oficerami i sam, wszedłszy do środka, zwrócił się do zebranych z długą i zawiłą przemową. Jak pod Ciołkowem nieszczęsny pułkownik Kozlaninow, tak w Radzyniu biedny łyk miejski szedł w burzę z gałązką oliwną pokoju, szukając u swych wrogów odczucia i zrozumienia. Podzielił też los swego rosyjskiego poprzednika. Major Borozdin — najstarszy oficer wśród zebranych — odrazu wyraził zgodę na propozycję apostoła pokoju, a uśpiwszy jego czujność, wysłał ordynansa po żołnierzy. Po krótkiej chwili pozornego zbratania się wybuchnęła nagle ostra, bezwzględna walka. Sprowadzeni żołnierze wcale nie pokojowo wpadli na Polaków. Zakłóty bagnetami

padł Pyrkosz wraz z większością swych podkomendnych.

Michałowski szybciej sobie poradził z Kannabichem. Ciężko ranny generał i sterroryzowani oficerowie, przy nim obecni, zostali usunięci z pola walki.

Warta główna i straż przy armatach jednem gwałtownem uderzeniem Deskura została rozproszona. Część legła pod uderzeniami kos, reszta rozbiegła się w panicznym strachu. Działa i jaszcze bezbronne stanęły do dyspozycji zwycięzców.

Lecz jak ruszyć je z miejsca? — Koni! koni! Pół królestwa za konie! — mógłby był zawołać pan Deskur słowami Ryszarda trzeciego.

Konie były tuż obok w stajni. Lecz żołnierze, widząc, co się święci, już zamknęli drzwi i z różnych otworów rozpoczęli bezładny, lecz huczny ogień na powstańców, oświetlonych blaskiem płonących w rynku stert słomy.

Jeszcze chwila oporu i rozpaczliwego wysiłku, by zwycięstwo, które już się Polakom uśmiechało, przechylić na swoją stronę. Lecz już z innej strony szła odsiecz oblężonym Rosjanom. Część piechoty po załatwieniu się z Pyrkoszem i jego ludźmi, oswobodziwszy oficerów, ruszyła na jedyną teraz siłę polską, walczącą koło stajni artyleryjskich. Zabici i ranni padali gęsto. Wreszcie siła moralna wyczerpała się i wszystko rozprysło się w różne strony.

Deskur z wiernym przyjacielem Jasińskim, zrozpaczeni, pełni zwątpienia w siły powstania i możliwość powodzenia, sami zostali pod mia-

steczkiem. Na punkcie zbornym, wyznaczonym zawczasu w razie niepowodzenia, nie było nikogo. Biedny pan major postanowił szukać oparcia u swej bezpośredniej władzy — u pułkownika Lewandowskiego. Ruszył samotrzeć pod Siedlce.

Na Podlasiu, w środku olbrzymiego półkola, na którem w nocy 22 stycznia bój wydano, stanęło ze strony polskiej 1500 licho uzbrojonych, naprędce zebranych, organizowanych dopiero w ostatniej chwili bojowników. Przeciwko sobie powstanie podlaskie miało samej piechoty do 5000; 32 działa z odpowiednią obsługą gotowe były rozpocząć dzieło zniszczenia. Ku pomocy zaś swojej wojska te posiadały tysiąc kilkuset kawalerzystów, zdatnych do szybkiego pościgu czy osłony miejsc zagrożonych. W boju 22 stycznia nie wszyscy żołnierze rosyjscy udział wzięli. Zaledwie 3000 ludzi nocy tej odczuło na sobie oddech otwartej walki — i tak podwójna przemoc w samej liczbie w stosunku do Polaków, nie licząc już przewagi w broni, a przedewszystkiem w tężyźnie organizacji, opartej na silnej, bezwzględnej dyscyplinie.

A jednak, gdy na szarem, zimowem niebie rozbłysnął świt poranny, zwiastując krajowi pierwszy dzień długiej wojny, nietylko Polacy, odparci od objektów ataku, a nawet cofający się z miejsc, przez siebie zdobytych, jak w Kodniu, Łukowie i Łomazach — nietylko Polacy znajdowali się w rozterce duchowej i niepewności jutra. Rosyjskie wojsko, nawet zwycięskie, nigdzie nie zdobyło się nawet na cień pościgu. Przerwane komunikacje pomiędzy drobnemi, rozsypanemi

po kraju oddziałami rodziły chwiejność decyzji, bojaźń o los swój jutrzejszy, przenikającą wojsko rosyjskie od góry do dołu, od dowódców kompanij, szwadronów, bataljonów do ostatniego żołnierza. Bezwiednie oglądano się dokoła, czy w jakim kącie nie czyha zdrada, bezwiednie, wobec własnej nieświadomości, szukano oparcia w przypuszczalnej wszechwiedzy władz centralnych.

*

* *

Podlasie, stanowiąc centrum w boju 22 stycznia, przez powstanie w Augustowskiem na północy łączyło się ze skrzydłowem uderzeniem w Płockiem, a na południu wiązało się przez Lubelskie z siłą sandomierską. Tam, na skrzydłach, według planu skupione być miały główne siły, tam dzielna szlachta zagonowa z pod Siedlec, Łukowa i Białej miała prawo spodziewać się rozstrzygających, silnych uderzeń, dla których jej drobne, bohaterskie podjazdy i szarpanie wroga miały być tylko pomocą demonstracyjną. W sąsiednich województwach, augustowskiem i lubelskiem, organizacja spiskowa albo była słaba (Augustowskie), albo też osłabiona aresztowaniami i zdezorganizowana brakiem technicznego kierownictwa.

To też w obu połaciach kraju, będących wiązadłami centrum Podlasia ze skrzydłami, ruch nie przybrał większych rozmiarów. W Augustowskiem Zameczek (Cichorski) zebrał kilkuset ludzi sprzysiężonych i z nimi wyruszył z Łap pod Suraż, gdzie niespodzianym napadem rozproszył stojącą

tam załogę — kompanję piechoty. Czyn, który odegrać żadnej poważnej roli nie mógł, zostawiał zaś bez naruszenia główną arterję ruchu — świeżo zbudowaną kolej z Warszawy do Petersburga. Już w tydzień potem tą drogą będą szły transporty gwardji, przesłanej do Warszawy. W samych zaś Łapach, skąd wychodził oddział, złożony właśnie ze służby kolejowej, znajdowało się duże *dépôt* kolejowe i, co ważniejsze, duży most kolejowy przez Narew. Zresztą to przepomnienie wynikało prawdopodobnie z ogólnego naówczas nieoswojenia się z tym potężnym środkiem komunikacyjnym. Ludność bardziej ciążyła ku szosom, drogom bitym, ułatwiającym ruch wozowy, niż ku nieznanej jeszcze nowince z Zachodu — kolei żelaznej. Drugi napad, na Wysokie Mazowieckie, prowadzony następnej nocy, i leśny bój pod Mężeninem, wstrzymujący kolumnę rosyjską w jej przemarszu do Łomży, były dopełnieniem ruchu w Augustowskiem, w pobliżu kolei petersburskiej.

W Lubelskiem jedyny napad na Lubartów był bliźniaczo podobny do opisanego wyżej napadu Deskura na Radzyń. I tu pierwszym impetem nagłego napadu zdobyto 8 dział — całą baterję. I tu opór żołnierzy rosyjskich, z własnej inicjatywy biegnących z odsieczą, nie pozwolił skorzystać z pierwszego sukcesu. I tu wreszcie krótka bitwa rozprzęgła w zupełności niespojone dłuższą organizacją szeregi polskie, tak, że wodzowie polscy, tak, jak Deskur, o świcie znaleźli się bez żołnierzy, sami, z rozpaczą i zniechęceniem w sercu. Gdzieindziej w tem województwie wobec braku sprężystej i jednolitej władzy wojskowej nie doszło

nawet do boju. W różnych miejscach zebrały się mniejsze lub większe grupy, które nie ośmieliły się zajrzeć nieprzyjacielowi w oczy, a nawet niekiedy poprostu rozeszły się (pod Krasnostawem) zaraz po zbiórce.

* * *

W Płockiem, na północnem skrzydle, powstanie miało według planu wydobyć możliwie wielkie siły, by odrazu zdobyć podstawę dla dalszej walki. Podstawa, coprawda, słaba wobec wielkiej bliskości nieatakowanej Warszawy i Modlina, nietrzymanych na wodzy żadną inną siłą. Lecz możliwość szybkiego ściągnięcia właśnie z Warszawy wielkiej ilości spiskowych przemawiała za tem, by tu najtęższy cios zadać. To też tu jedynie, czyniąc wyjątek w ogólnej taktyce, kuszono się o zdobycie jednej ze stolic administracyjnych i wojskowych ówczesnej Polski — Płocka, siedziby komendanta 6-ej dywizji piechoty wraz z jego sztabem i zarządem wojennym olbrzymiego kawału kraju, obejmującego dwa województwa — płockie i augustowskie.

Do Płocka, po jego zdobyciu przez powstanie, miał się przenieść Rząd Narodowy, by jawnem, dla wszystkich widocznem ukazaniem się wesprzeć sprawę powstania. Tam też śpieszył główny dowódca wojenny ruchu, Zygmunt Padlewski. Tymczasem jednak koncentrował siły powstania w tej okolicy i przygotowywał napad Bończa, inaczej Błaszczyński, były kapitan artylerji rosyjskiej.

Siły, zbierane do napadu na Płock, były względnie liczne, przynajmniej tak wyglądały przy rachunku na papierze:

— Pięć, sześć tysięcy! co najmniej tyle! — z pewną niechęcią myślał Błaszczyński przed napadem. — Czy nie za wiele? Trudno będzie opanować tak dużą gromadę świeżych żołnierzy! A zabraknie gdzieindziej! Kto zaatakuje Pułtusk, Maków i inne załogi, gdy wszystko, co żyje, pociągnie pod Płock?

— A zresztą — myślał dalej — organizacja miejska z Płocka samego też coś warta i ostatnie jej doniesienia świadczą, że załoga się zmniejszyła. Prawie połowę jej wysłano na te głupie rekonesanse... W istocie, z załogi płockiej wymaszerowały w różne strony drobne oddziały dla „łapania żywcem" dezerterów warszawskich i płockich. Rekonesanse wszystkie, z wyjątkiem nieszczęsnego Kozlaninowa, uderzyły w próżnię, osłabiwszy zato znacznie garnizon miasta.

Generał Mengden, który zastępował nieobecnego naczelnika dywizji, generała Lemcke, dnia tego miał pod swoją komendą zaledwie 400 piechoty i garstkę kozaków. Siły nieliczne, tem słabsze, że prawie połowę piechoty stanowili inwalidzi, żołnierze starsi, trochę zdemoralizowani napół cywilną służbą, którą pełnili. Akurat dnia tego nadbiegła wiadomość o śmierci Kozlaninowa i rozbiciu przez Rogalińskiego jego oddziału pod Ciołkowem. Jakieś przygnębienie zawisło nad wojskiem. Lecz było to zarazem ostrzeżenie, — ostrzeżenie, dane w porę, gdy burza, której nikt się nie spodziewał, już wisiała nad głową.

Drugiem ostrzeżeniem było zerwanie połączenia telegraficznego z Warszawą, a raz po raz do miasta dochodzić zaczęły głuche, trudne do skonstatowania dla tak słabej siły pogłoski o jakichś podejrzanych ruchach grup ludzkich w okolicy. Baron Mengden postanowił mieć się na ostrożności. Z energją, nieznaną gdzieindziej wśród dowódców rosyjskich, odrazu zawiesił nad miastem stan oblężenia.

O piątej wieczorem ognie miały być zgaszone wszędzie, bramy domów i sklepy pozamykane, a na miasto poszły gęste patrole dla przeszukania ulic i zaułków, dla usunięcia najniebezpieczniejszego, bo wewnętrznego wroga.

Cios był wymierzony dobrze, uderzał w najsłabszą stronę planu polskiego. Błaszczyński bowiem nie komu innemu, jak właśnie owemu wrogowi wewnętrznemu — organizacji miejskiej w Płocku — oddał rozpoczęcie ataku, chcąc z siłą zewnętrzną, zebraną poza miastem, nadejść jakby z rezerwą, dla rozstrzygnięcia zwycięstwa. Błąd ciężki i w skutki brzemienny.

Więc nie wojsko, chociażby nie wiem jak liche, ale zawsze już wojsko, które przezwyciężyło niesłychane przeszkody budownictwa wojskowego z luźnych, rozproszonych atomów — nie ta siła, zebrana już i znajdująca się w ręku wodza, miała wziąć na siebie najtrudniejsze zadanie. Bo zadanie trudnem było w istocie. Przezwyciężyć trzeba było przedewszystkiem naturalną nieufność do sił własnych i naturalną bojaźń przed siłą, widocznie dla każdego przeważającą pod względem technicznym i organizacyjnym. Wreszcie zdobyć

się trzeba było na szaleństwo decyzji działania, podobnego do rzucania się z motyką na słońce, działania, wymagającego jednak pewnej organizacji sił własnych. A czyż ta organizacja nie była stokroć trudniejszą na terenie miejskim, będącym w zupełnem do ostatniej chwili posiadaniu nieprzyjaciela, niż na terenie poza miastem, gdzie już udało się skleić luźne atomy siły zbrojnej w jaką taką organizację?

Błąd to był ciężki, powiększony jeszcze przez nakaz bicia w dzwony, alarmowania nietylko swoich, lecz i nieprzyjaciela, który najsłabszym był właśnie wtedy, gdy niczego się nie spodziewał, silnym zaś się stawał, gdy był ostrzeżony i w zupełnem pogotowiu mógł wytoczyć całą swą przewagę techniczną.

Jednak organizacja miejska czyniła rozpaczliwe wysiłki, aby podołać zadaniu. Pomimo stanu oblężenia grupy i pojedyńczy ludzie ściągać zaczęli na umówione miejsce. Broń, ukryta na sobie, staranność w zachowaniu pozorów — to była metoda zbierania siły zbrojnej. Lecz patrole Mengdena robiły swoje, wnosząc dezorganizację do operacji organizacyjnej, i bez nich nadzwyczaj zawiłej i trudnej. Ludzie, śpieszący na zbiórkę, zamiast trafić na wyznaczone miejsce, trafiali często do aresztów, zbici i sponiewierani przez patrolujących żołnierzy. Wojsko wykryło nawet parę punktów zbornych, gdzie odrazu wyrwano z szeregów całe grupy, przygotowujące się do boju.

Pierwszy krok okazał się fałszywym. Alarmował coraz bardziej nieprzyjaciela, wprowadzając do własnych szeregów najgorszą dla świeżego woj-

ska chorobę — dezorganizację i zamęt. Hasło napadu opóźniało się coraz bardziej, a generał Mengden grupami wojska obsadzał najważniejsze punkty miasta, powoływał pod broń ludzi z poza frontu: rzemieślników, służbę oficerską, słowem, stawiał w pogotowiu bojowem wszystko, co miał na swe rozporządzenie.

Poza miastem tymczasem na oznaczone punkty ściągała się rezerwa Błaszczyńskiego. Na odbytej poprzedniego dnia naradzie poszczególnych dowódców punkty te zostały wybrane dokoła miasta. Znowu dziwne nieporozumienie. Jeżeli rozpoczynać miało już miasto, jako wróg wewnętrzny, to rezerwa, skupiona w jednem miejscu, byłaby najodpowiedniejszą. Byłby ułatwiony przegląd sił, ich celowe i odpowiednie zorganizowanie dla walki, wreszcie, co najgłówniejsze, użycie ich zgodne ze zmiennemi losami boju, rozpoczętego w mieście. Było to tem konieczniejsze, że trudno było liczyć na to, aby liczby powstańców, zestawione na papierze, odpowiadać mogły smutnej nieraz rzeczywistości armji ochotniczej, organizowanej dopiero tuż przed bojem.

W istocie też obliczenia zawiodły. Gdzie liczono na tysiące, stawiły się setki, gdzie chciano mieć setki, stawały do dyspozycji dziesiątki zaledwie. Drobne te grupy ze zmniejszoną wiarą w swe siły już z powodu swej niewielkiej liczby w wahaniu i niepewności, czy nie należy jeszcze czekać na nadejście większej ilości ochotników, wyczekujące na chwilę działania w ulewnym deszczu, nie mając pomiędzy sobą komunikacji i łączności,

stawały się w swej męce oczekiwania coraz mniej zdatne do wyrównania szans boju w mieście.

Wreszcie w przepojonem wilgocią powietrzu jękliwie zabrzmiały dźwięki dzwonu. Było około godziny pierwszej w nocy. Pomimo strat, poniesionych przy zbiórce, część odważniejszych z organizacji miejskiej biegła na miasto, nawołując mieszkańców do broni i walki. Była to raczej demonstracja, mogąca nieco rozproszyć siły nieprzyjaciela, niż zamierzone zapoczątkowanie boju, wiążące wroga, zużywające jego siły tak, aby zmęczony i słaby stał się łatwym łupem nadchodzącej rezerwy. Ludność, sterroryzowana wrażeniami ubiegłego wieczora, ze zwiększoną ostrożnością, a zatem nadzwyczaj powoli, zbierała się w oddziały, ulegając w części zupełnemu rozproszeniu przez ściągające się na alarm patrole generała Mengdena.

Lecz wreszcie naczelnikowi miasta, Zegrzdzie, udało się zebrać garść ludzi, z którą wpadł na plac przed główną wartę. Zabity wartownik zdążył jednak uprzedzić wartę, która pod wodzą komendanta placu, pułkownika Poźniaka, wyskoczyła z budynku i gęstym ogniem ostrzeliwała zbliżające się szeregi powstańców. Dla zaalarmowania całej załogi pułkownik Poźniak wypuścił parę rakiet, które, spadając, obsypały skrami nadciągającą rezerwę.

Krótkim był bój w tem miejscu. Jak zwykle tej nocy, świeży żołnierz, nie mający wewnętrznej spoistości organizacyjnej, był dobrym tylko wówczas, gdy pierwszy krok jego na wojence uwieńczony był powodzeniem. Przełamanie uporczywe-

go oporu, gdy trzeba było dla zwycięstwa manewru i dłuższego wytrwania w ogniu, było zbyt trudnem i pod względem moralnym, i organizacyjnym. Wojsko rozprzęgało się na oczach, grupy i poszczególni ludzie bez rozkazu, na własną rękę, cofali się najprzód za najbliższe osłony, by potem ratować się bezładną ucieczką.

Tak stało się i w Płocku. Ludzie, cofający się z placu przed odwachem, zmieszali szeregi zbliżającej się rezerwy, by z nią razem w bezładnej kupie wycofać się z miasta. Rozpaczliwe wysiłki Bończy, który z bezczelną odwagą uwijał się na białym koniu po mieście, pozwoliły na podjęcie bitwy raz jeszcze. W oczekiwaniu oddziałów od zewnątrz, które jeszcze nie wszystkie nadeszły, Bończa zorganizował atak na koszary, już nie z wewnątrz miasta, lecz od pola.

Znowu zagrzmiały wystrzały. Rosjanie z okien i dachów sypnęli ołowiem na Polaków, jak zwykle zresztą przy nocnych atakach, niewielkie wyrządzając szkody. Ze strony polskiej rzadziej, lecz prawie równie bezskutecznie padały strzały z odległości zbyt wielkiej na strzelby myśliwskie. Wkrótce stało się widocznem, że bez zewnętrznej pomocy i wlania przez to nowej energji w szeregi polskie, atak nie posunie się naprzód, że przeciwnie nawet, znowu nastąpi kryzys bojowy w duszy żołnierza, niezdolnego do dłuższej walki. A rezerwa nie nadchodziła!

Część jej, jakeśmy już widzieli, wspólnie z awangardą miejską uległa demoralizacji i, z trudem utrzymana na placu, już potrzebowała nowego moralnego oparcia. Reszta tymczasem w ciem-

nej błądziła nocy po polach, topniejąc zwolna przez samowolną dezercję. W jednym z tych oddziałów zostało zaledwie czterech ludzi. Oddział z za Wisły zastał most rozebrany i bezsilnie przysłuchiwał się odgłosom boju, przychodzącym doń z za rzeki. Wreszcie oddział Kowalewskiego, który już był wkraczał na pole bitwy, obsypany skrami z rakiet, wyrzucanych przez pułkownika Poźniaka, cofnął się w bezładzie pod wpływem tej niewinnej broni, sądząc, że ma do czynienia z odłamkami pocisków armatnich. Rezerwa w ten sposób zawiodła.

Jeszcze przed ranem, pod przykryciem ciemnej, dżdżystej nocy, świeży żołnierz polski, zmęczony wrażeniami przeżytej walki, rozsypał się w różne strony. Dowódca Błaszczyński, mając wszystko za stracone, gdy każde jego obliczenie zawodziło, umknął, by przechować się w jakiejś kryjówce na czas dłuższy.

Plac boju, Płock, został przy zwycięzcach. Przez parę godzin chwiało się ich panowanie w mieście, przez parę godzin każdemu, nawet najniższemu w randze żołnierzowi, zdawało się, że zwycięstwo musi się przechylić na stronę napastników. Noc, rozrzucony po różnych kątach miasta bój, którego wynik do końca nie był pewnym, wreszcie widoczny dla wszystkich udział spokojnych dotychczas mieszkańców — wszystko to razem zupełnie z równowagi wyprowadziło załogę. Nieszczęsne miasto przeżyć musiało jeszcze najdziksze gwałty i rabunki rozbestwionego niepewnym bojem żołdactwa. A chwila ta była najlepszą może do ataku rezerwy polskiej, gdyby taka gdziekolwiek istniała.

W tem miejscu, jedynem bodaj w Polsce, była ze strony Polaków przewaga liczebna tej nocy. Ogółem w różnych oddziałach, które poszczególnie w różnym czasie brały udział w boju, naliczyćby się dało do ośmiuset ludzi, prawie podwójna przemoc wobec słabych sił rosyjskich.

Wobec rozmiarów bitwy płockiej znacznie mniejsze starcie w Płońsku nie miało, naturalnie, tego znaczenia, co tamta walka; gromady ludzi, zebranych tutaj dla napadu, nie miały nawet jednolitego kierownictwa, a składały się z kilku grup pod osobnem dowództwem, grup jakgdyby skonfederowanych, a nie zlanych w jeden organizm wojenny. Jakgdyby niejasny jeszcze i niewyraźny początek późniejszej zakały tej wojny — braku wspólnej organizacji i hierarchji wśród wojska — brak ten doprowadzi zczasem do tego, że każda prawie wspólna operacja kilku, a choćby dwóch tylko oddziałów stanie się niemożliwą. Tym razem jednak trzystu kilkudziesięciu ludzi, zebranych pod Płońskiem, dosyć zgodnie ruszyło do ataku na miasto.

I tu znowu, jak w Płocku, sygnał rozpoczęcia był zarazem alarmem dla Rosjan. Jeśli dźwięk dzwonów mógł być podnietą dla Polaków, to zarazem dźwięczał pobudką alarmową dla załogi. Tem bardziej, że już dnia poprzedniego kapitan Artamonow, dowódca kompanji płońskiej, miał wiadomości o ściągających się i wałęsających dokoła miasteczka grupach ludzi, a klęska, którą poniósł Kozlaninow pod Ciołkowem, nie była w Płońsku nieznana. Więc, jak wszędzie, gdzie Rosjanie nie dali się zaskoczyć nagłym napadem,

przeciw żołnierzowi, sformowanemu od wczoraj, a niekiedy od godziny, stanęła organizacja karna, zdolna do przenoszenia dużych strat. A z chwilą, gdy pierwszy impet nic nie zdziałał i bój się przeciągał, musiały prędzej czy później nastąpić kryzysy psychiczne, którym ulegał silniej żołnierz polski.

W boju płońskim, względnie długotrwałym, kompanja rosyjska straciła dziesiątą część ludzi i trwała w oporze. Polacy ponieśli straty znacznie mniejsze, z ukrycia strzelając do zbitych w zwartą kolumnę Rosjan. Zaledwie pięćdziesiąta część ubyła z szeregów, a już się wyczerpały siły moralne. Nastąpił odwrót. Kapitan Artamonow ruszył pomimo strat z pościgiem, a przeszedłszy z obrony do ataku, rozproszył zebrane grupy, zabierając kilka dziesiątków ludzi do niewoli.

Województwo płockie wysiliło się na główny napad na swoją stolicę i dla innych już miejsc zabrakło sił i energji. Cały ruch tej nocy ograniczył się do powyższych dwóch napadów. Zbierano się gdzieindziej, jak pod Makowem, Przasnyszem i Lipnem. Lecz wewnętrznego rozpędu nie starczyło dla stoczenia bitwy, chociażby nieudanej.

Padlewski — wódz powstania — noc tę spędził, śpiesząc pod Płock, po spotkaniu zwycięskiej, lecz zdezorganizowanej samym bojem grupy Rogalińskiego, triumfatora z pod Ciołkowa. Jakgdyby za karę za cofnięcie się przed odpowiedzialnością, za uchylenie się od najpoważniejszego stanowiska naczelnego wodza w Warszawie, nie sądzonem mu było, żeby energją własną, którą w boju w wysokim stopniu posiadał, naprawić

sprawy pod Płockiem. Końmi i pieszo — jak się udało — pędził on na zagrożone miejsce, lecz po drodze wpadł w ręce patrolu kozackiego. Tylko spotkaniu z partją powstańczą, opóźnioną w pochodzie pod Płock, zawdzięczał na ten raz ocalenie.

*

* *

Skrzydło północne — Płockie — w głównym ataku zawiodło. Cel najważniejszy — zdobycie Płocka — nie został osiągnięty, a Rząd Narodowy pozostał bez stolicy i możności ujawnienia się pod osłoną posłusznej mu siły zbrojnej. Na skrzydle południowem — w Sandomierskiem — miały według planu również nastąpić poważniejsze wypadki, któreby po nocy styczniowej umożliwiły w górach Świętokrzyskich zebranie większej armji, przeznaczonej do operowania od południa przeciw Warszawie. Dowodził tu Marjan Langiewicz, wsławiony swą późniejszą dziesięciodniową dyktaturą. Jak Lewandowski na Podlasiu, tak Langiewicz w Sandomierskiem był zupełnie świeżym, nowym człowiekiem. Przybył tam zaledwie w początku stycznia i przez parę tygodni mógł tylko co najwyżej przelotnie poznać otoczenie, zwłaszcza, gdy zważymy ówczesne środki komunikacyjne i warunki konspiracji, ograniczające znacznie swobodę ruchów naczelnika.

Nic więc dziwnego, że tak samo, jak Lewandowski, z przerażeniem dowiedział się on o obowiązku stoczenia w nocy 22 stycznia boju z prze-

ważnemi siłami rosyjskiemi. Od chwili otrzymania rozkazu, 18-go wieczorem, — miał do rozporządzenia zaledwie dni cztery, a znajdował się wówczas w Kielcach, poza granicami swego województwa.

Najważniejszą zdobyczą dla powstania byłby niechybnie Radom. Jak Płock na północy, tak Radom na południu był stolicą administracyjną i wojskową dla całych dwóch województw: sandomierskiego i krakowskiego. Lecz nawet pomimo tego, że ogromna większość spiskowych, którzy użyćby się dali do przedsiębranych ataków 22 stycznia, składała się nie z kogo innego, jak z mieszkańców tegoż Radomia, mimo to Langiewicz nie chciał postawić tak ryzykownego kroku. Siły wroga w Radomiu wydawały mu się zbyt wielkie. Tysiąc dwieście żołnierza pieszego, ośm dział gwintowanych i setka kozaków stanowiły załogę Radomia i osłonę sztabu dywizyjnego generała Uszakowa i sztabu pułkowego. Langiewicz więc zdecydował się na przeprowadzenie delikatnej operacji: translokacji tajnej swych ludzi na prowincję w celu napadu na drobne, niewielkie załogi w miasteczkach, rozrzuconych wśród leśnej, pagórkowatej okolicy. Radom miał zostać celem operacji późniejszej, prowadzonej przez skoncentrowane siły powstańcze po oczyszczeniu prowincji z wojska.

Ośrodkiem koncentracji po nocy 22 stycznia miał się stać Szydłowiec, na który napaść i który objąć w posiadanie miał sam naczelnik województwa — Langiewicz. Stamtąd dopiero, zda-

niem Langiewicza, rozpocząć należało szersze operacje wojenne.

Ze wszystkich jednak planowanych napadów do skutku przyszły tylko trzy — na Jedlnię, Szydłowiec i Bodzentyn. Ostatni, choć leżał poza obrębem województwa Langiewicza i podpadał pod władzę jego sąsiada, Kurowskiego, wojewody w Krakowskiem, dokonany został jednak przez siły sandomierskie.

Sił powstaniu dostarczył przedewszystkiem Radom, a poza tem liczne drobne huty i kuźnice, rozsypane w okolicy Suchedniowa. Więc pod Jedlnię poszedł Figeti, prowadząc ze sobą 150 ludzi. Napaść miał na kompanję saperów, kwaterującą w tem miasteczku pod komendą kapitana Witkowskiego. Pomimo dużej przewagi liczebnej ze strony wroga — Rosjanie liczyli 280 ludzi — atak był może najudatniejszym ze wszystkich potyczek tej nocy. Przeprowadzono go z całą precyzją spiskową, wyzyskując w zupełności potężny czynnik niespodzianki. Żadnych alarmów, żadnych dzwonów ni ogni! Sojusznikiem — ciemna, bezgwiezdna noc i przerażenie nagle ze snu zbudzonych nieprzyjaciół. Nie było tam nawet bitwy, bo czynności powstańcze, ułatwione rozsypaniem żołnierzy niewielkiemi grupami po chatach, polegały na szybkiem rozbrojeniu wroga. Oporni łatwo szli nieledwie pod nóż zwycięzcy. I gdy po paru godzinach zaalarmowane sąsiednie załogi przybiegły z pomocą, z kompanji saperskiej zostały zaledwie szczątki, sześćdziesięciu kilku ludzi, napół bez broni, którą zostawili w rękach zwycięzców.

Pod Szydłowcem Langiewicz zdołał zebrać do trzystu ludzi. Tu znowu odrzucono pomoc najwierniejszego sojusznika słabych — tajemnicę. W sąsiednim Jastrzębiu, punkcie zbornym oddziału, odprawiono uroczyste modły. Na widoku otoczenia przeprowadzano organizację. W zewnętrznej ostentacji szukano jakgdyby wzmocnienia i lekarstwa na wewnętrzne poczucie słabości. Pomimo czat, rozstawionych dokoła, zdrada znalazła sposób, by zawiadomić i ostrzec nieprzyjaciela. Jego przewaga techniczna i organizacyjna z konieczności wychodziła na jaw, więc napad zmienić się musiał w bój uporczywy, gdzie wszystkie szanse po swej stronie miał dobrze uzbrojony i karny żołnierz.

Tym razem jednak dowódcy rosyjscy, kapitanowie Ridigier i Olędzki, nie zdążyli w zupełności poczynić zarządzeń ostrożności. Tuż za wiadomościami z Jastrzębia szedł atak, prowadzony w dwóch miejscach: w miasteczku na kompanję Ridigiera, za miastem na kompanję Władysława Olędzkiego. Na Ridigiera szedł Jasiński z setką ludzi, na Olędzkiego sam Langiewicz z dwoma setkami. Znowu przewaga liczby była po stronie nieprzyjaciela.

Rosjanie, nieco wcześniej ostrzeżeni, pomimo nagłego napadu zdążyli, choć ze stratami, sformować szyk bojowy w kolumnach. Polacy, ukryci za domami lub w rowach, gęstym ogniem wyrywali ludzi z szeregów, sami małe ponosząc straty. Ridigier, walcząc w ciasnym rynku z niewidocznym wrogiem, nakazał odwrót. Olędzki z mniejszemi stratami ruszył na połączenie się

z kolegą. Miasteczko, przyszły punkt koncentracji powstańczej, zostało w rękach Polaków.

Lecz bój nocny ze swemi silnemi wrażeniami nie pozostał bez wpływu na świeżego żołnierza. Oddziały polskie, choć zwycięskie, zaczęły się rozprzęgać. Ludzie rozchodzili się po domach i chałupach. Bezładnie przeszukiwano niektóre z domów, gdzie jakoby jeszcze ukryci być mieli żołnierze rosyjscy. Wodzowie polscy zaczęli tracić panowanie nad oddziałem. Więc gdy Ridigier, złączywszy się z Olędzkim, ochłonął nieco z przerażenia i ruszył do kontrataku, zastał w Szydłowcu bezładne kupy, które oporu stawiać nie mogły. Nastąpił bój krótki i Szydłowiec, opuszczony przez niedawnych zwycięzców, przeszedł znowu w posiadanie swych dotychczasowych panów.

Straty stron obu były względnie znaczne. Dwie kompanje rosyjskie straciły do 30 ludzi, Polacy dwa razy tyle i jednego ze swych wodzów, Jasińskiego.

Wreszcie w Bodzentynie napad polski doprowadził do najkrwawszego w tej nocy starcia. Atak był całkiem niespodziewany, więc wszystko przemawiało za tem, że Polacy staną się panami placu boju. Żołnierze zostali odrazu odcięci od swych oficerów i pozostawieni bez głowy. Bój toczył się w izbach, gdzie śpiących żołnierzy zastano. To też straty, które poniosła kompanja bodzentyńska, przenosiły piątą część jej składu. Lecz żołnierze bronili się dzielnie i uparcie. Siłą fizyczną, kułakami i gołą pięścią wyrzucili napastników z izb, aby potem z własnej inicjatywy

iść z pomocą zagrożonym oficerom i magazynowi. Po dłuższej strzelaninie wyparto atakujących z miasteczka. Polacy, którzy pod wodzą Dawidowicza i księdza Umińskiego zebrali się w ilości 300 ludzi, straciwszy w boju dziesiątą część sił swoich, zaniechali dobrze rozpoczętej walki.

W innych stronach województwa, jak w całej reszcie kraju, napady nie doszły do skutku ze zwykłych w nocy tej powodów. Gdy w jednem miejscu nie zebrali się ochotnicy, na których czekał dowódca, w innych wódz wyznaczony nie stawił się w oznaczonym punkcie i czasie, co oddział zebrany doprowadzało do bezczynności i najczęściej do rozejścia się po okolicy. Gdzieniegdzie fałszywe pogłoski, rozpuszczane przez przeciwników powstania, o odłożeniu terminu wybuchu wystarczyły, by zaniechano wszelkich zamiarów wojennych.

*

* *

W boju nocnym 22 stycznia ze strony polskiej wzięło udział razem 4500 żołnierzy przeciwko prawie 6 tysiącom żołnierza rosyjskiego. Prawie wszędzie bój wypadł na korzyść Rosjan. Napastnicy nawet tam, gdzie chwilowo byli panami placu boju i zwycięzcami, już o świcie opuścić musieli zajęte stanowiska, by cofnąć się do miejsc mniej dostępnych, a bardziej ukrytych, niż miasta i miasteczka.

Straty obustronne nie były znaczne. Do dwóch setek ludzi zabitych i rannych z każdej strony zaległo place boju, stanowiąc zaledwie dwudziestą u Polaków, a trzydziestą tylko część walczących u Rosjan. Straty, przypominające raczej jakieś drobne potyczki forpocztowe, niż stanowcze, rozstrzygające o zwycięstwie boje, gdzie złamanie woli przeciwnika kosztuje nieraz około połowy całego wojska, najczęściej nie mniej, niż czwartą, najmniej już zaś piątą część armji.

Obok tego nietkniętych bojem zostało po jednej i po drugiej stronie całe mnóstwo żołnierzy. Stotysięczna armja rosyjska zaledwie w swej siedmnastej części stanęła pod bronią tej nocy. Reszta spokojnie ją przespała, nie wiedząc nawet, że wojna już wybuchła i że część towarzyszów broni staczać musi nieraz rozpaczliwe boje o honor swego oręża.

Po polskiej stronie, nie mówiąc już o teoretycznej rezerwie, którą, jak w każdej wojnie rewolucyjnej, miał być cały naród czy lud polski, nie stanął do boju nawet cały spisek, liczący w owe czasy nie mniej, niż 20 tysięcy ludzi. Zaledwie piąta część jego przyszła do bitwy. Reszta albo nie zebrała się wcale, albo też nawet po zebraniu się nie znalazła w sobie dosyć woli i hartu ducha, by w danych ciężkich warunkach przełamać się i z wczorajszego uległego poddanego wyrość na żołnierza, stającego do otwartej walki przeciw wczorajszej władzy.

Bitwa więc dla Polaków była przegrana. Nawet chwilowe powodzenia nie mogły być utrwalone. Sam plan boju był przeprowadzony niedość

stanowczo; powstają poważne wątpliwości, czy w istocie ktokolwiek weń wierzył. Na skrzydłach boju — północnem i południowem — gdzie w zasadzie miano poważnem zwycięstwem umożliwić wytworzenie się większej armji, bój był o wiele słabszym i niedołężniejszym, niż w demonstracyjnej jego części, w centrum, na Podlasiu. Na północy jeszcze kuszono się o coś większego; stawiano sobie za cel Płock, siedlisko głównej władzy wojskowej i cywilnej na całej północy Królestwa, próbowano, choć nieudolnie, jednem uderzeniem szanse wojny przechylić na swoją korzyść. Lecz na południu bez uwagi pozostawiono Radom, który był tem dla południa, czem Płock dla północy, i gdzieś w zapadłych kątach, wśród lasów i gór, szukano celów dla boju, celów, nie mogących w żadnym wypadku wpłynąć poważnie i rozstrzygająco na dalszy przebieg wojny.

Najbardziej powiodła się właśnie demonstracja podlaska,ześrodkowująca swe wysiłki naokoło głównej arterji ruchu — szosy brzeskiej. Tu w istocie zaabsorbowano połowę wszystkich sił przeciwnika w tej części kraju; tu zmuszono go do zaciekłego, nieraz rozpacznego boju, tu najpoważniejsze zadano mu straty, tu wreszcie wniesiono największy zamęt do władzy i panowania nieprzyjaciela w kraju.

Właściwie mówiąc, skrzydłowe boje na północy i południu olbrzymiego placu boju były jakgdyby tylko echem, słabym dalszym ciągiem walki, toczonej najczęściej w centrum, na Podlasiu. Cały więc bój wypadł jako demonstracja, silniejsza w cen-

trum, słabsza na skrzydłach, krwią i wrzawą bitwy nadająca wartość istotną wypowiedzeniu wojny, zawartemu w wydanym tej nocy manifeście nowopowstałego Rządu Narodowego Polski.

Demonstracja! — Więc chęć wywarcia wpływu na wolę i wyobraźnię przeciwnika?

Demonstracja! — Więc myśl o wywołaniu zmian w użyciu sił nieprzyjacielskich, zmian korzystnych dla siebie, niewygodnych dla niego?

Niechybnie, myśl ta, zdaje się, przez głowę nie przeszła wodzom powstania polskiego. Nie tego szukali oni w pierwszym wstępnym boju rewolucji polskiej; widzieli w nim rozpaczny środek obrony honoru, albo, w lepszym razie, choć łudząc się gorzej, szybkie, decydujące kroki ku zbudowaniu olbrzymiej, nieledwie miljonowej armji ludowej. A jednak bój ich był tylko demonstracją i, co najdziwniejsza, demonstracją udaną, która najwidoczniej przegraną taktycznie bitwę zmieniała w duże strategiczne zwycięstwo.

Nazajutrz, wraz z mrocznym, chmurnym i dżdżystym świtem, do centrum kraju, siedliska mózgu rządowego, biegli z różnych stron kurjerzy i posłańcy. Druty telegraficzne, zerwane wszędzie, zawiodły. Trzeba było wracać do pierwotnych, powolnych środków komunikacji, któremi posługiwali się ojcowie i dziadowie jeszcze w bojach napoleońskich, — do konnych sztafet. W Warszawie wiedziano już o wybuchu wojny — manifest Rządu Narodowego był już znanym, teraz w oczy biły dowody, dowody krwawe, że Rząd ten siłę nietylko moralną, lecz i materjalną miał na swe usługi.

Siłę moralną — tę znano. Od kilku lat wprowadziła ona do kraju, do rządu samego tyle zmian widocznych, że nie doceniać jej nie było można. Przecie dla zaspokojenia jej wiecznie wzrastającego głodu zmian i reform zarzucono stary, wypróbowany system rządzenia, odnowiono całą administrację, powołując do niej siły miejscowe, paktowano nieraz z tymi, dla których niedawno jeszcze miano tylko więzienie i kłódkę na gębę. Ba, jako ustępstwo dla niej ściągnięto do kraju brata cesarskiego, dając mu za doradcę jednego z tych, których dotąd trzymano zdala od rządów.

Siła moralna ruchu — ta wprowadziła już tyle chwiejności i wahania, tyle zatem elementu słabości we własne siły rządowe, że nieraz wydawać się musiała znacznie większą, znacznie potężniejszą, niż była w istocie. Teraz szły odpowiedniki materjalne.

Orjentacja w tych wieściach była trudna. Obok dokumentowych danych dolatywały wiadomości postronne, jak zwykle — przesadne co do rozmiarów, sprzeczne, wreszcie wręcz fałszywe, lecz wszystkie trudne do sprawdzenia, wobec przerwania komunikacji zwykłej, szybkiej, do której też dostosowaną była i konieczność szybkiej decyzji centrum w każdym wypadku. Tam i tam wojska zwycięsko napad odparły, słyszano o zajściach w danem miejscu, stamtąd jednak żadna wiadomość nie nadeszła. Czy nie dlatego, że nie mogła być pomyślną? Rodziła się wątpliwość w duszy, tem bardziej, że skądinąd przyszedł raport o wielkich względnie stratach w boju. Czekać, nim zewsząd zbiegną się dane, które wytworzą całość

obrazu — niesposób! Tam w tych zarzuconych kompanjach i szwadronach, posłanych na pół wojenną, pół dyplomatyczno-policyjną służbę do wrogiego otoczenia, czekano rozkazu, czekano znaku, czy ma być wojna, czy też napaść ma być puszczona mimo uszu i panowie kapitanowie i porucznicy mają nadal być łagodno-surowymi przedstawicielami, czy nawet zastępcami władzy cywilnej.

Wojna! Lecz do wojny nieco dłuższej większość armji nie była zdatną. Po jednej, dwóch nie bitwach już, lecz potyczkach, zabraknie kompanjom naboi, złożonych nieraz daleko po magazynach, które znowu za małą mają osłonę dla długiej i teraz z konieczności nadzwyczaj bacznej służby ochronnej. A i same te osobno stojące kompanje i szwadrony, czyż nie wyczerpią się w długiem, kosztownem u małych oddziałów co do wysiłków i ludzi strzeżeniu się od nagłych, niespodziewanych napadów otaczającego wroga? Wojna w tym szyku luźnym, z polityki przyjętym przez całą prawie armję, prowadzić się nie da. Trzeba go ścieśnić, zgęścić w ważniejszych punktach, dając zarazem siłę i oparcie lotnym, ruchomym kolumnom, wyznaczonym do bezpośredniego boju.

Pokój! dalsza służba w dyplomacji i policji! Lecz czyż nie jest to zmarnowanie dwóch trzecich armji? Po pierwsze, dla nikogo nie było tajnem, że wśród wojska, osobliwie wśród oficerów, szerzy się zaraza rewolucyjna, szerzy się zaś tem łatwiej, gdy i sam rząd jest chwiejny, a dzięki rozsypaniu armji całej niema dostatecznej kontroli władzy wyższej, gdy każdy niejako pozostawiony jest sam sobie. Pod tym względem zaciśniecie więzów

dyscypliny wewnętrznej przez skupienie wojska byłoby bardzo pożądane. Po drugie zaś, te napady, o których przybiegły raporty... Wydaje się, że wojska, chociaż ucierpiały, jednak poza parų miejscami wyszły zwycięsko z tej próby. Przypuściwszy nawet, że do jutra nie będzie więcej hiobowych wieści, co przecież nie jest także wykluczonem, któż zaręczy, że pozostawienie armji w tym stanie, jaki zastała noc 22 stycznia, nie ośmieli jeszcze bardziej ukrytego wroga? Napady mogą się stać natarczywsze, umiejętniej prowadzone, a ogromna część tych rozrzuconych kompanij i szwadronów stać się może łatwym łupem dla przeciwnika.

A zatem czy pokój ma być, czy wojna, — o tem już rozstrzygnie władza wyższa, — należy jednak przedewszystkiem wyprowadzić armję z niewygodnego dla niej położenia i zabezpieczyć ją lepiej czy to na wypadek wojny, czy na wypadek pokoju.

I oto tegoż dnia jeszcze ze sztabu głównego sztafety konne do komendantów dywizyj rozniosły rozkaz przerwania branki na prowincji, wymagającej wysyłania drobnych oddziałów policyjnych; rozkaz koncentracji wojsk w większe grupy ze wszystkich rodzajów broni; było to racjonalne wyjście z położenia.

— Ściągać wojsko w oddziały nie mniejsze, jak dwa, trzy bataljony z odpowiednią ilością jazdy! — brzmiał rozkaz okólny 23 stycznia. W kilka dni później rozkaz nietylko potwierdzono, lecz dodano, że nie należy się wahać w ogołoceniu z wojska całych powiatów, byle zabezpieczyć armji zupełną swobodę działania, bez przeciążania jej zbytniemi ciężarami służby ochronnej.

Armja rosyjska w istocie odzyskiwała swobodę działań, lecz jakim kosztem? Ogromne połacie kraju, będące dotąd pod stałą i bezustanną kontrolą władzy państwowej, stawały się bezpańskiemi. Ludność, zamieszkująca te części Polski, w ten sposób narówni z armją rosyjską odzyskiwała swobodę działania i rozstrzygnięcia dla siebie kwestji swego udziału w wojnie. Samo zaś powstanie — spisek, przetworzony w wojsko—zyskiwał jeszcze więcej. W ogromnej części kraju nie potrzebował już, jak przed wybuchem, przystosowywać się do zmiennych i wypadkowych warunków życia pod kontrolą nieprzyjaciela, lecz, jak każde wojsko, mógł naginać nawet siłą otoczenie do swoich wymagań i potrzeb. I jeżeli przed 21 stycznia powstanie przystępowało do wojny bez podstawy, bez bazy wojennej dla swych operacyj, teraz mogło ją wytworzyć i należycie wyzyskać wojennie części kraju, opuszczone przez nieprzyjaciela.

Niechybnie wymagało to szybkiego działania, gdyż żmudna i długotrwała z natury rzeczy praca organizatorska była w tym wypadku główną częścią operacji, istotą nawet zadania wojennego, które stanęło teraz przed powstaniem. Ale i pod tym względem Polacy wygrali sporo. Nakazana koncentracja wymagałaby czasu pewnego nawet w porze zupełnego spokoju. Teraz, gdy przy przerwaniu telegrafu posługiwano się konnymi posłańcami, już sam sposób komunikacji przedłużał czas wolny od działań wojennych. Ale w dodatku sami posłańcy nie byli pewni. Raz po raz sztafeta nie dochodziła do miejsca przeznaczenia, raz po raz rozkaz czy raport trafiał w ręce powstańców. Noc

w tych warunkach w kraju lesistym i mało zaludnionym odpadała zupełnie dla służby łączności. I oto czas, rzecz bardzo droga w każdej wojnie, najdroższa jednak w tym wypadku dla powstania — czas, tak dla strony polskiej potrzebny, został przez nią wygrany. Zaledwie po dziesięciu, w niektórych miejscach czternastu, nawet dziewiętnastu dniach, skoncentrowane już oddziały armji rosyjskiej, wziąwszy inicjatywę w swe ręce, rozpoczęły zaczepną z powstaniem walkę.

Niestety, po stronie polskiej niedość jasno rozumiano swe położenie. Jedni śnili o bohaterskich bojach, prowadzonych dla obrony honoru wojennego powstania, bojach krwawych, wrażających się w serca ludzkie ogromem hekatomby, złożonej na ołtarzu ojczyzny. Inni marzyli o szybkich sukcesach organizacyjnych wśród ludu, masowo, tysiącami przypływającego do szeregów ochotniczych. Przygotowań do żmudnej, powolnej pracy dla zorganizowania podstawy wojennej nie czyniono wogóle wcale. I oto na proste zorjentowanie się w sytuacji stracono ogromną część tak ciężko wygranego czasu.

Gdy oddziały polskie, odparte od szturmowanych miasteczek, albo nawet napół rozproszone po porażce, znalazły się w zacisznych ustroniach na odpoczynku chwilowym, panował wśród nich od góry do dołu powszechny zamęt i niepewność, co czynić dalej należy. Zewsząd więc słano gońców do wodzów z tem męczącem pytaniem.

Lecz gdzie było ich szukać? O Lewandowskim na Podlasiu nie wiedziano nic w przeciągu kilku dni. Błaszczyński (Bończa) w Płockiem zniknął,

Padlewski zaś nieprędko zdążył ująć w swe ręce ster sprawy. Langiewicz, wyparty z Szydłowca, wyznaczonego przezeń jako punkt koncentracji po nocy 22 stycznia, musiał znowu szukać łączności ze swemi rozsypanemi oddziałami. Każdy był pozostawiony swemu losowi, swej myśli samotnej, najczęściej smutnej, nieledwie rozpacznej.

Pędziły więc gońce do Warszawy, do Rządu Centralnego. Lecz tam tem mniej znaleźć można było otuchy, rady i wskazówki. Starsi wyemigrowali pod Płock w oczekiwaniu triumfalnego wejścia do czasowej stolicy Polski, odzyskanej po krwawym boju. Młodsi, nie mając wśród siebie fachowej siły, służyć mogli jedynie jaką taką pomocą materjalną, o kierownictwo zaś sprawami wojny nawet nie kusili się wcale. A czas, drogi czas uchodził bezpowrotnie! Marnowano go nieproduktywnie, dając zarazem początek późniejszemu przekleństwu wojny: autonomji, a raczej zupełnej niezależności operacyjnej każdego z poszczególnych dowódców mniejszego czy większego oddziału. Bitwa, wydana przez powstanie w nocy 22 stycznia, dała rezultat, przez samych powstańców nieoczekiwany; okazała się bowiem niezwykle skuteczną demonstracją wojenną. Nie demonstracja taka była jednak celem stoczonej walki, tylko bój stanowczy i zwycięstwo. Rozbieżność zaś między celem zamierzonym a rezultatem, który osiągnięto, sprawiła właśnie, że przy braku jednej woli i myśli kierowniczej nie skorzystano z osiągniętych wyników w całej pełni i nie oparto na nich dalszej celowej walki o inicjatywę wojenną i przewagę strategiczną powstania.

VIII.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE NIEMIECKIEJ SOCJALDEMOKRACJI AUSTRJI W WIEDNIU

(1912)

Szanowni Towarzysze! W imieniu P. P. S. zaboru rosyjskiego mam zaszczyt i wielką radość powitania Waszego Kongresu Partyjnego. Nie władam, niestety, językiem niemieckim tak dobrze, abym wszystko, co mam do powiedzenia, mógł wyrazić w Waszym języku ojczystym. Pozwólcie więc, że będę mówił po polsku.

P. P. S. jest bliższą niemieckiej socjalnej demokracji w Austrji, niż innych partyj. Jesteśmy związani z Wami walką o wolność. Poczuwamy się względem Was do szczególnej wdzięczności, gdyż gościnnie przyjęliście nas, kiedy, prześladowani przez policjantów całej Europy, nie mogliśmy znaleźć spokojnego miejsca. Za tę gościnność, za te trudy imieniem P. P. S. serdecznie dziękuję. Obie nasze partje są w analogicznej sytuacji, gdyż przypadło nam zadanie rozwiązywać nadzwyczajnie skomplikowaną kwestję narodowościową. Wy odnosicie triumfy w tej dziedzinie, Wy ostro przeciwstawiacie się obłudzie szowinizmu kapitalistycznego. Wyście potrafili uporządkować skomplikowaną kwestję narodowościową w Austrji. Będziemy z Was brali przykład.

Przemawiam w chwili, gdy rozlega się w Europie grzmot dział. Wasz kraj, tak samo, jak nasz, jest zagrożony przez straszną wojnę. Polska jest wycieńczona walkami rewolucyjnemi. Trudno te-

raz znieść nędzę wojny. Nie jesteśmy wolni od obaw, gdy myślimy o niebezpieczeństwach, które nas czekają. Lecz nic nie odstraszy nas od spełnienia naszego obowiązku. Z Waszą pomocą rozciągniemy potęgę wolności na nasze ziemie. Jeśli wojna wybuchnie, będziemy, naturalnie, się starali, aby doszło do urzeczywistnienia naszych ideałów, którego odmówiła nam rewolucja, i wówczas w murach Warszawy wolnej będziemy mogli przygotować przyjęcie dla drogich gości Kongresu Międzynarodowego. Wasze obrady niech będą krokiem naprzód w zwycięskim pochodzie niemieckiej partji Austrji.

IX.

MOBILIZACJA POWSTANIA

(1912)

Zajmiemy się tu przedstawieniem jednej technicznej strony ruchów rewolucyjnych, mianowicie — sprawą powstawania i przejawiania się sił zbrojnych w kraju, będącym pod panowaniem nieprzyjaciela.

To zagadnienie techniczne, które w chwilach dziejowych staje przed Polską, musi zajmować umysły wszystkich rewolucjonistów, myślących o rewolucji realnie. Niema bowiem państwa, chociażby było najbardziej liberalne, któreby mogło pozwolić na to, by jawnie przeciw niemu organizowała się siła zbrojna, mająca obalić prawny porządek rzeczy.

Przedewszystkiem parę słów o mobilizacji państwowej. Siły zbrojne wszystkich państw znajdują się w czasie pokoju w stanie embrjonalnym. Nie są one temi siłami, które państwo rzuca do boju, lecz trwają w zaczątkach organizacyjnych, mniej lub więcej rozwiniętych, nigdy— nie wykończonych zupełnie.

W chwili, gdy państwa, zorganizowane nowocześnie, wykonywują mobilizację, wyzyskują one do tego celu wszystkie siły techniczne, administracyjne i kulturalne, które w czasach pokojowych istnieją nie dla celów wojennych. A więc olbrzymi aparat techniczny w postaci ko-

lei, telegrafów, telefonów w momencie ogłoszenia mobilizacji przerywa swą pokojową służbę i staje się na chwilę monopolem armji; olbrzymi aparat administracyjny i kulturalny, wytworzony przez życie pokojowe; szkoły, fabryki, wszelkie większe gmachy wyzyskuje wtedy państwo dla celów wojskowych; policja zarzuca wszelkie inne funkcje, ażeby się przejąć zadaniem wojny. Słowem, państwo zatrzymuje cały ruch pokojowy na pewien okres czasu, nim armja nie stanie na granicach. Bo tylko w ten sposób, wyzyskując maszynę techniczną, wyzyskując przymus prawny, jaki istnieje w stosunku do obywateli, da się zmobilizować nowoczesna siła zbrojna. Jeśli w tym względzie istnieją jakie przeszkody, to siła państwa jest tak dużą, że przełamuje je bezwzględnym przymusem.

Otóż cały ten olbrzymi aparat, stojący na usługach armji państwowej, nie będzie nigdy służył jakiejkolwiek rewolucji i dlatego mobilizacja siły rewolucyjnej musi wyglądać inaczej i musi działać mniej sprawnie i mniej skutecznie.

Weźmy dla przykładu miasto, w Polsce najbardziej rewolucyjne, serce dotychczasowych ruchów, miasto, liczące 800000 ludzi, Warszawę. Weźmy jako przeciętną 10%, jako tę część ludności, którą państwa do wojny zabierają; otrzymamy wówczas z Warszawy 80000 ludzi gotowych do walki. Otóż, gdyby nawet nastrój rewolucyjny, jakiby istniał w Warszawie, był bardzo duży i te tysiące ludzi były skłonne do wzięcia udziału w rewolucji, to jednak dzień mobilizacji zastanie je bezradnemi, bez aparatu, któ-

ryby mógł je zorganizować. Nietrudno państwu wykonać mobilizację, gdy żołnierz ma przygotowany pociąg, stajnie dla koni, magazyny, pełne broni, gdy mu dobiorą ubranie odpowiednie do jego wzrostu, dadzą jedzenie i picie, dadzą mieszkanie. Cały aparat jest tam przygotowany, aby wchłonąć ludzi, którzy są powołani. Aparat techniczny rewolucji nigdy nie może być tak duży, by mógł wchłonąć w ciągu jednego dnia lub tygodnia całe mnóstwo ludzi. Rewolucja i rewolucjoniści nie mają nawet spisów i adresów tych ludzi, którzy z nimi sympatyzują, nie są w stanie ogłosić, gdzie mają się zgromadzić ci, którzy zechcą poddać się mobilizacji rewolucyjnej. Słowem, przedewszystkiem dzięki brakowi aparatu technicznego już odrazu odrzucona jest od udziału w mobilizacji rewolucyjnej ogromna ilość ludzi, skłonnych do współdziałania z rewolucją.

Powtóre rewolucja opiera się jedynie na ochotniku. Nie zna ona przymusu i nie zna możności stosowania go do swoich szeregowców. Wszystko opiera się tu na własnej woli powołanych. O ile to daje niewątpliwie w wojsku ochotniczem materjał ludzki o ogromnej wartości moralnej, jakiego nie posiada żadna armja regularna, o tyle z drugiej strony ochotnik jest zawsze rzeczą niepewną. Nigdy się nie ma pewności, czy dany osobnik w chwili, gdy nakaz przychodzi, jest w tem napięciu moralnem, które go do przyjęcia udziału w ruchu rewolucyjnym usposabia. Pozostawione to jest zupełnie jego własnej woli i chęci i tylko one są dlań nakazem roz-

strzygającym. Nawet ludzie, którzy zgadzają się co do zasad postępowania i konieczności jakichś wystąpień, prowadzić będą spór co do czasu wystąpienia: nie dla każdego dzisiaj jest dzisiaj, dla wielu jest to jutro, pojutrze, za miesiąc i tak dalej. W ten sposób mamy do czynienia z materjałem o charakterze mocno „cywilnym", mało rozporządzalnym.

Jeżeli w danej chwili używam tego porównania, to nie dlatego, bym chciał „cywilizm" poniżyć przed militaryzmem, lecz jedynie dla wykazania tego, że zajęcia cywilne nakładają pewne piętno na tych, którzy się im poświęcają. Weźmy taki przykład z życia codziennego. Przypuśćmy, że umiera żona wojskowemu, który otrzymuje w tej chwili rozkaz stawienia się do służby. Wojskowy nie ma prawa się cofnąć; musi porzucić umierającą żonę i iść tam, gdzie go nakaz wzywa. Nikt żołnierza, stojącego na warcie, nie pyta, czy mu ta warta jest odpowiednia, czy co w danej chwili go boli, czy w tej chwili nie jest zmuszony myśleć o rzeczach bardzo ciężkich, które go od jego służby wartowniczej odciągają. Weźmy z życia cywilnego przykład odpowiedni. Profesorowi uniwersytetu umiera żona. Kto z jego władz czy jego kolegów mieć będzie doń pretensję, że on dla umierającej żony opuścił wykład? Ta względność, jaka istnieje w życiu cywilnem, nadzwyczajna zaś bezwzględność, jaką widzimy w życiu wojskowem, oto są charakterystyczne cechy, które nakładają swe piętno na stosunki cywilne i wojskowe.

Rewolucja rzadko rozporządza elementem wojskowym, a są przykłady, naprzykład, z powstania w roku 1830, kiedy się rewolucja na wojsku opierała, świadczące o tem, że i w tym wypadku musi ona zachować dużo względności, tak w stosunku do powołanych, jak w stosunku do działań własnych, co czyni owo „dziś" rewolucyjne bardzo zagadkowem i niepewnem. Rewolucja więc, opierając się na ochotniku, na elemencie, do którego wpływają rozmaite względy lub indywidualny pogląd na daną chwilę polityczną, nie ma w swem rozporządzeniu nawet tych wszystkich, którzy jej pozostali wiernymi mimo braków techniki administracyjnej. Druga to kategorja ludzi, która w chwili mobilizacji rewolucyjnej odpada dla owych względów ochotniczych, względów cywilnych.

Trzecim czynnikiem niezmiernej wagi przy wszelkim ruchu rewolucyjnym jest t a j e m n i c a. Wojna, osobliwie w pierwszych jej początkach, i tajemnica są najzupełniej nieodłączne od siebie. Jeszcze ważniejsza jest ona dla ruchu rewolucyjnego, który wobec swej technicznej słabości tylko dzięki czynnikowi niespodzianki jest w stanie potężnie się przejawić. Wyobraźmy sobie, że młodoturcy, którzy dokonali rewolucji, przygotowali ją tak niezręcznie, że sułtan Abdul Hamid dowiedział się, iż w Salonikach tego a tego dnia to a to się stanie. Niema mowy w tym wypadku, żeby rewolucja się udała. Udałaby się może w innym terminie, lecz ten moment wybuchu byłby dla niej wykluczony. Tak samo w roku 1863. Coby było, gdyby nieprzyjaciel się do-

wiedział o terminie 22 stycznia, o punktach, na które skierowany ma być atak. Niechybnie wybuch 22 stycznia nawet w tej małej mierze, jak to się stało, nie byłby wykonany przez powstańców. Tylko tajemnica jest tym czynnikiem, który w pierwszych początkach rewolucji, dopóki niema jawnego i publicznego odwołania się do ogółu, daje gwarancję powodzenia. Lecz z chwilą, gdy mowa o tajemnicy, liczba ludzi, których się dopuszcza do niej, już się zmniejsza. Wchodzą w grę najrozmaitsze zastrzeżenia i ostrożności, które nieubłaganie tę resztkę sił, po odpadnięciu pierwszych kategoryj, zmniejszają w bardzo znacznej mierze.

Wszystkie powyżej wymienione czynniki wpływają, choć w zmniejszonym stopniu, także na zarządzenia mobilizacyjne państw zorganizowanych, lecz czynnik ostatni, mianowicie z ł a w o l a n i e p r z y j a c i e l a, na państwo w chwili mobilizacji nie działa. Państwa opierają się na terenie, na którym są bezwzględnymi panami. Rewolucja prowadzona jest na terenie, opanowanym przez nieprzyjaciela, a w chwili rewolucji zawsze specjalnie strzeżonym, więc zła wola nieprzyjaciela jeszcze w chwili mobilizacji działa i wszelkie rachunki plącze. Jest to czynnik ogromnego znaczenia, bo w każdej chwili rachunek cały przez nieprzyjaciela, przez rewizje, aresztowania może być w niwecz obrócony.

Jeśli człowiek przejrzy te wszystkie przeszkody, dochodzi do przekonania, że liczba ludzi, mogących być zmobilizowanymi przez rewolucję w pierwszych początkach ruchu, tak szalenie się

zmniejsza, że o czemś podobnem do mobilizacji państwowej mowy być tu nie może, a więc zorganizowanie mobilizacji rewolucyjnej należy chyba do najtrudniejszych zadań wojennych. Ma się tu bowiem do czynienia z luźnemi atomami, które w żaden system się nie układają, a tylko misternem pomyśleniem, sztuczkami w jedność połączyć się dadzą. Dlatego wszystkie obliczenia rewolucyjne w początkach odznaczały się zawsze niesłychaną misternością, sprzeczną z zasadami pracy wojennej, które nakazują jak największą prostotę planu.

Powiedzieć można, że o ile mobilizacja armji regularnej jest to przystosowanie warunków do siebie i swoich celów, przy możności przełamania ich chociażby otwartą siłą, to mobilizacja siły rewolucyjnej jest przystosowaniem siebie do tych warunków, które okazują się silniejszemi od potęgi, którą ruch rewolucyjny technicznie w początkach rozporządza. Tylko zasada mimikry, rozpłynięcia się w otoczeniu, ratuje technicznie początki rewolucji, czy to w Polsce, czy gdziekolwiek indziej.

*

* *

Pozwolę sobie z historji naszych powstań wziąć parę przykładów, któremi te założenia oświetlę.

Weźmy najpierw rok 1830 — moment przejawienia się siły zbrojnej w nocy listopadowej. Spiskowi są w dobrem położeniu, bo mają do czynienia z wojskiem, z tym elementem rozporządzalnym, który mimo wszystko zawsze, jako woj-

sko, działać będzie. A jednak rewolucyjny charakter działania zmuszał do posługiwania się metodami zgoła nie wojskowemi. Przytoczę kilka misternych sztuczek dla charakterystyki tego, jak działano 29 listopada.

Do wystąpienia wojska nie wystarczy karabin, trzeba naboi. Naboje zaś znajdowały się w posiadaniu organizacji wojskowej, do spisku niewciągniętej. W ostatnich chwilach przed terminem wybuchu do parku amunicyjnego jadą spiskowi oficerowie. Oszukują straż, oszukują komendanta, tłumacząc mu się, dlaczego nie przedkładają odpowiedniego rozkazu i wyłudzają od niego naboje. Lecz nie na tem koniec, bo ten taborek maleńki z nabojami dla powstania musi przekroczyć rogatki, gdzie stoją straże i znowu przed niemi musi się wykrętnie tłumaczyć, dlaczego nie posiada odpowiedniej legitymacji. Wszystko powiodło się szczęśliwie, ale czyż tak działa zazwyczaj wojsko, otwarta siła, która wie, co robi? To wszystko była spekulacja na złe działanie machiny rządowej, misterna sztuczka, sprytny „kawałek", który każdej chwili mógł zawieść.

Oto mamy przykład drugi. Najstarszy rangą wciągnięty do spisku to był głuchawy kapitan Nieszokoć, którego starano się pozyskać, ponieważ trzeba było armat. Był to stary żołnierz napoleoński, ogłuchły od huku armat pod Austerlitz. Gdy do niego młodzież spiskowa przystąpiła, nie chciał dać wiary, ażeby on mógł wziąć udział w akcji, o ile odpowiednio wysoka szarża tego mu nie nakaże. Owszem, on jest Polakiem,

jest rewolucjonistą, lecz kto mu dowiedzie, kto mu nakaże wystąpienie, tem bardziej, że jak się wyraża, artylerja i jej „indywiduje" muszą mieć styczność z wodzem dla otrzymania asekuracji i umowy co do działania. I cóż mają robić ci spiskowcy? Przedstawić się, jako naczelnicy, nie mogą, bo on ich wyśmieje i każe iść do szkoły. Jemu trzeba powagi i autorytetu, a wszystkie powagi są poza granicami spisku. Muszą mu więc szeptać do głuchawego ucha o tem, że na czele spisku stoi generał, który nie może się wyjawić zawczasu, bo się boi, a dopiero potem, w dzień przeznaczony dla wybuchu, wyjdzie na jaw. Szepcą mu jedno i drugie nazwisko do ucha, że wreszcie biedny kapitan, oplątany intrygą, nie wie sam, kogo ma słuchać w dzień wybuchu.

Widzimy, jak niepewnym jest cały ten misterny splot oszukaństw. Nieszokoć dał się obałamucić, chciał razem ze swemi armatami do powstania stanąć, ale dzięki temu, że nie wiedział, kogo ma słuchać, że miał głowę, pełną generałów, — posłuchał pierwszego spotkanego generała, który i jego, i armaty do Konstantego zaprowadził.

Inny przykład. Podchorążowie, te laleczki, wycackane przez Konstantego, ludzie przyzwyczajeni słuchać już nie głosu komendanta, lecz mrugnięcia jego oka, po napadzie nieudanym na Belweder i koszary, zmieszani razem z belwederczykami, chowają się w Łazienkowskim parku. Idzie o zachowanie ciszy, ordynku wojskowego, gdyż lada chwila wpadnie szarża kawalerji. — Lecz oni wyglądają, jak „masówka" rewolucyjna,

a nie jak wojsko, zdolne do walki. Hałas, rozmowy, szepty, dowiadywanie się, co się stało?! Wysocki biega, prosi, ale nadaremnie. Głos komendanta ginie w falach krzyku. Dopiero dowcipny pomysł oficera, który kazał zabębnić, jak do ataku, przywiódł ludzi do opamiętania. Wszyscy stanęli do szeregu, jak wojsku należy. Oto ten rozkładający pod względem porządku wpływ rewolucji, który nawet na tak doborową część wojska, jakimi byli podchorążowie, wpływał i działał.

Mamy w nocy listopadowej rozmaite przykłady tych zawodów, jakie rewolucja przeżywać musi. Tacy szaserzy, którzy byli uważani za najbardziej rewolucyjne wojsko w Warszawie, stają po stronie Konstantego; Czwartaki, ulubiony pułk Konstantego, stają po stronie rewolucji. Jakież obliczenie mogło to przewidzieć? niezbadane drogi plączą nawet ten rachunek z ostatniej chwili, nawet wtedy, gdy się ma do czynienia z wojskiem, jak było w roku 1830.

Gorsze było położenie później, w roku 1863.

Opowiem jedną ze scen, która mi staje w oczach, gdy myślę o przejawianiu się siły zbrojnej w rewolucji. Jest to opis pana Deskura, naczelnika powiatu radzyńskiego, który szczerze wyznaje kłopoty, jakie miał na dwa dni przed powstaniem. Był to świeżo upieczony major wojsk polskich, który jednak bardzo mało o wojsku wiedział i myślał. Znakomicie znał regulamin kawalerji, ale czuł, że te wiadomości do przygotowania powstania nadzwyczaj mało mu się przydadzą. Dwa dni przed terminem do-

stał rozkaz urządzenia napadu na Radzyń, w chwili, gdy jeszcze broni dla oddziału nie przygotował, — tej broni nędzy polskiej, jaką były kosy, — bo bał się zwracać uwagę rządu takiemi przygotowaniami. Musiał więc w przeciągu ostatnich dwu dni przygotować wszystko. Najtrudniej mu było rozstrzygnąć, jakie wyznaczyć miejsce na zbiórkę przed samym napadem. Regulamin kawalerji nie dawał mu żadnych wskazówek do rozstrzygnięcia licznych wątpliwości; rozstrzygać je musiał zdrowym rozsądkiem człowieka, znającego doskonale stosunki miejscowe. Zdrowy rozsądek poradził, że najlepiej się zebrać w Horostycie, w domu samego pana majora. Jest to wprawdzie do Radzynia 7 mil, ale nie będzie tu niepotrzebnych kłopotów: sam major jest zdecydowany na wszystko, a tam u sąsiada żona mdleć będzie i będą alarmy próżne ludzi niezdecydowanych dla lada drobnostki.

Ale ta decyzja majora zachwiana została w sposób nieoczekiwany: zła wola wroga postawiła wszystko pod znakiem zapytania. Na kilkanaście godzin przed zbiórką nadchodzą od mieszczan z Radzynia wieści hiobowe: dziś jeszcze w Horostycie we dworze ma być rewizja, pan major ma być aresztowany. Sam wódz jutrzejszej walki jest niepewny swego istnienia, nie ma żadnej osłony, któraby go obroniła przed nieprzyjacielem. Co robić? Zmieniać dyspozycyj już niepodobna. Trzeba samemu się usunąć, zniknąć na tę chwilę, tak bardzo decydującą, na posterunku zostawić zastępcę. To też ostatnia chwila przed

napadem na Radzyń to jest prawdziwy obraz tej nędzy rewolucji polskiej, tej biedy w ostatnich chwilach stawania się siły zbrojnej.

Major siedzi w deszczu pod krzakami, okręcony w burkę, i czeka, czy ludzie się zejdą, czy nie, a opodal pomocnik jego, Jerzmanowski, stoi na rozstajnych drogach, by schodzących się ludzi do majora odsyłać. Wtem pędzi z łoskotem kibitka, słychać rosyjskie okrzyki: kto to?! — W tych dwu ludziach, rzuconych na pustkowiu, bezbronnych, a jednak tak ważny posterunek zajmujących, że bez nich wybuch odbyć się nie może, teraz strach się budzi. Oto macie ludzi, stawiających sobie teraz znaki zapytania: czy to nie jaki zamach wroga, czy to nie nowa wieść hiobowa, która wszelkie próby odrazu wniwecz obróci?

Oto są te ciągłe zagadki, które stającą się rewolucję zewsząd ścigają, — oto te krzaki, w które komendanci wojsk włazić muszą, — oto jest obrazek: czem jest, jaką być może mobilizacja sił rewolucyjnych.

*

* *

Przedstawienie tych wszystkich technicznych trudności, z któremi zmaga się powstająca rewolucja, dowodzi, że w pierwszych początkach rewolucja rozporządzać może tylko małemi siłami. Jest to według mojej terminologji a w a n g a r d a; główne siły znajdą się dopiero jutro, pojutrze, a o ile się nie znajdą, to znaczy, że awangarda zły czas wybrała: postawiła zapytanie, na które otrzymała odpowiedź: n i e ! Takiem zapytaniem

był napad Potockiego na Siedlce w roku 1848, które z brawurą awangardy zdobył i w ręku trzymał, a na to jego zapytanie naród odpowiedział słowem „nie!", naród się nie ruszył. W tem położeniu rewolucjoniści wszyscy stać muszą, że wysyłając naprzód awangardę, muszą zaryzykować i zapytać się społeczeństwa: „tak czy nie?". Siły główne rozstrzygają, lecz bez rzucenia tej awangardy i tego zapytania na ryzyko niema rewolucji w pełnem tego słowa znaczeniu. Awangardy takie zawsze muszą być w rewolucji, o ile ma być ona wielką i zwycięską.

Jeżeli się jednak myśli o tem, ażeby te wielkie trudności techniczne przy tworzeniu nawet tej nielicznej awangardy mogły być złamane, to wskazówki, jakich możnaby udzielić, są, niestety, ogólnikowej i niespecjalnej, technicznej natury. Polegają one na wychowaniu w sobie i wychowaniu w ludziach pewnych cech charakteru, które są nieodłączne od działań rewolucyjnych, od działań tej awangardy, od której siły i losy całej rewolucji zależą. Przedewszystkiem powinno istnieć z a u f a n i e; bez tego zaufania do tych, którzy w rozmaitych szczegółach rozstrzygają, liczba i siła awangardy niechybnie zmniejszyć się musi ogromnie. Drugą jest smutna konieczność b e z w z g l ę d n o ś c i. Bezwzględność wojskowa, a nie względność cywilna powinnaby w takich wypadkach brać górę. Po trzecie, i to jest najważniejszem, umiejętność życia w t a j e m n i c y. Umiejętność ta nietylko polega na tem, że ludzie umieją dochowywać tajemnic, lecz i na tem, że umieją nie wdzierać się do tajemnic. Jest to umiejęt-

ność bardzo rzadka, osobliwie w społeczeństwie polskiem, gdzie kwestje zaufania stawia się zwykle na gruncie obrazy osobistej. Dalej koniecznem jest umieć *być rozporządzalnym*. Podnieść pod tym względem stopień ludzi, czujących rewolucyjnie, to jest wielkie zadanie, które społeczeństwa, chcące przeprowadzić rewolucję, wziąć na się muszą. Wreszcie ostatnią rzeczą jest *sumienność w drobiazgach*; tego w społeczeństwie polskiem potrzeba więcej, niż czego innego. Ludzie lecą na wielkie rzeczy i te tylko dają im wrażenie; małe rzeczy nie imponują, nie czynią z człowieka rewolucjonisty.

W ogólnych zarysach powiedziałem o wielkich trudnościach, jakie spotykane są w mobilizacjach rewolucyjnych. Jednak te trudności muszą być przełamywane, o ile się chce być zwycięzcą. Trzeba, o ile się takie żądanie stawia, mieć tę otwartość i szczerość, ażeby od siebie i wszystkich innych wymagać *ulepszenia duszy ludzkiej*, tak, ażeby była zdatną, jako materjał, do zwycięskiej rewolucji.

X.

ORJENTACJA PANA BALICKIEGO

(1913)

ORIENTACJA PANA BALICKIEGO

(1919)

Jeden z przewódców Narodowej Demokracji i zarazem teoretyk jej myśli politycznej wystąpił w *Przeglądzie Narodowym* z artykułami o „dezorjentacji austrjackiej", w których to artykułach skrytykowane jest wszystko: Austrja i jej polityka, społeczeństwo polskie, Komisja Tymczasowa, Związki Strzeleckie i tak dalej. Naturalnie, zdrowym, rozsądnym i mądrym okazał się przytem tylko pan Balicki i najbliższe koło jego przyjaciół, którzy są „ośrodkiem kierowniczym, stanowiącym istotny rdzeń życia narodowego".

Dopóki pan Balicki przedstawiał jedynie swe mądre lub niemądre — jak kto sobie życzy — rozważania o własnej orjentacji, a cudzej dezorjentacji, wszystko było w porządku. Wolno każdemu za pomocą artykułów ratować skołataną nawę ojczyzny, ile się komu podoba. Sposób, w jaki to robi pan Balicki, jest, coprawda, równie mało skuteczny, jak praca w Dumie petersburskiej, ale to rzecz smaku i gustu. Osobiście nie uważałbym nawet za potrzebne prowadzić z nim w tej materji polemiki i przeciwstawiać mu swoje rozważania orjentacyjne. Od czasu upadku Rzeczypospolitej zawsze był niekiedy silny, niekiedy słaby prąd, chrzczony obecnie nazwą moskalofilstwa, prąd, który zawsze siebie uważał za czyn-

nik odpowiedzialny, „ośrodek kierowniczy, stanowiący istotny rdzeń życia narodowego", gdyż inny „ośrodek kierowniczy", przez rząd moskiewski nigdy tolerowanym nie był. I praca pana Balickiego pozostałaby dla mnie jeszcze jedną mniej czy więcej udatną lub nieudolną próbą rozkrzewienia tego prądu w naszem społeczeństwie.

Lecz pan Balicki w czerwcowym numerze swego pisma wystąpił w całkiem już innej roli. Oto przez poświęcenie dla ojczyzny przedzierżgnął się w skórę genjalnego detektywa i jako polski Sherlok Holmes wykrył w ruchu powstańczym „grę zakulisową, odwracającą często na nice ocenę zjawisk życia politycznego, a zarazem wyjaśniającą niektóre zagadki w ich przebiegu, trudne do zrozumienia, o ile się nie posiada odpowiedniego klucza do ich rozwiązania." Niechybnie pan Balicki nie we wszystkiem w tej sprawie jest oryginalnym, różne rzeczy podpowiedziały mu „wróble na dachach galicyjskich", dwugroszówka warszawska, pewne wiadomości o strategicznych planach austrjackich zaczerpnął, jak skromnie twierdzi, „skądinąd", wreszcie wszystko uzupełnił swą genjalną metodą dedukcyjną, stanowiącą chlubę wszystkich Sherlok Holmes'ów.

Kluczem, rozwiązującym wszystkie zagadki ruchu niepodległościowego i organizacyj strzeleckich, jest nie co innego, jak znana afera szpiegowska osławionego Redla. W Polsce bowiem, gdzie istnieje taki śliczny okaz „rdzenia życia narodowego", jakim jest pan Balicki i Dmowski,

nie może być mowy o ruchu powstańczym i niepodległościowym i, naturalnie, dla wyjaśnienia tak potwornego zjawiska w życiu ujarzmionego narodu polskiego trzeba sięgnąć przedewszystkiem do obcych narodów, a jeszcze lepiej — brudnych i wstrętnych źródeł. Tylko bowiem z takiego źródła płynąć może tak ohydny prąd, jak dążenie do wywalczenia niepodległości Polski....

Nie hipoteza już, lecz dedukcyjne twierdzenie Sherloka Holmes'a — Balickiego, jest następujące: Redl przedewszystkiem był Żydem i poprzednio nazywał się Redlichem. Oprócz tego był pułkownikiem i szefem biura ewidencyjnego, czyli, według twierdzenia pana Balickiego, szpiegowskiego w austrjackim sztabie generalnym. Będąc zarazem na usługach rządu rosyjskiego — więc podwójnym szpiegiem — zajął się zorganizowaniem ruchu strzeleckiego w Galicji: „był faktycznym, chociaż ukrytym, organizatorem Związków i Drużyn strzeleckich w Galicji". Z chwilą zawiązania Komisji Tymczasowej Redl, naturalnie, stał się jej inspiratorem. „Nie ulega wątpliwości, że utrzymywał nader ożywione stosunki z „Komisją Tymczasową" zarówno w Wiedniu, jak i podczas swych wycieczek samochodowych do Krakowa." Redl robił wycieczki i do Warszawy, gdzie „widywał się zapewne z tymi, którzy przez swą naiwność i głupotę mieli mu ułatwić sprzedanie polskiej skóry na austrjacki bęben."

Niedość tego, pan Balicki, „znając skądinąd stanowisko, jakie zajmował właściwy sztab generalny austrjacki w sprawie uzbrojonych oddzia-

łów powstańczych", wykrył za pomocą swej genjalnej metody, *à la* Sherlok Holmes, że Redl, stojąc na czele biura ewidencyjnego, plany te zmienił w swej istocie i nadał im cechy, jeszcze bardziej zgubne dla Polski.

Wyznam, że wiedza strategiczna w tym wypadku panu Balickiemu nie dopisała. Pomimo, że widocznie jest niesłychanie blisko i dokładnie zaznajomiony ze wszystkiemi szczegółami zbrodniczej działalności Redla, pewniejszym się jednak czuje w zrozumieniu jego wspólnej pracy z „Komisją Tymczasową", niż jego działalności, jako oficera sztabowego. W tym wypadku wyjaśnienia jego są mętne i dosyć trudno zrozumiałe. Zresztą to niezrozumienie moje, być może, jest wynikiem mojej, znacznie mniej dokładnej, w porównaniu z panem Balickim, znajomości danych o strategji sztabu austrjackiego i intrygach w tej dziedzinie pułkownika Redla. Pan Balicki temi danemi rozporządza, więc trudno mu nie wierzyć! Ba! wie on nawet o dacie, gdy sztab austrjacki zaniechał „wywołania powstania w Królestwie, niezależnie od wojny". Stało się to latem 1912 roku!

Wreszcie Redl popełnił jeszcze jedną zbrodnię w stosunku do narodu polskiego. Będąc sam Żydem, wciągnął do akcji powstańczej innych Żydów, jakto posłów: Aschkenazego, Diamanda, Löwensteina i literata Feldmana. Po takich odkryciach pan Balicki dochodzi do niezbitego wniosku, że „akcja powstańcza w ścisłem tego słowa znaczeniu była inspirowana i patronowana przez Redla, a więc była dziełem prowokacji."

Przedewszystkiem jedna uwaga. Niema chyba na świecie prasy, tak źle obsłużonej i tak tandetnej, jak polska. Jednym z przykładów tego twierdzenia jest właśnie afera Redla. Ileż to potwornych baśni wysypano na stół w tej aferze bez żadnego zdania sobie sprawy ze zwyczajnych zasad organizacji wojsk wogóle, a austrjackich w szczególe! Przeszukałem umyślnie szematyzm wojskowy — źródło dostępne dla wszystkich, nie rozporządzam bowiem wyjątkowemi źródłami informacyj, jak świergotanie wróbli na dachach lub wieściami „skądinąd". Znalazłem, po pierwsze, że szefem biura ewidencyjnego przez cały czas, inkryminowany przez publicystów pokroju pana Balickiego, był wcale nie Redl, lecz podpułkownik, później pułkownik Ritter von Ostrymiecz Urbański, nazwisko, o ile mi się zdaje, nie żydowskiego pochodzenia. Następnie Redl był w centralnym sztabie austrjackim jednym z oficerów, którego specjalna praca, niestety, w szematyzmie nie jest wyszczególniona, a nie mając talentów Sherlok Holmes'a, nie ośmielę się w tej sprawie postawić jakiejkolwiek hipotezy. Służba Redla w sztabie generalnym kończy się w początku 1911 roku, gdzie zgodnie z prawami, regulującemi służbę oficerów sztabu, Redl przechodzi, jako podpułkownik, do 99 pułku piechoty. Stamtąd dopiero, jako pułkownik, już w 1912 roku posunięty jest na stanowisko szefa sztabu jednego z 16 korpusów armji austrjackiej, mianowicie VIII korpusu w Pradze, gdzie wreszcie zostaje zdemaskowany.

Powtarzam, biorę te dane ze źródeł, dostępnych dla każdego i łatwych do sprawdzenia. Powierzchowna zaś nawet znajomość z systemem pracy sztabów wojskowych wogóle, a tak zcentralizowanej armji, jaką jest austrjacka, w szczególe, nie pozwoli nikomu na zabawne twierdzenie, by podpułkownik któregoś pułku piechoty mógł odgrywać jakąkolwiek rolę przy układaniu strategicznych planów wojny albo by oficerowi w Pradze pozwalano na mieszanie się do stosunków czy prac na terenie innych korpusów lub odwrotnie. Śmiem twierdzić, że nawet, gdy taki oficer jest Żydem, a działalność jego stoi otworem dla świergoczących wróbli i publicystów narodowo-demokratycznych, nawet wtedy wpływy jego nie mogą być tak wszechpotężne i szerokie.

Nie piszę tego dla pana Balickiego. Nie sądzę bowiem, by ludzi, świadomie „odwracających na nice" prawdę i fakty, mogło cokolwiek przekonać. Konstatuję te fakty dla tych, którzy czytują różne brednie tandetnie obsługiwanej prasy polskiej. Dla nich zrobię jeszcze jedno zestawienie.

Pierwszy Związek Strzelecki w Galicji rozpoczął swe istnienie we Lwowie w końcu 1910 roku, akurat prawie przy końcu służby Redla w sztabie generalnym wiedeńskim. Rozpoczął zaś swe istnienie w tak skromnych rozmiarach, że — doprawdy — nie zasługiwał wcale nawet na alarm wróbli na dachach domu naftowego na Chorążczyźnie we Lwowie, a cóż dopiero na machjawelską intrygę Żydów czy szpiegów rosyjskich. Poprostu nie zajmowano się nim wcale. Cały zaś rozwój organizacyj strzeleckich, rozwój, bardzo mało popierany

przez wojskowość austrjacką, jak to słusznie wykazał poseł Daszyński w jednej ze swych mów parlamentarnych, następuje dopiero w roku ostatnim, w roku kryzysowym. Wtedy zaś Redl jest służbowo zajętym zdala od Galicji i jej stosunków.

Papierów, zabranych w mieszkaniu Redla, i jego przedśmiertnego zeznania nie czytałem, więc twierdzić nie jestem w stanie, czy i ile miejsca poświęcił on w nich Komisji Tymczasowej czy ruchowi strzeleckiemu.

Świergotały o tych sprawach w istocie wszystkie wróble na dachach galicyjskich, mógł o tem zbierać informacje każdy płatny czy niepłatny przyjaciel rządu rosyjskiego i, jeżeli to Petersburg czy warszawską ochranę interesowało mocno, mógł to niewątpliwie czynić i Redl, naturalnie, przy stosunkach, jakie miał, z większem znacznie powodzeniem, niż inne Sherlok Holmes'y. Lecz jakże to związać z twierdzeniem o kierownictwie szefa sztabu korpusu praskiego ruchem irredentystycznym w Polsce? Wyznać trzeba, że brednie podobne są w istocie śmieszne i przedewszystkiem ubliżające wiernej aliantce pana Balickiego — Rosji. Jakto? Wojna ciężka, wojna z ogromną potęgą militarną austro-pruską wisi na włosku, Rosja ma w swym ręku człowieka, jeśli nie posiadającego, to zbliżonego do tajników poruszeń miljonowych armij, tajniki te nawet dla Redla niełatwe są do zdobycia, trzeba mozolnych nieraz i drobiazgowych dociekań w tych głównych i decydujących sprawach, a nagle mają go używać do tak względnie nikłych rzeczy, jak prowokatorskie organizowanie Związków i Drużyn strzeleckich i komunikowanie się z posła-

mi polskimi w Wiedniu. Nie! To trzeba — jak to mówią w Galicji — na głowę upaść, aby dać wiarę tak naiwnej i śmiesznej bajce.

Sam Sherlok Holmes, pomimo swej genjalności detektywa, nieco się zawahał nad ostatecznem wyjaśnieniem zagadki, poco ostatecznie Rosja miała w chwili wiszącej nad nią wojny, bardzo wątpliwej co do swego wyniku, starać się jeszcze o wywołanie ruchu zbrojnego w Polsce przeciw sobie! Zdawałoby się — i każdy zdrowo myślący człowiek to potwierdzi — daleko logiczniej byłoby Redla czy danego agenta postawić w stosunek z „rdzeniem myśli narodowej w Polsce" i starać się zgasić wszelkie iskierki dążeń niepodległościowych, chociażby dlatego, by nie mieć z tem kłopotu. Ba! Pomimo chwilowego zawahania się pan Balicki znajduje wyjście. Pisze on stroniczkę o psychologji zdrajców różnych ruchów wolnościowych, zaplątujących się we własnych sieciach, nie wiedzących nawet sami, kogo i co właściwie zdradzają i komu właściwie służą — sprawie wolności czy też jej wrogom i katom. Tak, panie Balicki, tę właśnie jedyną stronicę w swym artykule skreśliłeś pan z istotnem znawstwem i koneserstwem przedmiotu!

Tak postępował, zdaniem pana Balickiego, i Redl, służąc i jednocześnie zdradzając zarówno Austrję, jak i Rosję. I to jest jedyne wytłumaczenie tego najdziwaczniejszego kłamstwa.

Czy przy rozpatrzeniu poszczególnych cegiełek, czy rozważając logiczną konstrukcję budowy twierdzeń pana Balickiego, zawsze dojdziemy niechybnie do przekonania o nadzwyczaj lichym i kruchym materjale, użytym do niej. I cała ta

Sherlok Holmes'iada pana Balickiego byłaby ogromnie zabawną w swojej naiwności, gdyby nie była przytem i potwornie wstrętną. Niepodobna nie zapytać siebie „cui bono" skonstruował pan Balicki niecne oszczerstwo, dodając do różnych plotek i gawęd gazeciarskich w sprawie Redla swoje własne łgarstwa. Oto jeden z drobnych przykładów tej roboty.

W gazetach dużo pisano o częstych automobilowych wycieczkach Redla. Wspominano Drezno i Wiedeń. W żadnem świergotaniu wróbli galicyjskich nie wymieniano Krakowa. Pan Balicki doświergotał sobie Kraków. Jego nos Sherlok Holmes'a, wietrzący ślady Redla w Polsce, doprowadził go do Krakowa, który jest u wróbli galicyjskich i warszawskich związany z Komisją Tymczasową. Wyłazi w ten sposób szydło z worka! Za wszelką cenę Redl ma być związany z ruchem niepodległościowym, ma w nim odgrywać rolę Azefa.

Powtarzam raz jeszcze, pan Balicki w niektórych tylko szczegółach potwarzy był twórcą, on jeden, zdaje się, nie czytając papierów Redlowskich, na nich się opiera. Wyprzedzili go na tem polu dwugroszowi pismacy z *Gazety Porannej, Kurjera Porannego i Słowa Polskiego.* Jeżeli specjalnie się nim zająłem, to dlatego, że pan Balicki w tem towarzystwie usystematyzował kalumnje, podpisał je i wreszcie, że miał zaszczyt niegdyś, ten zresztą, jak wielu innych gadzinowców moskiewskich, jak Tichomirow, Zubatow i tak dalej, — walczyć w szeregach rewolucyjnych pod tem samem hasłem, na które obecnie tak haniebnie i oszczerczo brudne błoto rzuca.

XI.

O POLSKIM RUCHU STRZELECKIM

(1914)

Rok 1863 znamionuje zwrot w naszej historji, głęboką zmianę w stanie umysłów polskiego narodu. Do tego momentu pokolenie za pokoleniem od czasów rozbioru kraju przekazywało sobie wiernie tradycję ruchu zbrojnego celem odzyskania utraconej niepodległości. Powstanie roku 1863, utopione w strumieniach krwi, otwiera nowy okres, — okres panowania ostrożności i rozsądku. Odtąd nie będzie wolno iść za podszeptami uczucia, mogącemi doprowadzić do ponownego powstania, któreby przecież zakończyło się nową klęską. To przekształcenie się jest tak głębokie, że ten sam Wielopolski, który dla walczących z roku 1863 był człowiekiem niecnym, napiętnowanym pogardą, uchodzi w oczach wielkiego odłamu społeczeństwa polskiego za wcielenie myśli narodowej. Ci nawet, którzy przelali krew dla ojczyzny, dochodzą prawie do tego, że udział swój w powstaniu usprawiedliwiają jako pomyłkę. Wspomnienie naszej bojowej przeszłości zaciera się coraz bardziej, powoli rozpływa się w nicość.

W tym smutnym okresie idea niepodległościowa tli jednakże pod popiołami. Nie może ona zginąć z tego prostego względu, że istnienie narodu przeszło dwudziestomiljonowego, pozbawionego prawa decyzji o swych losach, jest absurdem, absolutnie

jedynym w historji nowożytnej. To też dwa najważniejsze w okresie popowstaniowym stronnictwa polityczne — partje narodowa i socjalistyczna — wpisują obie do swych programów odzyskanie niepodległości narodowej. Było to jednak tylko życzenie, koncepcja wyłącznie teoretyczna, która nie opiera się na żadnym planie realizacji mniej czy więcej konkretnym i odsuwa w zupełności ideję walki zbrojnej.

I oto właśnie to pokolenie, które nie marzy już o możliwości zmiany dotychczasowego stanu rzeczy własnym wysiłkiem, stanie w obliczu wypadków roku 1904. A jednak rozumie ono konieczność działania i stawia przed nieprzyjacielem, osłabionym i zdezorjentowanym, tysiące ludzi, gotowych podtrzymać walkę, lecz nie mających energji, determinacji i wiary, decydujących o zwycięstwie. Zamiast tego, by narzucić swą wolę, walczący ograniczają się do żądania ustępstw. Niezdolni przyjąć postawy mocnej i zdecydowanej, nie umieją wykorzystać trudności, z jakiemi w tym krytycznym momencie walczyło państwo carów. To też mimo wielkich ofiar, złożonych na ołtarzu sprawy narodowej, ten ruch rewolucyjny przeciwko ciemięzcy daje rezultaty równie skromne, jak i nieokreślone, których znikomość wypełnia dusze uczuciem zawodu i upokorzenia. W atmosferze rozważań, spowodowanych tą ostatnią porażką, zaczyna kiełkować w umysłach idea wojskowego przygotowania społeczeństwa polskiego.

Inicjatywę tego ruchu dała Polska Partja Socjalistyczna, która w roku 1908 tworzy pierwszą organizację strzelecką. W tym samym czasie narodowi demokraci ze swej strony powołują do ży-

cia organizację analogiczną. I tu, i tam przychodzi się powoli do przekonania, że jedynie przygotowanie wojskowe, systematycznie prowadzone, pozwoli nam w godzinie walki stawić czoło temu czy innemu państwu zaborczemu. Jednakże w opinji publicznej idea ta nie znajduje jeszcze oddźwięku, — stronnicy ruchu napotykają w początku na opozycję, często niezwykle żywą, w łonie swych własnych partyj. To też organizacje wojskowe pozostają tajnemi i rozwijają się bardzo powoli. W momencie wybuchu kryzysu bałkańskiego liczą nie więcej, jak 600—700 członków.

Lecz kryzys ten wywarł wreszcie wpływ zbawienny. Naród polski widzi w całej rozciągłości swą bezsilność wobec perspektywy wojny, która miała być stoczoną na jego ziemi i która wydać go miała na łup Austrji i Rosji. Tragedja jego przeznaczeń, skazująca go na pokaźne zwiększenie szeregów wojskowych trzech zaborców, może także postawić jego synów naprzeciw siebie we wrogich szeregach. Okropność tej wizji w sposób o wiele drastyczniejszy, niż wszelkie argumenty logiczne, rozstrzyga o rozwoju organizacyj wojskowych. Liczba ich szybko wzrasta, a znaczenie uwydatnia się coraz bardziej. Jeśli z początku opierały się one przeważnie na młodzieży inteligenckiej, to obecnie znajdują zwolenników we wszystkich odłamach społeczeństwa, zwłaszcza wśród ludności robotniczej i wiejskiej. Zyskując dla swej sprawy te elementy, stanowiące 7/8 członków, zdobyły podstawy mocne i pewne i stają się siłą, z którą odtąd trzeba się będzie liczyć.

Byłoby rzeczą prawie zbyteczną dodawać, że rozwinęły się one szczególnie w Galicji, gdzie mo-

gą działać swobodnie, korzystać z pewnych uprawnień, wspólnych dla wszystkich stowarzyszeń strzeleckich państwa austrjackiego, i nadanych przez państwo celem ułatwienia przygotowania wojskowego poszczególnych prowincyj. Nie wynika z tego jednak wcale, że muszą one służyć interesom Austrji, i wypada przypomnieć tym, którzy podnoszą ten zarzut, że pierwsze organizacje wojskowe utworzone zostały na długo przedtem, nim zarysowała się możliwość konfliktu austrjacko-rosyjskiego. Ruch wojskowy ma na celu „stworzyć w naszem społeczeństwie funkcję siły". Lecz wypadki same zadecydują o użyciu tej siły, jak również o sposobie wprowadzenia jej w grę.

Drugi zarzut przeciwko temu ruchowi wychodzi z obozu tych, którzy boją się, by obudzenie zdolności wojskowych narodu nie wywołało wybuchu, zgubnego w swych następstwach. Trudno znaleźć pogląd mniej uzasadniony od tych obaw, a wykazywanie ich bezpodstawności jest rzeczą zbyteczną.

Przeciwnie, rozwój przygotowań wojskowych dał już efekty pozytywne, nie ulegające wątpliwości: stanowi dla naszego kraju pewną wartość na rynku politycznym Europy, z którego kwestję polską po upadku powstania 1863 roku bezlitośnie wykreślono. Weszło w zwyczaj nie brać nas w rachubę w kalkulacjach i kombinacjach międzynarodowych. Ruch wojskowy wprowadza ponownie kwestję polską na szachownicę europejską. Znaczenie jego wydaje się nam tem większem, że począwszy od roku 1904 jesteśmy świadkami szeregu przewrotów i konfliktów, w których rola decydu-

jąca przypada sile zbrojnej. Jedynie miecz waży dziś coś na szali losu narodów. Naród, który chciałby przymknąć oczy na tę oczywistość, przekreśliłby bezpowrotnie swą przyszłość. Nie wolno nam być takim właśnie narodem. Inicjatorowie ruchu wojskowego wskazali krajowi drogę, którą należy kroczyć. Lecz ostateczny rezultat zależy całkowicie od intenzywności zbiorowego wysiłku, od czynnego i uporczywego współdziałania całego narodu.

XII.

ARTYKUŁY ZE „STRZELCA"

(1914)

Z WOJNY BAŁKAŃSKIEJ.

I. Bułgarzy.

Jak zwykle po wojnach bywa, pierwsze dane o nich nie dają dostatecznego przeglądu szczegółów stoczonych bojów, oświetlenie więc taktycznej strony ostatniej wojny europejskiej dotąd, niestety, pozostawionem być musi przyszłości. Z tych jednak ogólnikowych danych, jakie w literaturze znaleźć już można, nie wydaje mi się, aby wojna bałkańska była tak pouczającą i tyle wniosła nowego do dziedziny taktyki, co poprzednia wojna japońska.

Dużo mówiono i cuda głoszono o wściekłych i szybkich atakach frontowych Bułgarów na pozycje tureckie. Sądząc z tych danych, jakie są — a są one bardzo niewystarczające, powtarzam raz jeszcze — powodzenie ich raczej przypisać należy ujemnym cechom wojska tureckiego, niż odpowiedniości użytego przez Bułgarów środka dla zwyciężenia wroga. Nawet przy tak nieumiejętnie prowadzonej obronie, jak u Turków, nawet przy takim upadku ducha w wojsku tureckiem, że całe dywizje po kilka razy w ciągu dnia poprostu zmykały najhaniebniej z pozycyj -- nawet przy tych warunkach ogromne straty bułgarskie przy każdym ata-

ku uniemożliwiały zwycięzcom jakie takie wyzyskanie triumfu. Za każdym razem, czy w pierwszej bitwie pod Petra i Kirk-Kilisse, czy w drugiej pod Lülie-Burgas, pobite, nawet rozproszone wojsko sułtana uchodziło spokojnie od pościgu bułgarskiego, ba! nawet, gdzie się znajdowali energiczniejsi ludzie na czele, zdołało ratować nieraz duże części pozostawionego narazie przy panicznej ucieczce materjału wojennego: armat, wozów, amunicji i tak dalej.

Wyznam otwarcie, że przy czytaniu przeraźliwych opisów paniki, ogarniającej całe dywizje i korpusy tureckie, przy rozejrzeniu się w szczegółach bezładnego cofania się, a raczej wprost ucieczki Turków po każdej bitwie, przy zastanowieniu się nad niesłychaną dezorganizacją w wojsku tureckiem, gdzie prawem była trzy — lub czterodniowa głodówka żołnierzy w czasie boju, gdzie nawet głównodowodzący przez dzień cały był bez pożywienia — przy tem wszystkiem nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że „bracia Słowianie" źle się bili i źle byli prowadzeni. Odwrotnie zaś dowództwo tureckie dało dowód niezwykłej energji i umiejętności, zatrzymując takie wojsko, po tak haniebnych klęskach i ucieczkach, już nieledwie nazajutrz po bitwie gdzieś w 40—60 kilometrach od opuszczonych pozycyj i zmuszając je do ponownego oporu i przyjęcia boju [1]). Nie mogę sobie wyobrazić, by

[1]) Od Petry do Vizy i Lülie-Burgas — 40 kilometrów, od tych do Czataldży — 60 kilometrów — więc $1\frac{1}{2}$ do 3 dni marszu. Dla porównania: Kuropatkin po Liaoyan'ie, prawie niepobity, cofa się do Mukdenu (ca 80 kilometrów), po Mukdenie (przegrana tej samej wartości, co Lülie-Burgas) do Sipinghaju (ca 130 kilometrów).

przy nieco lepszej organizacji po stronie tureckiej i przy wyższym stanie moralnym wojska sułtańskiego możliwemi były nawet wogóle zwycięstwa bułgarskie, tak niesłychanie wyczerpywały Bułgarów ich namiętne — innego słowa nie znajduję — ataki frontowe „na nóż" (na bagnety), bez dostatecznego ogniowego przygotowania prowadzone. Jeden z obserwatorów, Włoch Zoli czy Wagner z *Reichpost*, bodaj że słusznie zauważył, iż przedwczesne ataki bułgarskie były skutkiem nie nieumiejętności oficerów, lecz niedającego się powstrzymać parcia żołnierzy, chcących jak najprędzej dopaść do znienawidzonego od tylu wieków wroga.

Jeżeli jednak doświadczenia wojny bułgarskiej nie wzbogacą prawdopodobnie wiedzy taktycznej w tym stopniu, co japońska, to natomiast dla psychologicznej, szerzej mówiąc—socjologicznej strony wojny, znaleźć można w bałkańskiej tragedji mnóstwo ciekawego materjału. Więc z jednej strony — zwycięzcy. Mówię o Bułgarach, bo dotąd, niestety, o Serbach i Grekach nie posiadam żadnych danych.

Przedewszystkiem rzuca się tu w oczy nawet przy powierzchownem przejrzeniu gazeciarskich wiadomości ogromny zapał narodowy dla sprawy wojny. Na wojnę ciągną wszyscy — starzy i młodzi. Bułgarzy prześcignęli pod względem wyzyskania materjału ludzkiego dla celów wojny nawet Francuzów, którzy w tej sprawie trzymają prym w Europie, wciskając w swe ramy wojenne 14% ludności. Bułgarzy dali 16%. Kraj cały zostaje bez robotników we wszystkich dziedzinach codziennego życia i... i żadnej skargi, żadnej de-

presji moralnej. Dla osiągnięcia celów narodowych, znacznie mniej poważnych, niż, naprzykład, u nas, Polaków, rzuca się bez wahania na szalę wypadków literalnie całą ludność męską. Gdy sobie uprzytomnimy, że w powstaniu 1863 roku w marcu na całej przestrzeni województw krakowskiego i sandomierskiego z ludnością 800000 mieszkańców stał pod bronią niewielki 3-tysięczny oddziałek Langiewicza, gdy przypomnimy, że na całą 4-miljonową ludność Królestwa w 1863 roku liczba walczących nigdy nie przenosiła 1%, a najczęściej była mniejszą, gdy sobie przypomnimy naszą specyficzną polską histerję strachu przed użyciem broni w stosunku do wroga, nie zazdrość już, ale głębokie upokorzenie odczuć trzeba, myśląc o tych szczęśliwych, co o niczem nie zapomnieli.

To samo powiedzieć trzeba o starannem przygotowaniu umysłów i serc bułgarskich do zadań operacyjnych wojny. Wszystkie te, obco nam brzmiące, nazwy Koprüli, Koszana, Struncica, Marica, czy jak się tam rzeki i miasteczka macedońskie nazywają, stały się bliskiemi i drogiemi sercu Bułgara przez długoletnią, poprzedzającą wojnę, walkę partyzancką w Macedonji i... przez odpowiednio prowadzoną naukę w szkole ludowej. Teatr wojny był dla każdego żołnierza nie bezduszną i nie mającą przystępu do jego myśli zbieraniną obcych nazw geograficznych, lecz krajem, napełnionym żywą treścią odczutych walk i przemyślanych bojów. I tu te same porównania z nami cisną się do głowy. Kto z Galicjan o Królestwie wie więcej, niż coś nie coś o Warszawie lub paru jeszcze innych miastach tej głównej części Polski? Kto zżył się z życiem

zaboru rosyjskiego o tyle, by w razie potrzeby być tam świadomym strategiem — w znaczeniu żołnierskiem, nie generalskiem — a nie człowiekiem, prowadzonym na ślepo.

To stałe współżycie Piemontu bułgarskiego — państwa Bułgarji — z Wielką Bułgarją, będącą jeszcze pod panowaniem tureckiem, dało znakomite owoce podczas wojny. Oto, naprzykład, słaba dywizja generała Kowaczewa w parę tygodni zajmuje i obsadza przestrzeń 20000 kilometrów kwadratowych, usuwając stąd nieprzyjaciela w podwójnej w stosunku do siebie ilości. Dzieje się to, naturalnie, jedynie dlatego, że ludność cała nietylko wita wojsko bułgarskie, jako swoich, lecz daje mu wszelką pomoc: zastępuje go w męczącej służbie ochronnej, zapewnia mu tyły, naprawia drogi, opiekuje się niem wogóle najstaranniej. Niestety, ta właśnie, niezwykle dla nas ciekawa, część pracy wojennej Bułgarów, jak zwykle zresztą, słabo jest wyświetlona przez źródła, które miałem w swem rozporządzeniu.

Tak samo po macoszemu obchodzą się autorzy wojskowi z inną częścią wojennej roboty — z pracą partyzanckich oddziałów macedońskich. Wojna była poprzedzona przez długie lata podjazdowej walki, prowadzonej uparcie przez Bułgarów w Macedonji na sposób, zbliżony do metod rewolucyjnych w roku 1904 — 1908 w zaborze rosyjskim. Bandy te — jak je technicznie nazywano — były też użyte, jako pomocnicze narzędzie wojny i podczas starcia regularnych armij. O technicznej stronie tej pracy dotąd nie znalazłem nic a nic. Jak pisze jeden z autorów (Wagner), w sprawozdaniach

pomijano systematycznie działanie band ze względów dyplomatycznych, wobec wrogości lojalnej Europy do tak nielegalnych środków działania. Jedyną charakterystyczną wzmiankę przytoczyć tu mogę, że oficerowie bułgarscy w wielkiej ilości byli urodzonymi Macedończykami, ludźmi, którzy jeszcze podczas pokoju brali udział w pracach i bojach band na terenie macedońskim. Obecnie wiele okrucieństw bułgarskich, popełnionych na ludności muzułmańskiej, starają się sprawozdawcy zwalić właśnie na bandy. Czy to jest prawdą, trudno dociec. Przypuszczać trzeba, że przy wiekowej nienawiści do prześladowców, która cechowała Bułgarów w tej wojnie, wykroczenia przeciwko humanitarnym prawom były dosyć powszechne.

Dla dopełnienia charakterystyki Bułgarów dodam, że procent analfabetów w wojsku wynosił zaledwie 8.

Z WOJNY BAŁKAŃSKIEJ.

II. Turcy.

Każdy, kto czytał *Beniowskiego*, pamięta pewno cudownie piękne strofy, zwrócone do mahometańskiego Wschodu, z którym poeta zaznajomił się bliżej podczas swej podróży. Kraina ta, jak wyznaje Słowacki, „przez podobieństwo śmierci" tak mu ojczyznę postawiła przed oczy, że „serce mu wzięła i łzy mu wydarła". Ten bezwiedny sentyment i mną owładnął, gdym przerzucał tragiczne karty dziejów tureckiej armji podczas ostatniej wojny, i wciąż mi w uszach dźwięczał, jak stały refren, wiersz poety:

„...Próżno, ach próżno! Rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało!
Twoje mi, śmiercią już blade, oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało..."

Wybaczą mi czytelnicy *Strzelca* ten nieco sentymentalny i liryczny wstęp do suchej i sprawozdawczej notatki o działaniach armji tureckiej. Są one skądinąd niezwykle pouczające i to specjalnie dla nas. Dla nas dlatego przedewszystkiem, że od początku prawie tureccy wodzowie i kierownicy mieli do czynienia z koniecznością improwizacji organizacyjnej.

Surowa, bezlitosna i... *disons le mot,* niemiecka nauka osądziła bezpowrotnie wszystko to, co trąci choć cokolwiek improwizacją armji, występującej do wojny. Na poparcie swych tez przytoczyć może także i kampanję turecką. Armja turecka w chwili wybuchu wojny znajdowała się w stanie znacznie gorszym pod względem organizacyjnym, niż armja Napoleona III w 1870 roku.

Dla charakterystyki stanu rzeczy dosyć przytoczyć historję III korpusu tureckiego. Dowódca korpusu Machmud-Muchtar-pasza przyjeżdża 17 października (pierwsza bitwa 22 października) dla objęcia komendy nad wojskami, które go widzą po raz pierwszy. Z trzech dywizjonerów jeden tylko — naczelnik 7-ej dywizji — jest dawnym dowódcą, inni dwaj są świeżo mianowani. W kasie korpusu Muchtar-pasza znajduje 14 tureckich funtów, mniej więcej 320 koron!! 8-ma dywizja występuje do boju w składzie aż... dwóch bataljonów!! Wiele z pomiędzy bataljonów liczy w swym składzie nie więcej, niż 200 — 300 ludzi, stanowiąc w ten sposób raczej kompanję, nie bataljon; pułk 8-my kawalerji występuje do boju w składzie 200 ludzi, a niezależna dywizja kawalerji, osłaniająca koncentrację i mobilizację armji, liczy raptem aż... 1300 szabel!!

Wreszcie do korpusu dodają jeszcze jedną dywizję rezerwową z Afiun-Karahissar i korpus idzie do boju z 38 tysiącami ludzi, zebranych i zorganizowanych naprędce za pomocą złej czy dobrej — lecz improwizacji. Po pierwszym boju pod Petra i Kirk-Kilisse korpus 23 października w zupełnym nieładzie cofa się do Vizy. Wszystko staje się *perakende,* jak technicznie nazywają Turcy rozprószo-

nych i błądzących bez związku organizacyjnego żołnierzy. Z tych *perakende* z nowymi na połowę dowódcami Machmud-Muchtar-pasza improwizuje nową organizację korpusu, z którym staje do boju już 29-go — w pięć zaledwie dni po sproszkowaniu korpusu na poszczególne atomy aż do pojedyńczego żołnierza. Szybkość w istocie zdumiewająca, godna zaiste zazdrości!

Z tym, już najzupełniej zaimprowizowanym, oddziałem — zwanym chyba dla tradycji III korpusem — Muchtar-pasza prowadzi ciężką trzydniową walkę na prawem skrzydle armji tureckiej podczas bitwy, znanej z gazet pod nazwą bitwy pod Lülie—Burgas. Pierwsze dni boju dają orężowi tureckiemu w „III korpusie" powodzenie, słabe, coprawda, lecz zawsze powodzenie. A gdy wreszcie lewe skrzydło i centrum cofa się w bezładzie, korpus wytrzymuje jeszcze dwudniowy bój, mając z lewego skrzydła poparcie takiegoż zaimprowizowanego oddziału, niewiadomo dlaczego noszącego szumną nazwę XVII korpusu.

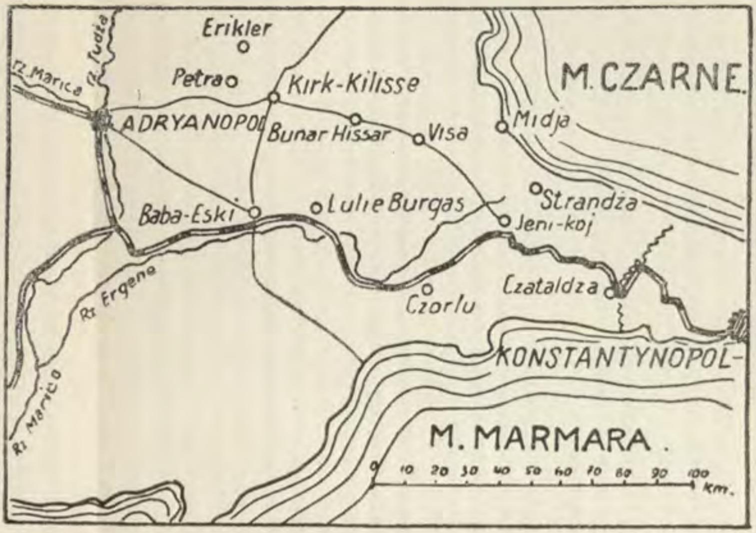
Wreszcie oba „korpusy" cofają się. Odwrót pociąga za sobą zupełny rozstrój wszystkich oddziałów Turecka armja cofa się pod mury Konstantynopola na linję obronną Czataldży. Następuje nowa improwizacja z wojsk wszystkich korpusów, które się zmieniły wszystkie w bandy *perakende*. Jeszcze jednak przed dojściem do Czataldży Muchtar-pasza podczas odwrotu improwizuje organizację swego korpusu i z 9 „dywizyj" formuje, już na szósty dzień po rozpoczęciu odwrotu, ośmnastotysięczny korpus trzydywizyjny. Nowa improwizacja, już w całej armji przeprowadzona, pod Czataldżą

wnosi bardzo mało nowego do pracy, przeprowadzonej podczas odwrotu przez Muchtara-paszę.

Gdy się przegląda detaliczny *ordre de bataille* korpusu w różnych okresach kampanji i zestawia numery jednostek i nazwiska dowódców, niepodobna znaleźć jakiegokolwiek podobieństwa jednego obrazu do drugiego. Oprócz uporczywie powtarzanych numeracyj korpusu — III — i dywizyj — 7-ej, 8-ej i 9-ej — wszystko inne jest w każdym świeżym *ordre de bataille* zupełnie nowe. W ostatnim — na linji Czataldży — dano już spokój numerowaniu pułków i poprostu nazywano je: „skombinowany pułk *nizamów* takiego a takiego majora czy pułkownika".

Improwizacja organizacyjna była taką koniecznością dla armji tureckiej, że nawet podczas boju samego znajdujemy objawy tej pracy. Oto, naprzykład, ustęp z raportu podpułkownika Mechmed Ai-beja, wysłanego w trzeci dzień boju pod Lülie — Burgas do jego naczelnika:

„Wobec tego, że po ostatnim boju wczorajszego wieczoru jednostki wojskowe ogromnie się pomieszały, sformowałem, jako komendant lewego skrzydła, dwa bataljony z pomiędzy wojsk, które trafiły do moich rąk. Jeden z nich — złożony z 270 ludzi i postawiony pod dowództwo majora Dżemal beja — z ludzi, należących do różnych pułków *nizamu;* drugi — 208 ludzi, dowodzonych przez wicemajora Sia Effendiego z 23-go pułku. Oba bataljony oddałem do prowadzenia podpułkownikowi Fenzi-bejowi. Niepodobna mi było określić miejsca, dokąd oni właściwie należą, a że bój już się rozpo-



Erikler
Petra
Kirk-Kilisse
M. CZARNE.
rz. Marica
rz. Tudża
ADRYANOPOL
Bunar Hissar
Visa
Midja
Baba-Eski
Lulie Burgas
Strandża
Jeni-koj
Rz. Ergene
Czataldza
Czorlu
KONSTANTYNOPOL
Rz. Marica
M. MARMARA.
0 10 20 30 40 50 60 70 80 90 100 km.

czął zostawiłem bataljony wymienione do dyspozycji Ekscelencji".

Machmud-Muchtar-pasza podczas boju improwizuje sobie sztab z chwilą, gdy został wyznaczony komendantem „II wschodniej armji", złożonej z trzech „korpusów" — III, XVII i XVIII. Materjałem do tego służą mu różni *perakende* oficerowie. Że tacy *perakende* nie byli rzadkością, niech świadczy następujący ustęp z raportu dywizjonera Dżemal-beja.

„Sądzę, że byłoby bardzo pożytecznem, żeby dla zabezpieczenia mego prawego skrzydła do trzech bataljonów dodać jeszcze dwa i wszystko pozostawić pod dowództwem naczelnika dywizji rezerwowej z Angory, który objeżdża pozycje, nie mając żadnego wyznaczonego sobie zadania".

Intendentura, dostarczenie amunicji — cała, jednem słowem, służba tyłu armij i korpusów musiała być w ten sam sposób improwizowana. Ten sam Muchtar-pasza dwa razy usiłuje zorganizować dla swego korpusu te pomocnicze a konieczne narzędzia wojenne. Za każdym razem dzieje się to za pomocą wyznaczenia oficerów *perakende*, takich, co wypadkowo trafili do rąk paszy. Jednem słowem, co krok to improwizacja, nie licząca się wcale albo bardzo mało z tem wszystkiem, czem było pokojowe życie armji tureckiej.

To samo działo się w całej armji sułtana, we wszystkich innych korpusach i dywizjach. Trzeci korpus Machmuda-Muchtara-paszy nie był wcale pod tym względem wyjątkiem. Gdy się te wszystkie raporty o nieszczęsnych *perakende* przerzuca, do-

prawdy wydaje się, że się ma do czynienia nie z armją regularną państwa, mającego przygotowaną do wojny organizację wojskową, lecz z jakiemś powstaniem czy rewolucją, wojną bez uregulowanej i będącej w niezaprzeczonem posiadaniu bazy. Bodaj jedynie Francja ze swemi przykładami z Wielkiej Francuskiej Rewolucji i z *défense nationale* 1870 roku mogłaby być pod tym względem porównywana z Turcją podczas ostatniej bałkańskiej wojny. Jeśli mi wolno trawestować Słowackiego, to powiem, że przez to „podobieństwo", ale nie śmierci, lecz — życia i to życia wojennego, właśnie te obrazy z wojny bałkańskiej przykuły moją uwagę do strony tureckiej, a sądzę, że studja nad improwizacyjną pracą wodzów muzułmańskich dać nam mogą i muszą niezwykle dużo pouczającego.

Przedewszystkiem słów parę ogólnych o samej improwizacji. Jak powiedziałem wyżej, bezlitosna nauka z pogardliwym uśmiechem wzrusza ramionami na ciężkie, w krwawym pocie czynione próby improwizowania organizacji wojskowej, z złośliwym triumfem wskazując na następstwa takiej imprezy — we Francji w 1870 roku, w kuropatkinowskich improwizacjach w wojnie japońskiej, wreszcie przypisze klęski tureckie właśnie tej okoliczności. A jednak... jednak nowoczesna nauka o wojnie zaczyna się właściwie od improwizacji republikańskich i napoleońskich armij, od czasów, gdy mniej się namyślano nad stworzeniem prawie bez kadrów stutysięcznej armji, niż obecnie nad dodaniem do mozolnie stworzonej organizacji jednego jakiegoś bataljonu. I wtedy improwizacja da-

ła Francji absolutne zwycięstwo nad wrogami, jeszcze przedtem, nim genjusz Napoleona zajaśniał w całej pełni, przedtem, nim została wytworzona Wielka Armja Jeny, Austerlitzu, Wagramu i Friedlandu.

Bez względu jednak na słuszność czy niesłuszność poglądów na improwizację organizacyjną wojska — prawdą bezwzględną pozostanie: wiele ten może, kto musi. I dla tych, co muszą, niezwykle pouczającem będzie przyjrzeć się, jak dawali sobie radę inni, również będący w przymusowem położeniu, w danym wypadku Turcy.

Pierwsza improwizacja przed bitwą pod Petra i Erikler ma do czynienia z materjałem ludzkim w stanie zorganizowanym: bataljonami, brygadami i dywizjami takiemi, jakiemi je wytworzyło pokojowe życie armji tureckiej, jakiemi je dała źle obmyślana mobilizacja, nie licząca się z brakiem komunikacji porządnej na tyłach armji. Praca organizatorska wodzów tureckich, zmuszonych do stoczenia boju z armją, nierozwiniętą do stopy wojennej, musiała polegać na usunięciu szkodliwych fikcyj w postaci dywizyj dwubataljonowych, pułków o sile paru kompanij, wreszcie na usunięciu odrazu materjału ludzkiego, niedostatecznie lub wcale niećwiczonego, z szeregów, przeznaczonych do boju. Generałowie tureccy nie uczynili tego. Działała w nich jeszcze bezwiednie wiara w słuszność zarządzeń mobilizacyjnych, przekonanie o wartości niezmiernej całej maszyny organizatorskiej państwa i armji. Wyniki jednak tej niechęci do improwizowania organizacji większych oddziałów, gdy maszyna już zawiodła, ciężko dały się we znaki Turkom.

Fikcyjne bataljony, pułki, brygady, dywizje, korpusy i armje zajmowały zupełnie realną przestrzeń, nieodpowiadającą najzupełniej realnej sile, którą posiadano. Tak w pierwszej bitwie na froncie czterdziestokilkokilometrowym wystawiono jakie 60 tysięcy ludzi. W drugiej, pod Lüle-Burgas, front pięćdziesięciokilometrowy obsadzony był 70 tysiącami ludzi. Dopiero na pozycjach pod Czataldżą długość frontu dochodzi do nieco normalniejszego stosunku z ilością kombatantów.

Stosunek różnych rodzajów broni stawał się również zupełnie nienaturalnym. Dla przykładu przytoczę 7-mą dywizję, słabą w swoim składzie, liczącą nie więcej, niż 6—7 tysięcy ludzi, a obciążoną 12 baterjami (72 działa) artylerji, idącą po ciężkim, rozmokłym gruncie dla osłony prawego skrzydła armji. O zdolności do manewru bitewnego, koniecznego przy ochronie skrzydłowej, chyba mowy być nie mogło — piechota poprostu stawała się zwykłą asekuracją dla swej ledwo poruszającej się artylerji. To też 7-ma dywizja zadania swego nie wypełniła, a przy odwrocie wielką część artylerji pozostawiła w błocie na łup nieprzyjaciela. Wynikało to zupełnie naturalnie z faktu, że artylerja — ilość dział, nie parków amunicyjnych — przy wadliwej mobilizacji stała w rażącej sprzeczności z gotowością innych rodzajów broni, a nikt z dowodzących w pierwszych dniach wojny nie ośmielił się targnąć na „nieimprowizowane" schematy mobilizacyjne, z całą rzemieślniczą precyzją obdarzające Turcję aż 24 korpusami trzydywizyjnemi — naturalnie, o papierowej jedynie wartości.

Oprócz fikcyjnych bataljonów i korpusów w szeregach tureckich znaleźli się również i fikcyjni żołnierze, to jest tacy, których poprzednie życie w czasie pokoju nie przygotowało pod żadnym względem do roli żołnierza na wojnie, tacy, którzy, jak świadczy jeden z oficerów tureckich w swym raporcie, „przykładali kolbę karabinu podczas strzelania do czoła (sic!) albo brzucha". Wiara w papierową mobilizację i bojaźń improwizowania i w tym wypadku powstrzymała wodzów tureckich od wnoszenia jakichkolwiek zmian do schematu mobilizacyjnego. Wciskano takich fikcyjnych żołnierzy, jak i wrogich sobie Greków i Bułgarów, do szeregów, prowadzonych do linji tyraljerskiej, okopów strzeleckich i tak dalej. Liczba takich żołnierzy była względnie duża dlatego, że wyzyskano już poprzednio lepszy materjał ludzki w walce z powstaniem albańskiem i w wojnie trypolitańskiej, a zgodnie ze sprawiedliwością bezduszną prawa nie chciano powoływać po raz drugi w ciągu roku tych samych rezerwistów. Na tę więc najpoważniejszą potrzebę w ogromnej ilości wystarczać musiały wybiórki, wciągnięte na listę rezerwy jedynie wobec „konstytucyjnej" równości wszystkich wobec prawa.

W organizowaniu więc wojska zabrakło w pierwszych dniach ducha inicjatywy i improwizacji. Pewne rzeczy czyniono z musu, lecz wogóle widoczną była uległość przepisom i normom, wypracowanym podczas pokoju, normom, które swą niedostateczność i niedomaganie do warunków wykazały w całej pełni. Najwięcej być może improwizacyjnej pracy organizatorskiej włożono w te

kilka pierwszych dni wojny w musową organizację pomocniczych narzędzi wojny — intendenturę i wogóle administrację wojskową, w sprawy najtrudniejsze do zaimprowizowania i stanowiące zawsze piętę achillesową każdej improwizacji wojskowej. Brakło wszystkiego — odzienia i obuwia dla spędzanych rezerwistów, wozów i koni dla kolumn prowiantowych i amunicyjnych, chleba dla ludzi, owsa dla koni, a dla wszystkiego tego zdolnych i umiejętnych administratorów.

Z taką „niedoimprowizowaną" armją wodzowie tureccy stoczyli pierwszą bitwę na froncie Timurhauli - Erikler dnia 22 i 23 października, bitwę, która zakończyła się zupełną porażką Turków. Ogromna większość wojska uciekła najhaniebniej z pola bitwy, nie będąc często nawet ścigana przez nieprzyjaciela. Nieznaczne straty — dziesięciu, piętnastu ludzi — wystarczały, aby całe bataljony i pułki w panicznym strachu i popłochu, strzelając do siebie wzajemnie, szukały ratunku w ucieczce. Prawie połowa artylerji została na polu w błocie. Fortyfikacje Kirk-Kilisse zostały opuszczone bez wystrzału, gdyż na posterunku w nocy pozostał tylko komendant korpusu ze swym sztabem i 150 *perakende* z różnych pułków. W takim III korpusie nie mogło być nawet mowy o sformowaniu jakiejkolwiek arjergardy, bo generał, któremu to poruczono, jeden, jak palec, nawet bez adjutanta, musiał sprawować tę odpowiedzialną służbę, naturalnie, bez żadnego pożytku dla niej.

Nocny odwrót — raczej ucieczka — w nocy z 22 na 23 dla jednych i z 23 na 24 dla drugich — zmienił nieledwie całą armję turecką w proszek ludzki,

w którym nie było mowy o organizacyjnym związku pomiędzy żołnierzami. Na szczęście dla Turków nieprzyjaciel nie ścigał i zadowolił się zajęciem opuszczonych przez pobitą armję stanowisk. Dało to czas — bardzo krótki zresztą — dla zaimprowizowania nowej organizacji wojskowej. Tym razem konieczność improwizacji była tak widoczną, że największy niewolnik papierowych urządzeń i instytucyj musiał do niej przystąpić. Sięgnęła ona też głębiej w istotę rzeczy.

Przedewszystkiem materjał ludzki, z którego można było wykroić armję, był tym razem całkiem inny. Nie był to przeważnie, jak poprzednio, żołnierz, dostarczony przez administrację cywilną i wojskową z kraju na podstawie istniejących praw, — owszem, byli i tacy w szeregach nowych rezerwistów, złączonych w dywizje i bataljony, o ile ogólna panika i popłoch nie rozbiły w puch tych związków organizacyjnych, lecz była to mniejszość. Większość miała w sobie coś z charakteru ochotniczego. W istocie — przy sproszkowaniu armji podczas ucieczki ustała wszelka kontrola władz nad ludźmi, każdy zatrzymywał się tam, gdzie chciał, i każdy mógł uniknąć, jeśli tego sobie życzył, dalszej służby w wojsku, chociażby wciskając się do ogromnego tłumu niewalczących tureckich włościan, uciekających przed okropnościami wojny do stolicy państwa — Konstantynopola. Zostawali więc ci, co mieli w sobie więcej hartu, chęci do obrony ojczyzny, wreszcie ci, co nie zatracili w tym potopie resztek wychowania wojskowego — dyscypliny wewnętrznej. Improwizacja miała trudniejsze zadanie, coprawda, gdyż operowała

niełedwie jednostkami ludzkiemi, niezorganizowanemi uprzednio grupami, lecz materjał był zato stanowczo lepszym i odpowiedniejszym dla celów wojny. Znikł, naprzykład, z wojska zupełnie chrześcijański element, z natury rzeczy ciążący do nieprzyjaciela, znikli też słabsi duchowo i fizycznie.

Jak daleko sięgał ten, że się tak wyrażę, naturalny dobór, można sądzić z cyfr następujących. III korpus stanął do boju pod Erikler-Petra w składzie 4 dywizyj, liczących w sumie 38 tysięcy ludzi. Wieczorem zaś 27 października, na czwarty dzień po ukończeniu bitwy, Machmud-Muchtar-pasza raportował ministrowi wojny, że ma pod swemi rozkazami w Vizie 10 tysięcy ludzi, dwóch — z pomiędzy czterech — dywizjonerów i... żadnego urzędnika z intendentury. Straty w bitwie nie były duże — najwyżej tysiąc ludzi — reszta, to jest strata z ucieczki, strata gorszego materjału ludzkiego na podstawie naturalnego doboru. W innych korpusach działo się, naturalnie, tak samo, jak w III.

Poza tem zaczęto segregować materjał według jego zdatności dla tych czy innych celów. Jak wspomniałem wyżej, w szeregach tureckich znajdowało się całe mnóstwo ludzi, którzy w czasie pokoju nie otrzymali żadnego wyszkolenia wojskowego; byli to właśnie ci, co strzelali z kolbą, przyłożoną do czoła, co nie mieli najmniejszego wyobrażenia o celu noszonych przez się łopatek i innych podobnych rzeczach. Tym razem, wszędzie, gdzie to się udało uczynić, formowano przy bataljonach kompanje z niećwiczonych uprzednio

ludzi, kompanje, przeznaczone dla służby transportowej i wszelkich prac pomocniczych. Zmniejszało to stan liczebny wprowadzanych do boju karabinów — bataljony często liczyły już tylko dwie słabe kompanje — lecz zyskiwało się na tem, że karabiny nie były fikcyjne.

Jeżeli dodamy konieczne starania o zaimprowizowanie za pomocą oficerów *perakende* intendentury i etapów — pracy nieco ułatwionej wobec skrócenia linji komunikacyjnej o 2 — 3 marsze dzienne — znajdziemy pracę organizatorską wodzów tureckich niezmiernie trudną i ciekawą, tem trudniejszą, że czynioną prawie pod kulami nieprzyjaciela. Zaiste — elastyczność natury tureckiej jest przedziwną, gdy po sproszkowaniu armji w pięć dni potem można było wykonać rozkaz głównodowodzącego powszechnej ofenzywy na całym froncie. Naturalnie, że w tym terminie praca organizatorska zakończoną nie była.

Następnie bitwa pod Lülie-Burgas. — Turcy walczą trzy dni na całym froncie, pięć na wschodniem, prawem skrzydle. Walka to najkrwawsza w całej wojnie, niczem nie przypominająca pierwszej bitwy na północy od Adrjanopola i Kirk-Kilisse. Improwizacja wytrzymała próbę — Turcy bitwę, coprawda, przegrali, lecz zadali tak ciężkie straty Bułgarom, że o pościgu mowy być nie może i odwrót odbywa się w większym porządku i z bardzo małą stratą materjału wojennego — artylerji, amunicji i wozów.

Trzecia improwizacja — podczas odwrotu po bitwie pod Lülie-Burgas i na pozycjach obronnych Czataldży — zasadniczo nie różni się od poprzed-

niej w stosunku do materjału ludzkiego. Natomiast wprowadzoną zostaje zasadnicza zmiana w organizacji armji wogóle. Znikają nareszcie fikcyjne, papierowe korpusy i dywizje z niepotrzebną i szkodliwą egzystencją oficerów i generałów, „nie mających dla siebie żadnych zadań". Cała armja podzieloną została na trzy realne tym razem korpusy z istotnemi dywizjami, pułkami i bataljonami. Improwizacja zaś administracyjna jest znakomicie ułatwiona przez bliskość głównej bazy — Konstantynopola — z ogromnemi środkami przewozowemi i możliwościami administracyjnemi. Na tej linji armja turecka daje wreszcie skuteczny odpór wrogowi i z niej z chwilą odpowiednią wychodzi dla odwojowania choć części tego, co straciła uprzednio.

Jak widzimy, w ciągu jednomiesięcznej kampanji budowa armji tureckiej uległa gruntownej przeróbce. Nieledwie kamienia na kamieniu nie pozostało z poprzedniej papierowej organizacji, a inicjatywa improwizacyjna wodzów tureckich bodaj zbawiła państwo od zupełnego i ostatecznego rozbicia. Nie improwizacja więc w klęskach Turcji zawiniła. O istotnych przyczynach porażek — innym razem.

Z WOJNY BAŁKAŃSKIEJ.

III. Przyczyny porażek tureckich.

Los, choć zwany ślepym, lecz dostatecznie rozumny, by okpić i oszukać najrozumniejszych nieraz ludzi, los ten nieraz dawał nam przykłady zetknięcia się wojennego narodów i państw, przy którem wszelkie obrachowania ludzkie zostały zawiedzione. Francuzi i skoalizowana Europa w czasach Wielkiej Rewolucji, ciż sami Francuzi i Niemcy w 1870 roku z piorunującemi zwycięstwami ostatnich, Rosjanie i Japończycy, wreszcie teraz Turcy i Bułgarzy — oto są przykłady działania tego, ślepego jakoby, losu. I gdy post factum przerzuca się tragiczne dzieje zwyciężonych, gdy analizuje się, co się złożyło na wieńce zwycięskie, włożone na czoła triumfatorów, — to zawsze badacza uderza jakaś musowa, żelazna konieczność, jakiś poprostu fatalizm, który wbrew nawet błędom zwycięzców, wbrew nieraz „hektorowemu męstwu" poszczególnych zwyciężonych, stale i zawsze wieńczył triumfem sztandary wybrańców losu. Po pewnym zaś czasie przychodzą analitycy t e c h n i c z n i, którzy pomijając ów fatalizm, zastanawiają się poważnie, czy Bazaine mógł wobec błędów niemieckich ura-

tować Francję, czy Kuropatkin mógł zwyciężyć Kurokiego pod Liaoyangiem, czy... przykładów takich mnożyć można bez końca. I jedyną słuszną odpowiedzią na to byłby wiersz poety, cytowany przeze mnie w poprzednim artykule:

Próżno, ach próżno! Rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało!

Cóż to za „rana tajemnicza", której los przeciwstawia równie „tajemniczą cnotę"?! Jest nią nie co innego, jak niematerjalna siła, zwana w języku wojskowym *morale* wojska.

Najistotniejszą częścią „moralności" wojska jest namiętne dążenie do zwycięstwa, do zgniecenia i ostatecznego pokonania nieprzyjaciela oraz wiara w powodzenie swego oręża i płynące stąd zaufanie do siebie, jako żołnierza. Uczucia te — bo są to uczucia — gdy są szeroko w masie żołnierzy rozpowszechnione, wytwarzają podłoże tak dogodne dla rozkwitu wszystkich cnót żołnierza, jak męstwo, wytrwałość, humor przy znoszeniu ciężarów bitwy i wogóle wojny, że dają siłę fatalną, prowadzącą do zwycięstwa, osobliwie, gdy u wroga napotykają „rany tajemnicze", to jest uczucia wręcz odwrotne. W naszym „technicznym" i zarazem „pokojowym" wieku daje się zauważyć usilne staranie, by te elementarne uczucia zastąpić wartościami technicznemi, więc dobrą organizacją, dyscypliną wojska, ładem i porządkiem. Śmiem twierdzić, że techniczne zalety lub wady są tylko surogatem powyższych elementarnych podstaw *morale* żołnierza i wojska,

surogatem, najczęściej niewystarczającym w pracy wojennej.

Tak więc w zastosowaniu do Turków surogatywna krytyka z wielką przyjemnością podnosi fakty niezwykłej dezorganizacji wojsk sułtańskich, nadzwyczajny brak dyscypliny w marszach, bojach i wszelkich wogóle czynnościach wojennych. Widzi w nich główną przyczynę porażek tureckich, chrzcąc to nazwą braku „moralności" w wojsku od góry do dołu. W istocie przyznać trzeba, że pod tym względem działy się w armji tureckiej rzeczy przerażające. Oto zresztą przykłady, wybrane na chybił trafił z materjału, którym rozporządzam.

1) Wszyscy ci ludzie — mowa o rezerwistach — powołani pod broń, zostali szybko ubrani i w kilka dni bez żadnego sprawdzenia, czy umieją władać bronią, poprowadzeni na dworzec dla wciśnięcia do szeregów. Niektórych wysyłano nawet nieubranych z wyrachowaniem, że na dalszych stacjach są składy mundurów. Potem 10000 takich nieubranych zostało odesłanych zpowrotem dla umundurowania.

2) Przed każdym pułkiem stały wozy z ubraniem i bronią dla umundurowania i wyekwipowania przybywających do wojska. Przybyli zaledwie do swojej kompanji, ci biedni ludzie rozbierali się na słotnem i chłodnem powietrzu, wybierając dla siebie odzienie z wozów. Dawano im w ręce karabin, co do którego podoficerowie robili wskazówki, jak go mają nabijać. Wielu z tych dziwnych żołnierzy, nie znajdując odpo-

wiedniego dla siebie ubrania, ruszyło tegoż wieczora tak, jak przyszło, a niejeden z nich nazajutrz już był zabity, nie mając nawet tej satysfakcji przed śmiercią, że nosił mundur wojskowy.

3) Największą troską dowódcy był brak prowiantu. Żołnierze głodni, zaopatrzeni jedynie w kawałek suchara, masami całemi schodzili co wieczór z pozycyj, by szukać w tyle jakiegokolwiek pożywienia. Niepodobna było w tym stanie cokolwiek zrobić, by ludzi utrzymać na pozycji.

4) Żołnierze po 36 godzin nie miewali nic w ustach, prócz garstki suchego, niezgotowanego ryżu. Nie mieli też wody, gdyż niewielkie manierki w samym początku zostały wypróżnione. Zabici i ranni wpośród nich nie byli sprzątnięci przez cały ten czas. To też żołnierze chwiali się na nogach i nie mieli sił sami sobie zgotować ciepłej strawy, trzeba było odkomenderować innych, by dla nich to uczynili.

5) Zaopatrzenie rannych znajdowało się w armji w jak najgorszym stanie, właściwie nie było go wcale. Wpływało to niezwykle ujemnie na stan ducha żołnierzy. Setki tych nieszczęśliwych, nie znajdując nigdzie przytułku, kładło się w zupełnem wyczerpaniu wprost do błota na drodze lub u progu domostw w miasteczkach, jękiem swym zapełniając powietrze.

6) O rannych dbano mało. „Wiem, że o mnie nikt nie myśli — mówił jeden z rannych żołnierzy — nie służę już do niczego, my, ranni, jesteśmy tylko kłopotem, woleliby, byśmy umarli".

Jeden doktór chwalił się, że zrobił fałszywy alarm, żeby lekko ranni — było ich tysiąc kilkuset — pouciekali. „Nie znam lepszego sekretu — powiedział — dla uwolnienia przeciążonego ambulansu!“

7) Widok masy cofających się żołnierzy był tak tragiczny, że trzeba pióra jakiegoś Zoli, by dać pojęcie o nim. Żadnej nie było w tem organizacji. Ranni pomieszani ze zdrowymi: każdy zatrzymywał się, jak chciał i gdzie chciał, omijał stojące na drodze wozy czy armaty bez zaprzęgów i obsługi. Nie była to armja zorganizowana, ale jakaś głodna, rozpaczliwa masa rozbitków, bez żadnego porządku i ładu.

8) „Szliśmy wciąż, na lewo, na prawo, naprzód, niekiedy wtył, często nie rozumieliśmy już ani dokąd, ani poco idziemy. Ktoś z boku zapalił ogień, niektórzy zatrzymują się przy nim, inni znowu ich odpychają, by zostać odepchniętymi przez następnych. Jakaś ogromna mieszanina ludzi na drodze i na sąsiednich polach“. Niema mowy o pułkach czy bataljonach, o uregulowanych postojach czy odpoczynkach, nawet o jakiejkolwiek ochronie. Wszystko to się żywi niewiadomo czem. Korpus topnieje w drodze tak, że wkońcu liczy zaledwie trzy tysiące kilkuset ludzi.

9) Przy pierwszych poruszeniach wojska na pozycji następował bezład i nieporządek nie do opisania. Po najmniejszym boju trzeba było go przerywać dla uporządkowania jednostek: bataljonów i kompanij.

10) Pułk, otrzymawszy za późno rozkaz, wyruszył bez jedzenia. Ludzie, głodni, bardzo szybko zaczęli opadać z sił i okazywać zdenerwowanie. Zaledwie po przejściu kilkuset metrów w ciemności wszystkie jednostki — kompanje — tak się pomieszały, że trzeba było się zatrzymać, by zaprowadzić porządek. Bezład powtórzył się znowu w jeszcze większym stopniu przy przejściu rzeczki i wioski za nią. Padły strzały, pułkownik i jego zastępca zostali ranni, bezład powiększył się jeszcze bardziej...

Chyba dosyć tych wypisów, świadczących o dezorganizacji i jakimś dziwnym bezrządzie. Nieprawdaż? Tu przyznam się odrazu, żem temi wypisami rozmyślnie w błąd czytelnika wprowadził. Odnoszą się bowiem nie wszystkie do armji tureckiej w ostatniej kampanji. Umieściłem je jednak obok siebie ze względu na bliźniacze podobieństwo opisów i jestem przekonany, że żaden najbystrzejszy krytyk nie odgadnie, który z nich ma związek ze zwyciężonymi, który zaś ze zwycięzcami. Tak, ze z w y c i ę z c a m i. I to z niebyle jakimi!

Wszystkie nieparzyste przykłady są wzięte z armji tureckiej podczas ostatniej wojny. Lecz przyjrzyjmy się przykładom, opatrzonym cyfrą parzystą. Więc zaczynam.

Nr. 2 — to obraz organizowania armji przez Napoleona przed zwycięską bitwą pod Ligny w 1814 roku.

Nr. 4 — to bohaterska brygada generała Okasaki, gdy po trzydziestoszeScio-godzinnym boju

o Mandżu-jamę, boju, prowadzonym z dwoma korpusami rosyjskiemi, po wytrzymaniu 6 ataków na bagnety i odparciu zwycięskiem przemocy wroga, schodzi z pozycji, zluzowana przez inną brygadę.

Nr. 6 — to obrazki ze zwycięskiej armji Napoleona po bitwie pod Friedlandem.

W nr. 8 przedstawiony jest marsz groźnego marszałka Davout, gdy wezwany przez Napoleona śpieszy z Wiednia na sławne pobojowisko pod Austerlitz, by tam stanąć na najniebezpieczniejszem stanowisku — osłaniania linji komunikacyjnej armji francuskiej, na którą waliła się ogromna przemoc austrjacko-rosyjska.

Wreszcie nr. 10 — to nie *perakende* nieszczęsny jakiś pułk turecki! To dzielny 10-ty pułk japoński przed świetnem zwycięstwem w nocnym ataku na Sankej-seki-sau w bitwie nad Sza-ho.

Naturalnie, podając te zestawione przykłady życia wojennego, nie mam wcale zamiaru twierdzić, że zwycięstwo musi być połączone z takiemi dowodami bezładu, braku przygotowań i tak dalej, jak to się widzi przy porażkach i klęskach. Ani marsz marszałka Davout, ani bezład w 10-ym pułku japońskim przy ataku, ani cyniczne słowa napoleońskiego doktora przy ambulansach nie są moim ideałem i, sądzę, nie sprzyjają wcale zwycięstwu. Zestawiłem te wypisy z moich studjów nad historją wojenną jedynie poto, by uwypuklić i podkreślić istotne podstawy *morale* wojskowej, słuszniej — w o j e n n e j, i wykazać, że ład i porządek, ścisła organizacja, dobrze zawczasu przygotowana w szczegółach, dobre za-

prowiantowanie wojska i tak dalej — temi podstawowemi czynnikami fatalnej *morale* nie są.

Różnica zaś zasadnicza pomiędzy przykładami o numerach parzystych i nieparzystych polega właśnie na tej „moralności". Gdy w nieparzystych wywołuje ona według dowcipnego wyrażenia jednego z francuskich pisarzy wojskowych rozkład organizacji w tył *(une déroute en arrière)*, w parzystych daje takiż rozkład naprzód *(une déroute en avant)*.

To samo mógłbym udowodnić i co do dyscypliny wojskowej i, co prawdopodobnie najbardziejby zaciekawiło czytelników, na armji pruskiej podczas wojny francuskiej, dając zarazem przykłady odwrotne z najbardziej dyscyplinowanej armji w swoim czasie — rosyjskiej podczas wojny japońskiej. Zaprowadziłoby mnie to jednak za daleko w artykule, już i tak mającym za wiele dygresyj. Chcę sądzić, że czytelnik uwierzy mi i tak, iż fatalną siłą, sprowadzającą w czasie wojny klęski na jednych a zwycięstwo na drugich, jest *morale* wojska. Moralność zaś ta jest n a m i ę t n o ś c i ą i w i a r ą, chociażby jedna nic wspólnego z etyką, druga z rozumem i rozsądkiem nie miała.

Gdy kto chce zrozumieć wojnę, radziłbym zawsze studjować te epizody, gdy zwycięzcy w wojnie są zwyciężonymi w danej bitwie czy utarczce, i odwrotnie — zwyciężeni w wojnie są triumfatorami chwilowymi. Najjaskrawiej bodaj wówczas się uwypukla jakościowa różnica pomiędzy walczącemi stronami; najsilniej w oczy się rzuca ogromne tarcie maszyny wojennej

u jednych, nawet przy powodzeniu, odwrotnie — łatwość wyjścia z porażek u drugich [1]).

Dla uwidocznienia więc stanu moralnego wojska tureckiego wybieram momenty, gdy było ono zwycięskiem, zatem mogło i musiało mieć najwięcej zaufania do siebie, widząc, że wróg przed niem cofa się pobity.

Pierwszy przykład biorę z wielkiej *bataille de rencontre* — pierwszej bitwy podczas tej kampanji, która się rozegrała 22 października. Na ogromnym froncie niezależnie od siebie, a z powodu złych z obu stron wywiadów i zupełnie prawie niespodziewanie, zetknęły się awangardy obu armij. Wbrew trudnościom, jakie tego rodzaju bój wojsku nastręcza, przewaga na całej linji pozostała wieczorem po stronie gorzej zorganizowanego przeciwnika — po stronie Turków. Dla zilustrowania *morale* wojska nie będę zatrzymywał się na całej linji, wybieram część jej, gdzie „rankontra" — mówiąc po polsku — najbardziej mi przypomniała nasze drobne rankontry na Zamarstynowskich polach, gdy strzelcy,

---

[1]) Pomimo własnej skargi na dygresję ze zrozumiałego uczucia *Schadenfreude* pozwolę sobie przytoczyć przykład wzięcia przez Rosjan wioski Hi-kan-tai. Proszę się wmyśleć w stan rzeczy, że cały korpus armji ze swą artylerją — i to najlepszy korpus — przez cały dzień zdobywa wioseczkę, bronioną przez 3 szwadrony jazdy i pół bataljonu rezerwowej piechoty, które to wojsko wreszcie ustępuje, gdyż, jak raportował major japoński o tem nieszczęściu, „jazda japońska, nie mając bagnetów, nie mogła przyjąć ostatecznej walki". Proszę się wmyśleć w to zwycięstwo rosyjskie, a niechybnie powtórzyć trzeba przy tym triumfie:

„Próżno, ach próżno! Rany tajemnicze!..."

spotkawszy się znienacka o kilkadziesiąt kroków, z niesłychaną brawurą rzucają się z obu stron do ataku lub czynią „taktyczne" oskrzydlenie na 30—50-krokowej przestrzeni.

W okolicy Geczenkli awangarda bułgarska — I bataljon 1-go pułku i 6-ty pułk z wielkiemi stratami przy rankontrze zdobyły dwie baterje tureckie. Turcy ze słabą rezerwową dywizją z Ismidu szli do kontrataku. Boczna osłona Bułgarów — 3 bataljony 1-go pułku — w tym czasie trafiła na zbliżającą się awangardę 3-ej dywizji tureckiej, mniej więcej równie licznej, jak i Bułgarzy. Teren, pokryty wysokiemi krzakami, przy niedostatecznych wywiadach, stworzył dla stron obu zupełnie niespodziewane spotkanie. Obie baterje awangardy, odrazu ostrzelane ogniem karabinowym, poniosły duże straty. Bułgarzy, szybko rozwinąwszy swe bataljony, z głośnym okrzykiem w szerokiej linji rzucili się na bagnety... i w jednej chwili do tysiąca ludzi padło pod morderczym na tak bliską metę ogniem Turków. Bułgarzy w nieładzie cofnęli się o kilka kilometrów To samo zaszło i koło Geczenkli. Dywizja Ismid z brawurą poprowadziła atak na osłabionego stratami nieprzyjaciela i, odebrawszy zabrane baterje, odrzuciła go też o kilka kilometrów.

Każdy więc z tureckich żołnierzy widział na tym odcinku pobitego, cofającego się w nieładzie wroga, każdy musiał dostrzec ogromne straty, które pułki bułgarskie w poprzednich atakach poniosły. Setki zabitych nieprzyjaciół zalegały pole, a posuwanie się naprzód całej linji tureckiej było zupełnie widoczne. Więc zwycięstwo

w pierwszem spotkaniu z nieprzyjacielem! Więc ufność do siebie, jako żołnierza lepszego, bitniejszego od wroga! Nie! nic a nic z tego! „Rany tajemnicze“ robią swoje!

Tejże nocy, po odniesionem pod wieczór zwycięstwie, dywizja Ismid w dzikim nieładzie i popłochu rzuca się do ucieczki, nie będąc przez nikogo napastowaną. Żołnierze w ciemności strzelają wzajemnie do siebie. Ach! „technicy“ mi powiedzą — to rezerwowa dywizja! Nie, sąsiednia 2-ga, czynna dywizja postępuje akurat tak samo. Po dzielnem odparciu nieprzyjaciela w rankontrze pod Süliolu cofa się, a raczej ucieka, w takim samym panicznym nieładzie, jak i ich bracia rezerwiści! Za tym pięknym przykładem idąc, cała armja czyni *déroute en arrière*, zmieniając pyszne „korpusy“ i „dywizje“ w bandy *perakende*, błądzące w nocy, opuszczające swych generałów, armaty i sztandary, używające swych karabinów, by strzelać do swoich, bo nieprzyjaciel, otrzymawszy porządne cięgi wieczorem, cofnął się o parę kilometrów i w wielkiej ostrożności okopywał się w tym czasie dla obrony od spodziewanego... ataku Turków!

Czyż można znaleźć jaskrawszy przykład przegranej z powodu niskiego stanu „moralności“ wojennej. Bój, zwycięstwo i klęska odbyły się nie na materjalnym terenie, nie za pomocą materjalnych kul i bagnetów, czy najnowszych wynalazków technicznych — wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia. Jedynie w niematerjalnym duchu ludzkim miała miejsce walka, tam starły się pomiędzy sobą słabe „tajemnicze cno-

ty" żołnierza tureckiego z potężnemi „tajemniczemi ranami" jego „moralności", by dać w rezultacie w jednej chwili bajeczną klęskę pierwszych. Dalsze, materjalne już, skutki są tylko zwykłem następstwem żywej emocji duchowej, przeżytej przy tym niematerjalnym boju.

Weźmy inny przykład, znowu z chwili, gdy Turcy byli zwycięzcami Bułgarów. Jak wywodziłem w poprzednim artykule, po pierwszej przegranej tureccy wodzowie poprowadzili do nowego boju armję o lepszym składzie. Lepszym pod względem moralnym, bo przy ogólnej *déroute en arrière* przy sztandarach pozostali ludzie silniejsi duchem. Zwycięstwo, zwycięstwo chwilowe i nieznaczne, uśmiechało się Turkom tym razem w III korpusie, dowodzonym przez Machmud-Muchtara-paszę. Z jego więc szczerego w tonie dziełka wyjmuję opisy jego „zwycięstw".

Już pierwszego dnia — 29 października — dywizjoner Dżemal-bej raportował pomiędzy innemi: „Piechota pod wpływem ognia artylerji nieprzyjacielskiej sama bez rozkazu zaczęła się cofać. Zdążyłem zaskoczyć drogę uciekającym na przedzie i, grożąc rewolwerem, zdołałem znowu ruszyć ludzi naprzód".

Tegoż dnia jeden z pułków podczas boju zaczął się cofać w nieładzie, lecz postawiona przezornie w tyle kawalerja takiemiż groźbami zmusiła pułk do zatrzymania się.

Wspólnemi siłami, pomimo tych przykrych incydentów, Bułgarzy zostali nietylko odparci, lecz, zagrożeni obejściem lewego skrzydła, cofnęli się

trochę. Machmud-Muchtar-pasza objechał pułki, winszując im zwycięstwa.

Nazajutrz, 30 października, bój trwa dalej. Turcy atakują. W czasie ataku dywizja Dżemal-beja cztery razy cofa się z boju w „wielkim nieporządku“ i dwaj dywizjonerzy za każdym razem gwałtownemi środkami *(mit Gewaltmassregeln)* prowadzą słabnących żołnierzy naprzód. Jeden z nich raportuje, że z powodu tej pracy „nie ma już siły, by się trzymać na siodle“. I tym jednak razem Bułgarzy są zmuszeni do cofnięcia się na nową obronną pozycję.

Nazajutrz, 31 października, trwał słaby bój, z którego daje się wyciągnąć tylko podsumowanie wrażeń przez jednego z generałów:

„Jeżeli z Bożą pomocą III korpus w ciężkich trzydniowych bojach miał powodzenie, to jednak dywizjonerzy i cała komenda korpusu musiała stać w najniebezpieczniejszych miejscach, by przeszkodzić ucieczce żołnierzy. Ale tak trwać nie może! Jest niemożliwem nieprzerwanie grozić ludziom szablą i rewolwerem albo zmuszać dowódców korpusu i wyższych komendantów do znajdowania się stale w pierwszych szeregach dla podniecenia żołnierza“.

Następnego dnia — 1 listopada — dwaj komendanci korpusu mieli następującą pracę. Kilka bataljonów w kolumnie wchodziło na pagórek, gdy niedaleko pękło kilka granatów. Bataljony przestraszone natychmiast rzuciły się do ucieczki.

„Skoczyliśmy zaraz z całym sztabem na koń i wszyscy z obnażonemi pałaszami wpadliśmy na uciekających, krzykiem i groźbami

zmuszając ich do zatrzymania się" — opowiada Machmud-Muchtar-pasza.

Tejże nocy wyczerpała się już cała siła moralna tureckiego żołnierza, a siła fizyczna generałów i pułkowników miała się ku końcowi od ciągłego machania pałaszem i grożenia rewolwerem własnym podkomendnym.

Nastąpiło to, co nastąpić musiało, czego nadludzkim jedynie wysiłkiem uniknięto przez 5 poprzednich dni, — nastąpiła generalna, bezładna ucieczka pułków, dywizyj i korpusów, znowu bez pościgu wroga, który po pięciu dniach drobnych przegranych miał też zupełnie dosyć walki i boju.

Czyż te wszystkie przykłady nie mówią dostatecznie silnie, że żołnierz turecki namiętnie nie szukał zwycięstwa? Czyż nie dowodzą one, że nawet podczas widocznych powodzeń swego oręża nie wierzył w jego triumf? Ot, tak odnieść zwycięstwo, jak tego nieraz pragną nasi polscy politycy, debatujący o możliwych i niemożliwych wojnach, z przelaniem paru — broń Boże, nie więcej — kropelek krwi — o! na toby poszedł turecki żołnierz! Ot, tak, gdyby mu ktoś zagwarantował czy dowiódł, że zwycięży, ba, możeby się i bił przyzwoicie. Lecz sam z siebie ani chciał się bić, ani w skutek swych usiłowań nie wierzył. I to jest podstawową przyczyną klęsk tureckich.

Głębszy, socjologiczno-historyczny podkład tego zjawiska wymagałby innego rodzaju dociekań, niż te, które znaleźć mogą swe miejsce na szpaltach *Strzelca*. Wypowiem jedynie moje pod

tym względem wrażenie. Wydaje mi się, że u Turków dzisiejszych pod wpływem wiekowych porażek na każdem polu ich teokratycznego państwa zanikła doktryna moralna, uczuciowa, która ich ongi pchała do namiętnych bojów o przewagę ekonomiczną i polityczną nad niewiernymi *giaurami*. Zetknięcie się zaś z Europą, wzamian doktryny moralnej, dawało im jedynie doktrynę rozumową, importowaną, nieprzeżytą, a zatem nie dającą nic dla uczucia. O szkodach, jakie właśnie to europejskie doktrynerstwo na polu wojennem Turkom wyrządziło, — innym razem.

Z WOJNY BAŁKAŃSKIEJ.

IV. Przyczyny porażek tureckich.

W poprzednim artykule starałem się przedstawić podstawową przyczynę klęsk wojska muzułmańskiego. Jest nią dla mnie niski stopień *morale* wojennej, to jest brak namiętnego dążenia do zwycięstwa i słusznej czy niesłusznej wiary w powodzenie swego oręża. Wobec akurat odwrotnych cech żołnierza bułgarskiego porażki były niezmienione. Stawiało to odrazu armję sułtana w ciężkie położenie, które mogłoby do pewnego stopnia być złagodzone przez surogaty zasadniczej „moralności" wojennej — przez ład, porządek, wewnętrzną dyscyplinę wojskową, przez dobre wyposażenie techniczne, wreszcie przez liczbę wystawionego wojska. Historja wojenna zna mnóstwo przykładów, gdy te surogaty wystarczały dla odniesienia ostatecznego zwycięstwa. Dosyć przypomnieć z najświeższych dziejów wojnę anglo-burską, by mieć sprawdzian takiej supozycji.

Nieszczęście jednak tureckie chciało, że wojna zastała armję podczas jej reorganizacji, gdy nowe, importowane zasady nie zdążyły wnieść do wojska to, co było w nich dobrego, a już potra-

fiły zniszczyć istotną wartość tego, co było przed reformami. Więcej nawet, reformatorski zapał był tak wielki — we wszystkich zresztą dziedzinach życia — że wytworzył w umysłach doktrynerstwo, idące zwykle w parze z fikcyjnemi, nierealnemi wyobrażeniami o rzeczach i stosunkach. Prawdopodobnie doktrynerstwo zostało wzmocnione jeszcze i przez to, że nauczycielami u Turków byli Niemcy, którzy w każdej dziedzinie mają na eksport doktryny i doktrynki wszelkiego gatunku. Sądzę, że doświadczenie tureckie jest pod tym względem dosyć pouczającem dla nas, początkujących militarystów, którym ciągle grozi niewolnicze naśladownictwo wzorów gotowych, a najzupełniej niedopasowanych do warunków naszej wojny. Przedewszystkiem tyczy się to systemu organizacyjnego.

W Turcji zaaplikowano żywcem system niemiecki, powiedzmy europejski, tak, jak u nas są stałe tendencje do małpowania armji regularnej, chociaż sama zasada tworzenia wojska — ochotniczego — nic nie ma wspólnego z przymusem prawnym, istniejącym dla armji regularnej. I w jednym, i w drugim wypadku w rezultacie muszą wypadać fikcje zamiast rzeczywistości i biada tym, którzy, jak Turcy, zaufają swym papierowym armjom, mobilizacjom, korpusom czy nawet kompanjom.

Więc przedewszystkiem zgodnie z zasadami europejskiemi wprowadzono do Turcji powszechną służbę wojskową i całe państwo pokrajano na terytorjalne odcinki, odpowiadające ilości tworzonych korpusów. Wypadło tego aż 24, chociaż,

jak dowcipnie wyraził się jeden z pisarzy, w całem wojsku tureckiem nie było, być może, i 4 generałów, zdatnych do dowodzenia korpusami. Nie wzięto przytem pod uwagę braku odpowiedniej sieci dróg i komunikacyj, nie rachowano wcale, iż część europejska państwa posiada mnóstwo ludności chrześcijańskiej, niepewnej pod względem usposobienia, a dotychczas niepociąganej do służby w wojsku. System ten potrzebował długich lat pracy i życia spokojnego, by zacząć dawać rezultaty (vide Japonja), by wykształcić i przygotować, jak to jest w Europie, tysiące i tysiące rezerwistów, zapełniających kadry przy mobilizacji. Odpowiednio do takiej organizacji całą ilość żołnierzy na służbie czynnej podzielono na kadrowe batalјony, pułki i dywizje, które z natury rzeczy, osobliwie wobec kłopotów finansowych, nie były liczne. Słabe kadry, liczna rezerwa nie są warunkami dobremi do prowadzenia wojny i nie dają stałości jednostkom organizacyjnym. Cóż dopiero, gdy wojna nadeszła w chwili, gdy ta rezerwa była bardzo mała, a często wcale nieszkolona i kształcona. Tymczasem zaś zdezorganizowano, coprawda, wcale nieeuropejskie wojsko o charakterze dawnych armij z długoletnią służbą wojskową, prawie zawsze koncentrowaną w punktach najbardziej zagrożonych.

Jeżeli dodamy do tego ogromną powolność mobilizacji, wynikającą z braku komunikacyj w kraju i przysłowiowo niesprawnej administracji cywilnej w Turcji, to z konieczności otrzymamy najzupełniej papierową organizację wo-

jenna. Przy poruszeniu tej maszyny, zamiast oczekiwanych korpusów, dywizyj i batalionów wypadały całkiem fikcyjne jednostki — korpusy o sile dywizji, dywizje o sile pułku, bataliony o znaczeniu kompanji. Wszystko zaś o niezmiernie słabych kadrach, rozwodnionych często bezwartościową zbieraniną, przykładającą przy strzelaniu kolbę karabinu do czoła lub nie rozumiejącą, poco ludziom do boku przyczepiono łopatkę, gdy nie są ogrodnikami, a szczerymi żołnierzami.

Jeszcze gdyby w tem liczbowem dyskwalifikowaniu jednostek wojskowych była jakaś prawidłowość, byłoby pół biedy. Niechby sobie kompanja przybierała szumne miano, chociażby „armji", jeśli to jej dodaje otuchy; lecz korpusy, dywizje i pułki tureckie były o tak rozmaitym stanie liczbowym, że z konieczności zatracać się musiała wszelka pod tym względem orjentacja. Bezwiednie też, albo z naiwną wiarą, wkładano na te jednostki wojskowe obowiązki, odpowiadające ich nazwie, lecz zupełnie niezgodne z ich stanem istotnym. W całej korespondencji wojskowej nie znalazłem ani śladu, by się starano oddzielić fikcję od rzeczywistości. Dywizję poprostu nazywano dywizją, chociaż liczyła mniej żołnierzy, niż pułk. W jednym tylko wypadku komendant II korpusu, widocznie ostrożniejszy od innych, komunikując koledze z III korpusu o ruchach jednej ze swych dywizyj, stawia w nawiasie i liczbę żołnierzy — 2 tysiące.

Fikcyjność wyobrażeń była tak silną, że zarażała nawet zdolniejszych z pomiędzy wodzów

tureckich. Do nich bezsprzecznie należał komendant III korpusu, Machmud-Muchtar-pasza. Pułk kawalerji, przyłączony do jego korpusu po odkomenderowaniu jeźdźców do sztabu, liczył raptem aż 80 ludzi. Na „pułk" ten włożono obowiązek ochrony prawego skrzydła i wywiadu na tył nieprzyjaciela. W ciągu zaś bitwy, gdy się sformowała luka parukilometrowa pomiędzy dywizjami w środku pozycyj tureckich, temuż „pułkowi" posłano dodatkowy rozkaz utrzymania łączności pomiędzy dywizjami. Tenże Machmud-Muchtar-pasza po odniesionem, nie powiem zwycięstwie, lecz korzyściach nad Bułgarami, w bitwie pod Lüle-Burgas został mianowany komendantem „wschodniej armji" z trzech korpusów — III, XVII i XVIII — liczących razem w tej chwili najwyżej 20 kilka tysięcy ludzi. Pasza natychmiast myśli o sformowaniu sobie nowego sztabu „armji", nie chcąc pozbawiać takiegoż sztabu swego poprzedniego III „korpusu".

Znowu przez „podobieństwo" życia zjawiska te przypomniały mi i „umarłych ojców" i „żywych braci". Ta sama chęć przykrycia słabości szumnemi nazwami, zabawy w „korpusy" i „armje", połączona z fikcyjnem życiem bez umiejętności patrzenia jasno i twardo w oczy ciężkiej rzeczywistości, nagiej, nieubranej w barwne szaty prawdzie.

Taka sama doktrynerska organizacja, raczej dezorganizacja, została zastosowana i do korpusu oficerskiego. Niepodobna było znaleźć dostatecznej ilości po europejsku wykształconych oficerów nawet dla zapełnienia sztabów owych 24 kor-

pusów z odpowiednią ilością dywizyj, cóż dopiero mówić o samem wojsku. Lecz oprócz tego zaczęto usuwać z wojska mnóstwo słabo wykształconych oficerów — często prawie niepiśmiennych — którzy jednak z armją się zżyli i stanowili w niej swoisty żywioł, stanowiący o wspólnocie pojęć i życia oficerów i żołnierzy. Niechybnie do dezorganizacji i braku dyscypliny wewnętrznej w wojsku przyczyniły się ogromnie ustawiczne rewolucje i kontrrewolucje tureckie, które raz po raz wyrzucały na bruk lub zagranicę kraju wojskowych stronników tego czy innego rządu. Przedewszystkiem jednak, zdaniem mojem, zaszkodziło armji w tej wojnie usunięcie z niej tego, co stanowiło o spoistości wojska, o jego jednolitości, o związku i współżyciu pomiędzy oficerem a żołnierzem.

A pod tym względem najbardziej obcymi ludowi, z którego składała się armja, byli bezwątpienia zeuropeizowani doktrynerzy liberalizmu — młodoturcy. Gdyby ich doktryna, zamiast być myślową jedynie, dała znacznej części ludu doktrynę moralną — uczucie, namiętność, jak to było, naprzykład, w Wielkiej Francuskiej Rewolucji, byłoby co innego. Lecz w tym wypadku europeizacja armji mogłaby była dać rezultaty tylko po dłuższym czasie, przy przyzwyczajeniu żołnierza — syna ciemnego ludu — do współpracy z oficerem — inteligentem europejskim — jak to jest w przeważnej części armij europejskich. Wobec tego zaś, że wojna wybuchła w samym początku reformowania starej Turcji, żołnierz pozostać musiał bez wszelkiej orjentacji uczuciowej w stosunkach z oficerami. Nie

rozumiejąc i nie odczuwając ustawicznych zmian, dokonywanych dokoła, stracił naturalną podstawę myślenia, która dotąd mu wystarczała w postaci nadanego fatalizmu synów proroka Wschodu. Nie wiem, czy armja turecka byłaby zwyciężyła w poprzednim swoim składzie, jestem jednak pewien, że okazałaby daleko więcej spoistości i wytrzymałości w nieszczęściu, gdyby jej nie tknęła ręka Europy, niosąc jej w darze doktrynerskie fikcje, w które wierzono z podziwu godną naiwnością.

Takie same niewżycie się reform i niedostosowanie do specyficznych warunków życia tureckiego okazały się i przy zorganizowaniu wszelkich pomocniczych funkcyj wojennych. Więc artylerja— zrobiono, co najłatwiejsze: uposażono owe 24 korpusów w odpowiednią ilość dział. Nie urządzono tego, co trudniejsze — parków amunicyjnych i dobrej dostawy ładunków. Skutek jasny: ogromna masa bateryj prowadzić mogła bój tylko przez czas pewien, potem zaś stawała się raczej zawadą, niż pomocą i, naturalnie, przy odwrocie wyzbywano się jej, rzucając na pastwę nieprzyjaciela. Więc najtrudniejsza do sformowania organizacja administracyjna — intendentura, etapy, cały tył operującej armji. Polegano na kolei, którą rządzić umiejętnie nie umiano, zaniedbano zaś bardziej prymitywne środki, zgodne z pojęciami i życiem Azjatyków. Więc, naprzykład, Bułgarzy zmobilizowali dla potrzeb armji wszystkie pociągowe woły, wprzęgając je zarówno do ciężkich, oblężniczych dział, jak do wozów z nabojami czy prowiantem. Turcy zaś, oparłszy dostawy na „europejskiej" kolei żelaznej, doczekali się tego, że gdy dzia-

ła i karabiny wielkim głosem wołały o naboje, dziesiątki wagonów z ładunkami stały zatracone gdzieś o kilkanaście kilometrów na szynach; gdy żołnierze ginęli od głodu, „europejskie“ konserwy również ginęły gdzieś w bezładzie kolejowym, wpadając potem w ręce Bułgarów lub ulegając zniszczeniu przy odwrocie.

W dziedzinie taktycznej spostrzeżemy u Turków takie same naiwne doktrynerstwo, połączone z fikcyjnością pojęć o pracy wojennej. Któż z najbardziej nawet początkujących militarystów nie zna doktryny o przewadze napadu nad obroną, ofenzywy nad defenzywą. I oto głównodowodzący Nazim - pasza pędzi niedoorganizowane hordy tureckie, nie posiadające żadnej pewnej bazy za sobą, do napadu. Turcy wychodzą z fortyfikowanych pozycyj, aby mozolnie i bezładnie zrobić jednodniowy marsz naprzód jedynie poto, żeby się nie dać uprzedzić w ofenzywie Bułgarom, żeby, broń Boże, nie zostać na fortyfikowanej linji Kirk-Kilisse - Adrjanopol w defenzywie. Dwa dni pracy organizatorskiej, najpotrzebniejszej w tej chwili dla armji tureckiej, stracone; wojsko zdezorganizowane już samym marszem bojowym, dostawa wszelkich potrzebnych przedmiotów utrudniona, pogorszone samopoczucie żołnierzy, którzy może dzielniejby się bili w okopach, — oto wszystko skutek doktrynerstwa. A gdy się czyta o raportach poszczególnych generałów i pułkowników o ustawicznem rozstrzyganiu zadań w duchu ofenzywy przy stałem cofaniu się i ucieczce przed nieprzyjacielem, doprawdy i żal mi było, i śmiech mię brał z tych nieszczęsnych dowódców *perakende* armij, wierzących naiwnie

w puste słowa, któremi uporczywie zasłaniano sobie oczy od smutnej rzeczywistości.

I gdyby mi kazano w krótkich słowach sformułować nauki, dla nas płynące z klęsk tureckich, odpowiedziałbym: precz z wszelką fikcją organizacyjną, — precz z wszelką doktryną wojenną! Bić się i zwyciężać można w najtrudniejszych warunkach, wyjść udaje się nieraz z najcięższego położenia, lecz dla tego trzeba namiętnie tego pożądać i jasno patrzeć, choćby w najczarniejszą prawdę, nie upiększając jej żadną fikcją i fantazją.

ORZECZENIE.

Byłem zaproszony przez redakcję *Strzelca* do rozstrzygnięcia konkursu na rozwiązanie zadania aplikacyjnego, pomieszczonego w numerze pierwszym pisma. Podając niżej sąd mój i ocenę, uważam za swój obowiązek przedstawić czytelnikom sposób mego postępowania, jako sędziego, i motywy orzeczenia. Uważam to za potrzebne, gdyż ogromna część autorów przez sam sposób rozwiązywania zadania usuwała swoje prace z pod poważnej oceny. Mianowicie, wielu z nich odniosło się do rzeczy, jak do rozwiązania szarady czy zagadki, wysilając się na odgadnięcie jedynej jakoby możliwej decyzji podpułkownika B., która w supozycji istnieć musi w głowie czy to autora zadania, czy sędziego konkursu.

Rzadko zdarza się na wojnie, aby istniała wyraźna konieczność jedynego jakiegoś rozstrzygnięcia, a i w tym wypadku szczegóły mogą być rozmaite. W wypadku zaś szczególnym, jaki nam został dany przez założenie zadania aplikacyjnego numer 1, podpułkownik B. miał bardzo szerokie pole dla wyboru swej decyzji, nie będąc w niczem związanym przez swych przełożonych, a względnie bardzo mało przez nieprzyjaciela. Tymczasem autorzy rozwiązań, którzy przystąpili do pracy

według systemu szaradowego, wysilając się na o d g a d n i ę c i e jedynego jakiegoś ukrytego rozwiązania, najczęściej nie zmusili siebie do przepracowania w szczegółach wyników swej decyzji i poza samą decyzją i mniej lub więcej szeroką motywacją nie dali nic, albo bardzo mało.

Przedewszystkiem więc usunąłem z konkursu wszystkie prace, które nie dały odpowiedzi na którekolwiek z pytań, postawionych przez autora zadania. Usunąłem je jako nieodpowiadające wymogom konkursu.

Następnie zostały usunięte i te prace, które dawały w i ę c e j, niż tego wymagało zadanie. U autorów takich rozwiązań decyzje podpułkownika B. nie ograniczają się jedynie decyzją i zarządzeniami o godzinie 10.30 wieczorem, czy w najbliższych po tej chwili minutach. Idą oni dalej w przyszłość i nieraz drobiazgowo opisują działania oddziału w ciągu całej nocy, a nawet nazajutrz rano. Wyznam, że osądzenie takich rozwiązań wymyka się najzupełniej z pod mojej skromnej kompetencji, ograniczonej ramami danych o działaniach nieprzyjaciela do godziny 10.30; nie mogłem iść za autorami, którzy niewiadomo dlaczego, nie krępując siebie, krępowali w swych myślach działania nieprzyjaciela. Naturalnie, że autorowie takich rozwiązań stwarzać musieli założenia nowe, przez zadanie numer 1 nie dane, i w tej „historji przyszłości", tak zgubnej dla każdego wodza wogóle, a wodza małych oddziałów w szczególności, mogli postępować źle czy dobrze, ale na własną odpowiedzialność, wymykającą się z pod mego sądu i opinji. Dodam, że niektóre z takich rozwiązań usu-

wałem z konkursu z żalem, gdyż skądinąd miały one wiele cennych i dobrych stron i szczegółów.

Resztę prac przedstawionych oceniałem w sposób następujący. Do czterech pytań, danych przez zadanie, dodałem jeszcze punkt dodatkowy: formę rozstrzygnięcia zadania. W pracy wojennej każdego naczelnika zarządzenia, wynikające z decyzji powziętej, muszą wylewać się w formę wyraźnego rozkazu dla podwładnych. Każde więc z pięciu pytań kwalifikowałem notą cyfrową, oznaczającą ilość punktów, otrzymanych przez rozwiązującego zadanie.

Przytem brałem pod uwagę w pytaniu pierwszem (decyzja i motywy) przedewszystkiem jedność motywacji — ogromna, naprzykład, większość rozwiązujących zadanie pomijała w motywacji wszystkie albo niektóre ciemne strony swego położenia, jak to: brak kontaktu z siłą główną, niepewność rezultatów boju pod Dąbrową i możliwość działań ze strony odpartych ku wschodowi kompanij czerwonych. W pytaniach 2, 3 i 4 szło mi o logiczny związek decyzji z zarządzeniami, brak opuszczeń w stosunku do poszczególnych jednostek podwładnych, rozrzucanie sił własnych, względnie małych, wreszcie błędy taktyczne wykonania. Co do formy wreszcie, bezlitośnie dyskwalifikowałem wszelkie „zrobiłbym", „powiedziałbym", wszelkie opisy, zamiast wyraźnych rozkazów.

Decyzje wszystkie — z wyjątkiem jednej, o której niżej — wypadły zgodne z sytuacją i zamiarami autora: przerwanie komunikacji telegraficznej i kolejowej w okolicy Ząbkowic i atak nocny lub

o świcie na Ząbkowice lub Gołonóg. Chociaż osobiście wolałbym Gołonóg, nie brałem pod uwagę mego osobistego rozwiązania przy kwalifikacji, uważając, że atakowanie Ząbkowic jest rozstrzygnięciem, dopuszczalnem w zupełności.

Przy takiej ocenie najwięcej punktów otrzymały prace, podpisane jak następuje:

1) obywatel Herwin (Kraków),
2) obywatel Ferdynand (Kraków),
3) obywatel Brzoza (Stanisławów),
4) obywatel Iskra (Lwów).

Pracę jednak obywatela Herwina, najpełniejszą i najlepiej ułożoną, zdyskwalifikowałem w zupełności, dla powodów następujących.

Obywatel Herwin, rozgniewany na autora zadania, że nie nawiązał w ciągu całego dnia kontaktu z siłami głównemi pod Dąbrową i stracił czucie z nieprzyjacielem, odpartym na wschód, prawdopodobnie pod Sławków, oraz za to, że „sugerował" atak na Ząbkowice, na przekorę mu rozwiązał zadanie w ten sposób, że nakazał oddziałowi podpułkownika B. iść rano na pomoc głównym siłom pod Dąbrowę. Decyzję tę rozwiązał konsekwentnie w dobrze ułożonych rozkazach dla oddziału. Zarazem jednak motywacja zamiaru podpułkownika B. dopuszcza i atak nocny, nawet podaje, nierozwinięte zresztą w rozkazach, sposoby jego wykonania.

Wobec polemiczności zatem samej pracy i dwoistości rozwiązania (chociaż nierozwiniętej w szczegółach) nie mogłem się zdecydować na

przysądzenie jej nagrody. Pozostała mi zatem ostateczna kwalifikacja:

1) obywatel Ferdynand (Kraków),
2) obywatel Brzoza (Stanisławów),
3) obywatel Iskra (Lwów).

Dodam, że projektu rozwiązania, przedstawionego poza konkursem przez autora założenia, nie brałem najzupełniej w rachubę.

ZUŻYWANIE AMUNICJI.

Rozwój nowoczesny broni palnej wytworzył dwie główne sprzeczności, z których wyjście jest nadzwyczaj trudnem. Pierwsza z nich to wymaganie, że się tak wyrażę, precyzyjności człowieka dla obsługi, a raczej kierowania precyzyjnem narzędziem, jakiem się stał nowoczesny karabin czy armata. Brak tej precyzyjności człowieka bodaj jest główną przyczyną zjawiska, z którem różni pacyfiści *à la* Bloch rady sobie dać nie mogą — mianowicie, że wraz z rozwojem broni palnej straty w ludziach, zamiast się zwiększać, zmniejszają się stale. Zgodnie z naukami „technicznego" wieku chciano i w pracy wojennej widzieć maszyny — ostatnie słowo techniki — przemawiające same, z niewielkim dodatkiem do nich człowieka, działającego jedynie, jako „sługa" maszyny, nie zaś jej rozumny i świadomy kierownik. W skutku też doczekano się, że precyzyjne i przemyślne maszyny dały znacznie niższe „żniwo śmierci", niż dawne, że tak powiem, „chamskie" narzędzia.

Nie chcę tym razem zastanawiać się dłużej nad tą kontrawersją, pomimo, że jest ona jednem z najbardziej istotnych zagadnień wojen nowoczesnych. Ograniczę się w tej sprawie jedynie spostrzeżeniem, uczynionem przeze mnie przy inspek-

cjach różnych oddziałów strzeleckich. Jednem z najczęstszych moich pytań po mustrze taktycznej jest: — „poco się odbywają takie dziwaczne ewolucje, jak rozbieganie się po polu w luźnym szeregu z pozostawieniem przestrzeni wolnej pomiędzy ludźmi?". Najczęstszą odpowiedzią, która słyszałem od naszych żołnierzy, była: „poto, aby choć część kul nieprzyjacielskich przechodziła pomiędzy nimi i aby w ten sposób zmniejszyć straty przy podsuwaniu się pod nieprzyjaciela".

Odpowiedź ta jest nadzwyczaj charakterystyczna. Jest to bezwiedny hołd, oddany „mechanicznym" teorjom obóstwiania „wszechpotężnej maszyny", nie człowieka, jej skromnego sługi i niewolnika. Pomimowoli przypominają mi się wówczas różne „pola absolutnej śmierci", matematycznie ściśle obliczone" działanie kul karabinowych i szrapnelowych na polu bitwy i temu podobne, *disons le mot,* bzdury z czasów Blocha i „technicznych" pacyfistów. Zarazem jednak przypominają mi się słowa dowcipnego i już istotnie „technicznego" obserwatora wojny japońskiej, generała Hamiltona.

Opisując atak brygady generała Okasaki na wzgórze „Tera-jama" w bitwie pod Sza-ho, generał Hamilton czyni obserwację, że zdziwiło go niezmiernie, gdy zobaczył gęstą linję tyraljerską Japończyków, biegnącą do pozycyj rosyjskich wśród kurzu, podjętego przez ogromną masę kul rosyjskich i gdy nie mógł dostrzec większej ilości ludzi, padających na polu bez powstania. „Zdawało się, pisze Hamilton, że większość kul, jakby umyślnie, wybierała wolną przestrzeń pomiędzy żołnierzami, by ich nie zaczepić i nie zranić". I po daniu tej

uwagi, zgodnie z „mechanicznem“ pojmowaniem wojny, dodaje ironiczną, lecz całkiem „techniczną“ obserwację: „Tak bywa zawsze, gdy wojsko źle strzela“.

Drugą sprzecznością, tkwiącą w nowoczesnej broni, jest wzrost jej szybkostrzelności, wzrastający „głód“ nabojów podczas bitwy. Precyzyjne narzędzie śmierci — karabin — spotrzebowuje w porównaniu z przeszłym „chamskim“ karabinem takie mnóstwo ładunków, a bez nich staje się takim niewinnym i wcale nieprecyzyjnym drągiem, że kwestja dostarczenia pożywienia — ładunków — tej wiecznie głodnej bestji staje się w obecnych czasach pierwszorzędną dla każdego, kto o sprawach wojny myśli. To też z musu obciąża się armje wozami z ładunkami, które zmniejszają znacznie zdolność wojska do ruchu i manewru; to też obciąża się nabojami żołnierza z ryzykiem zrobienia go cięższym do manewru, lub pozbawiając go innych, nieraz bardzo mu potrzebnych do życia, przedmiotów.

Najciężej sprawa ta się przedstawia dla wojska przy ofenzywie, gdzie od żołnierza i oddziału wymaganym jest właśnie ruch i manewr. Przy obronie — defenzywie — względnie łatwem jest obsłużyć żołnierza, nie obciążając go wcale, chociażby kładąc przy nim całe fury nabojów; przy ataku zaś żołnierz przez długi czas pozostawiony jest z tem, co ma przy sobie, a wszelkie dostarczenie mu czegokolwiek do linji ognia jest bardzo niepewnem, wobec ogromnych technicznych przeszkód. Bardzo często dopiero wieczór, pokrywają-

cy wszystko mrokiem, pozwoli linji tyraljerskiej uzupełnić amunicję.

Dlatego też oszczędzanie amunicji jest dla strony atakującej nieledwie prawem.

Niezwykle ciekawemi są w tej sprawie dane z historji wojennej. W francusko-niemieckiej wojnie 1870 roku Francuzi wyzyskiwali zawsze w ogromnym stopniu dalekonośność i szybkostrzelność swych karabinów, zadając nieraz ciężkie straty Niemcom jeszcze wówczas, gdy ci, nie posiadając równie dobrej broni, nie potrafili dać ani jednego strzału do nieprzyjaciela. To przymusowe często sknerstwo ognia łączyło się jak najdokładniej ze stałą ofenzywą — i dodajmy — zwycięstwem Niemców. W wojnie japońskiej liczby wystrzelonych naboi w obu walczących armjach były całkiem niewspółmierne. Gdy Rosjanie nieraz w przeciągu jednego dnia dawali po 300, 400, nawet 500 strzałów na karabin, Japończycy w swej ofenzywie potrafili się ograniczyć do takiejże liczby w przeciągu 6 — 8 dni długich bojów pod Mukdenem czy nad Sza-ho. W ostatniej wojnie bałkańskiej w armji tureckiej były stałe skargi na brak nabojów, które z błyskawiczną szybkością znikały, gdy zostały dostarczone na linję ognia. I tu również nie były rzadkiemi wypadki, gdy w ciągu dnia na karabin wypadało nie mniej, niż 500 ładunków.

Przytoczone przykłady z pewną złośliwością stwierdzają niesłuszność „mechanicznych" teoryj wojny, dając zawsze zwycięstwo nie tym, którzy abnegacko zaufali potędze „maszyny", ilości i wadze wyrzuconego przez nich ołowiu. Co do

mnie, nie wchodząc wcale w ocenę tej teorji, śmiem twierdzić jedynie, że dla wojska takiego, jak Francuzi, Rosjanie i Turcy w ubiegłych wojnach — ofenzywa jest niemożliwa już z powodu absolutnego niepodobieństwa połączenia ruchu naprzód pod ogniem nieprzyjacielskim z dostawą wielkiej ilości przedmiotów i ciężarów do linji ognia. Bez niej zaś żołnierz, wystrzelawszy swe naboje i zostawszy z całkiem nieprecyzyjnym drągiem w ręku, zatrzyma ofenzywę z pobudek często moralnych.

Dla zilustrowania zużywania amunicji przytoczę tu przykład z wojny japońskiej. Armja Oku w bitwie na Sza-ho miała zadanie nawskroś ofenzywne, to jest była ciągle w ruchu i manewrze. Przez sześć dni boju żołnierze wystrzelali na karabin po 127 ładunków. To znaczy, że przez sześć dni armja ta mogła się obyć nawet bez dodatkowego zapasu naboi z pułkowych i bataljonowych wózków ładunkowych. Wystarczyłoby jej dla odniesienia zwycięstwa to, co żołnierz nosi na sobie podczas marszu „podróżnego" — 120 naboi. Z działań armji Oku pozwolę sobie przedstawić szczegółowe dane dla jednego epizodu z tej bitwy, które szczęśliwym a rzadkim w historji wojennej trafem są zebrane przez jednego z attachés angielskich. Cyfry, podane przez niego, są nadzwyczaj wymowne i z zupełną słusznością da się o nich powiedzieć, że „cum tacent clamant".

Idzie mi o atak dwóch bataljonów 34-go pułku i 6-go pułku piechoty (3-cia dywizja), atak, dokonany 12 października na ufortyfikowaną wieś Szili-ho. W nocy każdy z bataljonów wysłał po 2 kompanje, które okopały się w odległości 1250

kroków od pozycji rosyjskiej. Nazajutrz — 12 października — skrajne prawe skrzydło rosyjskie zostało złamane przez 6-tą i część 4-tej dywizji. Gdy zaś Rosjanie na zwycięską linję japońską skierowali silny kontratak VI sybirskiego korpusu, nastąpiło o godzinie 3 popołudniu wyjście oddziałów japońskich ze swych okopów dla ataku Szi-li-ho. Wobec tego, że wioska ta i okopy rosyjskie były silnie ostrzeliwane przez artylerję japońską, linja tyraljerska zdążyła przebiec około 150 kroków, nim została dostrzeżoną i ostrzelaną przez Rosjan. Po przebiegnięciu dalszych 30 kroków linja tyraljerska rozpoczęła ogień. Dalszą historję przedstawiają następujące cyfry, które wyjmuję z raportu oficerów sztabu jeneralnego angielskiego, podpułkownika A. L. Haldane, attaché brytyjskiego przy drugiej armji japońskiej[1]):

Długość skoków linji tyraljerskiej	Ilość wystrzelonych naboi na karabin
180 ×	30
78"	15
84"	15
81"	15
102"	15
200"	5
525"	—
1250 ×	95

Cyfry te obliczono dla jednego z atakujących bataljonów — I z 34-go pułku. Dla innych dwóch,

[1]) *Reports from British Officers attached to the Japanese and Russian forces in the field* Vol. 1. str. 526.

zgodnie z obserwacją kilku oficerów, liczba wystrzelonych nabojów może nawet była mniejsza. Ostatni przeskok linji tyraljerskiej, anormalnie długi, tłumaczy się tem, że Rosjanie wtedy cofali się pośpiesznie i Japończycy, chcąc dosięgnąć nieprzyjaciela, musieli go doganiać. Wzięto przy tem 4 działa rosyjskie i 5 jaszczyków do nich.

Przytoczone cyfry jasno przedstawiają przebieg bitwy. Pierwszy przeskok nie ma w sobie nic anormalnego — łańcuch tyraljerski posuwa się naprzód tak długo, nim straty nie zmuszą go do zatrzymania się. Rozpoczyna się walka ogniowa, bój, niesłusznie zwany — o przewagę ognia — gdyż słuszniejby go trzeba nazywać bojem o przewagę moralną. Do tej kategorji należą oprócz pierwszych 30 naboi jeszcze następne trzy grupy po 15 ładunków, wystrzelonych po trzech dalszych skokach, przy których wlano do otaczającego łańcucha rezerwy i które doprowadziły linję japońską na mniej więcej 850 kroków do nieprzyjaciela. Przewaga moralna już teraz jest uzyskana, nie przewaga mechanicznego ognia, bo Rosjanie w tym samym czasie wystrzelili po 200, a może i 300 ładunków na karabin, wytwarzając mechanicznie blochowskie „pole absolutnej śmierci“.

Przewaga moralna daje możność zrobienia dłuższych przeskoków i wreszcie następuje zwycięstwo. Przewaga więc „ognia“ została uzyskana kosztem 75 wystrzelonych naboi. Dla usunięcia przypuszczenia, że Japończycy nie spotkali silniejszego oporu, przytaczam i statystykę strat japońskich przy tym ataku:

I bataljon 34-go pułku — 100 ludzi,
III bataljon 34-go pułku — 90 ludzi,
III bataljon 6-go pułku — 78 ludzi.

Straty więc wyniosły 9—12%, cyfry dosyć normalne, stwierdzające istnienie skutecznego ognia obrońców pozycji, którzy zmusili atakujących krwawo opłacić uzyskanie moralnej nad sobą przewagi.

Teraz wyobraźmy sobie na chwilę, że Japończycy wyznają mechaniczną teorję i wyzyskują szybkostrzelność swych karabinów w sposób taki, jak to robili Rosjanie, Turcy, no i wszyscy defenzywiści. Przy porównaniu przytoczonych wyżej cyfr wypadałoby, nie biorąc już cyfr wyższych, że musieliby wystrzelić minimum trzy razy więcej naboi. Cyfry więc dla przeskoków wyglądałyby: 1—90, 2—45, 3—45, 4—45 — tu została uzyskana przewaga ognia. Koszt wynosiłby 225 ładunków, czyli więcej, niż żołnierz zabrać z sobą jest w stanie, nawet przy słusznym zresztą zwyczaju rozdawania dodatkowych ładunków przed bojem. Już więc przed uzyskaniem przewagi moralnej, prawdopodobnie po drugim, a już z całą pewnością po trzecim przeskoku, rozpocząłby się gwałt o naboje. Łańcuch tyraljerski zostałby wstrzymany w ruchu i wraz ze stratą naboi straciłby i na pewności siebie, — kto wie, może nawet przewaga moralna byłaby została przy przeciwniku.

W przytoczonym zaś wypadku Japończycy po zajęciu Szi-li-ho posiadali jeszcze po 100 mniej więcej ładunków. Byli więc zdolni nietylko ode-

przeć kontratak rosyjski, lecz i zdobyć się na jeden jeszcze podobny atak, gdyby taki był w tej chwili potrzebny.

Z powyższych przykładów widocznem chyba jest, że kto chce ofenzywy, to znaczy ruchu naprzód i manewru, ten nie może zbytniej uwagi poświęcać na obciążenie czy to żołnierza, czy to kolumn większym ciężarem, a zatem musi oszczędzać naboje, by w najkrytyczniejszej chwili nie pozostać z nieszkodliwym drągiem zamiast karabinem w garści.

Niechybnie w naszych warunkach nadzwyczaj jest trudnem wychowywać żołnierza w duchu tej zbawiennej reguły. Proszę wychować człowieka w zrozumieniu broni, gdy uczeń uważa, jako uroczyste święto, gdy się dorwie do karabinu, gdy nawet i wtedy są starania, by ten karabin po wyjęciu zeń zamku wyglądał jak najbardziej niewinny drąg, broń Boże niegroźny oręż, mogący komukolwiek szkodzić! Proszę nauczyć kogokolwiek racjonalnie używać karabinu, gdy się go nie posiada, lub gdy ćwiczenia z nim są uważane za zdrożne, a jeden wystrzelony ostry ładunek wypada na rok czy dwa dla jednego strzelca!

Przełamywaliśmy jednak tyle trudności, że nie powinniśmy się zatrzymywać przed żadnemi, a każdy mi przyzna, że jeżeli robimy postępy w wielu dziedzinach pracy wojskowej, to może najmniejszemi są one w dziedzinie dyscypliny ognia, tej podstawowej potrzebie każdego boju nowoczesnego, ofenzywnego zaś w szczególności.

Nie zatrzymując się na różnych, mniej lub więcej dowcipnych, środkach wychowania w tym

kierunku naszych strzelców, zaznaczę, że zasadą w tej sprawie musi być przedewszystkiem, że każdy ogień powinien być nie mechaniczny, lecz celowany. Jest to najradykalniejszy środek do ekonomji ładunków. Pomimo, że takie żądanie wygląda dosyć śmiesznie, gdyż, zdawałoby się, — poco strzelać, gdy się nie celuje i nie mierzy do czegoś, jednak tak jest w istocie. Mechaniczny ogień nie na czem innem polega, jak na bezcelowem strzelaniu, które u żołnierzy w boju wynika z nerwowego napięcia, szukającego ujścia w czemkolwiek. Francuzi, Rosjanie i Turcy — z pewnością to można twierdzić — temi setkami ładunków, wystrzelonych w dnie boju z każdego karabinu, raczej uspokajali swe wzburzone nerwy, niż wytwarzali rzekome „pole absolutnej śmierci" dla ostrzeliwanego nieprzyjaciela.

Dla ilustracji przytoczę przykład niezwykle pouczający. W czasie ostatniego ruchu rewolucyjnego w Polsce, w 1904—1906 roku, bojowcy używali pistoletów Mausera, automatycznej broni z 10 strzałowemi paczkami. Przy każdej prawie akcji wystrzeliwano po 60—80 ładunków w kilka sekund, zadając względnie niewielkie straty — zwykle zabitych i rannych w takich akcjach nie było więcej nad kilku ludzi. Otóż jeden z moich znajomych raz postanowił zrobić próbę, by po akcji móc powiedzieć, do jakiego celu za każdym strzałem mierzył. Będąc człowiekiem silnej woli, wykonał, co zamierzał. Okazało się, że zdążył wystrzelić tylko 6 razy, gdy koledzy jego wystrzelali swe zwykłe kilka paczek dziesięcioładunko-

wych. Takim jest skutek w gospodarce nabojami ognia celowego. Chciałbym bardzo, aby nasi strzelcy przy ćwiczeniach, a tem bardziej w przyszłości podczas boju, naśladowali tego bojowca.

XIII.

JESZCZE O DELEGATACH AMERYKAŃSKICH

(1914)

Podróż „inspekcyjna“ czy „orjentacyjna“ cenzora i wicecenzora Amerykańskiego Związku ma już bogatą swoją historję i wiele ze spraw, przez nich poruszonych, już jest dostatecznie wyświetlonych. Pozostają jednak pewne punkty, wymagające sprostowania; specjalnie zaś tyczy się to spraw, związanych z naszym ruchem wojskowym. Będąc jednym z tych, którzy mieli wątpliwy zaszczyt konferowania z zamorskimi gośćmi, poczuwałem się w pierwszej chwili do obowiązku wyświetlenia tych spraw. Pierwsze jednak wiadomości czy też „oskarżenia“ były tak niejasne i dwuznaczne, a pomieszczone w pismach galicyjskich w rodzaju *Słowa Polskiego,* których wiarogodność dla mnie zawsze pozostaje pod dużym znakiem zapytania, że wolałbym czekać pism z Ameryki, by mieć do czynienia z bardziej autentycznemi danemi i faktami.

Idzie mi o fakt następujący. Panowie Karabasz i Rakoczy podczas swego pobytu w Krakowie podpisali protokół kontroli funduszów i rachunków Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych oraz Polskiego Skarbu Wojskowego, później zaś ogłosili, że „gdyby byli przedtem odwiedzili Komendę Główną we Lwowie, toby tego nie zrobili, bo rachunki były sfałszowane“. Z tego

wynikało, że albo znalazły się sprzeczności pomiędzy rachunkami Komendy a podpisanemi przez delegatów rachunkami Polskiego Skarbu Wojskowego, albo też w Komendzie dostarczono danych o fałszach w rachunkach Komisji Tymczasowej i Polskiego Skarbu Wojskowego. Odpowiadając jedynie za jedną z komend organizacji, związanych z Polskiem Skarbem Wojskowym. Drużyny Strzeleckie były wówczas jeszcze w związku z Polskim Skarbem Wojskowym, muszę stwierdzić, że oba przypuszczenia nie są słuszne i na dowód przytaczam jedyną rozmowę, jaką miałem we Lwowie z panami Karabaszem i Rakoczym.

Pan Karabasz na wstępie oświadczył mi, że właściwie „mają cały interes skończony w Krakowie" i że zaszli do mnie jedynie w celu poznajomienia się ze mną, że wreszcie śpieszą do marszałka krajowego na konferencję. Następnie rozmowa trwała jakie pół godziny. Przedewszystkiem nastąpiło oryginalne badanie mnie co do różnych osobistości we Lwowie. Więc, naprzykład, co do pana Śliwińskiego, musiałem stwierdzić, że: a) jest posłem do Rady państwa, b) posiada kamienicę, c) adres—Kadecka l. 6. W tym guście interesująca rozmowa, tycząca się co najmniej 20 osób, z dodatkiem stereotypowego pytania: „czy dobry Polak?"— trwała mniej więcej kwadrans. Sypały się pytania: „Taki a taki? czy mieszka tam a tam? czy pan go zna? czy dobry Polak?". W dwóch jedynie wypadkach nastąpiła pewna ulga czy rozmaitość. Jedna z nich tyczyła się marszałka krajowego, co do którego nie nastąpiło pytanie, czy dobrym jest Polakiem. Zdaje się, że delegaci amerykańscy pod tym

względem głębokie mają zaufanie do wszystkich obecnych czy przeszłych ekscelencyj. Urozmaiconem nieco było badanie co do biletu wizytowego, który leżał u mnie na biurku i wpadł w oko panu Karabaszowi. Nazwisko na bilecie miało to szczęście — tym razem nieszczęście — że poprzedzało je słowo „hrabia". Posypały się pytania: „Hrabia D., czy pan go zna? czem się zajmuje? gdzie mieszka? czy dobry Polak?". Po namyśle zaś pan Karabasz dorzucił pytanie: „czy nie szpieg?". I zaraz z właściwą mu bystrością wyjaśnił, że w roku 1863 był jakiś hrabia, całkiem zresztą innego nazwiska, który wydawał zaborcom powstańców.

Wyznam, że byłem po tym kwadransie zdumiony i niezwykle zbudowany powagą mych gości.

Wreszcie na stół przyszły rozmowy realniejszego znaczenia. Panowie delegaci poruszyli ze mną trzy — wyraźnie trzy — kwestje.

Pierwsza z nich była — czy w istocie nie pobieram żadnej pensji ze Skarbu Wojskowego. Potwierdziłem, że nie — i to była jedyna sprawa finansowej natury.

Inne dwie były: jak się zapatruję na sprawę jedności organizacyj wojskowych w Polsce i czy Austrja nas popiera? Odpowiedziałem, że zgodnie ze znanym programem Związków Strzeleckich jestem za najdalej idącą jednością organizacyjną wojskową w Polsce, dodając do tego, że byłaby to dobra szkoła dla rozwoju poszanowania przekonań i tolerancji wśród rozwydrzonych stronnictw politycznych. Co się zaś tyczy popierania nas przez Austrję, to stwierdzam, że zauważyć tego nie zdołałem, gdyż w dziedzinie nauki strzelania więcej się

robi w innych krajach Austrji, w porównaniu z Galicją, która, jak zwykle, jest pokrzywdzona i w tym wypadku, a zarazem stosunek władz miejscowych do ruchu strzeleckiego nie należy do najlepszych. Dodałem, że zresztą tutaj w Galicji władze są polskie i być może stosunek ten jest uwarunkowany walką wewnętrzną stronnictw politycznych Polski.

Rozmowa zakończyła się utyskiwaniem panów delegatów na sposób zabezpieczenia funduszów Skarbu Wojskowego, który byłby bezpieczniejszy w Ameryce. Na to odpowiedziałem, że się do spraw Skarbu nie mieszam, lecz sądzę, znając dobrą wolę ludzi, stojących u steru Skarbu, że jeśli delegaci dadzą jakieś praktyczne wskazówki, to napewno będą one wzięte pod rozwagę.

W całej więc rozmowie nie było wcale mowy o rachunkach i zatem twierdzenie panów Karabasza i Rakoczego o otrzymaniu w Komendzie we Lwowie danych o fałszach rachunkowych jest rzeczą, wyssaną z palca lub stwierdzoną z ust jakiegoś „dobrego Polaka", który z łatwością znalazł fałsze w rachunkach, nigdy przez siebie nieoglądanych.

Z innych wyjaśnień panów Karabasza i Rakoczego zdawaćby się mogło, że te fałsze inkryminowane tyczą się zakupna różnych rekwizytów wojskowych, których w składach panowie od „orjentacji" nie znaleźli, przyczem wielką, zdaje się, rolę w tym odgrywają „buty". Przedewszystkiem o składach. Jedyny skład rekwizytów: tornistrów, pasów, ładownic *et cetera,* skład bardzo zresztą nieduży był przeze mnie urządzony w czasie kryzysu wojenne-

go wspólnie dla Związku i Drużyn Strzeleckich. Gdy do nas goście zamorscy zawitali, skład ten dawno już był zwinięty i wszystkie rekwizyta zostały podzielone pomiędzy organizacje do stałego szkolnego użytku. Innych składów czy magazynów w organizacjach nie było i niema, chyba gdzieś na parę dni zatrzyma się zakupiony i niewyprawiony do którejś organizacji, zwykle bardzo mały, transport takich rekwizytów.

Co się zaś tyczy butów, to one istotnie figurują w rachunkach Polskiego Skarbu Wojskowego, lecz w żadnym wypadku kłaść ich na odpowiedzialność ani Komisji Tymczasowej, ani Polskiego Skarbu Wojskowego nie można. Historja ich bowiem jest następująca: przy wydaniu sprawozdania skarbowego zarząd Skarbu zażądał od obu organizacyj Związków i Drużyn podania rachunku z wydatków na cele militarne poza pieniędzmi, otrzymanemi ze Skarbu. Co do mnie, na podstawie przedstawionych mi rachunków z poszczególnych organizacyj, zestawiłem ogólny rachunek dla Związków Strzeleckich, z którego nawet rozmyślnie wykreśliłem sumy, związane z zakupem przez miejscowe „intendentury“ trwałego, sportowego obuwia. Uczyniłem to dlatego, że pomimo wielkiego znaczenia doborowego obuwia dla żołnierza nie stanowi ono charakterystycznej cechy jego i mogłoby być umieszczone, zdaniem mojem, w żołnierskich rachunkach, gdyby je istotnie magazynowano, lub gdyby zakupy dawały jeden ustanowiony i wypróbowany typ obuwia. W przeciwnym wypadku każda para trzewików, kupiona przez kogokolwiek, należącego do organizacji, musiałaby być regestrowa-

na, jako nabytek wojskowy. Komenda Drużyn Strzeleckich rzecz tę rozpatrywała prawdopodobnie z innego stanowiska i w swoich rachunkach pomieściła i obuwie. W każdym jednak razie odpowiedzialna za to jest jedynie Komenda Drużyn Strzeleckich, nie Polski Skarb Wojskowy lub Komisja Tymczasowa, które lojalnie, bez zmian, przejęły rachunki obu organizacyj, nie mając ani możności, ani prawa do wchodzenia w sposób wydawania pieniędzy, które samodzielnie, bez pomocy tych instytucyj zostały zebrane. Cała sprawa ta zresztą była wyjaśniona przy rozmowach delegatów amerykańskich z przedstawicielami Komisji Tymczasowej i Polskiego Skarbu Wojskowego i stanowi, zdaje się, jeden z punktów protokółu, podpisanego wspólnie.

Wreszcie pozostaje ostatnia sprawa, mająca związek z ruchem wojskowym, a wytoczona, jako zarzut — jeden z najgroźniejszych — przeciw Komisji Tymczasowej. Brzmi on: Komisja Tymczasowa wydaje większe sumy pieniędzy na dosyć wysokie pensje i wyjazdy, niż na karabiny i amunicję. Nie wchodząc w to, czy Komisja Tymczasowa wydaje „dosyć“, czy nie „dosyć“ wysokie pensje i djety swym urzędnikom, rachunków tej instancji nie przeglądałem i nie kontrolowałem nigdy, idzie mi o drugą połowę zarzutu, o karabiny i amunicję. Przedewszystkiem w rachunkach Komisji Tymczasowej ani karabiny, ani amunicja znajdować się nie mogły wcale z tego względu, że wydatki tej natury są czynione jedynie przez komendy odpowiednich organizacyj. Prawdopodobnie więc rozumieć zarzut należy w ten sposób, że Komisja

Tymczasowa nie robiła odpowiedniego nacisku na te organizacje w kierunku zakupna tego w istocie niezbędnego dla prowadzenia wojny materjału. Wyznam otwarcie, że przy wszelkich dyskusjach w Komisji Tymczasowej, w tej właśnie materji byłem zawsze gorącym przeciwnikiem jakichkolwiek większych zakupów broni i starałem się zawsze utrącić wszelkie daleko idące projekty w tej sprawie. Powiem więcej, że spotykałem niekiedy nawet opór ze strony Komisji Tymczasowej, wobec czego przedewszystkiem na mnie leży odpowiedzialność za zbyt słabą i niewydatną działalność Komisji w tym kierunku.

Racje zaś moje są następujące: dopóki Polska, czy część Polski, chcąca wojny, nie zdecydowała się na prowadzenie samodzielnie i niezależnie od kogokolwiek wojny — jakiejbądź, to wszystko jedno, chociażby na trzy fronty, jak tego chcą rożni najtchórzliwsi krzykacze, — dopóty dziecińswem byłoby zatrzymywać się na jednym określonym typie karabinu i amunicji, co znowu jest koniecznem, gdy się serjo o tych rzeczach mówi. Do tego samego rezultatu doprowadzić musi rozważanie sprawy z innej strony — strony finansowej. Przy tej nędzy pieniężnej, jaka charakteryzuje budżet militarny Polski, nie może narazie być mowy o systematycznym i rozumnym zakupie broni, który to zakup z konieczności musi mieć charakter dorywczy i przypadkowy. Wobec tego zaś broń i amunicja mają charakter jedynie szkolny, gdzie uwzględniać trzeba rozmaite typy broni, przedewszystkiem gatunki, które są lub były w użyciu w armjach austrjackiej, rosyjskiej i pruskiej. Przy

zakupie zaś nawet pojedyńczej sztuki broni istnieje jeszcze dotąd ryzyko, że dla samej wojny, pomijając szkolny użytek, jest to wydatek nieprodukcyjny, gdyż nie można mieć pewności, że właśnie ten typ broni będzie przyjęty, a zatem będzie do niego i dostateczna ilość ładunków, bez których znowu nawet najlepsza broń jest zwyczajnym drągiem.

Wszelki inny sposób zapatrywania się w obecnych czasach na broń i amunicję, wszelkie „magazynowanie“ jej uważam w danym wypadku za naszą kochaną polską naiwność, połączoną z nieznajomością techniki wojennej, w złym zaś za demagogiczny wykręt z istotnie ciękich obowiązków w tej właśnie dziedzinie.

PRZYPISY DO TOMU III

I.

HISTORJA ORGANIZACJI BOJOWEJ P. P. S.

Do str. 1.

Kiedy po zduszeniu przez carat ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim przeważająca część kierowników P. P. S. znalazła się na emigracji w Galicji, tamześrodkowały się też wszystkie usiłowania, mające skierować ruch ten na nowe tory. Jednym ze środków odrodzenia i przeobrażenia tego ruchu były centralne szkoły partyjne, zakładane przez P. P. S. w Krakowie i we Lwowie. Szkoły te, do których uczęszczała młodzież inteligencka i robotnicza z zaboru rosyjskiego, miały przygotowywać funkcjonarjuszy partyjnych do dalszej działalności rewolucyjnej. W roku 1910 zorganizowano dwie takie szkoły centralne — trzecią i czwartą. Obydwie posiadały wykłady dwóch typów — bojowe i agitacyjne. W czwartej szkole system wykładów był o tyle zmieniony na podstawie zdobytego uprzednio doświadczenia, że wykłady nie były już przeplatane, ale najprzód odbył się kurs bojowo - wojskowy, następnie zaś agitacyjny. Na kursie bojowo - wojskowym, który obejmował 40 godzin wykładów, 38 godzin repetitorjów i 111 godzin ćwiczeń praktycznych (ćwiczenia z bronią, musztra polowa, wywiady, strzelanie, manewry), Józef Piłsudski wykładał: *Historję organizacji bojowej* (3 godziny), *Geografję militarną* (4 godziny wykładów, 6 godzin repetitorjów) i *Zarys przyszłej rewolucji* (3 godzin wykładów, 6 godzin repetitorjów).

Dwa ostatnie cykle wykładów, ujęte w broszurki *Bibljoteczki Popularnej Życia*, były ogłoszone w tomie II *Pism — Mów — Rozkazów*.

Wykłady o *Historji Organizacji Bojowej* były wydane pierwotnie jako broszura bezimienna, powielona na maszynie w kilkuset egzemplarzach numerowanych pod tytułem: *Historja Bojówki P. P. S. Wykłady w Szkole Centralnej Polskiej Partji Socjalistycznej*, 1910, (str. 2 nlb. + 18).

Tekst powstał z notatek uczestników kursu, nieskontrolowanych przez Józefa Piłsudskiego.

Broszura ta była następnie przedrukowana w *Przedświcie*, w zeszycie kwietniowym 1914, str. 134 — 144, pod tytułem: *Szkic rozwoju historycznego Organizacji Bojowej P. P. S.* (1904—1910), również bez podania autora. W stosunku do wydania z roku 1910, wydanie 1914 było bardzo nieznacznie skrócone i zawierało nieistotne wygładzenia stylistyczne. Przedruk w *Przedświcie* redakcja tegoż zaopatrzyła w następującą uwagę: „Artykuł ten jest streszczeniem wykładów, prowadzonych w jednej z naszych szkół partyjnych. Charakter streszczenia odbija się ujemnie na stylowej stronie rzeczy, która jednakże, nawet w tej formie, ma wartość bardzo ciekawego przyczynku do historji rozwoju idei walki czynnej i zastosowania jej w naszem życiu partyjnem".

Sam Piłsudski w gronie swych uczni, na wyższym kursie Związku Walki Czynnej we Lwowie, powiedział o tekście wykładów, opublikowanym w *Przedświcie*: „niby moje, bez porozumienia ze mną wydrukowane na podstawie niedokładnych notatek".

Z tego wynika, że tekstu wykładów nie można uważać za ściśle autentyczny; zawiera on jednak niewątpliwie tok myśli Piłsudskiego, skoro on sam zalecał zapoznanie się z nim przy studjach nad strategją rewolucji.

W niniejszym zbiorze drukujemy tekst pierwotniejszy, a więc niewątpliwie bardziej zbliżony do samych wykładów, według skryptu z roku 1910.

Do str. 4, wiersz 18.

Artykuły w *Przedświcie* 1900—1901. Mowa tu o artykule A. Wr. (Witolda Jodki) *O przyszłej walce zbrojnej przez niewojskowego*, w zeszycie styczniowym 1900, W. Piotrowskiego (Władysława Wójtowicza) *Kilka uwag w kwestji przyszłego ruchu zbrojnego*, w zeszycie lipcowym 1900, w szczególności zaś o cyklu artykułów Mazura (Stanisława Grabskiego) *W ważnej sprawie* w zeszytach *Przedświtu* za luty, marzec, maj, czerwiec i lipiec 1901.

Do str. 8, wiersz 14.

Grzybów — manifestacja na placu Grzybowskim w Warszawie, dnia 13 listopada 1904 — stanowi zwrot w taktyce rewolucyjnej P. P. S., pierwszy raz bowiem przeciwstawia

policji rosyjskiej i wojsku zbrojny opór. Zadaniem jej był protest przeciwko mobilizacji, nakazanej ukazem carskim. Manifestacja ta wywarła ogromne wrażenie w całym kraju.

Do str. 10, wiersz 26.

„Rzeczpospolita ostrowiecka" — por. przypis w tomie II, str. XV.

Do str. 16, wiersz 25.

„Krwawa Środa" — por. przypis w tomie II, str. XV.

Do str. 16, wiersz 26.

Rogów. — Napad na pociąg pocztowy pod Rogowem 8 listopada 1906, zorganizowany przez Organizację Bojową P. P. S., pod kierownictwem Józefa Mireckiego (Montwiłła). Akcja ta zakończyła się pełnem powodzeniem.

Do str. 17, wiersze 31 i 32.

Pogrom siedlecki, będący — jak wynika ze słów Józefa Piłsudskiego — odpowiedzią na „Krwawą Środę", zorganizowany został przez władze rosyjskie. Sprowadzony w tym celu do Siedlec Libawski pułk piechoty, znany ze swych wystąpień kontrrewolucyjnych w Inflantach, w ciągu czterech przeszło dni — od soboty 8 września do wtorku 11 września 1906 roku — gromił miasto. Zniszczeniu uległy wszystkie sklepy — z wyjątkiem jednej apteki i paru sklepików chrześcijańskich. Ilość ofiar — strzelano nietylko z karabinów, lecz także i z dział — zabitych kilkudziesięciu, rannych ponad 300. Kontrakcji ze strony polskich rewolucjonistów nie było wcale. W pogromie zginęło tylko 2 żołnierzy rosyjskich — jeden, zabity przez swych towarzyszy w bezładnej strzelaninie, drugi — cięty przez oficera szablą za nieposłuszeństwo.

Do str. 19, wiersz 29.

Akcja bezdańska — por. przypis w tomie II, str. XII.

II.

NOWA KSIĄŻKA POLSKA Z DZIEDZINY WOJSKOWOŚCI.

Do str. 25.

Artykuł *Nowa książka polska z dziedziny wojskowości* jest recenzją z książki: *Regulamin musztry. Opracował*

K. Burzyński. Warszawa. Nakładem autora. 1910. Recenzja ta była drukowana w dziale *Bibljografja* w miesięczniku *Przedświt* za październik 1910, str. 691—695, podpisana literami J. P.

III.

REFORMY ARMJI ROSYJSKIEJ.

Do str. 37.

Artykuł *Reformy armji rosyjskiej* był drukowany w zeszycie grudniowym 1910 miesięcznika *Przedświt*, str. 791—799, podpisany literami J. P.

Do str. 39, wiersz 1.

Wszystko dzieje się pomyślnie.

IV.

BUNT WIĘZIENNY W IRKUCKU.

Do str. 55.

Wspomnienie to zostało umieszczone w wydawnictwie *Kalendarz Robotniczy na rok 1911*. Zredagował i wydał Zygmunt Klemensiewicz. Kraków, 1911. Nakładem Administracji *Naprzodu* i *Prawa Ludu* w Krakowie, *Głosu* we Lwowie, *Robotnika Śląskiego* w Cieszynie oraz *Górnika* w Morawskiej Ostrawie. Z Drukarni Ludowej w Krakowie (ul. św. Filipa, 11) — na str. 82—87.

Do str. 57, wiersze 4 i 5.

Buntująca się partja.

Do str. 65, wiersz 32.

Bijcie ich, chłopcy, aby długo pamiętali!

Do str. 67, wiersze 22 i 23.

No, *warnaczku* (zdrobniałe od *warnak)*, idź! Widzisz! Nie buntuj się! Osłabłeś, biedaku!

V.

KRYZYSY BOJÓW.

Do str. 73.

Kryzysy bojów powstały z wykładu publicznego, wygłoszonego przez Józefa Piłsudskiego we Lwowie w roku 1911.

Tekst jest sprawozdaniem dziennikarskiem, drukowanem w tygodniku lwowskim *Życie*, w roczniku II, zeszycie XXI, z dnia 20 maja 1911, pod tytułem: *Z sali odczytowej — Kryzysy bojów. — Odczyt Józefa Piłsudskiego, wygłoszony staraniem Towarzystwa „Związek Strzelecki" we Lwowie, dnia 13 maja b. r.* Sprawozdawca podpisany jest literami (K-i) — prawdopodobnie Stanisław Krynicki, współpracownik *Życia*, a oficer Związku.

Po podaniu wydrukowanego w tekście streszczenia odczytu sprawozdawca kończy: „Oto pokrótce streszczenie pięknego wykładu obywatela Józefa Piłsudskiego. Obywatel prelegent zakończył swój odczyt, głęboki pod względem treści, mistrzowski pod względem formy, pięknem porównaniem między przejściami duszy ludzkiej w boju i przejściami, przeżywanemi w codziennej obywatelskiej pracy. I tu też walka niejednokrotnie ciężka — kryzysy wielkie. Lecz by obronną ręką wyjść z chwil ciężkiej walki, tam tak, jak i tu, jedyna na to broń i jedyny oręż — tęgość charakteru, siła moralna.

Prelekcja obywatela Józefa Piłsudskiego była pierwszym z odczytów o treści fachowo-militarnej, których szereg zamierza „Związek Strzelecki" zorganizować z dopuszczeniem gości z poza towarzystwa Niezwykły był ów wykład o sprawach wielkich, wstrząsających, nieznanych. Myśl słuchaczów stawała wobec nowoodkrytego świata ludzkiego czynu i ludzkiej duszy.

Niejeden ze słuchaczy przeżył nerwami silnie owe dramaty, które słowo prelegenta ukazało oczom jego duszy: dla niejednego był wykład Józefa Piłsudskiego lekcją męstwa i bohaterskiego wytrwania. W prelekcji tej zadźwięczał donośnie wdzierający się do kultury polskiej t o n n o w y".

VI.

ZARYS HISTORJI MILITARNEJ POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

Do str. 81.

Cykl wykładów Józefa Piłsudskiego o *Historji militarnej powstania styczniowego* został ogłoszony w roku 1929 w numerze 1-ym *Przeglądu Historyczno-Wojskowego*, wydawanego w Warszawie przez Wojskowe Biuro Historyczne, oraz przedrukowany w osobnej odbitce. Tytuł publikacji brzmiał:

Józef Piłsudski. Zarys Historji Militarnej Powstania Styczniowego. Wykłady, wygłoszone w 1912 roku w Szkole Nauk Społeczno-Politycznych w Krakowie. Tytuł zaś pierwotny, ogłoszony w programie Szkoły, był — *Historja militarna powstań polskich.*

Wydawcy zaopatrzyli tekst wykładów w następującą przedmowę:

„Wykłady, które ogłaszamy z upoważnienia autora, wygłosił Józef Piłsudski w roku 1912 w serji wykładów Szkoły Nauk Społeczno-Politycznych w Krakowie. Znakomitą większość słuchaczy stanowili uczniowie kursów oficerskich „Strzelca" krakowskiego. Stenografował je ówczesny uczeń wyższego kursu oficerskiego, Juljan Stachiewicz.

Stenogram był przepisany współcześnie i doręczony Komendantowi Piłsudskiemu; miał on go przed oczyma, pisząc swą książkę, wydaną w roku 1914 u Rzepeckiego w Poznaniu, pod tytułem *22 stycznia 1863*. Książka ta nie objęła całości tematu, poruszonego w wykładach. Poza tem, obliczona na szerokie warstwy czytelników, nieprzygotowanych do analizy zjawisk wojennych, była utrzymana w tonie bardzo popularnym, w przeciwieństwie do wykladów, wygłoszonych wobec grona ludzi, studjujących nauki wojskowe.

Stenograf ówczesny przepisał te wykłady z oryginalnego stenogramu, zachowanego w jego prywatnych zbiorach. Okazało się przytem, że w skrótowych notatkach było wiele niedokładności i luk w miejscach, gdzie prelegent odczytywał ustępy z książek, skrótów, dziś już, po latach szesnastu, niemożliwych do odczytania. To też manuskrypt musiał być zrewidowany i w miarę możności uzupełniony. Pracy tej dokonali generał brygady Juljan Stachiewicz i kapitan Stefan Pomarański; postawili oni sobie za cel unikać jakichkolwiek przeróbek, ażeby nie oddalać pracy od realnie wypowiedzianych prelekcyj. Zachowano tedy styl i formę, charakterystyczną dla wykładu, nie wahając się pozostawić je nawet w tych ustępach, które w pracy pisanej niewątpliwie powinnyby być przerobione. Nie poprawiano również ani uzupełniano tych rzeczy, które przy obecnym stanie wiedzy o 1863 roku mogłyby być traktowane jako nieścisłości.

Oryginał stenogramu jest przechowywany w Archiwum Instytutu dla Badań Najnowszej Historji Polski".

Do str. 85, wiersz 10 i nast.

S(ergjusz) Gesket. *Wojennyja diejstwija w Carstwie Polskom w 1863 godu. Naczało wozstanja, janwar, fiewral i pierwaja połowina marta. Sostawił... pod riedakcjej gienierał-lejtienanta Puzyriewskawo.* Warszawa, 1894.

Mikołaj Berg. *Polskoje wozstanje 1863—1864 gg.*, w *Russkoj starinie* 1870 roku, tom XXIV—XXVI, toż w *Russkom Archiwie* rok 1873—4; przekład polski Karola Jaskłowskiego w 3 tomach. Kraków, 1898—1900.

Mikołaj Pawliszczew. *Siedmicy polskawo miatieża* 1861—4. Petersburg, 1887, 2 tomy.

Do str. 85, wiersze 21 i 22.

Zeznania te wyszły następnie w rosyjskim przekładzie, nakładem Sztabu Warszawskiego Wojennego Okręgu, drukowane w kilkudziesięciu egzemplarzach na użytek służbowy.

Do str. 85, wiersz 32.

Bolesław Limanowski. *Historja Powstania Narodu Polskiego 1863 i 1864 roku.* Wydanie drugie, przerobione. Lwów, 1909.

Do str. 86, wiersz 2.

(Walery Przyborowski). Z. L. S. *Dzieje 1863 roku przez autora Historji dwóch lat,* tomów 4. Kraków, 1897—1905.

Do str. 98, wiersz 7.

(Wiktor Jaworski). Stanisław Belina. *Notatki o powstaniu w Łęczyckiem* — w Agatona Gillera *Polska w walce,* tom I. Paryż, 1868.

Do str. 101, wiersz 11.

Marjan Langiewicz. *Relacje o kampanji własnej w roku 1863.* Wydał Bertold Merwin. *Kwartalnik historyczny.* Lwów, 1905.

Do str. 105, wiersz 5.

Franciszek L. Erlach. *Die Kriegsführung der Polen im Jahre 1863 nach eigenen Beobachtungen von März bis August an Ort und Stelle gesammelt von...* Lipsk, 1866. (Przekład polski wyszedł w Warszawie w roku 1919).

Do str. 111, wiersz 3.

Józef Oxiński. *Od 16 do 21 stycznia 1863 roku.* Urywek z pamiętnika w księdze zbiorowej: *W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego.* Lwów, 1903.

Do str. 123, wiersz 1.

Władysław Daniłowski. *Notatki do pamiętników.* Wydał Jan Czubek. Kraków, 1908.

Do str. 131, wiersz 31.

Roman Rogiński. *Zaczątki powstania na Podlasiu i na Litwie.* Poznań, 1896; przedruk z *Pamiętnika Romana...* Kraków, 1898.

VII.

22 STYCZNIA 1863.

Do str. 183.

Z początkiem 1914 roku rozpoczęło wychodzić nakładem księgarni Karola Rzepeckiego w Poznaniu wydawnictwo książkowe *Boje Polskie — ilustrowane epizody, obrazy, portrety historyczne z dziejów naszych wojen narodowych pod redakcją Dra Marjana Kukiela.* Przeznaczone dla szerokich warstw publiczności, a więc popularne, wydawnictwo miało wypełnić lukę, istniejącą w historjografji polskiej w dziedzinie historji wojskowości. Jako tom I wyszła praca Józefa Piłsudskiego *22 stycznia 1863,* z 12 rysunkami Henryka Minkiewicza i Edwarda Rydza w tekście, z 1 szkicem sytuacyjnym i 1 mapką garnizonów rosyjskich. Poznań, 1914.

Drugie wydanie niezmienione tej książki, z rysunkami Edwarda Rydza w tekście, wyszło w tymże nakładzie w Poznaniu w roku 1920.

Dołączona do obu wydań mapka: *Załogi rosyjskie przed 23 stycznia 1863 roku i po koncentracji* była zużytkowana w roku 1929 przez wydawców *Zarysu historji militarnej powstania styczniowego* w tej pracy; w obecnem wydaniu jest pomieszczona na końcu *Zarysu,* a przed *22 stycznia 1863.*

VIII.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE NIEMIECKIEJ SOCJALDEMOKRACJI AUSTRJI W WIEDNIU.

Do str. 277.

W pierwszych dniach listopada 1912 odbywał się w Wiedniu kongres Niemieckiej Socjalnej Demokracji w Austrji,

na którym był obecny Józef Piłsudski, jako gość, a zarazem jako delegat Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S. zaboru rosyjskiego. Zabrawszy głos, wyjaśnił na wstępie po niemiecku, dlaczego będzie przemawiał w języku polskim, poczem wygłosił przemówienie, które poseł dr. Herman Diamand zaraz przełożył na język niemiecki. Mowę Józefa Piłsudskiego przyjęto burzliwemi oklaskami.

Przemówienie podajemy według tekstu, wydrukowanego w organie Polskiej Partji Socjalno - Demokratycznej Galicji i Śląska, *Naprzodzie* krakowskim, w numerze 252, z wtorku 5 listopada 1912, na str. 2—3.

IX.

MOBILIZACJA POWSTANIA.

Do str. 281.

Mobilizacja powstania była ogłoszona w *Przedświcie*, w zeszycie styczniowym 1914, na str. 6 — 14, z pełnym podpisem autora i następującym dopiskiem redakcji: „Mowa, wygłoszona na obchodzie listopadowym, urządzonym we Lwowie przez Towarzystwo „Życie" 8 grudnia 1912". Tekst powstał ze stenogramu Leona Barysza. Stenogram ten przedstawiono Józefowi Piłsudskiemu, który upoważnił ówczesnego sekretarza redakcji *Przedświtu*, Adama Skwarczyńskiego, do dokonania drobnych poprawek stylu i publikacji.

X.

ORJENTACJA PANA BALICKIEGO.

Do str. 297.

Artykuły pod zbiorowym tytułem *Dezorjentacja austrjacka*, pióra Zygmunta Balickiego, pojawiły się w *Przeglądzie Narodowym* z maja i z czerwca 1913. Artykuł majowy poświęcony był ogólnemu zwalczaniu „orjentacji austrjackiej" w Polsce. Tą nazwą obejmował autor ruch niepodległościowy, rozwijający się bujnie na terenie Galicji. Natomiast artykuł drugi, czerwcowy, poświęcony był w całości sprawie zdrady pułkownika austrjackiego Redla, przedstawiając sprawę organizacyj strzeleckich w Galicji jako jego prowokację.

Odpowiedzią na powyższe jest artykuł Józefa Piłsudskiego, drukowany w krakowskim dzienniku *Naprzód,* w numerze 173 z dnia 30 lipca 1913 roku, jako artykuł wstępny.

Do str. 304, wiersz 29.

Dom naftowy na Chorążczyźnie we Lwowie — siedziba władz narodowo-demokratycznych.

Do str. 307, wiersze 28 i nast.

Balicki w pierwszym okresie swego życia politycznego był bardzo czynnym członkiem Polskiej Partji Socjalistycznej.

XI.

O POLSKIM RUCHU STRZELECKIM.

Do str. 309.

Odczyt ten wygłoszony został dnia 21 lutego 1914 roku w sali Towarzystwa Geograficznego w Paryżu, dokąd Józef Piłsudski udał się w sprawach Związku Walki Czynnej.

Sprawozdanie z niego podaje miesięcznik paryski *Bulletin polonais—littéraire, scientifique et artistique — publié par les soins de l'association des anciens élèves de l'école polonaise —* w numerze 309, z 15 kwietnia 1914 roku, na str. 120—122, w dziale *Variétés politiques.* Sprawozdanie to, podpisane w pierwodruku inicjałami „M. R." — dajemy tu w przekładzie Władysława Malinowskiego.

Sprawozdanie poprzedza wstęp redakcyjny, który w przekładzie brzmi:

„Dajemy tu krótkie streszczenie odczytu, wygłoszonego dnia 21 lutego w Sali Towarzystwa Geograficznego przez pana Józefa Piłsudskiego, jednego z głównych kierowników polskiego ruchu wojskowego, — odczytu, z którego zdawaliśmy sprawę w marcowym zeszycie naszego pisma".

W numerze 308 z 15 marca 1914 roku na str. 94 w dziale *Nouvelles diverses* znajdujemy wzmiankę, która w przekładzie brzmi:

„W sobotę 21 lutego w Sali Towarzystwa Geograficznego nasz rodak Józef Piłsudski wygłosił bardzo ciekawy odczyt *O polskim ruchu strzeleckim.* Odczyt bardzo zainteresował licznie zebraną publiczność swoim tematem, niezwykle aktualnym. Prelegent omówił początki tego ruchu, odparł

wszystkie uczynione mu zarzuty i wezwał ogół do współpracy w tem dziele publicznem, jakiem jest konieczne przygotowanie wszelkiej decydującej akcji dla zdobycia niepodległości".

XII.

ARTYKUŁY ZE „STRZELCA".

Do str. 317.

Jako wyraz pogłębiania się wiedzy wojskowej w społeczeństwie, a szczególnie wśród członków organizacyj wojskowych, rozpoczął wychodzić w końcu marca 1914 oficjalny organ Związków Strzeleckich, miesięcznik *Strzelec*. Był on wydawany w siedzibie Komendy Głównej Związków we Lwowie; jako wydawca i redaktor odpowiedzialny podpisywał go Edward Rydz. — Rozkaz okólny Nr. 80 Komendy Głównej z 21 marca 1914 roku podaje, że redakcja pisma została zorganizowana przy sztabie głównym. Kierownikiem jej został dr. Marjan Kukiel, oficer Związku.

Pisma wyszły cztery zeszyty: I — za kwiecień, II — za maj, III — za czerwiec, IV/V — za lipiec i sierpień 1914. Z początkiem wojny światowej przerwano wydawnictwo miesięcznika. Przy paginacji ciągłej miał on 174 stron formatu książkowego.

Pismo, będące oficjalnym organem Związku Strzeleckiego, pełne było ducha i pracy jego Komendanta Głównego. Przez wszystkie zeszyty ciągnie się cykl artykułów o wojnie bałkańskiej; ponadto jest kilka prac Józefa Piłsudskiego, podpisanych nazwiskiem lub inicjałami. W sprawie artykułów o wątpliwem autorstwie komitet redakcyjny zasięgał informacji u generała Kazimierza Sosnkowskiego, ówczesnego szefa sztabu Związku, i dr. Marjana Kukiela, ówczesnego redaktora *Strzelca*. Przy tej okazji stwierdzono, że w wydanej w Warszawie w roku 1923 *Bibljografji — Józef Piłsudski* Stanisława Konopki i Zygmunta Zygmuntowicza, na str. 35, poz. 207, jako Piłsudskiego wymieniony artykuł *Nasze wychowanie wojskowe* jest autorstwa Sosnkowskiego.

Do str. 319.

Artykuły *Z wojny bałkańskiej* drukowane były w *Strzelcu* — zeszyt I, str. 5—8, dawał — rozdział I. *Bułgarzy*, zeszyt II, str. 40—47, — rozdział II. *Turcy*, zeszyt III, str. 75—82 i zeszyt IV/V, str. 147—151, — rozdział III i IV pod

jednobrzmiącym tytułem: *Przyczyny porażek tureckich*. Wszystkie artykuły podpisane są pełnem imieniem i nazwiskiem (w zeszycie II pomyłkowo zamiast Józef — Jan). Całość nosi charakter pracy jednolitej i zakończonej. Artykuły te są wynikiem studjów Piłsudskiego nad wojną, stoczoną w roku 1912 na Półwyspie Bałkańskim pomiędzy Bułgarją, Serbją i Grecją z jednej, a Turcją z drugiej strony.

Do str. 363.

W zeszycie I *Strzelca* redakcja ogłosiła konkurs na rozwiązanie zadania aplikacyjnego Nr. 1. Treść zadania: brygada niebieska w marszu od południa zaatakowała dnia 4 kwietnia siły główne czerwonych pod Dąbrową; z zapadnięciem nocy obie strony pozostają na zajętych pozycjach.



Oddział samoistny niebieskich, bataljon strzelców pod dowództwem podpułkownika B., działając wzdłuż kolei Granica — Ząbkowice dotarł w walce o godzinie 10 do osady Niemce. Cofający się nieprzyjaciel został w Strzemieszycach napadnięty przez oddział wolnych strzelców i odrzucony na wschód. Popołudniu bataljon zajmuje Niemce, oddział strzelców (kapitan C., około 300 ludzi) stację i przystanek Strzemieszyce; kontakt z brygadą pod Dąbrową nie został nawiązany.

O godzinie 10.30 (22.30) podpułkownik B. otrzymuje od kapitana C. wiadomość, że stwierdzono trwanie bitwy pod Dąbrową, w Gołonogu duży oddział czerwonej piechoty i kon-

nicy. O godzinie 8.30 (20.30) przybył stamtąd do Ząbkowic szwadron jazdy; przygotowują kwatery dla kompanji piechoty; w Ząbkowicach trzy próżne pociągi.

Do rozważenia:

1) Zamiar podpułkownika B. (z motywacją).

2) Jego zarządzenia po godzinie 10.30 (22.30) wieczorem.

Następowały dane, dotyczące strony czerwonej, zakończone również dwoma zadaniami. Opuszczamy je ze względu na to, że w orzeczeniu nie są analizowane.

W zeszycie III *Strzelca* podane jest *Rozwiązanie zadania aplikacyjnego*. Redakcja stwierdza, że oprócz projektu autora napłynęło 14 wypracowań. „O wydanie orzeczenia i przyznanie trzech nagród uprosiliśmy obywatela Józefa Piłsudskiego. Podajemy niżej: I -- orzeczenie, II — projekt autora, III — wypracowanie, wyróżnione pierwszą nagrodą".

Poczem następuje tekst orzeczenia Piłsudskiego.

Rozwiązanie zakończone jest przytoczeniem pełnych rozwiązań autora zadania i nagrodzonego pierwszą nagrodą „Ferdynanda". Rozwiązanie tego ostatniego podaje, że „podpułkownik B. zamierza przerwać w nocy połączenie telegraficzne między Dąbrową a Ząbkowicami, o świcie zaatakować bataljonem Gołonóg, zostawiwszy w Strzemieszycach oddział strzelców jako rezerwę".

Do str. 366, wiersze 8—11.

Herwin — Kazimierz Piątek, oficer Związku, zginął w 1915 roku pod Konarami, jako kapitan Legjonów, Ferdynand — Ksawery Stefański, uczeń Szkoły Oficerskiej Związku, Brzoza — Ottokar Brzezina, oficer Związku, komendant organizacji w Stanisławowie, Iskra — Zygmunt Molenda, uczeń szkoły podoficerskiej Związku i instruktor na kursie rekruckim, zginął w 1915 roku pod Wysoko-Litewskim, jako sierżant Legjonów.

Do str. 368.

Artykuł *Zużywanie amunicji* drukowany był w zeszycie IV/V *Strzelca*, na str. 117—122, podpisany inicjałami „J. P."

Do str. 368, wiersz 9.

Bloch Jan, przedsiębiorca kolejowy w Polsce. Wsławił się dziełem pod tytułem *Przyszła wojna* (wydanie 1893), w któ-

rem udawadniał niemożliwość dojścia do skutku wojny europejskiej, gdyż spowodowałaby ona ruinę finansową i ekonomiczną państw europejskich.

Do str. 369, wiersz 22.

Generał Jan Hamilton, attaché angielski przy I armji japońskiej w czasie wojny rosyjsko - japońskiej, wydał po wojnie swoje pamiętniki, bardzo dużej wartości wojskowej. Pamiętniki te stanowiły jedno z podstawowych źródeł studjów Józefa Piłsudskiego nad wojną rosyjsko - japońską.

XIII.

JESZCZE O DELEGATACH AMERYKAŃSKICH.

Do str. 379.

W kwietniu 1914 roku przybyli, jako delegaci Związku Narodowego Polskiego ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, panowie Antoni Karabasz, cenzor, i Adolf E. Rakoczy, wicecenzor, celem zbadania działalności organizacyj niepodległościowych i wojskowych w kraju. Delegaci odbyli 27 kwietnia konferencję z przedstawicielem Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, Leonem Wasilewskim, skarbu — Walerym Sławkiem i Wydziału Wojskowego — Michałem Sokolnickim. W wyniku konferencji spisany został protokół, podpisany przez delegatów i przedstawicieli Komisji, którego zakończenie brzmi:

„...Stwierdzono, że jakkolwiek delegaci Związku Narodowego Polskiego przyjechali do kraju uprzedzeni do Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, jednak wszechstronne i szczegółowe przedstawienie sprawy ze strony przedstawicieli Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, Polskiego Skarbu Wojskowego i Wydziału Wojskowego rozproszyło uprzedzenia i nieporozumienia, wyjaśniło wątpliwości i pozwoliło ocenić należycie całokształt pracy, dokonanej przez powyższe organizacje. To przesądza, że stosunki wzajemne między Związkiem Narodowym Polskim a Komisją Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych będą na przyszłość normalne, harmonijne, jako oparte na wzajemnem zaufaniu".

Delegaci Związku Narodowego, podpisawszy powyższy protokół, wyjechali do Ameryki i tam 11 czerwca 1914 ogłosili sprawozdanie o Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych i robotach wojskowych, całkowicie sprzeczne z protokółem krakowskim. Sprawozdanie to stało się przedmiotem zaprzeczeń ze strony Sekretarjatu Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych — Ignacego Daszyńskiego, Wacława Sieroszewskiego, Michała Sokolnickiego i Włodzimierza Tetmajera.

Akcja delegatów Związku Narodowego Polskiego była jednem z ogniw politycznej intrygi, skierowanej od początku 1914 roku ku zniszczeniu ruchu wojskowego polskiego.

Artykuł Józefa Piłsudskiego, należący do rzędu tych zaprzeczeń, drukowany był w czasopiśmie *Wici*, wychodzącym w Chicago organie Komitetu Obrony Narodowej w Ameryce pod redakcją Aleksandra Dębskiego, w zeszycie sierpniowym 1914 roku, numer 5, na str. 11—14.

SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW

(Liczby arabskie — tekst; liczby rzymskie — przypisy; liczby rzymskie z dodatkiem litery w — wstęp. Liczby, ujęte w nawias, — nazwiska w tekście nie zostały wymienione).

SPIS RZECZY TOMU III.